

Norbert Dudziński

Do...nikąd

„Wszystko jest jakąś drogą donikąd”

Książkę dedykuję córce Asi

UCIECZKA ŻOŁNIERZA

Generał nerwowo chodził po swoim gabinecie, stawał co chwilę przy oknie, rozglądał się czujnie przed siebie i znów wracał przed swoje biurko. W jego oczach czał się strach i głęboki niepokój, wszystko wymykało się spod kontroli.

Wojna, podjęta może zbyt szybko, miała być dla niego kolejnym szczeblem w karierze, tak przynajmniej mówił prezydent. Teraz, kiedy zaczęli przegrywać, choć po głębokim zastanowieniu mogli się tego spodziewać już na początku, on również przegrywał swoje stanowisko i poparcie wodza.

Prezydent tracił poparcie opinii publicznej, a on powoli stawał się kozłem ofiarnym. Tonął na oczach tłumu, tonął na oczach dziennikarzy, a najbardziej tonął samemu, patrząc coraz bardziej pustym wzrokiem, w obce mu odbicie w lustrze. Po głębszym zastanowieniu stwierdził, że i tak od dawna nie miał nic do powiedzenia cieniowi, odbijającemu się mrocznie za szkłem – byli sobie tak bardzo obcy, życie zmieniło ich oboje, a rzeczywistość zabiła ich sumienia. Byli duchami jednej bezsensownej sytuacji. Ofiarami swoich wygórowanych marzeń i doznań – pasażerami bez powrotnego biletu.

Wojna w Garanii, w kraju dzikich istot, w środkowej części Afryki, miała być spektakularnym zwycięstwem nad dyktaturą – zwycięstwem nad cichym okrucieństwem, ciągnącym się tam nieprzerwanie od trzydziestu lat. To była oficjalna wersja; kopalnie diamentów i złota, oraz duże perspektywy bogatych złóż ropy, które miały tam podobno występować, stały się dodatkową zachętą do rozpoczęcia tej inwazji. Lecz o tym wiedzieli tylko nieliczni i on się do tej grupy nielicznych osób zaliczał.

Wszystko miało trwać zaledwie sześć miesięcy, a później w glorii i chwale generał miał zostać bożyszczem tłumów.

Niestety, klimat okazał się niezbyt łaskawy, góry zbyt niedostępne, a chłodne noce zbyt mroczne. Opór ludzi walczących o swój kraj, zresztą mało idealny, okazał się sporym zaskoczeniem dla wszystkich. Zjednoczyli się ku zaskoczeniu najeźdźcy, choć powinni im pozornie sprzyjać. Wróg z zewnątrz okazał się większym wrogiem, niż wróg wewnątrz. Nikt nigdy nie przyswoi intruza we własnym domu, choćby nie wiem jak on był zbawienny, a oni właśnie byli takim intruzem.

Wojna trwała już dwa lata, dwa długie okresy niepowodzeń i pozornych zwycięstw, podsycanych propagandą przekupnej prasy.

Żołnierze zaczęli powoli wątpić, a co najgorsze zaczęli uciekać przez góry do sąsiedniego kraju, i stamtąd emigrowali dalej. Dzień zwycięstwa został stłamszony przez rozdeptaną nadzieję wygranej.

Ktoś zapukał do drzwi, przerywając generałowi ponure myśli. Po chwili adiutant wszedł i stanął na baczność.

- Przyprowadziłeś go? – Spytał generał.

- Tak jest, panie generale – prawie krzyknął pułkownik. Popatrzył z trwogą na swojego dowódcę i poczuł paraliżujący strach. Oczy generała były puste i chłodne, lodowate jak wiatr na Antarktydzie.

- Wprowadź – rzekł oschle, prawie charcząc, generał.

Steinbeck pochodził z rodziny żołnierskiej, takiej z prawdziwymi tradycjami, służyli krajowi bez zastrzeżeń od prawie trzech pokoleń. Zawsze szczycili się tym chwalebny obowiązkim. Dlatego kiedy on miał zdecydować, co będzie dalej robił w życiu, też postawił na karierę wojskową. Miała być dla niego przepustką do łatwego i ciekawego życia. Życia po presją ekscytującej magii rozkazu, który zawsze należy wykonać. Ktoś coś mówi, tonem rozkazującym, ty wykonujesz to bezwiednie i posłusznie.

Właśnie był dwa lata po studiach wojskowych i czekał na szybkie powołanie na wojnę. Wiedział, że kiedyś to powołanie przyjdzie, i przyszło właśnie dzisiaj, choć w niecodzienny sposób. Pierwszy raz był w sztabie, pierwszy raz poczuł strach i niepewność czegoś niezwykłego, choć wyraziście ekscytującego, i pierwszy raz miał zobaczyć z bliska głównodowodzącego.

Właśnie stał przed nim na baczność, prężąc się jak struna. Jego wzrok wyrażał lekki niepokój, nie wiedział, czego od niego mogą chcieć i oczekiwać. Przecież był nikim, zwykłym porucznikiem bez perspektyw na szybki awans.

Generał czujnie, prawie badawczo jak naukowiec, spoglądał na bruneta stojącego niczym martwy posąg w jego gabinecie. Tak właśnie go sobie wyobrażał. Był idealny, pasował wyśmienicie do jego planów.

„Nada się – pomyślał z lekką kalkulacją. – Jest moją ostatnią deską ratunku, kimś, kto może odmienić znacząco ducha w armii. Skoro nie chcą uwierzyć w zwycięstwo, muszą zacząć bać się przegranej. Strachem zmuszę ich do większej determinacji, a ci, którzy zwątpią, zostaną za to boleśnie ukarani”.

Właśnie przed nim stał kat; człowiek, który przy odpowiedniej motywacji będzie siał postrach na tyłach armii.

„Nie będą mieli odwagi uciekać, nawet nie będą mieli siły i motywacji podjąć tej głupiej decyzji, a co najważniejsze, będą bali się myśleć, że można spróbować uciec przed strachem – uśmiechnął się chytrze generał”.

- Usiądź – rzekł stanowczo. – Steinbeck, tak się nazywasz?

- Tak jest, panie generale – odrzekł sucho porucznik.

- Startujesz w zawodach strzeleckich w armii, podobno z sukcesami – mówił generał. – To dobrze, to bardzo dobrze... Pochodzisz z rodziny z tradycjami, to też dobrze... No i z pewnością chcesz szybko awansować, to też wyśmienicie – generał popatrzył Steinbeckowi w oczy, głęboko i z dziką wiarą. – Ja ci to ułatwię. Ale coś za coś.

- Tak jest, panie generale! – Niepokój ogarnął serce porucznika, czuł podstęp, wręcz wisiał on w powietrzu.

Generał zaczął chodzić po pokoju, ostro przecinał krokami powietrze. W końcu stanął i rzekł:

- Wiesz, że wojna się przedłuża. Żołnierze zaczynają masowo uciekać przez góry. Potrzebuję ludzi, którzy zatrzymają ten proceder. Zostaniesz dowódcą oddziału, który będzie tuż za linią naszych wojsk. Będziecie krążyć wzdłuż granicy i likwidować zdrajców.

Steinbeck otworzył szeroko oczy, diabeł zajrzał mu do wnętrza serca. Poczul strach, oddech prawie zawiesił mu się w płucach. Właśnie miał podpisać cyrograf z diabłem. Wiedział, że nie może odmówić, cena odmowy może być zbyt wysoka. Stawka została rzucona na stół, teraz zaczną się zachęty, wszystko po to, żeby kupić jego duszę i wiarę.

- Będziecie mieli wszelkie uprawnienia. Nikomu nie podlegacie, macie robić tylko swoje. Gdy będą za daleko, poza linią waszych możliwości złapania, strzelać bez sądu, dlatego potrzebuję snajperów. Jednak, gdy kogoś złapiecie, przesłuchać i rozstrzelać.

- Nikogo nie dostarczać do oddziałów, na jakiegokolwiek przesłuchania? – Zająknął się Steinbeck.

- Nikogo... To są tylko zdrajcy. Zawiedli kraj i ojczyznę. Niszczą morale w armii – ostro mówił generał, wręcz z wściekłością. – To oni winni są przegranym bitwom! Macie tylko krążyć przy granicy i ich wyłapywać. Gdy o was usłyszą, odechce im się ucieczek. Strach i obawa przed śmiercią, zmuszą ich do kolejnych zwycięstw.

Generał wstał i usiadł ciężko na krześle, tuż koło Steinbecka. Objął go ramieniem jak ojciec.

- Musisz zrozumieć, to wojna. Ma swoje ofiary – ręka generała parzyła porucznika jak ogień. – Pochodzisz z rodziny z tradycjami, takich potrzebujemy. Ludzi, którzy wiedzą, co to jest honor i ojczyzna. Dostaniesz jeszcze dziesięciu ludzi, takich jak ty. Świetnie strzelają, są

młodzi i ambitni, i każdy z was po wykonaniu tej misji, może liczyć na szybki awans – generał uśmiechnął się szeroko – na bardzo szybki awans.

Steinbeck był przerażony. Z minuty na minutę stawał się Bogiem, sędzią i katem. Bał się zaprotestować, bał się powiedzieć siedzącemu złu tuż obok, iż może sobie nie poradzi z tym zadaniem. Lecz z drugiej strony, kiedy wróci, gdy już zapomni, albo będzie już umiał zapomnieć o przeszłości, nauczy się tego po krótszym lub dłuższym czasie, gdy zostanie bardzo szybko pułkownikiem, młodym i prężnym dowódcą jakiejś dużej jednostki, rodzina będzie z niego bardzo dumna. Zajdzie tak daleko, jak nikt inny z jej członków. To jest coś, cena, za którą można zapomnieć o sumieniu i uczuciach. Zresztą współczucie na wojnie jest jak trąd, brudne i zaraźliwe. Należy go unikać i zwalczać na wszystkie sposoby.

Zanim Steinbeck wyszedł, zanim zniknął za drzwiami, generał miał chwilę zawahania. „Może powiedzieć mu, że takich oddziałów będzie więcej, o wiele więcej, może to mu coś uprości, jakoś go skruszy i zmobilizuje. Jednak nie. Im mniej wie, tym lepiej dla niego. Zbyt duży zasób informacji na wojnie niszczy każdego bezwzględnie. Niech niewiedza będzie jego atutem, bronią, która pomoże mu być jeszcze bardziej bezwzględny niż inni”.

Ćwiczenia na poligonie, położonym tuż przy pustyni Sahere, trwały miesiąc. Warunki tego rejonu były bardzo zbliżone do klimatu działań wojennych.

Steinbeck dostał dziesięć osób, ludzi tak bardzo podobnych do niego. Młodych, chętnych do współpracy za szybką cenę awansu, i pochodzących z rodzin wojskowych. Wszyscy doskonale strzelali, a to miało być w przyszłości ich zajęciem numer jeden. Na razie strzelali do tarcz, Steinbeck nie wiedział jak sobie poradzą ze strzelaniem do ludzi. Obawiał się, co będzie, kiedy obowiązek zmusi ich do patrzenia sobie nawzajem w oczy, a później z chłodem, bez zbędnych kalkulacji, będą musieli wypuścić pocisk między oczy człowieka, którego uczynku nie będą mieli czasu zrozumieć.

Wojna to akceptowanie własnych odruchów, nawet tych złych, bez zbędnego analizowania przyczyn, to robienie rzeczy, które normalnie przyprawiałyby nas o wstręt i wieczną odrazę wobec samego siebie.

Na razie ćwiczyli, poznawali się nawzajem od rana aż do wieczora. Wiedzieli, że będą na siebie skazani przez bardzo długi okres czasu. Obcy ludzie, spętani w kajdany wojny, którzy nagle musieli stać się rodziną.

Generał często ich odwiedzał; stał na wzgórzu w lekkim rozkroku i patrzył niczym Bóg na ich postępy. Czasem pojawiał się grymas na jego

twarży, który później zręcznie chował za nonszalanckim uśmiechem. Byli jego bronią, przeznaczeniem i wiarą. Tajnym pociskiem wycelowanym w serca rodaków.

Po miesiącu, trudnym okresie przygotowań i ćwiczeń, stali się gotowi do walki. Nauczyli się tropienia śladów w górach, nauczyli się pokonywać strach, a co najważniejsze nauczyli się ślepo wykonywać rozkazy.

Później nowoczesny i wielki samolot zabrał ich w kierunku Afryki. Oprócz nich leciały ogromne pakunki z jedzeniem. Generał nie chciał, aby lecieli wraz z innymi żołnierzami; chciał uniknąć kłopotliwych pytań podczas lotu i nie zamierzał tolerować zbędnych dylematów moralnych na pokładzie. A więc lecieli sami, w towarzystwie dużej ilości paczek i skrzyń. Podczas lotu prawie nie rozmawiali. Milczeli w zawieszeniu ciszy dnia.

Dopiero teraz, w czasie długiego lotu, podczas zawirowań powietrza w chmurach, Steinbeck uzmysłowił sobie, patrząc na twarze własnej drużyny, jak bardzo czeka ich trudne zadanie. Nie wiedział, czy chęć szybkiej kariery, będzie w stanie zagłuszyć bolesne wycie sumienia. Obawiał się, że wszystko może przeistoczyć się w dziki skowyt hieny, podczas czarnej jak węgiel nocy, który prześladować go będzie aż do końca jego dni. Nie chciał za bardzo o tym myśleć; trwożył się, iż złe obrazy mogą zabić i tak wątpiącą końcówkę jego energii do walki. Lecz czy to w ogóle będzie można nazwać walką? Zabijanie rodaków, którzy nagle zwątpili w dobro na świecie.

Z ponurych myśli wyrwało go nagle szarpnięcie samolotu, który najpierw opadł na dół, potem rzuciło go ostro na lewo, po lekkim skosie, a później, dzięki sprawnym rękom pilota, samolot odzyskał dawny kierunek lotu.

Porucznik spojrzął za okno, kończyło się bezgraniczne morze, a na horyzoncie rysował się suchy ląd Afryki. Bezmiar piasku kołysał się w gorącym tańcu powietrza.

Steinbeck spojrzął na lustro leżące tuż obok – jego niebieskie oczy przepełnione były niewiarą. Nadal miał rysy stanowcze, trochę mętny błysk w oczach, a jednak masywna budowa ciała przysgnieciona była ciężarem zadania, które dopiero się zaczynało. Stał się młodym człowiekiem niosącym bolesny ciężar wojny.

Samolot wylądował miękko, koła subtelnie dotknęły pasa startowego i zatrzymały się jak na dmuchanym materacu. Gdy wyskakiwali na ląd, ostre suche powietrze, niczym długi szal, owinęło im się wokół szyj. Parzące słońce zgasiło resztki przeszłości w ich oczach. Od tej chwili byli

innymi ludźmi, żołnierzami bez uczuć, nasiąkniętymi wyznaczonym zadaniem.

Podjechały trzy Hammary, zapakowali się sprawnie do środka i ruszyli przed siebie. Generał zadbał o wszystko, mieli unikać kontaktu ze swoimi, przynajmniej na początku. Później musieli tylko uzupełniać zapasy w najbliższych obozach i ponownie ruszać do granicy. Tam miała być ich wolność nasączona zbrodnią. Wolność, której cena niewspółmierna była do wyróżnień.

Gorana – kraj zmęczony wojną – miał być dla nich snem naznaczonym przemocą i okrucieństwem. Snem złym, snem gorzkim, snem niezapomnianym. Po powrocie do kraju, będą musieli obudzić się z tego snu i próbować zapomnieć o rzeczach, czynach, wspomnieniach, które będą dla nich niczym czarne chmury, na niebie ich dalszego życia.

Pierwszą noc spali w baraku, położonym na skraju bazy. Jutro mieli ruszyć w kierunku masywnych gór Areka. Podobno był to teren niedostępny, ciężki do pokonania, i dlatego stał się granicą dwóch sąsiadujących ze sobą krajów. Wokół niego toczyły się walki i wokół niego uciekali żołnierze, przed bolesną teraźniejszością, w kierunku niepewnej przyszłości. Zdradzali coś, w zamian za ratowanie resztek czegoś innego. Błędne decyzje ratowali ostatnim złym wyborem w życiu.

Przemieszczali się od tygodnia w kierunku gór. W oddali, gdzieś z boku, słychać było strzały, pojedyncze wybuchy, a potem nagle wszystko milkło. Wtedy cisza, swoim bezruchem śmierci, parzyła pustkę pustyni niczym ogień połykający żarem las, kiedy żywioł wymknął się spod kontroli czasu i przestrzeni.

Na razie wojna ich nie dotyczyła, mieli rozkaz jak najszybciej dostać się w okolice granicy. To właśnie stamtąd uciekali dezterterzy do sąsiedniego kraju.

Podczas marszu mało rozmawiali, czuli ciężar czekającego ich w niedalekiej przyszłości zadania. Ciężar czegoś, co sprawi, że ich życie nigdy nie będzie już takie same.

Najpierw przemieszczali się przez rzadkie, suche lasy. Zmęczone drzewa, gorzko spalone słońcem, prawie dotykały ich swoimi ramionami po głowach; sprawiały wrażenie dzieci, proszących błagalnym gestem podróżnych o kęs chleba.

Gdy wyszli z wymęczonego lasu, przed ich oczami ukazała się niewielka pustynia; była naznaczona falistymi wydymami, które przypominały momentami dzikie fale morskie. Gdyby nie jej złoty kolor,

czuliby się prawie jak na morzu. Suchym morzu zapomnienia i pustej rozterki.

Po dwóch dniach opuścili niegościnne piaski, a przed ich oczami ukazała się sawanna, porośnięta trawą, sięgającą momentami do trzech metrów. Wtedy, gdy poruszali się w rytm wiatru, kołyszącego ogromne ilości suchych traw, czuli się chwilami jak na wakacjach. Cichych wakacjach zadumy letniego czasu.

Widzieli ogromne baobaby, o masywnych pniach, wyglądających jak ogromne nogi słonia. Stały dumne i samotne, bez emocji oglądały okrucieństwa wojny. Czasami widzieli pojedyncze palmy, lecz w tym rejonie były one rzadkością.

Kiedy spoglądali na stada słoni i antylop, na pojedyncze bawoły i samotne gnu o krótkich nogach i ciemnej skórze, zapominali o wojnie, która czała się gdzieś z boku, w pojedynczych wybuchach w oddali.

Jeszcze nie poczuli wojny na własnej skórze, jeszcze nie dotarła do ich świadomości, ale wiedzieli, że raj rysujący się przed ich oczami, za chwilę gdzieś zniknie i pozostanie tylko ból, oraz chęć zapomnienia przeszłości kolejnego dnia.

Noce były zimne, więc rozpalali ognisko, aby choć trochę się przy nim ogrzać. Pili wtedy whisky, trochę żartowali i starali się nie myśleć o zbliżającym się zadaniu. Tylko strażnik z zazdrością patrzył na kolegów pijących alkohol, ktoś musiał pilnować bezpieczeństwa innych, moment nieuwagi mógł kosztować ich bardzo wiele.

W ciemnościach nocy często było słychać odgłosy buszu, ciemnej muzyki czarnego ładu. Wycie hien, przeraźliwe i boleśnie obce, porykiwania bawołów przed snem, i nerwowe ryki lwów, polujących w ciemnościach za pożywieniem, też dawały im się we znaki. Bali się muzyki sawanny, lecz nikt nie miał odwagi się do tego przyznać.

Podczas wędrówki widzieli lokalne wioski, spalone i opuszczone; przyglądali się bezpańskim kozom i opuszczonemu bydłu, pasącemu się bez opieki tubylców.

Z rezygnacją mijali uprawy manioku i kukurydzy. Nikt tego nie uprawiał, strach przed wojskami zmusił ludzi do ucieczki. Przerazenie wygrało z głodem.

Po długich siedmiu dniach ujrzeni góry, docelowy cel ich podróży. Stały dumne, masywne i ostro skąpane w słońcu. Na ich szczytach widać było śnieg – biały, miękki i szeleszczący mokry.

Rozbili obóz na zakolu niewielkiej rzeki, tam było najbezpieczniej; byli schowani za niewielkimi skałami, a wróg zaskoczyć mógł ich tylko z prawej strony, lecz tam zawsze stał wartownik.

Broń każdy miał zawsze przy sobie: Steinbeck i jeszcze dwóch żołnierzy mieli Baretta M82. Były to karabiny snajperskie z celownikiem optycznym, magazynki posiadały po 10 pocisków.

Pozostali posiadali M16, karabiny automatyczne, nabój 45 mm., które strzelały ogniem pojedynczym i ciągłym. Trzydzieści naboji musiało wystarczyć każdemu z nich na odparcie nieoczekiwanego ataku. Mały odrzut przy strzale, powodował w rękach dobrego żołnierza doskonałą skuteczność, a oni byli właśnie takimi osobami. Osobami skutecznymi, osobami zimnymi, osobami bez emocji na pokaz. Tak zostali wybrani i tak mieli się czuć podczas tej misji.

Od kilku dni siedzieli wieczorami przy ognisku i patrzyli tępo w iskrzący się ogień. Cisza, mącona ostrym syczeniem płomieni i gorszącym wyciem hien, wydawała się tak okrutna w swojej namacalności. Mrok zakładał swoją sieć w ich umysłach. Pętał ich, ranił nieświadomie, stawał się panem ich myśli i uczuć.

- Steinbeck, jak to będzie dalej? – Spytał John, rudy chłopak o niskiej, lekko karłowatej posturze.

- A jak ma być? – Odpowiedział pytaniem na pytanie Steinbeck.

- No wiesz... – John się wahał. – Będziemy umieli zabić człowieka, ot tak po prostu?

Steinbeck zamyślił się. Przypomniwał sobie rozmowę z przyjacielem, tuż przed wyjazdem.

Martin, jego serdeczny druh, pracował w barze; Steinbeck udał się tam zaraz po rozmowie z generałem. Opowiedział mu o wszystkim. Wtedy już miał dużo wątpliwości.

Martin był właściwą osobą, sam zabił kiedyś człowieka. Wiedział, co to znaczy, czym to pachnie, lecz zrobił to bez wahania, po to żeby chronić swoją rodzinę. Dwa lata siedział w więzieniu, rzucany z rozprawy na rozprawę, aż w końcu go wypuścili. Martin dotkliwie poczuł, co to znaczy sprawiedliwość i boleśnie odczuł, co to znaczy nieść ciężar czyjejś śmierci na własnych barkach. Mury więzienia skazyły go na zawsze swoim chłodem.

Teraz Steinbeck przypomniwał sobie tą rozmowę w mrocznym pubie.

- Chcesz zabijać swoich? – Spytał Martin.

- Będę musiał.

- Jesteś pewny, że sobie później z tym poradzisz? – Dopytywał się Martin.

- Będę musiał.

- Wiesz, że nigdy nie zaznasz spokoju, po tym, co zrobisz, będzie to nieodwracalne. Rzucisz kamień do rwącej rzeki, a później już go nigdy nie znajdziesz, zniknie w czeluściach mułu. Chcesz się gryźć z tym do końca swoich dni?

- Będę musiał.

Martin się uśmiechnął, potem zamyślił, i znów pojawił się kąśliwy uśmiech na jego twarzy.

- Mówisz, będę musiał – rzekł ostro. – Słuchaj, nie wiesz, co mówisz! Ja ciągle się zastanawiam, czy dobrze zrobiłem. Każdego dnia, każdej godziny. Musiałem się tak zachować, nie miałem innego wyjścia, ale ciągle się nad tym zastanawiam przed snem, aż zasypiam znużony własnymi myślami. Analizuję rzecz, która prowadzi mnie do obłądu. Jest to obłąd skażony czyjąś śmiercią.

- Da się z tym żyć? – Spytał Steinbeck.

- Ze wszystkim się da, ale ból zawsze pozostaje. Nie chcesz do niego wracać, a wciąż musisz. Jest jak bumerang, choćbyś nie wiem jak daleko uciekał, zawsze do ciebie wróci.

- To jest wojna – smutno stwierdził Steinbeck.

- Wojnę to ty będziesz miał później w duszy... Ja zabiłem wroga, ty będziesz zabijał towarzyszy broni, a uwierz mi, to jest kolosalna różnica.

- Wiem... wiem.

Drzewo syknęło w ogniu. Steinbeck wrócił z przeszłości do świata żywych. Spojrzał na Johna, bez żadnych głębszych emocji, pusty wzrok pulsował w ciszy nocy.

- To jest zadanie. To są zdrajcy – rzucił niedbale słowa. – Zrobimy, co musimy. Wykonujemy tylko rozkazy.

- Rozumiem.

Dodali drzewa do ognia i poszli spać. Wycie hien otuliło ich do snu. Sawanna przykryła ich swoim szelestem traw, jak matka troszcząca się o swoje dzieci. Księżyc mienił się czerwonym blaskiem, kolorem wojny i cierpień ludzkich serc.

Rano ruszyli po raz kolejny lepiej poznać teren: mieli mapy, kompasy i instynkt. Na razie to musiało im wystarczyć. Wojna wciąż była gdzieś z boku, jak cichy sąsiad, nigdy niepuszczający głośnej muzyki. Wiemy, że jest, lecz nigdy go nie widzimy.

Szli pojedynczo, w jednym szeregu, bacznie patrząc na boki. Z przodu szedł zwiadowca, a tył zabezpieczał kolejny żołnierz.

Ubrani byli w moro pustynne. Czapki z daszkiem, też w barwie jasnej panterki, skutecznie chroniły ich przed porannym żarem. Czarne sznurowane buty doskonale zabezpieczały nogi.

Zanurzyli się w dzikie przełęcze gór, aby być skutecznymi żołnierzami musieli najpierw dobrze poznać teren. Radiostacja niesiona przez Steva mogła łączyć ich ze sztabem. Na razie nie musieli z niej korzystać, nie mieli do tego żadnego powodu.

Szli wolno, nie musieli nigdzie się spieszyć, robili obchód na swoim własnym polu bitwy. Każdy ma takie własne pole boju, ciche miejsce naszych słabości, z którymi musimy się za życia zmagać, i od nas tylko zależy, czy wyjdziemy z tej walki zwycięsko, czy raczej poharatani ciężarem losu.

Po bokach doliny, którą właśnie przemierzali, rosły łąki górskie i roślinność krzewiasta. Gdzieś tam widać było z oddali rzadkie suche lasy.

Nie rozmawiali ze sobą, milczenie przesiąknięte ciszą gór, przenikało bezmienną mowę ich kroków. Kiedy wyszli z doliny, u ich stóp zaczęła rysować się mała górka rzeka.

Zrobili tam postój, wcześniej ustawiając przenikliwie straż. Wciąż musieli zachować dużą ostrożność, to, że wojna toczyła się gdzieś z boku, wcale nie oznaczało, że ich wcale nie dotyczy. Mogli być narażeni na przypadkowy oddział przeciwnika, a wtedy, w bezpośredniej walce, na pewno musieliby ulec, było ich o wiele za mało; w sumie mieli inne cele i zamierzenia, nie mówiąc już o innym przygotowaniu do wojny. Wojny, która ich w inny sposób dotyczyła.

Obmyli twarze w zimnej rzece, napełnili pojemniki na wodę i z rozkoszą oddali się odpoczynkowi. Gdzieś z boku zobaczyli lwa, był od nich około kilometra, pił łapczywie wodę, wyglądał dostojnie i po królewsku. Pragnienie zaprowadziło go aż w wyższe partie masywów górskich. Mógł wędrować wszędzie, był panem swojego losu. Gdy jesteś władcą i wszystko do ciebie należy, gdziekolwiek jesteś i gdziekolwiek podążasz, wszędzie jest twój dom.

Po zaspokojeniu pragnienia lew wszedł do rzeki, zanurzył się prawie całości, lekko otrząpał grzywę z resztek wody i z ociąganiem wyszedł na drugi brzeg, poruszając swobodnie rozwichrzoną grzywą. Rozglądał się dumnie, grzywa zaiskrzyła swoim majestatem w słońcu, a następnie wolno ruszył wolno przed siebie. Zniknął pomiędzy pojedynczymi drzewami. Znowu dolina spowita była ciszą, głuchy szum wiatru roznosił się pomiędzy nurtem płynącej rzeki.

Po pół godziny ruszyli dalej. Tutaj jeszcze bardziej musieli zachować ostrożność, nic nie mówili, echo górskie mogło zaalarmować przeciwnika o ich obecności.

Steinbeck wytarł leniwie czoło ręką, było lekko spocone. Choć na wyższych poziomach jest trochę zimniej, skwar Afryki i intensywny wysiłek, powodowały krople potu na ich twarzach. Steinbeck spojrział na góry i uśmiech pojawił się na jego twarzy. Śnieżne szczyty wyglądały dumnie i dostojnie, pośród suchych gór i wszechobecnej piaskowej sawanny. Mogły być wyzwaniem dla każdego człowieka, uosobieniem marzeń i celów, których tak ciągle w życiu potrzebujemy. Mądrością myśli schowanych w czynach.

Stanęli na występie skalnym, spłaszczonym płaskowyżu górskim; u ich stóp rysowała się dalsza część przesmyków górskich, małych przełęczy i niedostępnych dolin, a tuż za nimi spoglądała wolność dla zdrajców ojczyzny.

Steinbeck spojrział przez lornetkę za pasmo gór. Tuż za nimi rysowała się spora pustynia. Żółty piasek iskrzył się w szklach lornetki.

„A więc to tak wygląda wolność. Naznaczona jest wspinaczką i pustynią przeznaczenia – pomyślał. – Widocznie żeby gdziekolwiek uciec, należy część siebie tej wolności poświęcić. Zostawić duszę na bezdrożach ślepych dróg”.

Nagle Steinbeck potrącony został ramieniem Johna.

- Popatrz – szepnął cicho John.

Steinbeck ujrzał samotnego żołnierza wspinającego się po przełęczy. Rozglądał się czujnie na boki; nerwowe, lecz powolne ruchy, świadczyły jak bardzo się bał, i że od dawna jest w podróży. Nie przypuszczał, że dzisiaj nastąpi kres tej wędrówki.

- A więc zaczęło się – rzekł niepewnie Steinbeck, a później rozpaczliwie pomyślał: „Pierwsza krew rodaka na naszych rękach – a rozum go wnikliwie usprawiedliwiał. – Pierwsza krew zdrajcy na naszych dłoniach”.

- Za daleko na strzał – rzekł tylko do siebie, choć to wiele by im na początku ułatwiło. – Musimy go dogonić, zanim zniknie nam z oczu! – Powiedział stanowczo porucznik, teraz już do wszystkich, i poczuł dziwny dreszcz emocji, zapach nienaturalnego podniecenia, taki niezwykły, smak czegoś, czego jeszcze nie zaznał nigdy w życiu, odor błędnej adrenaliny, choć to uczucie, tak istotnie głębokie, choć również i bolesne, naznaczone miało być krwią.

Zło tkwi w każdym w nas, jest cieniem naszych myśli, chmurą naszych błędnych poczynań, i tylko musimy je w sobie sami odkryć. Ciemność duszy zawsze nas fascynuje i Steinbeck sam zaskoczony był swoim zachowaniem.

- Rozdzielimy się! – Zaczął wydawać rozkazy – wy pójdziecie tu, my tam. Musimy go mieć żywego!

- Ale, po co? – Wtrącił się Steve. – Przecież i tak go zabijemy.

- Dowiemy się, gdzie toczą się walki, i gdzie jest przeciwnik.

- Jak nam powie – odparł John. – Jak się zorientuje, że i tak go zabijemy, nie piśnie ani słowa.

- Zobaczymy! – Prawie krzyknął Steinbeck. – Ruszamy!

Rozdzielili się i pośpiesznie ruszyli we wskazanych kierunkach. Żołnierz prawie zniknął im z oczu, lecz szedł wolno, był zbyt zmęczony ucieczką, jego los został i tak przesądzony. Życie za niego samo zdecydowało. Podjął próbę jego zmiany i przegrał. Jeszcze o tym nie wiedział, nie zorientował się w porę, że marzenia zostały rozdeptane przez brutalną rzeczywistość.

Wells spał się mozolnie, po stromej górskiej ścieżce. Kamienie rozrzucone na drodze, drobne i szorstkie, obsuwały mu się zarówno pod nogami, jak i pod poranionymi rękami. Ból pokrwawionych rąk nie był dla Wellsa problemem, gorzej było z bólem pokrwawionego serca. Ręce kiedyś się zagoją, serce może nigdy. Wspomnienia i wątplenia rzeczy dokonanych, lecz jakże wstydliwych, i myśl, że tak już będzie dalej, zmusiły Wellsa do tego kroku. Nie chciał dłużej patrzeć na spalone wioski i miasta; nie chciał wciąż unikać spojrzeń dorosłych prawie dzieci, patrzących na niego z tępą nienawiścią, z bólem za zabrane dzieciństwo i za zabranych rodziców; a co najistotniejsze, nie mógł dalej zabijać w imię ideałów polityków, ludzi, którzy byli mu tak obcy, niczym deszcz ziemi w porze suchej na sawannie.

Wells spojrzał do góry, niepewnie i błagalnie, prawie dochodził do wierzchołka szczytu, stamtąd tylko musiał zejść na dół i przekroczyć granicę. Wolność była tuż koło niego – prawie w zasięgu jego ręki.

Słońce odbijające się od śniegu, na białych szczytach gór, raziło Wellsa, co jakiś czas. Gdy na nie patrzył, myślał z cichą radością, że jest, choć jedna, jedyna rzecz, czysta i nieskazitelna, na tym kontynencie. Są to właśnie ośnieżone wierzchołki gór: białe, krystalicznie czyste w swej niedostępności, i dumnie leżące w brudzie i błocie tego kraju.

To dodawało mu wiary, że jego serce też kiedyś takie będzie, lecz teraz nie potrafił sobie odpowiedzieć, ile mu zajmie czasu doprowadzenie go do takiego stanu. Czas nie odgrywał żadnej roli, mogło to trwać wieki. Wellsowi chodziło jedynie o to, żeby udało mu się ten stan jakoś osiągnąć. Wolność i czystość serca, stały się dla niego największym wyzwaniem w życiu.

Gdy dochodził do szczytu wzniesienia, zobaczył żołnierza stojącego w lekkim rozkroku, w poświacie migoczącego słońca. Stał dumnie i spokojnie, z bronią wymierzoną w jego głowę.

Wells odwrócił się, chciał uciekać na dół, lecz zmęczenie spowodowało, iż zsunął się tylko po kamieniach, ostrych i cierpkich, kilka metrów wstecz. Lecz tam zobaczył następnych żołnierzy. Strach i przerażenie sparaliżowały jego ruchy. Stał sam w obliczu śmierci i żadna rzecz nie była mu już w stanie nic pomóc. Śmierć zawsze jest samotna, tak jak samotność bywa powolną śmiercią.

Później wszyscy stali na polanie. Steinbeck coś mówił do żołnierza, chciał coś z niego wydobyć, jakieś resztki informacji o ruchach wojsk przeciwnika; lecz ten, kiedy tylko się zorientował, iż tak na pewno go zabiją, przestał prawie mówić.

- Jesteś dezterterem i umrzesz jak dezterter! – Ostro mówił Steinbeck i patrzył śmiało w oczy Wellsa. Czuł władzę i siłę, przez moment był Bogiem.

- Skończmy to, kabaret jest tylko dobry w telewizji, róbcie, co macie robić – rzekł dumnie Wells, i wtedy się zorientował, niespodziewanie dla samego siebie, że nagle przestał bać się śmierci. Zrozumiał, że duma jest jedyną rzeczą, której nie mogą mu w tej chwili zabrać. Każdy kiedyś umrze, on po prostu dzisiaj. Można umrzeć w błocie, czołgając się jak niewolnik, a można też stać w obliczu śmierci wyprostowanym, dumnie patrząc w oczy przeznaczeniu.

Przed Wellsem rysowały się śnieżne szczyty gór, nadpalone żarem Afryki. Na nie zamierzał patrzeć, kiedy ostatnie tchnienie życia urwie się nagle w jego ciele.

„Dobre miejsce żeby odejść. Piękne, zmysłowe i zarazem dumnie niedostępne – pomyślał Wells o szczytach, które miały być ostatnią widokówką jego życia”.

- Masz coś na swoją obronę? – Spytał Steinbeck.

Wells popatrzył na nich z szyderczym uśmiechem. Byli żołnierzami, których bezpośrednio nie dotknęła wojna, nie czuli ciężaru śmierci na swoich barkach. Wiedzieli o niej wiele, lecz tak naprawdę nie rozumieli nic. Łatwość podjęcia decyzji o ludzkiej śmierci spowodowana był tym, że każdy z nich nigdy nie spojrział jej prosto w oczy. Na razie uczyli się zabijać rodaków i nawet tego nie potrafili zrobić dobrze.

- Tak, możecie mnie pocałować w dupę! – Rzekł ostro Wells i popatrzył im wszystkim prosto w oczy, jak wąż przed zabiciem swojej ofiary.

Nie wytrzymali tego spojrzenia, zaczęli spuszczać wzrok ze wstydem. To było ostatnie zwycięstwo Wellsa w tym życiu i dało mu ogromną satysfakcję.

- Jesteście śmieszni, nawet nie potraficie dobrze zabić bezbronnej osoby – prawie zaśmiał im się w oczy Wells. – Mordercy z zasadami. Ja przynajmniej zabijałem wroga, nie jestem z tego dumny, lecz zabijałem nieprzyjaciela. A wy? Co będziecie wspominać?... Zabijacie kolegów! Współczuję wam. Za pół roku sumienie zabije was tak szybko, jak wy mordujecie mnie dzisiaj.

- Wykonać rozkaz! – Rzekł ostro Steinbeck, ze spuszczonym w ziemię wzrokiem. Musiał to szybko zakończyć.

Żołnierze z niechęcią podnieśli karabiny w kierunku Wellsa. Słońce odbijało cichy blask od ciemnej stali. Półcienie kształtowały rzeczywistość światła i mroku.

- Załadować!

Zgrzyt zamków rozniósł się po polanie i uniósł echem w kierunku pobliskich gór.

- Ognia! – Padł ostatni rozkaz, który dla Steinbecka był jak głąz bólu, wrzucony do niewielkiej, prawie bez wody, podniszczonej studni. Już nie był Bogiem, teraz był obrzuconym błotem katem.

- Do zobaczenia w piekle! – Krzyknął Wells i po huku wystrzałów padł na ziemię.

- Zakopać natychmiast! – Rzekł Steinbeck i wrócił do obozu nad rzeką.

W ten wieczór pił, nie chciał za dużo myśleć. Chciał zagłuszyć wycie sumienia.

Oprócz wartowników wszyscy pili. Teraz poczuli, namacalnie sobie uświadomili, jak to będzie dokładnie wyglądać.

Siedzieli przy ognisku, ogień skwierczał pożerając kolejne kawałki spróchniałych pni, a oni tylko w niego tępo patrzyli, i podawali sobie butelkę z rąk do rąk. Dzisiaj nawet hieny nie skowyczały, cały świat zaległ w ciszy nocy. Zimny wieczór zakrapiali żarem alkoholu zapomnienia.

Jak upili się wystarczająco dobrze, i wystarczająco skutecznie, poszli w milczeniu spać. Cieszyli się, że dzisiejszy dzień mają już za sobą. Nie rozmawiali ze sobą wcale, iż zrozumieli, że podczas tej wojny, nie będą mieli sobie za wiele do powiedzenia, a teraz, po tym koszmarным dniu, nie mieli ochoty ze sobą w ogóle rozmawiać.

Przed położeniem się do śpiwora, ostatnią myślą Steinbecka było: „Zobaczmy się Wells w piekle, niestety miałeś rację”.

Alkohol szybko ułożył go do snu. Steinbeck zasnął momentalnie; upite sumienie położyło się w łóżku wraz z nim. Spali razem jak bracia, zmożeni morderczym trudem życia.

Minęło kolejne pół roku, sześć długich miesięcy wyniszczania samego siebie. Spalania w sobie tych rzeczy, które wydały się już dawno wypalone. Chodzili wzdłuż granicy, robili swoją robotę i wracali do przypadkowych obozowisk, skleconych na szybkiego wzdłuż rzeki.

Teraz teren znali znakomicie, wszystkie jego zakamarki i tajemnice. Co jakiś czas wracali do siedziby stacjonujących wojsk, po świeże zapasy żywności. Inni żołnierze patrzyli na nich wilkiem, wiedzieli, kim są i nie chcieli utrzymywać z nimi żadnego kontaktu. W ich oczach widać było pogardę, dziką nienawiść; oni walczyli za kraj, przelewali za ojczyznę krew, a grupa Steinbecka absurdalnie wysysała krew rodaków. Tego nie mogli im wybaczyć, szydercze uśmiechy zabijały szare i coraz bardziej smutne, życie oddziału Steinbecka.

Szybko uciekali z bazy, niczym przepłoszone myszy, nie chcieli się z nikim zadawać i nikt nie chciał zadawać się z nimi.

Niestety pili coraz częściej, zawsze wieczorami. Już nie potrafili zasnąć inaczej. Twarze ludzi rozstrzelanych, przepełnionych panicznym strachem przed śmiercią, lub płaczących i błagających o litość, wciąż pojawiały im się uparcie w snach. W mrocznych marzeniach nocy. Były jak demony wojny, przerażające i budzące uczucie lęku. Nigdy nie znikwały, stały się cieniem ich pleców, rozmazaną chmurą ciągnącą się za oddziałem.

Często kupowali alkohol, zazwyczaj rodzimy bimber od miejscowych, którzy zostali w swoich wioskach. Potem wracali na teren swoich działań i robili swoje. Walczyli o wolność kraju, przy okazji niszcząc własną wolność. Cenę wyznaczył im generał, a oni nieświadomie ją przyjęli. Teraz nie mieli już odwrotu, musieli tkwić w tym bagnie aż do końca i liczyć, że wojna szybko się skończy, a wraz z nią skończą się ich wspomnienia. Mroczne wspomnienia przepełnione płaczem duszy.

Steinbeck i jego ludzie nie mieszały się do walk, choć kilka razy mieli do tego okazję. Prawdziwa wojna była w zasięgu ich wzroku, lecz mieli wyraźne rozkazy unikać potyczek. Od tego byli inni. Więc z boku, niby ukradkiem, przyglądali się jak ich żołnierze zabijają wroga, albo to wróg zabijał ich żołnierzy.

Szacha wojny, z tą różnicą, że tu nie mogło być zwycięzcy.

Zaczęła się pora deszczowa, zazwyczaj trwała od kwietnia do czerwca. Padało, wciąż lało, a wilgoć wżerała się w ich ciała, robiąc większe

spustoszenie niż upał. Obojętność zabijała ich powoli. Obojętność wobec siebie, obojętność wobec cierpienia i obojętność wobec myśli, tak surowo przenikających ich głowy.

Od rana siedzieli pod skalnym gzymsem, który niczym anioł chronił ich przed deszczem. Małe ognisko dawało odrobinę ciepła; sprawiało, że człowiek czuł się godniej i bardziej ludzko.

Steinbeck pociągnął cierpki łyk bimbru. Ostry smak rozpałił całe jego gardło. Popatrzył chłodno na podwładnych. Chciał im coś powiedzieć, dodać jakoś otuchy, ale nie potrafił tego uczynić. Było już za późno na jakiegokolwiek gesty, jakieś oznaki pustej rozpacz i bezowocnej nadziei. Na początku ich kłamał, tłumaczył, że to ich obowiązek i plótł jakieś frazesy o ojczyźnie. Teraz już nie miał siły tego mówić, sam zwątpił w swoje słowa. Były niczym, pustymi wyrazami wychodzącymi z pustych ust.

Nie miał im nic do powiedzenia, całkowicie nic do powiedzenia. Sam nie wierzył w nic, więc dlaczego oni mieliby uwierzyć w cokolwiek. W ich spojrzeniach widział odbicie siebie samego, nieszczęśliwego żołnierza gardzącego sobą, na skraju załamania nerwowego. Pustka zniszczonego kraju wżarła się w ich głowy, stając się pustką zniszczonej duszy. Niebo na zawsze zostało dla nich zamknięte, a piekło powoli gotowało się na przyjęcie ich dusz.

John podszedł do porucznika. Stał na moment, potem kucnął i cicho szepnął:

- Steve widział kolejnego dezertera. Biegł w deszczu w góry. – John zawiesił głos i zaczął dalej mówić. – Co robimy?

- Weź ludzi i róbcie swoje. Ja zostaję.

- Rozkaz – wszyscy wyszli z górskiego zadaszania.

Steinbeck został sam. Nie potrzebowali go, wiedzieli, co mają robić. Nie musiał być świadkiem kolejnego morderstwa, a może po prostu już nie chciał, zresztą wszystko było mu od pewnego czasu całkowicie obojętne. Nawet lepiej gdyby ktoś go zabił, w końcu skończyłby się ten koszmar, ciągnął walka z samym sobą. Duszy z rozumem i rozumu z duszą.

Steinbeck był żołnierzem, czuł się żołnierzem, a w jego oczach zamiast odwagi czaił się strach. Serce wypełnione było bólem i wstrętem wobec samego siebie. Patrząc w małe lusterko widział tylko pogardę, która coraz bardziej widoczna była w jego oczach.

Gdy tak spoglądał w ognisko, a deszcz cicho odbijał krople o górskie występy, poczuł nagle coś lodowatego na szyi. Odwrócił nerwowo głowę, tuż za nim stał obcy człowiek, a jego nóż przyłożony był do gardła Steinbecka.

- Kim jesteś? – Spojrzał na cywila Steinbeck.

- Żołnierzem, jak ty. Lecz w cywilnych ciuchach.
- Czego chcesz? – Steinbeck mówił powoli, jakby ospale, nie bał się śmierci, dla niego mogła być tylko wybawieniem.

- Powinienem cię zabić, wiem, kim jesteś – mówił chłodno dezertier. – Ale nie zrobię tego, stałbym się takim samym łotrem jak ty, czyli niczym, pustym cieniem wojny.

- Uciekasz? – Spytał Steinbeck.

- Nie twoja sprawa. Ale tak. Chcę zapomnieć o tym wszystkim, jak mi się uda. Dla mnie ucieczka jest wyzwoleniem od tego koszmaru.

- Rozumiem.

- Nic nie rozumiesz! Nie uciekam, bo się boję, uciekam, bo przestaję bać się śmierci. Nie chcę być obojętnym na ludzką śmierć, to już ostatni moment żeby to zmienić, za chwilę będzie za późno. Czuję, że coraz bardziej obojętnieję w środku – dezertier mocniej przycisnął nóż do gardła Steinbecka. – Może jednak warto cię zabić, za krew towarzyszy broni? Nie, jednak nie, męcz się z tym do końca życia sam. Ja ci tego nie ułatwię.

Żołnierz powoli zaczął wychodzić z groty. Skradał się jak lampart na polowaniu. Wiedział, że jest tylko zwierzyną, celem do zdobycia dla innych zwierząt w ludzkiej skórze.

- Nie próbuj mnie ścigać, bo następnym razem na pewno cię zabiję.

Żołnierz szybko odwrócił się i wybiegł w długi deszcz Afryki. Zniknął w strugach wody niczym duch, który nigdy nie był rzeczywisty.

Steinbeck zakrył twarz w dłoniach. Nie miał siły istnieć, nie miał odwagi trwać, a co najważniejsze miał dość koszmaru, który zaczął powoli przeistaczać się w codzienność.

Każdy ma taki moment, graniczny słupek jakiegoś dotrwania, po nim, gdy go już przekroczymy, musimy podjąć jakąś decyzję. Albo akceptujemy obojętność losu, albo zrywamy z przeszłością i idziemy w mglistą przyszłość. Przemieszczamy się do przodu pomimo zakazu rozumu.

Steinbeck właśnie stał przy takim słupku: betonowym, chłodnym i lodowato samotnym, i musiał podjąć kolejną decyzję. Są sytuacje, że każda decyzja jest zła, morderczo niebezpieczna, a my musimy wybrać jak najmniejsze zło.

Nagle wstał, zabrał plecak z groty, wziął karabin pod ramię i wyszedł na zewnątrz.

Przestało padać, lodowata tęcza zaiskrzyła na horyzoncie pasma gór. Była objawieniem snu Afryki o lepszym jutrze.

Steinbeck ruszył przed siebie. Bał się spotkania z kolegami z oddziału. Teraz dla nich był przestępcą, choć kwadrans temu był jeszcze przywódcą morderczego zastępu.

Znał doskonale teren, wiedział gdzie będą go szukać w pierwszej kolejności, zanim zorientują się, że postanowił uciec. Z minuty na minutę stawał się zwierzyną, zamiast łowcą.

Szybko zbiegł w szczelinę górską, ta droga była najbezpieczniejsza. Tam będą szukać go na końcu, tak zostali wyszkoleni. Zanurzył się w płaszczu gór i przeciskał konsekwentnie w kierunku pustyni. Wybawienie było o kilka tygodni przed nim; lecz zanim osiągnie cel, będzie musiał pokonać zabójczą pustynię i zmylić zwiadowców swojej drużyny.

Postać mężczyzny spała pod samotnym drzewem na pustyni. Obdarte ubranie, zniszczone buty i zwiotczała twarz mówiły, że długo musiał być w podróży.

Nagle mężczyzna drgnął, usiadł niespodziewanie w amoku półsnu. Zawieszony był przez moment w dwóch światach, balansował na granicy snu i jawy.

Steinbeck popatrzył zmęczonym wzrokiem na otaczający go dookoła piasek. Wyglądał jak żółte morze, poharatane wydmami fal.

Przypomniał sobie o złym śnie, który zamiast leczyć, ranił go potwornie. Przeszłość dopadła go w momencie, w jakim był najbardziej bezbronny, we śnie.

Wyciągnął resztki picia i skromnie się napił. Powoli było widać dno w metalowym pojemniku na wodę.

Od dwóch tygodni wałęsał się po pustyni, według kompasu szedł dobrze, jednak zaczynał powoli tracić wiarę. Woda się kończyła, siły się kończyły i wolność, która jeszcze dobrze się nie zaczęła, też powoli się kończyła, rozbita przez wyniszczające słońce pustyni.

Steinbeck pomyślał, że gdyby tutaj umarł, jako bezimienny żołnierz, nie musiałby się zmagać z przeszłością w przyszłości. Stałby się w końcu wolny, naprawdę bezgranicznie wolny.

I tak nie miał, dokąd wracać; w kraju był dezserterem, rodzina wyparłaby się go na pierwszym procesie w sądzie. Nie miał korzeni, stracił je podejmując tą decyzję. Stał się samotnym wilkiem pustynnym.

Nawet gdyby chciał napisać do rodziców i tak by go nie zrozumieli. Według nich zhańbił rodzinę, zhańbił kraj, a najbardziej zhańbił samego siebie. Stał się wyrzutkiem społeczeństwa.

Zresztą i tak nie miał im nic do powiedzenia. Nie potrafił pisać kłamstw, a nie chciał pisać prawdy. Dlatego, od rozpoczęcia służby w Afryce, nie napisał do nich ani razu. Wysyłanie pustych słów, bez emocji, pocztą polową, nie miało najmniejszego sensu. Oni go nigdy nie rozumieją i on ich nigdy też już nie zrozumie. Dzieliła ich przepaść emocjonalna, a most zrozumienia został dawno zburzony. Wojna wyczyściła go z resztek uczuć, była niczym przypływ morza zgarniający wszystko z plaży, w głąb czeluści dna morskiego.

Pustka, obojętność i śmierć – trzy wyrazy wybite w jego sercu na zawsze, poprzez koszmar ostatnich sześciu miesięcy życia. Wyglądał jak martwa ryba, pływająca w oceanie na szczytach fal.

Steinbeck wstał, powoli jak żółw ruszył przed siebie. Ślady jego stóp zostawiały bezkształtne figury, na piasku, tuż za nim. Szedł własną drogą krzyżową przez pustynię, a krzyż odkupienia znajdował się na końcu horyzontu. Suchy wiatr smagał jego twarz, pomarszczoną i zwiotczałą od upału. Stał się jego jedynym i prawdziwym przyjacielem, który nie chciał go zostawić podczas największej próby życia.

Można kupić duszę i sumienie, można kupić nasze myśli, choć nigdy nie powinny być wystawione na sprzedaż, lecz czy cena, którą nam zaoferują, okaże się miarodajna do bólu, który przyjdzie, kiedy okaże się, że popełniliśmy błąd skażony brakiem cofnięcia czasu.

Wszystko ma swoją cenę, godność także, wszyscy jesteśmy ulegli, serce również; diabeł życia tkwi w każdym z nas i zgodzi się na każdą zapłatę, aby uśpić naszą czujność. Sumienie jest niezniszczalną wartością, której nie możemy nigdy sprzedać, choćby diamenty marzeń otulały nas każdego wieczora do snu.

Sprzedając sumienie, sprzedajemy przyszłość, a jeśli stracimy przyszłość, jesteśmy jak ptak bez skrzydeł, który leci w głąb wąwozu, skrepowany sznurem pragnień.

Można upaść i pokiereszować sobie twarz o kamienie, można upaść i czołgać się pośród błota przed siebie, najważniejszą sprawą jest jednak umieć powstać i śmiało podążać do przodu, pomimo poranionej twarzy i krwi, która rozmazuje nam dalszy kierunek drogi.

SAGA ZWĄTPIENIA

Postanowiłem zostać pisarzem. Nie takim małostkowym opowiadaczem historii, nie takim wielkoszlemowym wirtuozem pióra, lecz pisarzem z prawdziwego zdarzenia.

Nie wiem dokładnie, kiedy, czy to było w dobrym okresie mojego życia, czy raczej piekielnym czasie, szarpiącym nerwami i emocjami, spalonymi na stosie doczesnych problemów, nie wiem dokładnie, kiedy ta myśl zaiskrzyła w moim rozedrganym rozumie, lecz wiem na pewno, że była jak wybuch wulkanu pośród nocy, była jak zgrzyt pioruna w zakrwawione czasem suche drzewo, i była jak eksplozja duszy, syk serca, jak poranne pierwsze piwo po zabójczym wieczorze, po samobójczej śmierci w falach alkoholu.

I zacząłem pisać, na początku powolnie, wręcz ospale, pióro głaskało czystą kartkę moimi myślami; potem szybciej, jakby odrobinę pewniej; a na końcu pisanie było jak szalony galop dzikiego mustanga, do zarysów niedostępnych gór mieniących się na widnokręgu.

Jednak cóż z tego, że tworzyłem, cóż z tego, że przenikałem głową myśli na kartkę, jak tak naprawdę nie miałem nic znaczącego nikomu do powiedzenia. Moje myśli były zbyt wolne, nie nadążały za moim rozumem. Moje intencje, niepodparte odkrywczymi doświadczeniami, były jałowe, liche i słabe, niczym karawana tuż przed dotarciem do oazy pełnej wody, uciekająca przed szybko zbliżającym się zmrokiem.

Miałem trzydzieści lat, wiek ani dobry, ani zły na rozpoczęcie ścieżki twórcy. Niby miałem jakieś doświadczenia, niby kogoś kiedyś kochałem, niby miłość utraciłem, już nawet nie pamiętam z czyjego powodu, w sumie nie ważny powód, strata jest o wiele bardziej boleśnieszka, niby coś wiedziałem o świecie, coś w nim na początku widziałem – lecz teraz wiara i nadzieja została posypana cierpkim popiołem niemocy. Spoglądając wstecz, a zarazem do przodu, widziałem tylko rozpacz ludzi, samotność schowaną za doskonałymi maskami spojrzeń, widziałem gonitwę za przedmiotami mającymi uszczęśliwić nas choćby na chwilę, i zerkając mimochodem na znajome pary, małżeństwa z wyboru, czasami z miłości, która nagle zanikała, nie widziałem szczęścia w ich oczach – w ich źrenicach czaiła się gra dopasowania dusz na chwilę. Mężowie uciekali w alkohol, wymyślając podstępne ucieczki, czarując dawnymi zajęciami w celu oddalenia się od siebie; a kobiety siadały na neta, klikały z rozpaczą w klawiaturę, mając nadzieję na zrozumienie i akceptację swoich pragnień, poprzez suche i ciche granie palcami w klawisze.

To wszystko widziałem, to wszystko czułem, to wszystko obserwowałem, lecz o zgrozo, tego wszystkiego nie mogłem opisać. Myśli gubiły się na zakrętach kartek, a rozum niczym tama, bronił rwącą rzekę myśli, przed brunatnym zgiełkiem historii, dopiero, co zaczynających się.

Byłem pustym, zagubionym twórcą bez przyszłości. A zagubienie, a w zasadzie jego źródło, tkwiło w tym, że będąc samotnym piewcą historii swojego życia, tak naprawdę nie mogłem stać się doskonałym piewcą historii innych żyć. Byłem na to za słaby, byłem na to za młody i byłem na to za stylistycznie nierozgarnięty. I wtedy, kiedy miałem się już poddać, rzucić ze skały marzeń w dół kanionu, postanowiłem coś zmienić.

Postanowiłem zostać pisarzem ambitnym. Takim jest zarazem łatwiej i trudniej. Gdy napiszą bzdury, suche farmazony z urojonymi wizjami, gdy ich myśli wypaczone nocnym czuwaniem przy oknie, przy papierosach stłumionych przy szybie, w końcu okiełzną zeszyty w linie, gdy bezsenne noce i senne czasami dni, przeistoczą się w dziurę ozonową ich umysłów, gdy to wszystko, całość swoich zwiotczących myśli, rozleją na kartki papieru, to wtedy krytycy, zagubieni w szukaniu irracjonalnych idei, odnajdą w tym jakiś sens. Może nie widoczny dla twórcy, lecz jaskrawy dla grafomańskiej analizy ludzi, którzy kiedyś próbowali coś napisać bez powodzenia, a teraz mszczą się uparcie za swoje niedoskonałości na innych, być może pozornie doskonalszych w tej sztuce niż oni, lecz ich złość, brak zrozumienia dla obcych chęci, zniszczy ich kiedyś nieubłagane, poprzez krwiożerczą wątpliwość ich czynów.

I pisałem swoje martwe myśli, i pisałem swoje zwiotczące analizy życia, i pisałem swoje zagubione błyski w mózgu, cóż z tego, skoro znów byłem jak okręt na morzu, który nagle stracił wiatr w żaglach. Stałem na głębinie, wokół pustka błękitnej ciszy, okrywającej drewniany statek niczym mroczna mgła, w nocny księżycowy zmierzch.

Żadna ambitna historia, żadna zmyślona epopeja, żadna koszmarna nowela, nie mogły stać się doskonałością moich rozedrganych poczynañ papierowych. Nie mogły, gdyż brakowało mi warsztatu, nie mogły, gdyż brakowało mi pomysłów, i nie mogły, gdyż mały zasób wcześniej nieprzeczytanych dzieł, wybitnych szaszyków sztuki, przysmażonych ponadczasowością westchnień, nie ukierunkowały mnie należycie na sztukę. Sztukę prawdziwą, sztukę zmieszaną z marzeniami i sztukę, zrozumianą zarówno przez krytyków jak i przez zwykłych ludzi, którzy zobaczą tam odbicie siebie – będzie ona lustrem ich dalszych poczynañ w życiu.

Znów poczułem się przegrany. Lato minęło, spiekotą i ciepłem zakończyło kolejne wakacje, a ja początkujący pisarz, na razie bez rokowań i przyszłości, stałem w tym samym miejscu, punkcie bez przekazu, punkcie bez szansy na jakikolwiek ruch w górę. Nie rozumiałem ludzi, nie rozumiałem siebie i nie rozumiałem, dlaczego w tym niezrozumieniu jestem tak samotny. Nie mogłem pisać rzeczy, które tak dogłębnie obserwowałem, i do tego nie potrafiłem je okiełznać w swojej nie dogłębności.

I wtedy postanowiłem zostać pisarzem komercyjnym. Przygotowałem się do tego doskonale. Swój pokój dobrze oświetliłem lepszym światłem, kupiłem nowe biurko, takie bajeranckie, miało mi dawać lepszą wenę. Nakupowałem kwiatów, ich zapach miał pobudzać moje nowe zmysły – nastawione na luz, szczęście i dobroć, wszechobecne szczęście wśród pojedynczych jednostek.

Skórzany fotel, cały błyszczący, szafirowa lampka na biurku, kwieciste obrazy na murach i niebieski kolor ścian, które z prędkością światła pomalowałem na nowo, to wszystko mi miało pomóc w sztuce pisania o rzeczach łatwych, lekkich i przyjemnych.

Na początku pisało mi się łatwo, płynnie i groteskowo, tak jak łatwo, płynnie i groteskowo pisze się bzdury, które tak naprawdę dotyczą wszystkich, a w zasadzie tak istotnie nie dotyczą nikogo.

Nie było w nich prawdy, choć była w nich nadzieja, nie było w nich wiary, choć pojawiało się światło w mroku, i nie było w nich uczuć, gdyż miłość była płaska, przyjaźń wątpliwa, a rodzina szarpana była skłóconym ciepłem, zbyt nachalnym i zbyt oczywiście kłamliwym.

Po raz kolejny zagubiłem się w historiach bez przyszłości. Były to losy pojedynczego człowieka, czasami ludzi, którzy zagubili się już na początku drogi, w czynach bez większych rokowań. Niby szli, niby coś robili, niby coś udawali, lecz tak naprawdę przegrani byli w samym momencie rozpoczęcia tej wędrówki. Ale wygrywali, musieli wygrywać – przecież byłem pisarzem komercyjnym.

Zacząłem się zmuszać do pisania. Kolor ścian mnie drażnił, obrazy gryzły namolnie, biurko było zbyt drapiące, a fotel skrzypiał w swojej ciszy. Prawdą jest, że jeśli nie mamy już nic do powiedzenia, to, po co udawać, że jeszcze mamy kilka istotnych prawd do rzucenia w tłum ludzi. Byłem jak sucha studnia, z której ktoś kiedyś dawno wypompował wodę w pośpiechu.

Przyjaciel, gdy zauważył moje zagubienie, moje zwątpienie myśli, rzekł do mnie mądrze:

- Jeśli nie potrafisz pisać dobrze, a sprawia ci to przyjemność, to pisz źle, i tak robisz to tylko dla siebie. Odnajdź w tym radość, taką dla siebie, skoro inni nie odnajdują tego w tobie.

- Tak będzie dobrze? – Spytałem.

- Może nie dobrze, ale uczciwiej. Zrozum jedno – twoja pasja nie zawsze będzie pasją innych, twoje szczęście szczęściem innych, a twoje marzenia marzeniami innych. Pisz jak umiesz, a los może kiedyś ci to wynagrodzi.

Miał rację, dobrzy przyjaciele, strażnicy naszych myśli i poczynąń, zawsze mają rację, lecz nie zawsze o niej nam mówią w odpowiednim momencie, czynią to później, dlatego, aby nie ranić nas już na samym starcie. I wtedy zmieniłem całe swoje przewartościowanie.

Postanowiłem zostać pisarzem miłośnym. Niby znałem to uczucie, niby widziałem je, naokoło, lecz patrząc na znane mi małżeństwa z boku, nie widziałem tej miłości w ich oczach.

Kiedyś każde z nich płonęło wielką pochodnią miłości, kiedyś na pewno coś więcej dla siebie znaczyli, lecz to wszystko było kiedyś. Teraz grali nawzajem wobec siebie, grali wobec ludzi, a najgorszą rzeczą jest to, że grali wobec własnych serc, zatrwożonych dziwną sytuacją, że strach przed samotnością jest większy niż strach przed odejściem. Bali się, mieli rację, rzucając się na głębokie fale, zawsze jest prawdopodobieństwo utonięcia i utraty tchu.

Ja zrobiłem inaczej, aby nabrać doświadczenia, postanowiłem się zakochać i opisać to w druzgocącej książce o żarze uczucia, jakiego jeszcze nikt nie zaznał.

Długo szukałem wymarzonej osoby, minęło lato, najlepszy okres na zakochanie się. Wtedy smukłe dziewczyny, nęcąco opalone, kuszą nas swoją gibkością i lekkimi ruchami bioder podczas spacerów. Lato jest najdoskonalsze na rozpoczęcie czegoś niezwykłego, a na pewno niezwykłością jest miłość.

W końcu znalazłem taką osobę: piękna, zmysłowa, czarne kręcone i długie włosy, bajecznie sprężyste nogi i te oczy, szmaragdowe cienie gór Kilimandżaro. Lecz kiedy zacząłem się z nią spotykać, z pewnością poleciała na moje przyszłe dokonania pisarskie, rozumiałem, iż jej piękno mnie zabija. Niszczy w środku. Zrozumiałem też, że będąc tak piękną kobietą, nigdy nie będzie do końca moją kobietą. Inne spojrzenia, prawie dotykające jej piersi, inne zaślinione uśmiechy w nadziei, że kiedyś coś zaiskrzy w złym miejscu dla mnie i w złej godzinie, to wszystko mnie wypalało od środka. Ona uśmiechała się do wszystkich, z tym, że do mnie

najwięcej. Nie chciałem żyć w ciągłym strachu jej utraty, rzuciłem ją i sam byłem zaskoczony tym posunięciem. Ona w sumie więcej, takich kobiet się nie rzuca, to one wbijają ból w serce, jako pierwsze, i odchodzą. Cóż, pomyślałem, będzie miała nowe doświadczenie życiowe. Dar rzucenia wymieszal się u niej z darem porzucenia. Była to chłodna zupa uczuć.

Znalazłem kobietę słabszego kalibru, niby przeciętną, lecz mającą coś w sobie. Za nią nikt się już tak bardzo nie oglądał, mogłem ją mieć na własność. Spacery, kolacje, czułe słowa, w tym byłem dobry, pisząc miałem zdolność łatwego wyrażania myśli, a to z pewnością działa na kobiety. Byłem dla niej kimś – pisarzem o nieokreślonej jeszcze przyszłości.

I zakochała się we mnie, już chciała nawet iść ze mną do łóżka. Była pewna swego uczucia, więc mogła pokonać wstyd i strach, i ulec mi którejs nocy. Kochała i chciała to jakoś wyrazić.

Natomiast ja miałem duży problem. Nie mogłem pisać o miłości, nie będąc zakochanym. Nie można zakochać się na siłę, nie można zmusić serca do miłości, tak jak nie można drwić z uczuć innej osoby, kiedy sami jesteśmy puści w środku.

Więc nie mogłem znów pisać. Oczywiście próbowałem, fantazje, wymyślne story, randki o północy – zupełne fiasko. Nie czułem tego, moje zimne serce usztywniało moje palce podczas pisania. Nie potrafiłem być także takim pisarzem, może nigdy w ogóle nim nie byłem. Słaba wiara, słaby talent, słabe możliwości rozwoju.

Postanowiłem zostać pisarzem wąpiącym i negującym oczywiste prawdy. Nie poddawać się, iść do przodu z podniesioną głową. Zanurzyłem się w swoim świecie urojeń. Podważałem wszystko i wszystkich, wąpiłem w oczywiste prawdy. Chciałem być jakimś guru, wyznawcą nowych, jakże odkrywczych nagle rzeczy. Przeistaczałem fakty, dodawałem własne demoniczne fanaberie, byłem panem życia i śmierci, demonem nowych idei i światów. To ja, wasz prorok, wasze wyznanie przyzwoitości, to ja, wasz wysłannik piekieł! Daję wam ogień, chcąc w zamian wasze dusze i myśli.

Tak się zakręciłem w tych teoriach, że sam zwątpiłem. Stałem na skraju dróg, nie wiedząc, którą wybrać stronę. Obaliłem wszystkie sensowne genезy i zostałem oczyszczony z wiary, nadziei i miłości. Nie miałem nic, najważniejsze rzeczy wyrzuciłem w błoto i zakryłem mokrym mułem.

Czułem się zagubiony w zgiełku świata. Jego chaos stał się moim chaosem. Suche drzewo z postronkiem stało tuż obok, kusząc mnie lekkim kołysaniem liny przez wiatr.

Postanowiłem zostać pisarzem politycznym. Gardziłem politykami, całym tym bagnem, lecz zamierzałem o nich pisać. Tworzyłem wersy o tych wszystkich kłamstwach, które mówią, a tak naprawdę nic dla nich nie znaczą, o tych bolesnych prawdach, które tak z uśmiechem wygłaszają, choć nigdy nie pomyślały, w swych zaropiałych mózgach, o ich zrealizowaniu.

Tak, stałem się ich sumieniem i katem. Pisało mi się dobrze – litery, wyrazy, słowa, całe strony zdań o ich podłym i fałszywym życiu. Podcinałem im gałąź słowami, w nadziei, iż z niej wkrótce spadną. Wydawało mi się, że piszę dobrze, wręcz doskonale.

Jednak po czasie, jakimś dłuższym okresie, gdy przeczytałem to wszystko – załamałem się. To nie były żadne historie, żadne sensowne zdania, lecz o zgrozo, w zeszycie miałem tylko własne uprzedzenia i przywary ludzkie. Nic odkrywczego. Nie lubiłem tych szpiegów w ludzkiej skórze, lecz nie mogłem ich niszczyć swoimi lękami. Byli źli, byli szakalami o ludzkich twarzach, lecz ja nie jestem przecież Bogiem. Kim jestem, żeby ich tak surowo oceniać?

Zrezygnowany sięgnąłem po butelkę, zacząłem pić. Piłem ze zwątpienia, piłem z bólu duszy, piłem z samotności artysty, i piłem, gdyż uświadomiłem sobie, że nigdy już nie będę dobrym pisarzem. Mogę być przeciętny, a to boli i dlatego zacząłem pić.

Najpierw niewiele, dla poprawy nastroju, potem więcej dla udoskonalenia samopoczucia, a później jeszcze więcej, gdyż zdecydowałem, że zostanę innym twórcą.

Postanowiłem zostać pisarzem pijącym. A skoro miałem takim być, więc piłem bez umiaru. Na początku lepsze trunki, później gorsze – w zależności od stanu finansów. Ilu muzyków, pisarzy, aktorów i sław pije? Mogę i ja. Usprawiedliwiałem się w duchu.

Na ironię, kiedy się poddałem, okazało się, że pisanie w fazie całkowitego odurzenia wychodzi mi najlepiej. Pisałem w amoku, siadałem wieczorem z butelką postawioną na biurku i piłem. Równocześnie też oczywiście pisałem. Rano, budząc się na straszliwym kacu, sprawdzałem swoje postępy. Często bywałem zaskoczony wyrazistą kreską w zeszycie. Byłem prawdziwy w tym, co tworzyłem, skrajnie rzeczywisty. Nie kłamałem, nie obiecywałem, do niczego nikogo nie zmuszałem. Pisałem do ludzi takich jak ja: samotnych, zagubionych i tych, którzy pozornie przegrali swoje życie na starcie. Do słabeuszy, którzy odważyli się wierzyć, że można zmienić swoje życie. By wiedzieli, że marzenia to my

– nasze głowy, nasze myśli, nasze czyny. Czyny, które z wątpiących czynią bohaterów; czyny, które z nijakości czynią bryłę złota; i czyny, które realizowane są żeby ugasić pożar losu, aby nie okazał się grobowcem naszej duszy.

Po jakimś czasie zaiskrzyła we mnie myśl niepokojąca, drgająca strzała w moim mózgu. Dlaczego wstając muszę się napić? Czy istotnie wymaga tego moja twórczość? Dlaczego w środku dnia sięgam po kolejne piwo, martwię się niespokojną myślą, że kończy się przedostatnia butelka tego dnia? Po co wieczorem wychodzę na spacer, choć nie lubię błąkać się bez celu po mieście? Przemierzam zakurzone bruki miasta przed zmierzchem nocy, tuptam niespokojnie po krzywych jak mój mózg chodnikach, mijam zakochane pary i samotne staruszki, bojące się wrócić do pustych ścian przeszłości już dawno zamkniętej, a robię to wszystko po to, żeby przejść obok mego dyżurnego sklepu, aby kupić kolejną butelkę wódki i wrócić do mojego mieszkania, by jeszcze raz upić się próbując coś stworzyć; zanim zapomnę o tym dniu, zanim zapomnę o troskach związanych z brakiem talentu, i zanim zapomnę o nie zapomnieniu myśli, coraz bardziej upitych mrocznym zwątpieniem tykającego wolno czasu.

I stało się to, co musiało się stać. Spowodował to alkohol, brak zrealizowanych marzeń i rozbudzone niepotrzebnie ambicje.

Nieświadomie zostałem pisarzem depresyjnym. Nie było mi trudno. Już piłem na całego, nawet nie próbowałem sobie wmawiać jak dawniej, że robię to dla sztuki, dla jeszcze nienapisanych wiecznych dzieł, o nie zgłębieniu i niedostępności ludzkich dusz i serc.

Zaczynałem dzień od picia, zamiast jajecznicy kromka alkoholu zaprawiona wędliną przepity, następnie smutek przechodzący w zwątpienie, znów łyk lunchu setki wódki, coś przekąszałem załamany, że znów nie piszę, nie ryzykuję słowami obcych emocji, przelewanych na papier trzęsącymi się już rękami. I ta wieczna depresja – błędne koło. Pijąc nie piszę, nie piszę, więc muszę się napić. Nie wiadomo, co lepsze? Być pisarzem pijącym, czy pijakiem próbującym coś jeszcze napisać?

Ponieważ stałem się pisarzem depresyjnym i to uczucie było jak płaszcz na plecach podczas deszczu, musiałem też żyć depresyjnie. Chodziłem po zaciemnionych zaułkach miasta, zapomnianych nawet przez ich mieszkańców. Spoglądałem na ruiny, walące się domy, na cegły wiszące na skrawkach krawędzi, tuż przed upadkiem na ziemię, w sumie one też symbolizowały moje aktualne życie, i dopiero wtedy wpadałem we właściwy nastrój.

Knajpy, obskurne bary podające rozcieńczone piwo, ludzie siedzący w nich bez blasku w oczach, wtopieni pustym wzrokiem w ciemność przyszarzałych ścian – to było moje naturalne środowisko. Piłem z nimi, milczałem z nimi, byłem częścią nich, a oni byli częścią mnie. Niektórzy walczyli, niektórzy po wypiciu za dużej ilości alkoholu płakali nad swoim losem – chcieli być inni – szczęśliwsi, piękniejsi i bardziej mocni, po prostu odporni na życie. Nie potrafili tego zrozumieć, że urodzili się słabi – za słabi na alkohol i ciosy. Nie mogli się podnieść – stali się szarymi ćmami barowymi, bez iskry w żrenicach. Gdy coś jest jasne dla wszystkich – najmniej jest jasne dla osób zainteresowanych.

A więc depresja i alkohol to moi źli bracia, a próby pisarskiej niemocy to moja dobra siostra. Pomimo stanów zwątpienia wciąż próbowałem tworzyć zdania w zeszycie. Smutne historie smutnych ludzi – czyli takich nieudaczników jak ja. Gdy inni się poddawali, uciekali w marzenia niezrealizowane i odległe, niczym odległa wyspa na horyzoncie morza, ja uparcie walczyłem. Pijąc pisałem, pisałem pijąc. Wciąż, między jednym a drugim kieliszkiem, lękliwie wierzyłem w swoją gwiazdę. Czułem, że mnie jeszcze nie opuściła, była obok mnie w nocy, gdy pociłem się straszliwie w bólu mego upodlenia, i była tuż koło księżyca, który swoim ciepłem i blaskiem, posyłał mi widoczne znaki, na podpuchnięte coraz bardziej lico.

I wtedy zrozumiałem jedną rzecz, skoro nie mogę pisać o innych napiszę coś o sobie. Nie dziwne historie dziwnych ludzi, lecz prawdziwe historie mojego życia. Stworzę pamiętnik moich zmagania w życiu. Opiszę marzenia, zwątpienia, nałogi, liczne depresje, tematy zaczęte i te niedokończone, walkę z porannym piciem, walkę z wieczornym piciem i boje z popołudniowym piciem. Nakreślę to wszystko tak jak było, bez ogródek, bez tajemnic i bez zbędnych upiększeń. Po prostu życie człowieka, który chciał mieć wszystko: sławę, pieniądze i piękne kobiety, a dostał w zamian ból, samotność i walkę z nałogiem, który mógł być kiedyś motorem i silnikiem jego twórczości. Tak, postanowiłem zrobić ostatnią próbę losu, oddać ostatni strzał, może samobójczy, z pistoletu w mój mózg i w moje ciągle upite myśli. Jeśli ten strzał mnie nie obudzi, nie zmusi do wejrzenia w głąb siebie, pozostanę wiecznie na cmentarzu niezrealizowanych możliwości.

Podjąłem kolejne, a zarazem ostatnie wyzwanie, zostanę pisarzem pamiętnikarskim.

Zacząłem od samego początku, od odległego w czasie punktu, stanu zawieszenia, kiedy to wszystko się we mnie narodziło. Opisałem swoje

życie w taki sposób, jakim naprawdę było, bez upiększeń, bez oceny, bez emocji – całkiem na chłodno. Bez zbędnych analiz mojego upijania się w mroku dnia, bez zbędnych analiz samotności, która okazała się tak dotkliwa emocjonalnie, i bez zbędnych analiz oraz pobudek, dlaczego tak naprawdę zacząłem przelewać na papier moje myśli – być może nikomu niepotrzebne, na biały papier pergaminowo śnieżny.

Szło mi sprawnie, nawet sam byłem zaskoczony płynnością mojego pióra. Do sklepu zachodziłem po picie i jedzenie, jeszcze miałem na to środki po nagłym spadku babci – jedynej dobrej osoby w moim życiu, i wracałem cicho, prawie bezszelestnie, do mojej fortecy myśli. Wręcz wkradałem się do mieszkania jak złodziej, aby nie zbudzić tego nieładu czasu, i nie obudzić, ciągle śpiących w niemej rozterce mebli.

Przez miasto przemykałem z zakupami jak szpieg. Oczywiście miałem spuszczone w chodnik. Starłem się nie rejestrować życia na zewnątrz, wolałem tą ławę, która tkwiła we mnie, wewnętrzną planetę moich wątpliwości. Gdy nie zauważasz życia codziennego, w pewnym momencie i ono przestanie zwracać na ciebie uwagę. Staniesz się cieniem, białą maską pośród kolorowych blasków ludzi, staniesz się zjawą, chłodną zjawą swoich wątpliwych kroków, i staniesz się pustką, materią, której nikt nie śmie spojrzeć w oczy, z prostego i logicznego powodu – pustka u obcych może przypomnieć nam pustkę w nas, taką, jaką schowaliśmy gdzieś głęboko w kieszeni płaszcza naszych niespełnionych celów.

Piłem, pisałem, pisałem, piłem. Najważniejsze, że było widać rezultaty; ogromna ilość kartek powiększała się drastycznie. Sam byłem zdziwiony, że mam tak dużo do powiedzenia o sobie. Zaskoczył mnie nadmiar informacji, które miałem schowane w głowie, a teraz dopiero śmiałem, a może potrafiłem, je jakoś z tej czarnej skrzynki wydobyć. Nigdy nie zdajemy sobie sprawy, jak nasze życie jest ciekawe, kiedy się nad nim tak do końca nie zastanowimy. Musimy tylko znaleźć odpowiedni okręt, najlepiej szybki i masywny, wypłynąć na morze, daleko jak najdalej, i w odpowiednim miejscu, pośród szmaragdowych fal iskających światło, wydobyć czarna skrzynkę naszych doznań, naszych myśli i naszych emocji. Oczyścić ją dokładnie, wyważyć masywny zamek, i gdy zaskrzypi podczas otwierania, z łoskotem otworzy nam swoje podwaliny ciemności, wtedy właśnie śmiało sięgnąć po skarb schowany w środku. Zanurzyć się w nasze myśli, nasze bicie serca i w nasze pragnienia, i jeszcze raz przyglądnąć się naszemu życiu, tak z boku, tak obojętnie, tak niekonwencjonalnie.

Patrząc z dystansem, z chłodem alpinisty wchodzącego na sam szczyt, ujrzymy rzeczy niezwykle – całą naszą wartość niedocenioną przez świat.

I nastąpił taki moment, który musiał nastąpić, nastąpiła taka chwila, że skończyłem pisać historie swojego życia. Mroczną, bo mroczną – ale historię.

Pamiętam dokładnie ten poranek. Była piąta rano, całą noc pisałem, chciałem to wtedy skończyć, zresztą wpadłem w narkotyczny trans pisania, myśli szybko przelewały się na papier, może dlatego, że chciałem pośpiesznie wyjść ze swojego dawnego życia i zacząć nowe, nałożyć kolejny płaszcz przyszłych doznań. Dzień dopiero się obudził, miasto jeszcze spało zmęczone trudem wcześniejszego czasu. Gołębie cicho drzemały na parapetach bloków; lekkie zgrzyty tramwajów informowały, że jeszcze ktoś żyje w tym mieście; chłodny, poranny wiatr płątał się pośród drzew – miasto z rozbudzenia dopiero się otrząsało.

Zamknąłem dość gruby zeszyt. Odetchnąłem z ulgą. „A więc to tak wygląda – pomyślałem. – Całe moje podłe życie, cała moja podła twórczość”.

Otworzyłem butelkę, wiedziałem, że jest dość wcześnie na oblewanie czegoś, co i tak nie ma żadnego zakończenia, a co może stać się dla mnie załącznikiem czegoś nowego i świeżego. Nalałem wódki do zimnej szklanki, wypilem, ciepło rozgrzało niewyspany środek mego wnętrza. Znów nalałem, spojrzałem za okno, słońce coraz wyżej atakowało niebo swoją poświatą. Budził się nowy dzień, może lepszy, przynajmniej dla niektórych. Nowe szanse, nowe nadzieje.

„Czy to dobry moment na picie? Nie ma dobrych momentów na picie, są tylko te zrealizowane i niezrealizowane szybko urwane filmy. Przerwy w czasie, gdy już nic nie czujemy, kiedy nie słyszymy bicia swego serca. Zresztą każdy moment jest dobry żeby napić się za sukces, który prawdopodobnie jest tylko naszym wewnętrznym tryumfem prawdy, nieistotnym dla innych osób otoczonych tylko swoimi iluzjami”.

Napiłem się, postanowiłem pić tylko przez dwa dni i wszystko zmienić. Zostawić ciemny widnokrąg i pójść śmiało ku jasnemu horyzontowi. Ostatnie dwa dni mojego starego życia. Zacznę pracować. Zacznę myśleć i wciąż będę pisał, tak napisałem w ostatnim zdaniu mojego pamiętnika duszy. Gdy myślałem o tych ostatnich zdaniach, ostatniej kartce dawnego życiorysu, czułem ulgę i radość.

Zaznaczyłem ciężkim piórem myśli, że przestanę pić, że dam sobie jeszcze jedną szansę, zacznę pracować, zacznę intensywniej szukać miłości i wciąż będę tworzył, gdyż zdania są dla mnie jak tlen dla nurka. Myśli, które są we mnie, muszą ujrzeć światło dzienne, choćby nie ważne były dla innych, lecz jakże ważne są dla mnie, są szkieletem moralnym

mojej duszy. A więc będę wydobywał je jak górnik z kopalni mojej głowy, obrabiał, i kalkował na białe kartki zeszytu. Dzięki tym czynom odzyskam wiarę w człowieka i dzięki tym zdaniom odzyskam wiarę w siebie. A szacunek przyjdzie z czasem. Spotkam go gdzieś na rozdrożu, będzie stał wesoły i uśmiechnięty z kobietą mojego życia. Trzymając się razem za ręce, łagodnie na mnie spojrzą i poprowadzą do przodu, na przełaj, ku jasności.

Pięłem dwa dni, ostatnie dwa dni picia. Czułem się wolny, w końcu spisałem cały dotychczasowy balast moich możliwości emocjonalnych.

Kiedy tak podpity stałem przy oknie, gdy część życia miałem za sobą, a część dopiero przed, gdy w nieświadomości chciałem zmian, a w życiu tych zmian się obawiałem, gdy wierzyłem, że los się odmieni, a trwożyłem się, że tak może nie być i nigdy to nie nastąpi, kiedy odrzuciłem samotność na bok jak zużyty koc, a jeszcze czułem jej zapach na plecach, kiedy zrozumiałem, że boję się ludzi, a zarazem ich tak łapczywie potrzebuję, gdy uświadomiłem sobie, że pisanie to wieczna rozterka rzeczy nie napisanych i tych już spisanych, gdy zawieszenie emocjonalne zmuszało mnie do poszukiwań miłości, a rozum podpowiadał, że jest jeszcze za wcześnie, i gdy tak stałem, lekko kołysząc się od procentów płynących niczym życiodajna rzeka w mych żyłach, zrozumiałem, że żeby coś zacząć, trzeba umieć coś skończyć, że żeby nastąpił początek musimy umieć zabić koniec, że żeby kogoś pokochać, najpierw trzeba umieć zakochać się w sobie, i że żeby zostać dobrym pisarzem musimy zauważać ludzi, którzy stoją jak my na boczniczy życia. Oni są solą ziemi, oni są blizną po operacji świata, oni swoją bezdomnością atakują życie z dziką zapalczywością i tak naprawdę, mają więcej do powiedzenia innym, niż ci zakochani w sobie, zadufani w amoku swego ego, którzy przedmiotami starają się stworzyć historię swoich pośpiesznych kroków. Dążyliśmy do mieszkania, dążyliśmy do samochodu, dążyliśmy... Jednak nigdy nie dążyliśmy do siebie, na to nie starczyło nam już czasu i chęci. Kiedy uparcie dążymy do jakiś celów, nagle nasze życie przestaje być celem samym w sobie.

Zasnąłem, może to i lepiej, nałóg uśpiłem na kilka godzin. Obudziłem się, nie wiedziałem, co jest prawdą a co fałszem, materialny świat mieszał się z iluzją, sny z dziką determinacją atakowały jawę. Na stole leżały spisane przeze mnie upodlenia mojego losu, krótkie wzloty myślowe i porażki, porażki myśli i czynów, które miały mnie zmieniać, ale jakoś tego nie czytiły.

Wstałem z niechęcią, podszedłem do lodówki, ostre światło zaatakowało moją podpuchniętą twarz. Jasność była ogromna, szybko zamknąłem drzwi, odsapnąłem, i znów otworzyłem. Na półce było, wręcz stało jak strażnik skarbcza, jedno ostatnie piwo. Sięgnąłem po nie ręką i szybko ją cofnąłem.

Minęły dwa dni, ostatnie dwa dni picia. To było postanowienie, to była przysięga, to była zmiana nieodwracalna. Nie mogłem zerwać pieczęci, a raczej plomby na moim sercu.

„Skończyłem z tym, czasami lepiej ostro zamknąć drzwi, wręcz je zatrzasknąć, odwrócić się za siebie i odejść w innym kierunku. Po prostu zacząć coś na nowo, coś, co dopiero się rodzi”.

Usiadłem na krześle. Potworne zmęczenie, potworny ból powolnego powstawania z kolan. Na razie byłem nikim, ani pisarzem, ani człowiekiem, ani istotą. To wszystko miało się zmienić. Czekala mnie mozolna praca, potworny trud dźwigania ciężaru własnej i do tego słabej osobowości.

„Skoro jestem na dnie emocjonalnym, to niech przynajmniej ktoś pośmiej się z mego życia”. Wziąłem to wszystko, co napisałem i ruszyłem na miasto w kierunku redakcji. Było mi wszystko jedno, niech ktoś w końcu powie mi w twarz: „Jesteś nikim, tak jak niczym jest twoja twórczość”. Byłem na to gotowy, ale tylko dlatego, że zauważyłem w sobie wiatr zmian.

Zmieniłem się w środku, z popiołu rodził się diament, czułem to. Czułem, że pasja, choć niedoceniana przez innych, da mi wiarę i siłę, czułem, że znów zacznę lubić siebie, a to spowoduje, że ktoś mnie polubi, a być może pokocha, i czułem, że mam jeszcze tyle do zrobienia w tej wędrówce losu, będę robił rzeczy, które mnie zmieniają na plus, których teraz nie znam, ale one będą, i dzięki nim lepiej poznam siebie, lepiej poznam ludzi i lepiej zrozumiem ten chaos, czyli dziki i obojętny zgiełk świata.

Zostawiłem swoje wypociny w redakcji, czyli rzuciłem swój los na pożarcie innych cieni tego świata i wróciłem do domu.

Byłem zmęczony, na razie byłem tak potwornie zmęczony. Świadczyły o tym moje kroki; gdy ktoś zerkał z boku myślał, że jestem jak mała zabawka, w której kończą się baterie, idzie jeszcze do przodu, lecz coraz wolniej. Inni mnie mijali w pośpiechu, gdzieś szli, mieli cele, dokądś uparcie dążyli, a ja zwalniałem, nie miałem siły iść dalej do przodu. Żywy trup pośród tłumu. Zwolniony kadr w filmie akcji. Niemy krzyk wśród wybuchów wojny. Tak się czułem, jak na zwolnionym filmie, tuż przed zerwaniem taśmy filmowej.

Wróciłem do domu, coś przekąsiłem na szybkiego – stary chleb, dawno zakupiona konserwa i kranówka. Na tyle dzisiaj mnie było stać. Zasnąłem. Znow z zanurzyłem się w kojącą ciemność.

Ktoś natarczywie dobijał się do drzwi. Łomot wyrwał mnie z półsnu. Otworzyłem drzwi. Listonosz z buntem w oczach prawie krzyknął:

- Panie, stoję tu od dziesięciu minut! Krzyczy pan coś przez sen! – Mówił zaciekle.

- O co chodzi? – Westchnąłem w zawieszeniu.

- Mam dla pana list z redakcji.

- Dziękuję – wziąłem i zatrasnąłem drzwi.

Spąłem chyba ze dwa dni, tak przynajmniej się czułem. Byłem głodny, jednak wypoczęty. Spocząłem na krześle, włączyłem radio, cicha muzyka otuliła pokój jakimś dziwnym spokojem. Od razu mnie nastawiła pozytywnie do kolejnego wejścia w życie.

Otworzyłem list. Zacząłem czytać z uwagą trochę rozbiegane litery. Łączyłem słowa, wyrazy, zdania i rejestrowałem je w mózgu. Całość informacji mnie zaskoczyła.

Wydawnictwo postanowiło wydać moje wspomnienia w książce. Oczywiście na ich zasadach. Dobre i to. Napisali coś o szczerości, o prawdziwości, o realności bólu człowieka, że może to być dobry przykład dla innych, jak można z godnością podnosić się z kolan. Pisali coś o stylu, że w miarę dobry, taki inny, trochę brudny, lekko zadufany, lecz w sumie ma jakąś iskrę w sobie. Prosimi żeby zgłosić się do nich na podpisanie umowy.

Wstałem, podszedłem do okna. Deszcz atakował szyby poprzez wiatr. Wciskał krople pomiędzy szczeliny miasta. Lekka mgła zaczepiała się o bloki. Ludzie w pośpiechu uciekali do swoich nor.

A ja, mimo potworności pogody, czułem się dobrze, nawet wyśmienicie.

Kiedy chciałem pisać dobrze, na samym początku, nie umiałem nic wskórać, nie potrafiłem się należycie otworzyć, jakoś mi to nie wychodziło. Może pisałem za mocno, ze zbyt dużym naciskiem, a wiadomo, że pewne rzeczy po prostu się dzieją, nic nie należy robić na siłę. I kiedy zwątpiłem, opisałem tylko swoje plugawe istnienie, nagle okazało się, że rzecz, która dla mnie jest ciemną stroną księżycy, wstydem za kotarą teatru życia, może okazać się moją siłą, drwiną emocji z nie łaskawości losu. Jest ona cenna dla innych, choć dla mnie zawsze była porażką, jednak ktoś docenił całe moje smutne życie.

I tak to chyba jest, pomyślałem w duchu, że sami siebie nie doceniamy, szukamy innych wysp, jakże odległych, choć zamieszkujemy jedną z najpiękniejszych, z najlepszym widokiem na rzeczywistość. Gdy każdy nas czyn, każda nasza część umysłu, skupia się na szukaniu czegoś, zbyt natarczywie atakuje przyszłość, okazuje się, że upór schodzi na manowce. Gubimy się, jak wędrowiec na pustyni i błądzimy w labiryncie życia.

Jednak jak odpuszczamy, poddajemy się huraganowi przyszłości, unosimy się wysoko w obojętności myśli, okłamujemy się wiarą, że musi być lepiej, odmierzamy kolejne kroki po ziemi, i wtedy, w najmniej spodziewanym momencie, ulotnej chwili zagubienia, gdzieś za rogiem, za kotarą smutnych uczuć, ktoś nasz zaczepi, nerwowo szarpnie za rękaw, o coś zapyta, z czegoś zadrwi, poprosi o radę, i właśnie wtedy diametralnie elipsa się zmieni, zadrga ziemia pod stopami, słońce zbyt mocno spali nas w ramiona, nie z bólu, lecz radości, że wiara dostała zapłatę od życia, i właśnie wtedy, gdy nie chcieliśmy nic, dostaniemy tak wiele.

Szukanie tylko wtedy ma sens, gdy nie szukamy naprawdę. Szukanie tylko wtedy ma moc, gdy tej mocy nie potrzebujemy do końca. Szukanie tylko wtedy jest owocne, gdy tych owoców nie szarpiemy na siłę.

Otworzyłem okno. Wiatr zelżał. Jeszcze deszcz zmieniał kierunki w płaszczyźnie chmur, jednak był spokojniejszy, bardziej grał na klawiaturze mgły niż ją szarpał w majestacie chmur.

Wciągnąłem mokre powietrze w płuca, świeże i wilgotne. Skroplona woda ożywczo lizała me wnętrze od środka. Oczyszczała mnie z brudów przeszłości, była jak ogrodnik podlewający swój ogród do życia, po suchej porze egzystencji.

Uśmiechnąłem się, burza się kończyła. Zamknąłem okno, zamknąłem cały mój stary świat za szybą, zamknąłem całego siebie, tego z bezładnej wyspy i wsiadłem do łodzi, lecz nie chciałem odpłynąć z wyspy całkowicie, bo przecież ją kochałem, chciałem tylko zmienić plażę, na bardziej jasną i czystą, to tylko zamierzałem uczynić. Nic poza tym. Nie opuszcza się miejsc, które kochamy, tylko dlatego, że skwierczą nieustającym brudem.

Zatrzasnąłem mocno stary świat, zatrzasnąłem mocno stare, nowe życie. Odwróciłem się do niego plecami i usiadłem przy biurku. Wróciłem do pasji, którą odzyskałem na nowo.

Zacząłem pisać, szybko i płynnie. Nic nie myślałem, zdania same przelewały się na papier. Spisywałem całe moje przysze życie, pewnie także niedoskonałe, ale jakże moje. Pisałem, wciąż pisałem i jeszcze pisałem. Zanurzyłem się w oceanie zdań i liter, moja szalupa słów lekko kołysała się na morzu myśli. Byłem tam sam, całkowicie sam, lecz po

chwili za horyzontem pojawiła się podobna łajba, mała łódeczka, zbliżała się nieubłaganie, pchana małym żaglem w moim kierunku.

Ktoś w niej siedział, chyba kobieta. Poświata światła odbijała jej włosy w lustrze wody. Tak, z pewnością była to kobieta! Jaka piękna! Jaka dumna! Też samotnie płynęła przez czeluści morskie. Może to ona? Może to tylko złudzenie? Nie, chyba nie? A jednak zbliżała się uparcie w moim kierunku, wiatr nie chciał być inny. Może to jednak... mojego życia?

SPOWIEDŹ

Mam trzydzieści pięć lat. Jestem kobietą zawieszoną pomiędzy końcem swojej atrakcyjności, a początkiem bezwolnego przekwitania mojego ciała. Jeszcze jestem atrakcyjna, jeszcze mężczyźni się za mną oglądają, jeszcze potrafię ruchem bioder spowodować, że ich wyobrażenia wznosi się na wyższy poziom nocnego erotyzmu. Tak, faktycznie jeszcze potrafię to uczynić, zostało mi kilka lat względnego wyglądu, kilka lat względnego zadbania i kilka lat zanim stracę całą radość zaglądania w lustro o poranku.

Jednak to nie wygląd jest moim największym zmartwieniem. Martwię się o swoje ciało jak każdy, boli mnie powolne umieranie błysku w moich szmaragdowych oczach; czuję, że zmarszczki na czole coraz bardziej oplatają siecią całe moje lico; nogi z coraz większym bólem utrzymują swoją gibkość i sprężystość; ale tak jak mówię, nie jest to mój główny mankament życia.

Mam trzydzieści pięć lat i jestem w trakcie drugiego rozvodu. To jest mój cierń, to jest moja skaza i to jest moja głębia rozpaczny jutra.

W moim pierwszym mężu zakochałam się w wieku dwudziestu lat, w czasie studiów. Było cudownie, spacer, kolacje, miłość do rana, byliśmy dla siebie stworzeni. Jak się później okazało, stworzeni na krótki okres czasu mojego wyidealizowanego szczęścia.

Ślub wzięliśmy szybko, po roku. Tak bardzo chcieliśmy być wtedy razem. Nic nam nie przeszkadzało. Ani niedokończona nauka, ani brak pieniędzy, ani zgryzota rodziców. Byliśmy ze sobą, na co dzień, w każdej minucie dnia i godziny, to się liczyło, to było ważne, nawet najważniejsze. Cieszyliśmy się każdym dniem jak dzieci. Radość w sercach chcieliśmy rzucić światu w ramiona. Tak się wtedy czułam – zadbaną, zakochaną, i co najważniejsze kochaną.

Czar prysł po sześciu latach. Zaczęliśmy się dorabiać – to nas zgubiło. Późne powroty do domu, coraz mniej czułych pocałunków, coraz mniej rozmów o codzienności i coraz mniej wzajemnej dobroci, tak, na co dzień.

Nie zorientowałam się, nie uchwyciłam w porę tego momentu, tej cienkiej linii, tego skrajnego punktu pomiędzy być a czuć, kiedy nocne igraszki stały się rutyną, która coraz częściej zaglądała do naszej sypialni.

I wtedy, któregoś zimowego poranka, obudziłam się rano, podeszłam do okna, lekki śnieg wirował w dopiero, co budzącym się dniu, szarpał dachy wiatrem swoich poczynąń, i właśnie wtedy coś do mnie dotarło.

„Tak ma dalej wyglądać moje życie? Tak mam się czuć już do końca? Tak mam tracić kolejne dni, które mają coraz mniejszą wartość, każdego dopiero, co rozpoczynającego się poranka? Gdzie wyjątkowość? Gdzie radość budzenia się po długiej nocy? Gdzie to jest? Na pewno nie w tych czterech ścianach”.

Zerknęłam na męża. Spał spokojnie. Obcy człowiek w moim łóżku. Istota, z którą prawie nie rozmawiałam od jakiegoś czasu, a jeśli już to o zakupach, o obiadach i o rzeczach, które tak naprawdę się dla mnie nie liczyły. Nie miałam już mu nic do powiedzenia, a zadając mu jakieś oczywiste pytanie, nie oczekiwałam odpowiedzi, żadnej odpowiedzi. Chciałam tylko zagłuszyć ciszę i pustkę, która była w moim sercu.

Rozwiedliśmy się szybko, on też zrozumiał, że zabrnęliśmy w uliczkę bez powrotu. Też się tak czuł, jednak nie miał odwagi o tym ze mną porozmawiać. Ja mu tylko ułatwiłam decyzję. Nawet nie wiedział, że dzięki mnie dostał szansę zmiany swojego życia – mało która kobieta daje byłemu takie szanse. Ja mu tylko otworzyłam drzwi, a on musiał tylko znaleźć klucz do następnych, może lepszych.

Nie nienawidziłam go za samotność, którą mi podarował w prezencie. Przecież byłam z nim samotna w związku od kilku lat. W sumie lepiej być samotną wtedy, kiedy jestem sama w istocie i wszystko jest jakże jasne, niż być samotną z kimś, który kiedyś był dla nas spełnieniem i całym naszym istnieniem.

A więc z pierwszego związku zapamiętałam najbardziej samotność. Taką do bólu, kiedy uciekałam do kuchni z radością, że mogę czymś zająć rozdygotane ciszą myśli, kiedy on siedział spokojnie, z lekką obawą patrząc w telewizor. Pilot był jego przyjacielem, ja katem jego wygasłych uczuć.

Na początku było mi źle, bardzo źle. Koleżanki powychodziły dawno za mąż. Zostałam sama, całkowicie sama i bezradna. Miałam jeszcze urodę, w końcu dopiero byłam przed trzydziestką.

Nie miałam, z kim wyjść na miasto. Wspólne imprezy par, gdzie przyjaciółki zazdrośnie strzegły swoich mężów, nie kręciły mnie. Marnowałam tam tylko czas, siedziałam jak idiotka, mówiąc coś o pracy, o tym, że wszystko przede mną, i że na pewno kogoś sobie jeszcze znajdę. Nie dodawałam, że z pewnością nie wśród ich znajomych. Tak naprawdę męczyły mnie te imprezy. Drażniło słuchanie, jak to fajnie jest razem jechać na wakacje, razem kupić samochód na raty i razem kupić mężowi nowy garnitur. Mówili coś o przyjaźni, o tym, że musimy się częściej

spotykać, a tak naprawdę mieli swoje życia, swoje szlaki dawno utarte i swoje marzenia, przeważnie materialne.

Ja szłam w innym kierunku, one w innym. Kierunki naszych przyjaciół nie zawsze są naszymi kierunkami, istota tkwi w punkcie odniesienia.

Całe szczęście pracowałam, jako przedstawiciel handlowy. Miałam kontakt z ludźmi, więc szybko znalazłam swój drugi świat. Nie mieliśmy też dziecka, więc nikomu innemu, poza sobą, nie skomplikowałam należycie życia.

Choć miałam uraz do samców, to jeszcze większy uraz miałam do samotności. Nie nadawałam się do życia samemu, nie byłam do tego stworzona. Przerażały mnie powroty do pustych ścian, przerażały mnie samotne wieczorne posiłki, a najbardziej przerażała mnie cisza ścian, które tak naprawdę krzyczały nad moim losem.

Mimo urazu zaczęłam spotykać się z Markiem. Sympatyczny, wesoły mężczyzna, trochę przeciętny, ale o wygląd tu przecież nie chodzi. Wydawał się być domatorem, w sumie dla kobiety to lepiej, nie będzie szlajać się gdzieś z kumplami po barach.

Nie kochałam go, wierzyłam, że kiedyś pokocham, po prostu nie chciałam być sama. Samotność jest darem, kiedy mamy rodzinę, lecz kiedy jesteśmy tak dogłębnie sami, nagle staje się udręką, cichym szelestem kata, który unosi swój topór nad naszą rozdygotaną szyją.

I tak powoli, wręcz na siłę, zaczęłam konsekwentnie się w nim zakochiwać. On mnie chyba kochał, tak to wyglądało z boku, a może był zdeterminowany tak jak ja, bo przecież miał już czterdzieści pięć lat, a czas biologiczny gonił go nieubłaganie.

Szybki ślub, szybkie poczęcie dziecka i szybka decyzja, że muszę zmienić pracę, bo ta ewidentnie niszczyła mój związek. Powroty do domu po dziewiętnastej godzinie, nie zawsze są powrotami szczęśliwymi.

Dziecko było cudowne, taki dar od Boga dla zrozpaczonej kobiety. Było moim niebem, moim światem, moją latarnią w ciemności nocy. Rozbudziło we mnie te wszystkie pokłady emocji, jakie posiada kobieta od samego początku, które drzemią nieświadomie w jej myślach, i czekają na rozbudzenie, do kolejnej walki o szczęście.

Natomiast mój mąż obojętniał na dziecko, z każdym upływającym tykaniem zegara. Nie nadawał się na ojca, ewidentnie nie nadawał się na ojca. Za późno zorientowałam się, że był młodym starcem, istotą bez ikry, bez jakichkolwiek doznań emocjonalnych, i cieniem osoby, która być może kiedyś była inna. Widocznie chciał być tylko z kimś, trochę jak ja, przecież ja też chciałam być z kimś; teraz już wiedziałam, iż lęk przed przyszlą samotnością, zaciemnił mi widnokrąg oczekiwanej nadziei

szczęścia. Dwie osoby bojące się bycia samemu, nigdy nie stworzą udanego związku, gdyż w żadnej z nich nie ma dozgonnej radości życia. Gdyby była ta radość i zakiełkowała w jednym sercu, na pewno potrafiłaby skruszyć okruchy zimnej lawy w drugim. My tego nie mieliśmy i teraz znów zostałam sama.

Fakt, miałam dziecko, bez niego dawno byłabym żywym trupem za życia. Zombie bez twarzy. Dziecko nadawało inny wyraz mojemu smutkowi. Dziecko sprawiało, że budząc się rano miałam siłę oddychać, dziecko sprawiało, że z mniejszym bólem zrywałam się z łóżka, i dziecko sprawiało, że spacerowały były wypoczynkiem, a nie bezwolnym pętaniami się bez celu po mieście.

Miałam trzydzieści pięć lat i ciągle nie wiedziałam, co z moim życiem jest nie tak, a co gorsze, sądziłam, że coś ze mną jest nie tak.

Znalazłam sobie pasję, żeby uciec od złych myśli. Wchodziłam na największy blok na osiedlu, aż na sam dach, siadałam tuż przy samej krawędzi i patrzyłam na miasto. Czasami było zastygłe, lekko chłodne, innym razem pulsowało niczym wulkan przed samą erupcją, a w innym czasie stawało się sennym półwidokiem, cichym pociągiem stojącym na bocznicy czasu.

Nawet nie wiem, kiedy zaczęłam brać ze sobą aparat i robić zdjęcia. Na początku pstrykałam zdjęcia bez emocji, bez jakiegokolwiek planu, po prostu naciskałam migawkę i tyle. Potem to uporządkowałam. Wybrałam trzy miejsca, trzy najważniejsze według mnie punkty aglomeracji. I zaczęłam robić zdjęcia tych trzech miejsc, o różnych godzinach, o różnych porach roku, w różnych warunkach atmosferycznych. Te same miejsca, lecz jakże inne. Rytm miasta zawieszony w przestrzeni i czasie.

Był to rynek, serce miasta z gotyckim kościołem i kawiarenkami wokół.

Była to rzeka z lekko przewieszonym mostem, wiodącym ludzi w metalowych pudełkach do pracy. Szkielet miasta przerzucony przez rwącą wodę.

I był to cmentarz, stary cmentarz żydowski, skrawek ładu zawieszony pomiędzy być a istnieć. Zapomniane miejsce będące fotografią przeszłości ludzkich wspomnień.

Pozornie zdjęcia tych trzech miejsc, takiego mojego prywatnego trójkąta bermudzkiego, były podobne, niczym ksera takiego samego obszaru. Lecz jeśli potrafilibyśmy przyjrzeć im się dokładnie, zajrzeć w ich duszę, to widziało się na każdym z nich z osobna osobliwe rzeczy; zgiełk wiatru podczas deszczu, innym razem ciszę skapaną we mgle; zaś

zerkając wnikliwie, widziało się ludzi pędzących bez celu przed siebie w nadziei, że gonitwa i pęd ma jeszcze jakiś sens. Zmiany pór roku powodowały, że te małe istoty rozróżniały jeszcze jakoś swe zapędy, identyfikowały jakoś swój błędny ruch; bez tych mijających pór roku byłyby niczym, straciłyby cel i kierunek swej podróży; a kołomyje ich losów zlałyby się blaskiem z zaślepionym obłędem świata, utkwiliby nagle i bezwolnie w panice zagubionego gdzieś czasu.

Pasja pomagała mi bardzo, dzięki niej nie myślałam o marności mego istnienia. Jednak po jakimś czasie zauważyłam u siebie niebezpieczną rzecz, zaczęłam zbyt blisko zbliżać się do krawędzi dachu.

Stawałam i patrzyłam tęsknie na dół. Myślałam, co by było gdybym zrobiła o ten jeden krok za dużo? Co by było, gdybym się w końcu odważyła oszukać los? Sama zadecydowała, kiedy to się stanie. Oszukała odejście z tego świata, uczyniła to w innym czasie niż nam jest wyznaczony.

Były to złe myśli, lecz jakże kuszące. Byłabym w końcu wolna, nie musiałabym w ogóle myśleć. A tak bardzo bałam się siebie, a jeszcze bardziej bałam się swoich żrących myśli, które przyczepiły się do mnie niczym zaraźliwa choroba, z którą nie miałam siły już do końca powalczyć.

Powstrzymywało mnie dziecko, miałam dla kogo żyć. Było moim bandażem na zło tego świata. Jednak wciąż z uporem podchodziłam na skraj dachu. Nabierałam powietrza w płuca, zamykałam oczy, byłam w zawieszeniu, stałam na krawędzi życia i śmierci, a potem otwierałam powieki i znów wracałam do pasji. Zdjęcia po takich doznaniach wychodziły mi najlepiej, coś w sobie miały, jakąś moc zwątpienia, cichą chęć przełamania samego siebie.

Zastanawiałam się, że może lepiej byłoby sprzedać mieszkanie i zacząć wszystko od nowa. Przecież ściany nasączone były cieniami wcześniejszych mężów. Widziały uniesienia, widziały obojętność, a na końcu widziały kłótnie. Każdy metr farby był jak krzyż, każda deska parkietu skrzypiała jakimś żarem przeszłości, każdy ruch firanki przypominał mi, że kiedyś było inaczej, boleśniej, ale inaczej. Tak, faktycznie może byłoby lepiej gdybym sprzedała resztkę wspomnień innej osobie. Jak zaczynać nowe życie to tylko od zera, gdyż wspomnienia są jak kolce na drodze, zbyt boleśnie ranią nam stopy podczas podróży.

I wtedy zaczęłam zaglądać do netu. Najpierw rzadko, potem coraz częściej. Zimne wieczory, chłodne poranki i byle jakie środki dnia, zabijały mnie powoli, lecz jakże konsekwentnie. Wbijały nóż obojętności w wąpiące coraz bardziej serce.

Chciałam po prostu zwyczajnie z kimś porozmawiać, a może tylko zrozumieć, czy tylko ja się tak czuję w konkretnej sytuacji, czy może jest to też domena innych osób? Chciałam poczuć, czy ból jednostki może być bólem społeczeństwa.

Zaczęłam klikać w klawisze, klawiatura stała się wymianą moich myśli na ekran; a później, kiedy nabrałam jakiejś wprawy i pewności, że jestem anonimowa w tym wirtualnym świecie, zaczęłam coraz śmielej poruszać się wokół moich uczuć i doznań. Przecież i tak mało prawdopodobne było, że kogoś poznam, nie zobaczę swojego oblicza w oczach innej przerażonej twarzy. Może podobnej do mnie, może nawet takiej samej, identycznego zwierciadła mojej duszy w realu.

Wirtualny świat stał się moim życiem wieczornym. Siadałam, naciskałam przycisk, komputer bezwolnie syczał swoją pieśń zwycięzcy, logowałam się i zmieniałam twarz na bardziej promienną. Ciemne noce nie były tak dotkliwe ze świadomością, że po drugiej stronie chłodnego ekranu jest ktoś, kto być może jest tak samo zagubiony jak ja. Szybko zorientowałam się, że zagubienie i samotność, to dwa główne aspekty tego wirtualnego świata. Później do tego doszły jeszcze kompleksy i chamstwo, ale to było później, zdecydowanie później. Na razie byłam na etapie samotnego zagubienia dusz.

Teraz wiedziałam, że można zacząć coś zmieniać w swoim życiu; net to był tylko iluzjonistyczny świat gry, lecz był to mój pierwszy krok, żeby zaszyły we mnie jakieś zmiany, i żebym w końcu potrafiła się oddalić, choć na metr, od krawędzi przysadzistego dachu bloku.

Mężczyźni, z którymi rozmawiałam byli jacyś dziwni; czasami od razu rzucali propozycję sponsorowaną za coś, co wydawało im się tak łatwe do zdobycia za pomocą pieniędzy. Ciało za dukaty, lub dukaty za ciało. Emocje miały być gratis, dodatek do łóżka w hotelu.

Inni grali, mówili mi to, co chciałam usłyszeć. Na początku, w pierwszej fazie rozmów, byli profesjonalistami, odpowiadali przemyślanie, rozsądnie, z głębszym zastanowieniem. Lecz już po kilku rozmowach, tracili orientację w terenie, nie pamiętali, co opowiadali wcześniej, nadmiar informacji ich otumaniał; byli jak zwierzę złapane w sidła, szarpali się w niewiedzy swoich poczynań. Nie można przecież doskonale grać przez całe życie, gra jest tylko małą częścią naszego doskonałego świata. Częścią złą, częścią skuteczną, lecz także częścią gubiącą, raniącą wszystkich dookoła, a także nas w późniejszym okresie czasu. Zły aktor nigdy nie odnajdzie się w złej grze, choć czasami zła gra idealnie odnajduje się w złym aktorze.

Więc zaczynali nieświadomie kłamać, mówić sprzeczne rzeczy, niebędące nawet małą namiastką ich osobowości. Nie dawałam po sobie poznać, iż gubią się bezpowrotnie w oceanie fałszu, po prostu przestawałam z nimi rozmawiać. Nie chciałam zniżać się do ich poziomu, był zbyt nisko jak dla mnie.

I znów kolejne puste męskie twarze. Kolejna wymiana zdjęć. Kolejny natłok informacji. Kolejne chęci stworzenia idealnego wizerunku, wręcz przeznaczonego dla mnie. Powoli się gubiłam, mój statek uczuć wypływał w coraz dziksze odmęty zakoli wodnych. Łapałam się na tym, że już do końca nie wiedziałam, czy ten facet pracuje tu czy gdzieś indziej, czy ten kolejny lubi podróże, a może to ten drugi. Sama nie wiedziałam, co jest co, i kto do końca jest, kto?

I dojrzałam do tego żeby sobie powiedzieć dość! Stop! Koniec! Jestem na końcu labiryntu zakłopotania, na końcu labiryntu zagubienia i na krawędzi labiryntu uczuć. Dotarło do mnie, że i tak nie poznam wartościowej osoby przez neta, nie mam żadnych szans, a jeśli uda mi się poznać kogoś, to przy moim szczęściu, mojej złej passie życia, będzie to osoba z drugiej części kraju, i właśnie tak skończy się to klikanie porażką. Nie uda mi się nawiązać miłości jeżdżąc kilka godzin w obce mi miejsca i zakątki kraju. Zgubią mnie kilometry, zgubi mnie zmęczenie chłodnego ruchu kół po szynach i zgubi mnie nienawiść do niesprawiedliwości świata.

Całe szczęście córka była dla mnie nadal wsparciem; zerkając w jej szczery uśmiech wiedziałam, że jednak warto żyć, choć krawędź bloku, szczelnie zamykana w ciemnym korytarzu serca, gdzieś we mnie nieświadomie tkwiła. Do końca tak naprawdę nie potrafiłam się od niej uwolnić. Są takie rzeczy w życiu, takie czyny i takie myśli, że nigdy się od nich nie uwolnimy. Będziemy ich skutecznie unikać, obchodzić z czułością niemocy, lecz zawsze wrócą kiedyś, dotkną nas swoim oddechem nagle i czule, i wtedy będziemy wiedzieć, że takie dotyki są nieodwracalne, i przeważnie zawsze nieuniknione. A, że pojawiają się zawsze w nieodpowiednim momencie, to już inna kwestia demagogii czasu.

Zmieniłam diametralnie strategię. Postanowiłam zobaczyć, co czują kobiety takie jak ja. Po rozwodach, po przejściach i po zakolach ciernistych dróg, nasączonych niespełnieniem oczekiwań od życia.

Z premedytacją zaczęłam podszywać się pod faceta, pozmieniałam dane w profilu blogu dyskusyjnego na męczyznę. Wiedziałam, że kobiety będą chętnie ze mną rozmawiać, gdyż będąc kobietą, istotą tak zagubioną

w czasie, miałam wystarczający zasób informacji tego, co oczekują kobiety, czego pragną i jak chciałyby być traktowane.

I tak też się stało. Instynkt mnie nie zwiódł. Mądre, chwytliwe hasło na profilu, szczerość zdań wprowadzających, tak osobliwie działających na kobiety, zaczęły przynosić efekty. Zaczęłam zanurzać się w świat kobiet. Świat fascynujący, świat jakże dla mnie inny, gdyż będąc kobietą, nigdy nie zastanawiałam się tak naprawdę, co mogą czuć inne kobiety; była to dla mnie planeta, na której wbrew pozorom zaczęłam się coraz lepiej odnajdywać. W końcu byłam jedną z nich, choć za parawanem męskiej twarzy.

Zaczynałam zawsze tak samo. Wysyłałam wiadomość, jako mężczyzna i czekałam na możliwie szybką odpowiedź. Niektóre z kobiet odpowiadały, inne nie – jak to w życiu przeważnie bywa. Gesty, słowa wybijane w klawisze plastikowego pudełka, śmiało szły w wirtualną przestrzeń. Teraz po trzech miesiącach życia w sieci, iluzjonistką stałam się nagle i niespodziewanie. Zaakceptowałam ten świat i ten świat też bezbłędnie mnie szybko wchłonął. Może zbyt szybko, może zbyt nagle, a może zbyt pośpiesznie dał mi wolność bez żadnych uwarunkowań. Jednak nieświadomie już tkwił we mnie. Stał się częścią mej duszy i dziką emocją moich zmysłów.

Zaczynałam rozmowę. Krótkie pytania, szybkie odpowiedzi. Musieliśmy poczuć do siebie jakąś więź – choćby pozorną. Budowałam klimat bliskości, wzajemnego zrozumienia i zaufania. Czasami to wystarczało, innym razem nie. Musiałam wtedy bardziej się wysilić. Jednak wieczorny czas, bo wtedy najczęściej rozmawiałam, grał na moją korzyść. Noc sprzyja zwierzeniom, światło księżyca uspokaja nasze rozdygotane myśli, i właśnie wtedy, otwartość staje się nieświadomą domeną naszych kliknięć na klawiaturę.

Zaczęłam dowiadywać się o sobie wiele ciekawych rzeczy. Sama też się otwierałam, lecz jako facet. One czuły, że tkwi we mnie jakaś kobiecość; jednak to mnie, jako „mężczyźnie”, dodawało jeszcze większej atrakcyjności. Kobiecość mężczyzny chętnie jest akceptowana w świecie kobiet, u mężczyzn bywa z tym różnie.

Jedna, chyba Monika, powiedziała mi, że ma dość propozycji niemoralnych, chamskich odzywek, gdyż anonimowość tak naprawdę nikogo nie usprawiedliwia przed robieniem rzeczy aroganckich, wręcz obrzydliwych. Mówiła, że normalnego faceta, takiego, z kim można zwyczajnie porozmawiać, takiego, który mówi coś sensownego, i takiego, który potrafi też słuchać, rzadko można tu spotkać. Nie było to dla mnie

nic odkrywczego, sama to wiedziałam. Zresztą w prawdziwym życiu jest podobnie, sens i facet to dwa różne światy.

Agnieszka, z którą rozmawiałam przez moment, miała czterdzieści lat, powiedziała mi rzecz straszną, bolesną w sumie także dla mnie. „Mam czterdzieści lat. Jestem sama i zaczyna docierać do mnie, że zawsze już tak będzie. Dziwną rzeczą jest myśl, która zaczyna uparcie do mnie przenikać, że nigdy już nie spełnią się moje marzenia”.

Po tym wyznaniu byłam zdruzgotana. Przez kilka dni nie wchodziłam na neta. Miałam uraz. Dziłą obojętność tego, co się koło mnie dzieje. Świat mnie mijał przez te dni, a ja raczej unikałam go też świadomie. Może zawsze tak było, że ciągle stałam gdzieś z boku, unikając nieświadomie nowych doznań i czynów. Nie wiem? Zabolały mnie jej słowa, mogły dokładanie dotyczyć także mnie.

Wróciłam znów w wirtualną sieć. Zrozumiałam, że bez tego świata nie mogę już żyć. Wieczory były takie puste, kiedy siedziałam sama przed telewizorem. Tam się coś działo, może nieświadomie, coś się zaczynało i coś się kończyło.

Poznałam lekarkę, dentystkę, kobietę z dzieckiem, takich tu było pełno; takie czasy, być może tacy faceci, i gdy zaczęłam z nią klikać, poczułam jak oddech samotności powoli zaczyna mnie powoli przenikać.

„Byłaś na wakacjach? Nie. Czemu? Nie jeżdżę. Ale dlaczego? Jeśli mam sama jechać, wolę pracować. To nie jest kwestia pieniędzy. A więc czemu? Boli mnie, gdy patrzę na szczęście innych. Wolę pracować, mam dość samotnych wakacji. Rozumiem...”.

Nauczycielka z okolic mego miasta. Szczera, miła osoba. Trochę przy kości, szybko przesłała mi zdjęcie. Była otwarta, naprawdę miła. Osoby przy ciele, takie korpulentne, mają w sobie jakiś dziwny luz, naturalną radość, lecz także bywają zagubione. Kobieta z dzieckiem, jej związek, a raczej romans ze starszym facetem się nie udał. Nie mógł się udać. Takie związki, szczególnie w latach młodości, to samobójstwo odwleczone w czasie. Rzuciła go, gdy dowiedziała się, że był żonaty. Okłamał ją raz, mógł to robić później i zawsze. Nic od niego nie chciała, ograniczyła mu kontakt z dzieckiem do minimum. Była tak bardzo samotna. Pracowała jak najwięcej, zostawiała sobie tylko czas na spanie i jedzenie. Nie wierzyła już w nic. Poddawała się za życia. Pogrzebała wiarę posypując ją zimnym popiołem rezygnacji.

Jeden przypadek mnie zabił, zniszczył emocjonalnie. Kobieta, w sumie młoda, trzydzieści dwa lata, pracująca w firmie budowlanej, chciała umrzeć, tak bardzo chciała już umrzeć. Nawet dziecko nie dawało jej siły, żeby przełamać złą passę. Popijała, klikała rozpaczliwie w klawiaturę,

dawała sygnały, że jest źle, lecz odzew bywał przeważnie znikomy. Traciła życie bezpowrotnie, chciała po prostu umrzeć. To był jej cel, to była jej karma i to było jej przeznaczenie. Chciała tylko po prostu umrzeć, zakończyć szybko swoje liche życie.

Rozmawiałam z nią, chciałam jej jakoś pomóc, wesprzeć emocjonalnie. Niestety nie potrafiłam jej pomóc, nagle zniknęła mi z oczu. Może podjęła decyzję, może miała dość mojej litości? Nie wiem. Ja jej chciałam tylko pomóc. Nie odwraca się człowiek od rannej osoby na ulicy tylko dlatego, że może sobie pobrudzić ręce. Tu było podobnie. Kobieta krwawiła, obficie zraniona leżała w kałuży krwi, a ja nie mogłam jej w żaden sposób pomóc.

To, co mnie przerażało w świecie kobiet, to nieustająca i wszechobecna samotność. Była jak dżuma, zabierała ze sobą na drugą stronę całe wioski. Teraz wiedziałam, co czują kobiety, nie byłam odosobniona w swoich doznaniach. Też tak się czułam momentami, jednak nie chciałam, z całą pewnością, czuć się tak przez całe życie.

Dyskutując z kobietami poczułam z nimi jakąś bliskość. Rozbudziły we mnie dziwne żądze, emocjonalne zauroczenie. Z facetami wciąż nie mogłam się dogadać, stwierdziłam, że może są we mnie pokłady głęboko schowanej miłości kobiecej. Przestraszyłam się tej myśli. Była nagła i niespodziewana. Musiałam się z nią oswajać kilka dni. Przecież mogę tylko spróbować umówić się z kobietą, nie muszę z nią zaraz iść do łóżka. Po prostu zobaczyć jak to jest. Życie to wieczna udręka rzeczy, które moglibyśmy zrobić, a które zrobimy bez względu na konsekwencje.

Może to, że nie spotkałam idealnego mężczyzny, może zbyt bolesna samotność, szczególnie w nocy, a może chęć poznania dogłębnie samej siebie, spowodowała, że umówiłam się z inną kobietą.

Pisała, że jest ładna, wręcz atrakcyjna, trochę samotna, lecz znalazła lekarstwo na tą przypadłość. Dużo zajęć, dużo wyzwań i wtedy odmowy znajomych tak bardzo już jej nie raniły. Zapełnienie czasu, zapełnianie chwil. Też chciała coś zmienić w swoim życiu; odniosłam wrażenie, że też się wahała, lecz chciała spróbować czegoś nowego. Znaleźć w innej kobiecie to, czego tak bezskutecznie szukała u mężczyzny. Przyjaźni i zaufania.

Chodziłam niespokojnie cały tydzień. Pętałam się z miejsca na miejsce. Już sama myśl spotkania się z inną kobietą, w inny sposób niż z przyjaciółką, budziła we mnie dreszcz emocji; moje nerwy arogancko szarpały myśli z podniecenia. W końcu czułam, że żyję. Tak bardzo potrzebowałam jakichkolwiek zmian, musiałam w końcu obudzić serce do

życia. Na razie było skamieniałe, zastygłe w czasie, spało niczym przysadzisty głaz, na krawędzi zapomnianego kanionu zobojętnienia.

Umówiłam się z nią w niedzielę. Dałam sobie tydzień na oswojenie się i zaakceptowanie mego zdeterminowanego ruchu. Takie posunięcie jak w szachach, ruszamy królem do przodu, wiedząc, że zwiększamy zdecydowanie zagrożenie przegranej.

W sobotę zorientowałam się, że przez tych kilka ostatnich dni, złe myśli pierzchły gdzieś w przestworza. Zapomniałam o pasji fotografowania, zapomniałam o krawędzi bloku i zapomniałam o samotności. Już sama myśl spotkania uskrzydlała mnie do życia. Byłam jak ptak, który nagle zerwał się do lotu. Ruszał swobodnie skrzydłami, lecąc z dziką radością w kierunku rozżarzonego ciepłem słońca.

Nieważne jak wyjdzie spotkanie, nieważne czy to jest to, czego dokładnie szukam w życiu, nieważne czy kiedyś skończę z nią w łóżku, istota tkwiła gdzie indziej, zdecydowanie gdzie indziej.

Dzięki niej, choć jeszcze jej nie poznałam w realu, net przecież mógł kłamać, oszukiwać każdego z zawziętością głodnego wilka, więc dzięki niej zrozumiałam, że moje serce jeszcze żyje. Jeszcze potrafi coś czuć, jeszcze nie wyzbyło się resztek uczuć do innego człowieka, tak, to było najistotniejsze w tym wszystkim, w całej płochości mego małego świata; jeszcze potrafiłam wydobyć z siebie miłość, gdzieś we mnie tkwiła, a myślałam, że dawno umarła i zgubiłam ją gdzieś poprzez kolejne katastrofalne związki. Ta myśl, niczym żar w palenisku, uskrzydlała mnie przez cały tydzień. Potrafię jeszcze kogoś pokochać! Byłam na to gotowa!

Po tak długim czasie, po okresach zwątpienia, licznych załamaniach nerwowych, myślach samobójczych, po żalu do Boga, że mnie stworzył, że skazał mnie na ciągłe porażki emocjonalne, po dotarciu do mnie myśli, złych myśli, że nie ma idealnych mężczyzn, zresztą kobiet też, gdy uciekałam w pasję żeby zapomnieć o bólu samotności, gdy zabijałam czas organizując sobie coraz większą ilość zajęć, lepszych lub gorszych, po tym wszystkim zrozumiałam, prawie wyśniłam to sobie podświadomie, że jeszcze umiem kochać, jeszcze potrafię kogoś obdarzyć swoją miłością! Nie jestem głazem bez przyszłości, nie jestem mumią emocjonalną, jestem kobietą gotową na nową miłość! Ta myśl mnie wskrzesiła oczyszczając zmysły.

W dzień randki, jeśli można w ogóle nazwać to randką, byłam niespokojna, jakoś rozedrgana emocjonalnie.

Dzień zapowiadał się wyśmienicie. Ciepłe powietrze nad miastem, lekkie pojedyncze chmury szarpane stłamszonym wiatrem, dużo jasnego oddechu miasta wokół mnie, niedzielna cisza skazująca miasto na sen odpoczynku po zbyt ruchliwym tygodniu, to wszystko było idealne, wręcz zbyt idealne jak dla mnie.

Ubrałam się najlepiej jak potrafiłam. Sukienka wyszczuplała mą figurę, przecież jeszcze byłam zgrabna. Bardzo o to dbałam, żeby mieć, jako taką figurę. Oczywiście sukienka czarna, taka sexy – w czarnym kolorze zawsze czułam się dobrze. Czarne buty na obcasie, nogi cierpią, ale efekt zawsze murowany; delikatny uśmiech poćwiczyłam przed lustrem, tuż przed samym wyjściem, kiedyś zawsze działał piorunująco; mała torebka i w drogę, naprzód naprzeciw swoim marzeniom.

Mała przytulna kawiarenka na rynku miasta, tam mieliśmy się spotkać. Pojechałam autobusem, siedziałam w trakcie drogi jak uczennica, tuż przed samym egzaminem. Trochę spięta, trochę podekscytowana, a tak naprawdę ciekawa, co przyniesie przyszłość. Obawę zepchałam na drugi plan.

W końcu wysiadłam, słońce zaatakowało mnie żarem z całą zawziętością lata. Zawahałam się. Może zawrócę, pomyślałam. Nie, nie mogę. Za dużo wysiłku i odwagi kosztowało mnie samo wyjście z domu. A cały tydzień niepewności? Nie, nie teraz. Nie mogę zwątpić już na samym starcie. Może to będzie tylko zwykła rozmowa? A może coś więcej? Całkiem możliwe, że całe spotkanie stanie się kompletną pomyłką zdarzeń, myśli i czynów. Czas pokaże. Śmiało ruszyłam do przodu. Gwar miasta zaczął mnie wchłaniać w swoje sidła, godzina czternasta, czyli wszyscy po niedzielnym obiadku.

Dawniej, gdy samotnie spacerowałam przez miasto, tuż po pierwszym rozwodzie, bywałam smutna, gdy patrzyłam na szczęście innych. Zakochane pary, zagubione pary, obojętne pary, zbyt długie pary małżeńskie, ale jednak pary. Razem na dobre i złe. A ja sama. Samotny człowiek w tłumie obojętności innych. Zranione serce nikomu nie potrzebne w danym lśnieniu chwili. Tak się czułam. Dzisiaj było inaczej, miałam cel, do którego dążyłam. Miałam gdzie iść, miałam dokąd pójść, i być może miałam, z kim naprawdę porozmawiać. Ale to było na razie, tylko być może.

Przedarłam się przez grupę turystów. Byli tacy jak wszystkie typowe grupy turystów na świecie – głośni, podekscytowani i pewni w stadzie. Błysk fleszy był zawsze ich domeną. Chwila zatrzymana w czasie poprzez szklany obiektyw. Namiastka szczęścia dla znajomych.

Zobaczyłam kawiarenkę i Małgosię, bo tak się nazywała. Siedziała tuż przy oknie, przy samych drzwiach. Miejsce było strategiczne, zawsze można było łatwo wyjść, gdy zajdzie taka potrzeba. Pogranicze dwóch światów, tego na zewnątrz i tego wewnątrz. Nie wiadomo nigdy, który lepszy. Takie zawieszenie czasu i myśli.

Faktycznie była ładna, dziwne... takie kobiety z łatwością znajdują sobie mężczyzn. Chyba, że w świecie mężczyzn nie ma już takich celów, które zmuszały nas do dalszych poszukiwań i wyzwań.

Zaczęłam zbliżać się stanowczo. Przesadnie kręciłam biodrami, chciałam zrobić dobre wejście i jak najlepsze wrażenie. Pierwsze wrażenie zawsze jest istotne, tego nauczyłam się kiedyś, kiedy jeszcze potrafiłam zdobywać mężczyzn urodą.

Jeszcze ulica, i będę tuż koło niej. Świat nabierze innego wymiaru, a gesty zmienią się w coś, co nabierze odmiennego stanu mojej świadomości.

Byłam jak w amoku. Zawiesiłam się przez chwilę w ekscytacji. Jeszcze ulica, jeszcze kilka kroków i coś się zacznie. Nie ważne, co, ale coś się w końcu zacznie dzieć w moim życiu. Do tej pory byłam uśpiona, obojętna, zagubiona. Najgorsza jest uśpiona obojętność. Lecz jeszcze gorsza od obojętności jest nicość. Nic się nie dzieje, nic się nie toczy i tak naprawdę nic się już nie zdarzy. Ludzkość o nas zapomniała, a świat odwrócił się od nas plecami. Nic – najgorsze słowo świata.

Ale teraz to się zmieni. Znowu rozwinę skrzydła, znowu zacznę latać między chmurami, znowu będę miała odwagę odbić się jak ptak do lotu, ku górze, ku niebu, ku lepszym wiatrom i prądom, a złamana gałąź, na której do tej pory tak uparcie siedziałam, uwolni mnie ze swych szponów. Będę wolna i tylko ode mnie będzie zależało, co z tą wolnością uczynię. Znowu – słowo niosące w sobie tyle nadziei i wiary.

Nagle zerknęłam obok, na inny, jakże dla mnie obcy stolik. Siedział tam Adam, sąsiad mieszkający tuż obok mnie. Pił spokojnie kawę, patrzył obojętnie na świat, na życie, które spokojnie toczyło się przed jego oczami. Bił z jego spojrzenia jakiś dziwny spokój, smutek wymieszany z akceptacją tego, co się wokół niego działo.

Zawsze się kłaniał, zawsze uśmiechał zachęcająco, jednak nigdy nie miał odwagi do mnie zagadać. Chyba był nieśmiały, wiele jest takich osób. Właśnie im najtrudniej jest znaleźć miłość, choć to oni często są tymi, którzy na to uczucie najbardziej zasługują. Odniosłam wrażenie, może mylnie, że trochę się we mnie podkochiwał. Był przystojny, w jego oczach czuło się bezpieczeństwo i łagodność, tacy mężczyźni wieczorami są inni, zdecydowanie inni. Miałam kiedyś takiego chłopaka. Jego dzienny spokój

znikał po zmierzchu. Był innym człowiekiem. Nasze życie nocne wtedy znacznie zyskiwało. Potrafił uwolnić się z kajdan charakteru i sprawić, że kobieta poznawała prawdziwe znaczenie słowa zaspokojenie. Ale to było kiedyś, tak dawno temu.

Co on tutaj robił? Może jakieś przeznaczenie? Ślepy los dający mi znak w chaosie moich poczynań. A może przypadek? Nie! Nic w życiu nie dzieje się przypadkowo! A już na pewno uczucie nie jest równo ułożoną kartą przez kolejnego gracza.

Zrobiłam krok do przodu. Krok nieprzemyślany, krok niepewny i jak się szybko okazało, krok zgubny. Kolejny zgubny krok w moim życiu.

Pisk opon, chłodne i zimne krzyki ludzi, ból, który zniewalał myśli, i arktyczne bicie serca, które było ostatnim moim logicznym odruchem tego momentu. Tak, z tego zachwiania świadomości najbardziej zapamiętałam arktyczny chłód, który i tak pewnie miałam w sercu, oraz strach, paraliżujący strach, że tak się to wszystko nagle skończy. Będzie nicość, będzie pustka i będzie niezgłębiona ciemność. Chłodna ciemność moich powiek. Noc, która teraz na zawsze będzie moim dniem.

Potem już nic nie pamiętałam. Ktoś urwał mój krótki film, całość moich zdarzeń tak brutalnie została zerwana przez obcą siłę.

Obudziłam się nagle. Niespodziewanie dla mnie samej. Krótkie epizody z przeszłości, krótkie wzmianki moich wspomnień, kim byłam, kim jestem, i co tak naprawdę się zdarzyło. Świadomość wracała powoli. Jednak konsekwentnie powracała, niczym bociany spragnione swoich rodzinnych stron.

Dziwne aparaty tykały miarowo wokół mnie. Stałam się robotem, ktoś za mnie kierował moim istnieniem. Samoistnie pociągał za sznurki mojej podupadłej jaźni.

Córka była obok. Sześćioletnie szczęście uśmiechało się do pogodnie mnie. Koło niej stał Adam; spokojnie, jednak z troską, głaskał moją twarz spojrzeniem. Co on tu robi? Jak córka, całkiem sama, przetrwała ten ciężki okres? Żyję, a więc jeszcze mam jakąś szansę odmienić swoją przyszłość.

- Mamo! – Prawie zapłakała córka. – Wracaj do zdrowia. Bez ciebie tak trudno żyć – Była już dorosła, przedwcześnie dojrzała. Rozwód, brak ojca, zmusił ją do wczesnej dorosłości.

- Postaram się – lekko jęknęłam, prawie charcząc głosem z tamtego świata.

- Mamo! – Córka przytuliła się w płaczu, do mego sponiewieranego ciała.

- Już dobrze – rozplakałam się. – Teraz będzie dobrze, obiecuję – łzy uzmysłowiły mi, jak wiele mogłam stracić. Jak wielki chciałam popełnić

błąd. Myślałam tylko o sobie, najgorsza rzecz dla matki, myśleć tylko o sobie.

Najpierw złe myśli, krawędź zbyt blisko. Ile w tym było egoizmu. Co by było, gdybym to zrobiła? Kto by się zajął moją córką? Chciałam zapomnieć, ale nigdy w ten sposób! Potem ta kobieta, co mnie podkusiło na to spotkanie? Nawet gdyby coś z tego było, to co z córką? Jak zaakceptowałaby świat, tak dla niej obcy i odmienny? Same złe wybory, same złe decyzje.

Domeną trudnych chwil są ciągle, nieustające w głupocie, złe decyzje. Z obawy przed światem, który nas może w przyszłości czeka, ryzykujemy sercem, raniąc nieświadomie rozum i wiarę.

Spojrzałam na Adama. Uśmiechał się z troską. Nic nie mówił, zresztą, co było do powiedzenia.

Córka wyczuła moje spojrzenie.

- Pan Adam się mną zaopiekował. Pomógł mi. Nie było cię wśród nas przez kilka dni.

- Ile? – wątpiaco spytałam córkę.

- Sześć, sześć długich dni mamó.

- Dziękuję – znów płakałam nieświadomie. Lecz były to łzy oczyszczenia. Uwalniały mnie z tamtego świata. Znaczyły drogę, niczym rzeka w swoim korycie, ścieżkę do lepszego świata.

I tak stali, córka i Adam, koło siebie, niczym ojciec i jego dziecko. Obcy mężczyzna, a jednak tak bliski.

Czemu wcześniej tego nie widziałam? Co mnie zaślepiło? Straciłam przez moment siebie, założyłam ciemny kaptur na głowę i czekałam na wyrok od życia. Los był katem, czekającym na swoją ofiarę bez żadnego zniecierpliwienia. Tak, najgorszą rzeczą, jaka nas może spotkać na środku drogi, to zwątpienie, utrata wiary we własne siły. Ono kurczy nasze poczynania z dzikim chłodem obojętności, ono zabija wiarę z żelazną konsekwencją, ono miażdży nasze myśli już na starcie i ono każdy nasz czyn rzuca wysoko w górę, ku bezkształtnym piorunom, i czeka aż ten ból zwątpienia spadnie, i z zapalcząwą obojętnością rozbije się w niemocy, o wystający skalisty brzeg morza.

A córka z Adamem stała, biło z nich jakieś wzajemne ciepło. Sześć dni, sześć długich dni mojej nieobecności, a oni już się zaprzyjaźnili. A mój prawie były mąż, nie potrafił dotrzeć do niej przez kilka lat. Ona się uśmiechała, on się uśmiechał, a ich uśmiech bezwolnie stawał się moim uśmiechem. Stanowili jedną całość dopiero, co rodzącej się wiary, że moje życie w końcu wkroczyło w inny wymiar. Lepszy wymiar rodzącej się nowej egzystencji.

Dwa posagi, dwa dopiero, co połączone światy, zapraszały mnie do wspólnej wyspy na morzu. Ja dopływałam tam dopiero swoją łodzią, z dalekiej i jakże odległej krainy zapomnienia. A oni stali i wciąż uśmiechali się do mnie. Ja milczałam przepełniona szczęściem.

OSTATECZNOŚĆ

Pstrykałem niespokojnie pilotem. Kanał lewy, kanał prawy i tak w kółko. W sumie obłąd. Nie pamiętam, od kiedy tak robiłem, w sumie mogę stanowczo stwierdzić, że od zawsze. Telewizor i pilot ciągle były obecne w moim domu, były namiastką świata, którego nigdy do końca nie poznałem, były namiastką wiedzy, której nigdy w sumie nie posiadałem, i były źródłem informacji, która mnie zniewalała, pętała moje myśli i powodowała, że natłok informacji stawał się cichym bełkotem nienawiści do świata. A tak naprawdę telewizor był prywatnym psychologiem ludzkich serc, które nieświadomie tykały w rytm jego kanałów.

Mnie też to dotknęło. Siedziałem jak głupek, pstrykałem jak głupek i coś niby przyswajałem jak głupek. Przenikała mnie nienawiść, ogarniała mnie głupota i otumaniała mnie pustka, która w kolorowy sposób kierowała moimi myślami i schematycznymi poczynaniami.

Podawano nam na tacy inny świat, telenowełe z baśniowymi puentami, serialowe miłości, które nigdy nas nie spotkają w martwym życiu miasta, i zgiełk polityki, nachalnie kłamiący nas każdego dnia.

A ja siedziałem, spoglądałem chłodno w ekran, i w cichości płaczu duszy łudziłem się, że w końcu się obudzę. Powiem w końcu dość! Krzyknę światu prosto w oczy, dość! Wstanę, wyrzucę pudło za balkon, odwrócę się plecami i spokojnie wrócę do pokoju. Do ciszy, do pustki, do samego siebie.

Chciałem tak zrobić, uczynić pierwszy gest, żeby w końcu się obudzić. Aby zegar świata zatrzymał się na moment przez bunt jednego małego trybiku. Nigdy tak nie uczyniłem, choć bardzo tego pragnąłem, nigdy nie odważyłem się tego uczynić, choć miałem do tego pełne prawo, i nigdy nie przestawałem o tym myśleć, był to jakiś mój wewnętrzny obowiązek, musztra myśli, jak wydobyć mój skowyt na zewnątrz. Uwolnić duszę z kajdan obojętności.

I w końcu stało się, zmieniłem strategię. Jeśli nie potrafię zrobić małego, pierwszego kroku, ponieważ czuję paraliżujący strach i dziką niemoc, ominę ten mały schodek, i zrobię duży krok, zupełnie inaczej uczynię. Rzucę się od razu na głęboką wodę z zapalczywą świadomością, iż zapewne utonę, muszę utonąć, gdyż nie umiem tak naprawdę pływać, zanurzę się na dno, chaotycznie machając rękami. Cóż, niech i tak będzie.

Kiedy odwaga jest za mała, i boimy się porzucić kajdany niemocy, warto zeskoczyć od razu w przepaść, w nadziei, iż tych kilka chwil wolności, może nic nie zmieni, lecz przez ten krótki moment, szybkie

zawieszenie czasu, doznamy tego, czego inni nie zaznają nigdy, prawdziwej wolności przepełnionej szczęściem. Przegranej wolności, ale jednak wolności. Krótkiej wolności, ale jednak wolności. Dzikiej swobody czasu, że w końcu coś ma jakieś znaczenie i wyrazisty wymiar.

Wolność to chęć wydobywania z siebie tego, o czym inni boją się w ogóle myśleć.

Wolność to smak wiatru, który hula nam bezszelestnie w płucach. I wolność to my, milczący ludzie, chcący wykrzyczeć swoje marzenia przeznaczeniu.

Wstałem, podszedłem do lodówki, wyciągnąłem oszronione piwo i usiadłem koło kojącego okna. Telewizor milczał, w końcu zamknął swoją krzykliwą twarz. Piłem spokojnie, z jakimś majestatem, w końcu to była jedna z niewielu czynności, która miała w tej chwili dla mnie jakieś sensowne znaczenie. Kochałem te małe chwile zawieszenia, kiedy świat zamierał we mnie w środku.

„Skoro sami nie możemy być niezwykli, to przynajmniej nasze życie uczynimy niezwykłym – pomyślałem”.

Wypiłem kolejny łyk. Zimny płyn zamroził mnie na moment w środku, oszronił skowyt duszy, zawiesił myśli w chłodzie płynu.

„Martwi mnie wszechobecne zło we mnie, ale jeszcze bardziej martwi mnie dobro, którego nie potrafię należycie wykorzystać – wciąż myślałem uparcie”.

Sam nie wiem, czemu, ale alkohol wydobywał ze mnie najlepsze odruchy, najdoskonalsze reakcje budziły się w moim mózgu, pierwotne czyny rozbudzały się z zamrożonego snu. Pijąc stawałem się lepszy, doskonalszy na mały moment życia. Idealne myśli wydobywały się z nieidealnego faceta po trzydziestce.

Pijąc stawałem się refleksyjny, zdania same wychodziły ze środka. Hibernowałem się wewnątrz i pisałem zdania w sercu na hieroglifie zmysłów.

„Każdy kolejny dzień niesie w sobie wyjątkowość nieprzeżytych jeszcze chwil”. – Moja wielka chwila nadchodziła, zbliżała się nieubłagane. Podjęta z odwagą decyzja, miała przeistoczyć się w nieskażony moment prawdy.

„Nie żyję po to żeby podobać się ludziom, lecz tylko po to, żeby jak najbardziej zbliżyć się do wysuniętego cyplu szczęścia, do którego tak naprawdę nigdy nie uda mi się dopłynąć. Ale uparcie wciąż płynę, szarpie się w niemocy z przeciwnymi falami”. – Oj tak, nie spodoba mi się wielu ludziom, po tym, co zrobię.

„Sny są jak marzenia, tylko zawieszone w czasie”. – Myślę, że to, co się stanie, będzie jednym wielkim snem, snem skazanego na rychłą zagładę.

„Samotność jest powolnym konaniem duszy”. – Gdy to uczynię będę sam, samotny pośród niezrozumienia innych; zresztą i tak byłem sam, choć obracałem się pośród ludzi. Podobno w chwilach prób zawsze jesteśmy sami, w chwilach zwątpienia ciągle jesteśmy sami, a w chwilach porażek boleśnie jesteśmy sami.

„Życie to doskonała namiastka marzeń niespełnionych”. – Ja jedno spełnię, senne marzenie, które zaważy na całym moim dalszym życiu. Są decyzje nieodwracalne, są konsekwencje przewidywalne, a połączenie tych dwóch światów stanie się bitwą nieobliczalną. Bitwa przegrana nie musi wcale oznaczać potyczki straconej.

„Życie jest za krótkie na długotrwały smutek”. – Mój smutek się skończył, konał w ramionach rychłej przyszłości. Coś się stanie, coś się ziści, coś się spełni.

„Marzenia są jak sny zawieszone w czasie”. – Może moje nie jest z tego świata, a może po prostu ja nie jestem z tego świata.

„Szczęście to suma naszych marzeń, podzielona przez chęć wiary ich szybkiego spełnienia”. – Nie będę już nigdy szczęśliwy, teraz to wiem, ale mogę być wkrótce zaspokojony, a to już dużo. Zaspokojenie to jest coś, kiedy pustka przegrywa z marzeniami.

„Ślepotą jest siostrą zadufania”. – Miałem dość arogancji polityków, miałem dość krzykliwości księży i miałem dość ślepoty ludzi, którzy jak stado bydła godzili się na ten proceder. Żyjąc w swoich małych światach zapomnieli, iż są częścią jednego elementu ziemi.

„Piekło jest skumulowaną iluzją esencji naszych cierpień”. – Wszyscy byliśmy w piekle tego świata, smażyliśmy się na podgrzanym stosie kłamstw polityków. Byliśmy spaleni, zamieniliśmy uczucia na przedmioty.

Takie myśli chodziły mi po głowie, przeważnie po alkoholu. Snułem je swobodnie popijając coraz bardziej wysublimowane trunki. Stałem się poetą moich niespełnionych myśli. Pijanym twórcą, pośród pijanej poezji krzyku duszy.

Postanowiłem zakupić broń. Wiedziałem gdzie ją zdobyć, lecz nie wiedziałem do końca jak to uczynić, jak do tego właściwie i profesjonalnie się zabrać. Narzędzie zbrodni miało być przedłużeniem mego strachu, niesionego na tarczy dopiero, co rodzącej się odwagi.

Poszedłem na bazar, miejsca gdzie świat się kończy, a prawdziwe życie dopiero się zaczyna. Można tu zyskać wszystko w jednym momencie i

stracić wszystko w jednej chwili. Kłębowisko strachu, zazdrości i zła. Rosyjska mowa przenikała ciepłem wszystkie rozedrgane stragany. A pośród tego zgiełku ja, wyciszony człowiek z burzą w środku.

Pytałem, prosiłem, błagałem wzrokiem. Nic nie wskórałem. Bali się. Byłem obcy, dziwny, jakiś tajemniczy. Może podejrzany, zresztą sam nie wiem. Faktem jest, że nic nie osiągnąłem. Wychodziłem zrezygnowany po kilku godzinach pętania się bez celu, pośród roztańczonych straganów.

Nagle ktoś mnie zaczepił. Szarpnął za ramię.

- Cześć, nie poznajesz mnie?

- Nie... raczej nie – mówiłem zaskoczony.

- Hesse na mnie mówili w szkole, pamiętasz? – Blondyn uśmiechał się bez troski.

- Hesse, a tak pamiętam. Razem graliśmy w szkole w piłkę.

- No w końcu, chodź na wódkę. Masz czas? – Spytał bez pośpiechu, podkreślając czule słowo wódka.

- A ty? – Spytałem bez namysłu. – A ty, co tu robisz?

- Pracuję. Handel, te sprawy. Jestem sobie sterem, okrętem, wiatrem. Więc... – dodał – mogę zrobić sobie przerwę. Chodź – wziął mnie pod ramię – powspominamy.

Kilka szybkich setek rozbudziło zastygłe w czasie wspomnienia. Procenty z dzikim chłodem przywróciły przeszłość. Znów przez moment byłem wolny, tak jak kiedyś. Bez problemów, bez skutków, bez zbędnego wyłączania się w środku.

Gdy Hesse dowiedział się o celu moich zakupów, zachmurzył się.

- Po co ci to?

- Dla bezpieczeństwa – skłamałem.

- Na pewno? – Dopytywał się stanowczo.

- Kupiłem dom w lesie. W samym środku. Muszę mieć broń. Wiesz, na wszelki wypadek – doskonale umiałem kłamać, sam nie wiem czy to jest wada, czy zaleta. Może zależy to od okoliczności.

- A, chyba, że tak. Pomogę ci.

Po godzinie wszystko było jasne. Musiałem przyjść jutro. Znałem cenę, była umiarkowana. Znałem rodzaj broni, jednak nie znałem sprzedawcy. Nie ważne. Cel został osiągnięty. Dziwna sprawa, gdy masz odpowiednią ilość pieniędzy, rzeczy trudne z pozoru, stają się nagle tak łatwe. Osiągalne bezprecedensowo.

Nazajutrz, zgodnie z umową, pojawiłem się w świątyni targu zapomnienia. Hesse czekał, podał mi pakunek, dałem resztę pieniędzy, podaliśmy sobie ręce i wróciłem do domu.

A więc broń już miałem. Pozostało ustalenie planu. Co, jak, gdzie? Chodziło o efekt, żeby coś, co zrobię, co i tak zmieni moje życie diametralnie, nie zostało zmarnowane. Nie mogłem zaplanować całości operacji do końca, mogłem jedynie ustalić schemat, wziąć opcje przypadku, wyeliminować ją jak najskuteczniej i liczyć, że los nie spleta mi figla i wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Mając broń, narzędzie zbrodni i kary, mogłem szybko stać się sędzią. Jeśli ludzie nie mogą zrozumieć prawdy bez rozlewu krwi, pojmy ją dokładnie i dosadnie, kiedy będą mieli przyłożoną broń do skroni, kiedy nagle świat zatrzyma się dla nich na sekundę, kiedy zły wiatr przestanie trzepotać czarnymi flagami na wieży rozpaczy, i kiedy całość życia z przeszłości wymiesza się z teraźniejszością i przefiltruje z niedoszlą przyszłością. Tak, wtedy zrozumieją całość egzystencji tego świata. Otworzę im oczy spluwą przyłożoną do mózgu.

Mógłbym sam to sobie uczynić. Zakończyć swoje liche życie. Oszukać przeznaczenie. Zadrgać śmiechem upojenia facetowi z kosą. Ale, po co? Okazałbym się słaby, a taki przecież nie byłem. Nikt by nie zastanowił się nawet, dlaczego? Był, a teraz go nie ma. Może miał powody? Miłość, hazard, a może samotność? Jakieś kłopoty, być może? I tyle by było z mojej śmierci. Nie warto. Jak umierać z premedytacją, to mądrze i zawsze z rozsądnym celem. Ze słowami prawdy na ustach.

Przypominałem sobie wujka, gdy patrzyłem na nową, dobrze naoliwioną broń. Chciał być malarzem. Skończył nawet odpowiednie studia. Po nich zaczął tworzyć obrazy wesołe, pogodne, jakieś krajobrazy. Tak mu doradzali dobrzy ludzie. Męczył się z tym wystarczająco długo. Aż w końcu powiedział dość! Nie był taki w rzeczywistości. Taki radosny, taki pogodny, taki szczęśliwy. Jako artysta nie tak postrzegał świat. Jego prawdziwy świat nigdy nie był taki. Był iluzją ludzkich wyobrażeń dobra, które podobno jest wszędzie.

Zagłębił się w końcu w swojej duszy. Zaczął tworzyć obrazy smutne, ale jakże prawdziwe. Wcześniejszy podziw zamienił się w skargę otoczenia. Co to jest? Jakieś smutne. Takie nieprawdziwe.

Wujek mówił, to jest we mnie. To egzystencja smutku. To rozpacz rezygnacji życia. To zapalczywa obojętność wobec rozpaczy jutra. Nigdy nie byłem taki, jakim mnie widzieliście wcześniej, zawsze byłem taki jak teraz, inny, niezrozumiały do końca. Wmówiliście mi radość, choć istota moja tkwi w smutku. Nie potrafię tworzyć radości, kiedy smutek jest w moich oczach. Tak postrzegam świat, tak postrzegam zło, tak postrzegam życie. Był smutnym malarzem, ale jakże prawdziwym.

Często powtarzał, że artysta to człowiek zawieszony w czasie. Balansuje na pograniczu snu i jawy, pomiędzy nocą a dniem, bardziej jednak skłania się w kierunku nocy. Drażni smutek, szarpiąc jego dosadność, zanurza się w sobie tylko dlatego, żeby z krainy cienia wydobyć mądrość najlepszych naszych doznań. Jest górnikiem uczuć schowanych w kopalni serca. Musi to wydobyć, rozłożyć na czynniki pierwsze i pociągnięciami pędzla stworzyć na płótnie. A gdy rozszarpie całe swe wycie ze środka, gdy ból rozłoży na podeście mocy, gdy rozpacz wymiesza ze snem, wtedy będzie mógł powiedzieć: „Dotknąłem siebie tego wewnątrz, nie tego na zewnątrz, poczułem oddech nerwu w moim mózgu i potrafiłem go należycie naciągnąć, a wszystko po to, żeby choć przez moment zrozumieć, jak to wszystko jest liche, nic nie warto. Czyli artystycznie zgniłe”. I wtedy, z tego rozpadu, jest niewielka szansa, że narodzi się sztuka. Niebanalna, niepospolita, nierozchwiana, ta prawdziwa, ta namacalna, ta dogłębna. Sztuka iluzji życia, przefiltrowana przez sztukę iluzji smutku.

Potem wujek postanowił się sprawdzić. Wyciągnął broń od dziadka ze strychu, jeszcze z czasów okupacji niemieckiej, sprawdził w lesie czy działa i wrócił ponownie na strych, gdzie zazwyczaj tworzył.

Tam miał zawieszone swoje wszystkie dzieła. Te dobre, czyli pogodne, i te złe, czyli takie, jakim był naprawdę, gdzie nikogo w swojej twórczości już nie musiał udawać. Sam sobie był cieniem istnienia, z zaciemnionej krainy mroku.

Później powiesił na ścianie krzyż mahoniowy, bardzo stary, podniszczony czasem, z Chrystusem, z drzewa cedrowego. Obok na gwoździu powiesił pistolet, tuż koło krzyża, na tej samej wysokości. Już wtedy wujek wiedział, że kiedyś się odważy. Na razie testował swoją siłę woli, siadał, patrzył spokojnie, z lekki oziębłym chłodem w żenicach, to na krzyż, to na broń. Taka wewnętrzna walka z przeznaczeniem, igranie z losem, który być może się kiedyś ziści. I tak to trwało kilka lat. Szarpał się, miotał w środku, ale nic nie robił. Walczył wewnętrznie, sam ze swoim wrogiem z piekieł, ze swoimi myślami, ze swoją chęcią przeistoczenia się w rychłą nicość. Przy okazji jeszcze tworzył. Jednak jego dzieła budziły przerażenie. Zbliżył się do granicy życia, do kresu ciemności, do niezaprzeczalnej iskry prawdy. Był tak blisko odpowiedzi, jak blisko może być tylko człowiek, który oddycha lekkim powiewem śmierci. Całował piekło swoimi myślami.

I po sześciu latach, kiedy cała rodzina się uspokoiła, kiedy wszystkim wydawało się, że pokonał wroga w środku, kiedy nawet namalował radosny obraz, jedyny od sześciu lat, potem okazało się, że może

pożegnalny, a być może właśnie w tym jedynym momencie był idealnie szczęśliwy, właśnie wtedy pożegnał się ze światem.

Rano zjadł śniadanie, poszedł nad rzekę, był lekki, parny dzień, wykapał się w chłodnym nurcie wodnym i poszedł na strych. Strzelił sobie w głowę, właśnie wtedy, kiedy cała rodzina była spokojna, taka bezpieczna, taka oderwana od tego, co się miało nigdy nie wydarzyć. Nigdy nie zaistnieć.

Leżał koło pogodnego obrazu. Kontrast życia i śmierci. Zyskał wolność zanurzając się w otchłań. Obraz przedstawiał morze, człowieka na skale wpatzonego w przestrzeń nieba. Woda ciepła, niebo ciepłe, a jednak myśli smutne i chłodne.

Myślę, że miał dość walki. Wiedział, że może tego nie zrobić, jest na tyle silny, że może ciągnąć to w nieskończoność, ale nie chciał. Zrobił to wtedy, kiedy wiedział, że wygrał, uczynił to na własnych warunkach. Oszukał otoczenie, oszukał siebie, oszukał swoją twórczość. Nie mógł się zmienić, to na pewno czuł, a zarazem nie chciał stać się szarością, i to go zgubiło. Ta ciągła walka, aby wydobyć się z otchłani smutku, stania się takim cieniem jak wszyscy. Wybrał kompromis, największy kompromis życia i śmierci. Myślę, że był wolny, choć nosił w sobie jakieś dziwne kajdany smutku, które nie pozwalały mu normalnie egzystować. Czasami wolny twórca to martwy twórca.

Wspomnienie o wujku mnie jakoś dziwnie przytłaczało. Stało się sumieniem mojej duszy. Nie znałem go dobrze, a jednak tak doskonale go rozumiałem.

Broń miałem, cel miałem, a jednak wiary wciąż nie zyskiwałem.

Którejś nocy, takiego dziwnego zawieszenia snu i jawy, obudziłem się spocony w mroku decyzji, którą miałem uczynić. Przepocona pościel, wilgotna poduszka, aż nadto mi uświadamiały, że dobre sny są już przeszłością. Minęły bezpowrotnie jak suchy wiatr w porze deszczowej.

Wtedy, właśnie tej mrocznej i upiornej nocy, kiedy ciemność zespala się z nicością, kiedy czarny deszcz oplata z zawziętością jaskrawy blask księżyca, właśnie wtedy po raz pierwszy zaświtała mi myśl zła, karcąca czas niedokonanej jeszcze decyzji.

Pomyślałem sobie, że ludzie nic nie rozumieją, nic do nich nie dotrze, jeśli ich myśli nie zadrgają w przerażeniu. Taka gra emocji zmysłów. Muszą poczuć się dotknięci, żeby coś należycie zrozumieć. Postanowiłem na ich oczach, w grze obiektywów kamer, spalić krzyż, uczynić pustkę ze świętości.

Wierzyłem w Boga, ufałem mu, cieszyłem się, że jest i wciąż się mną opiekuje, pomimo moich potknięć i słabości. Często z nim rozmawiałem,

ot tak, po prostu, sprzedawałem mu swoje myśli za darmo, i wiedziałem, że on jedyny mnie należycie rozumie i wie, że pustka życia, też może mieć jakiś sens i znaczenie.

Pałac krzyż, czyniąc pustkę z popiołu, chciałem poruszyć masy, zmusić ich jakoś do myślenia. Do wyjazdu z ronda przyzwyczaję na jakąś, jakąkolwiek uliczkę obok. Aby zaryzykowali swoje istnienia dla innych, lepszych celów.

Wiedziałem, że on mnie zrozumie. Nie będzie to gest pogardy wobec niego, gdyż go kochałem, lecz będzie to symbol wolności, wiary, że można coś jeszcze dobrego uczynić ze swoim życiem.

Będzie to krzyk bólu wobec księży, którzy tak łapczywie chodzą po kolędzie, będzie to wycie skazańca wobec księży, którzy taryfikują pieniędzmi naszą wiarę, i będzie to skomlenie człowieka, który nie może jakoś w tym wszystkim się odnaleźć. Chciałem uczynić rzecz złą, żeby dobro należycie rozpałić, żeby zrozumieć lepiej, zdecydowanie lepiej, rzeczy niezrozumiałe.

Wiara to jest dziwny balans, ciała, duszy i umysłu. A w tym wszystkim jest rozum, nieświadomie schowany w szybszym biciu serca.

Gdy podjąłem decyzję i się z nią należycie oswoiłem, zaopiekowałem ciepłem bijącym z jej serca, zrozumiałem rzecz istotną. Dlaczego to właśnie robię?

Teraz, kiedy byłem prawie pośrodku drogi, wiele rzeczy poznałem, część spraw w pośpiechu straciłem, zahaczyłem trochę o miłość, która okazała się tą nie do końca, widziałem śmierć ludzi, którzy wiele dla mnie znaczyli, i odejścia tych, którzy byli mi całkowicie obojętni, zepsułem wiele spraw i dużo spraw udało mi się jakoś naprawić, gardząc politykami i całą otoczką świata, widząc zło drzemiące w ludziach i dobre serca u pojedynczych jednostek, tak, teraz wiem, boleśnie odczuwam, że świat jest zły, a my z upartą koniecznością musimy przez to zło konsekwentnie podążać, i także wiem, że miłością go nie zbawimy, możemy tylko zapychać pojedyncze dziury nienawiści, w amoku pustej nadziei, jakiś, jakichkolwiek zmian tego zepsucia, i także zrozumiałem, że nigdy go nie zaakceptuję do końca, nie zrozumieć praw, którymi on się rządzi, nie zrozumieć wojen, które on sam sobie wytycza, nie zrozumieć nienawiści człowieka do człowieka, która rodzi się z koloru skóry i miejsca urodzenia, i na pewno nie zrozumieć głodu w nadmiarze produkcji żywności – nie zrozumieć tego wszystkiego, tak jak dzisiaj nie rozumiem siebie i swoich poczynąń na tym ziemskim, zapomnianym przez czas padole.

I właśnie, dlatego uczynię to, co muszę uczynić, zrobię to, co muszę zrobić, przegram to, co i tak dawno przegrałem na samym starcie, w momencie mojego poczęcia – wiarę, że dobro zawsze zwycięża zło.

Zacząłem chodzić do pobliskiego lasu. Musiałem się należycie przygotować. Kiedyś strzelałem z broni, nawet dobrze, ale było to dawno, bardzo dawno temu. Nawyki zostały, skuteczność niestety nie. Zacząłem trenować. Mierzyłem, naciskałem spust – padał strzał. Kule omijały suchą korę drzewa z obrzydzeniem. Bóg widocznie nie chciał popierać moich zamiarów. Nie poddawałem się. Znów kolejne strzały, wystrzały moich złych i sfrustrowanych cech w przestworza. W końcu zacząłem trafiać, nie od razu, dopiero po kilku znaczących dniach treningów – w spiekocie, w deszczu, raz podczas burzy. Nawet pogoda mną gardziła, nie rozumiała mnie do końca, a może po prostu chciała mnie przygotować na zły wariant losu, podczas mojej modlitwy rychłego przeznaczenia.

Może Bóg odtrącał mnie poprzez porywy wiatrów, może płakał za mą duszą w strugach deszczu, a może grzmiał nad moją nadwątloną wiarą. Sam nie wiem. Myśli zostały i tak rzucone w szpony przeznaczenia.

Gdy jesteś nikim, ludzie cię lekceważą, niszczą twój głos śmiechem. Gdy nie masz wystarczającej ilości pieniędzy, ludzie żałośnie słuchają twoich skarg, i także niszczą twój skowyt śmiechem. Gdy nie posiadasz absolutnej władzy, też jesteś zerem, blask twoich czynów zabija śmiech pustych istnień, pozornie lepszych, lecz bezgłośnie biednych. Śmieją się z rozpaczą w oczach, źrenice nigdy nie kłamią, ich twarze błyszczą, oczy płaczą, lecz wciąż jesteś dla nich nikim. Gdy jesteś przeciętny, szary jak kurz na drodze, tuż przed samą nocą, też jesteś dzwonem bez dźwięku.

Jednak, gdy posiadasz broń, i celujesz nią we właściwą osobę, nieważne, kim jesteś, wtedy masz w sobie coś, co zmusza innych do szacunku. Słuchają cię ze zrozumieniem, przytakują bezwolnie głowami, ich strach nie jest twoim strachem, jesteś kimś, maską, która nagle dostała się do ich wnętrza, i będzie tam już do końca, uśpiona, aż do kresu ich dni. Staniesz się ich modlitwą, karą i zbawieniem. Kto wie, może także katem? Toporem wymierzonym w ich zwiotczące i konające w agonii myśli. Tak, wtedy na pewno, z całą pewnością, jesteś kimś.

Postanowiłem zrobić to jutro, nie odwlekać w nieskończoność czynności i tak nieuniknionej w czasie. Mogłem się jeszcze wycofać, jednak teraz już nie potrafiłem. Za dużo włożyłem wysiłku w zmysły, aby teraz ciało i zwątpienie mnie pokonały.

Wycofałem się jednak z palenia krzyża. Oni nie rozumieją należycie tego gestu. Są za mali na symbole, pośpiech dawno zabił w nich

jakiegokolwiek myślenie. Państwo za nich myślało cały czas. Musisz pracować, musisz mieć rodzinę i dzieci, musisz wydawać. Oczywiście wybory do sejmu są ważne, pamiętaj o tym. Państwo ci o tym, w odpowiednim czasie, przypomni za twoje pieniądze. Musisz mieć, musisz posiadać, niekoniecznie istnieć.

Istnieją osoby słabe, myślą osoby słabe, zastanawiają się osoby słabe. Państwo takich nie potrzebuje. Masz mieć, masz gromadzić, musisz budować swój własny niezależny punkt posiadania – świat rzeczy zapychających należycie twój umysł. Im więcej posiadasz tym mniej masz czasu na zadumę, gdyż utrzymanie aktualnego stanu kosztuje cię zbyt dużo wysiłku i czasu, aby to wszystko zepsuć wątpliwymi refleksjami. Nie myśl za dużo, gdyż ból zniszczy cię bezpowrotnie w środku. Ból posiadania jest zawsze bólem dążenia.

Plomień krzyża, zamiast wątpliwości, rozbudziłyby w nich tylko pogardę. Tego nie chciałem. Miał zwrócić uwagę na zło w czarnym majestacie, a zacząłem się bać linczu niezrozumienia, a na to sobie, pomimo mojej determinacji, jeszcze nie mogłem pozwolić.

Teren miałem zbadany. Byłem tam kilka razy. Biuro telewizji było tuż koło mojego domu. Wyniosły budynek, tłumy ludzi, którzy stamtąd wychodzili albo wchodzili – pochłaniał ich w środku magnes sławy. To wszystko sprzyjało całej akcji. Początek znałem, koniec był niewiadomą. Jak w życiu, zresztą było to mi zupełnie obojętne, co się wydarzy. Musiałem to w końcu z siebie wykrzyczeć. Nie mogłem milczeć bez końca tak jak inni. Kiedy cały świat milczy, nie musi to wcale oznaczać, że jednostka nie może krzyczeć. Czasami coś niezauważalne, musi być w końcu zauważone. Czasami coś nieoczywiste, musi być w końcu oczywiste. Czasami milczenie, musi w końcu przerodzić się w krzyk. Mój krzyk rozpaczy, że przecież nie może tak być zawsze, że szara jednostka nie może zmienić biegu historii.

Poranek był niespokojny, jakby czas przeczuwał zbliżającą się bez pośpiechu tragedię mego losu. Dziki wiatr pętał swoim krzykiem okoliczne drzewa. Wzniosłe chmury z nieczułą obojętnością przemieszczały się po suchej powierzchni nieba. Pojedyncze blaski słońca skrycie atakowały nierówną powierzchnię ziemi.

Popołudnie było zgoła inne. Niebo się uspokoiło, wiatr się zniewolił w ciszy i ziemia przestała drżeć w niepokoju lata. Poczułem ulgę, pogoda zawsze działała na mnie kojąco. Gdy była zła, ja też byłem pobudzony, gdy zaś spokojem przenikała całość poświaty świata, ja też obojętniałem na złośliwości losu, byłem pogodny wraz z nią, w duszy nawet radosny.

Dochodziła osiemnasta, kiedy z udawaną pewnością wtargnąłem do mojego bunkra nienawiści. Telewizja, a konkretnie jej budynek, to nieustający ul obcych twarzy, dzikich twarzy i zmanierowanych twarzy. Byłem anonimowy. Stado bydła szło na kolejny zidiociały teleturniej. Płacono grosze za cień sławy; każdy wierzył, że kamera, choć przez moment ześlizgnie się po licu wybrańca. Lansiaści dziennikarze z lekceważeniem obserwowali obce im twarze. Czasami zerknęli z dumą na ładną twarz. Byli gwiazdami tego świata, planety złudzeń; myśleli, iż są ważni poprzez swoją dociekliwość i arogancję przeplecioną butnością. Czasami coś zyskali, często coś przegrali, ale nie to było ważne, liczyli się oni, ich temat i efekt, jaki mogą osiągnąć poprzez rozgłos.

Od zaplecza wkradłem się za kulisy kamer. Operatorzy kończyli ostatnie przygotowania do wieczornego serwisu informacyjnego.

Nerwowość była wszechobecna w powietrzu. Programy na żywo mają nieśmiertelną domenę nerwowości. Coś pójdzie nie tak, coś złego się wydarzy. Dzisiaj tak miało być, ja to doskonale wiedziałem, wręcz to czułem na skórze, dzisiaj im wszystko pójdzie nie tak. Będą mieli informację stulecia, sensację programu, który po moim wtargnięciu nigdy już nie będzie taki sam. Całość ich serwisu na zawsze się zmieni. News na miarę nagrody Pulitzera.

Gdy miał ruszyć pierwszy kłaps, tuż przed samym rozpoczęciem sesji kolejnych kłamstw, wziąłem pierwszą osobę z mroku sali, pociągnąłem za sobą i wkroczyłem w blask fleszy. Wyciągnięty pistolet szybko uspokoił atmosferę, byłem panem sytuacji. Broń zadziałała na nich jak afrodyzjak, obudzili się ze snu codziennej rutyny. Wybiła dziewiętnasta, wszedłem idealnie na scenę, jak aktor jednego monologu, bezwolnie wciągający widza w swoją grę.

- Uspokój się! – Rzekłem stanowczo do mężczyzny, koło pięćdziesięciu lat.

I wtedy, kiedy blask jupitera oświetlił jego lico, poznałem go. Kiedyś był dla mnie kimś, teraz się sprzedał, butny dziennikarz zamieniony przez upływający czas w ślepą owcę.

- Kamera na mnie! – Krzyknąłem i wtedy po raz pierwszy strzeliłem w sufit.

Ofiar nie było, chciałem, żeby sprawy potoczyły się tak, iż nikt na tym nie ucierpi. Ale kto wie, mogę być zmuszony do rzeczy, która już nigdy nie pozwoli mi zamknąć spokojnie powiek o zmroku.

- Zaczynamy! – Znów krzyknąłem. – Oto dzisiejszy, jakże niecodzienny serwis informacyjny – zaśmiałem się nerwowo do kamery. Chyba nie miałem wystarczającego doświadczenia.

- Kręć, kręć! – Zawylem sucho do kamerzysty naprzeciw. – Bo twój błąd, albo nikła chęć współpracy, zmieni twoje życie w nieustającą ciemność.

- Dobrze – rzekł posłusznie facet koło czterdziestki.

- Usiądź spokojnie sprzedawczyku – posadziłem dziennikarza koło siebie. – Oto twoje ostatnie pięć minut sławy – postraszyłem go, a on wykazał należyte zrozumienie i potulnie spoczął z boku.

- A więc zaczynamy! Witam w wieczornym serwisie informacyjnym. Będzie krótki, ale treściwy. Powiem wam to, co wiecie, powiem wam to, co jeszcze nie rozumiecie, ale także to, co do was z pewnością nie dociera. A w końcu powiem wam to, co straciliście w zgubnym pędzie za przedmiotami, czyli zdrowy rozsądek oceniania sytuacji. Nie będzie to nic odkrywczego, nic nowego, ale zarazem będzie to dla was jak świeży poranny deszcz, po długiej i ciężkiej porze suszy. Zrozumiecie to, co ja dostrzegam od dłuższego czasu. Zastanowicie się nad tym, co do tej pory było wam tak jakże obojętne. Przemyślicie rzeczy, które już dawno bez mojej pomocy powinniście zrozumieć samemu. A więc nie jestem prorokiem – jestem waszym sumieniem!

Dziennikarz zakręcił się nerwowo.

- Siedź spokojnie – rzekłem do niego stanowczo. – Jesteś moim alibi, że mogę jeszcze wyjść z tego bez szwanku. Zresztą jest mi to tak naprawdę obojętne. Są takie decyzje w życiu, że gdy je popełnimy, nic do końca w przyszłości nie będzie już takie same. Czyli nieodwracalnie zmieniamy cały przyszły czas naszej egzystencji. Fajnie? – Spytałem dziennikarza.

- Tak – rzekł tępo i sucho.

- Czułeś to kiedyś? – Mówiłem do niego, zamiast do kamery. Widzowie poczekają, muszą poczekać, pomyślałem. – Pytam, czy kiedyś osiągnąłeś taki stan swojego umysłu, że nie wiesz, co się wydarzy, nawet nie próbujesz zgadnąć, co się wydarzy, bo tak naprawdę tego nie wiesz, i nie jesteś w stanie tego przewidzieć, i wiesz, że robisz coś ważnego, i że choć to na pewno zabije cię w przyszłości, to i tak było warto zmienić się w kogoś, kto sam, bez niczyjej pomocy, ogłosi światu, że obojętność to żadne usprawiedliwienie, kiedy cały świat krzyczy z boku, w bólu konania człowieczeństwa?

- Trochę to rozumiem – skruszył się dziennikarz.

- Rozumiałeś, a to delikatna różnica, kiedyś byłeś inny. Czytałem twoje artykuły, walczyłeś o coś, coś chciałeś zmienić, komuś pomóc, a teraz, o ironio, nawet samemu sobie nie jesteś w stanie pomóc.

- Przestań! – Krzyknął dziennikarz, obudziło się w nim stare uczucie przekory, dziki szal walki o rzeczy przegrane. – Przestań, proszę, nie poniżaj mnie – zaskomlał jak ranne zwierzę.

- Dobrze. Nie o ciebie tu chodzi – obróciłem się w kierunku kamer. Teatr jednego widza przeistaczał się w requiem.

Wstałem, popatrzyłem na strwożone i przerażone twarze i zacząłem:

- Nie gardzę wami, ja też taki jestem, nie pomiatam wami, bo musiałbym sam uderzyć się we własny policzek, chcę tylko z wami porozmawiać. Za długo to tkwiło w moim mózgu, o wiele za długo. Dziwię się wam, że potraficie tak żyć. Dziwię się wam, że godzicie się bez skargi na to wszystko. Dziwię się wam, że wasza ślepotą jest dla waszego mózgu wątpliwym usprawiedliwieniem. Ale cóż, wasze życie, wasze sprawy. Ja nie potrafię milczeć, kiedy myśli krzyczą.

Dziennikarz patrzył na mnie z uznaniem. Może zobaczył siebie z przed lat, może przypominałem mu jego lata młodości. Młodości butnej, młodości hucznej, ale młodości prawdziwej.

- Dlaczego godzicie się na kłamstwa polityków! Obiecują wam to, co chcecie usłyszeć, a tak nie jest. Oni wami gardzą, jesteście stadem, które trzeba zmusić do głosu, kiedy zajdzie taka potrzeba. Udują, że też żyją jak wy, a tak z pewnością nie jest. Zarabiają dużo, kradną dużo, oszukują dużo! Czemu tego nie widzicie, jak za waszymi plecami budują własne pałace szczęścia? Nienawidzę ich za przekręty, nienawidzę ich za fałsz w oczach, a najbardziej nienawidzę ich za nadzieję, którą dają ludziom tuż przed samymi wyborami, a później tak brutalnie ją zabierają, nie robiąc nic, co i tak nie zamierzali zrobić, choć z rozgłosem tak wiele wcześniej obiecywali. Dla mnie jesteście osłami, które buczą w rytm ich przykłaśnień. Czy umiecie sobie ze spokojem codziennie spojrzeć w oczy, kiedy stoicie przed lustrem, kiedy o poranku zaczynacie kolejny dzień życia, i zerkając w swoje źrenice, potraficie to przetrwać w duchu, i narzekając pójść znów do pracy, aby wieczorem w wiadomościach usłyszeć kolejne kłamstwa ludzi, którym zaufaliście, a którzy z cynizmem robią przedszkole z sejmu, i którzy z obłudą śmieją się z was świadomie, patrząc prosto w blask kamer i fleszy?

- On ma rację – dziennikarz wstał, człowieczeństwo z przed lat ugryzło boleśnie sumienie. – Słuchajcie go, on mówi prawdę.

- A kościół, wiara i samarytanizm. Gdzie to jest? Duże budynki, piękne wystroje, a gdzie miłość? Księża zamiast pomagać gromadzą majątki; uczynili doskonałe, nieopodatkowane przedsiębiorstwo na bazie ludzkiej wiary. Wszystko obliczone, wszystko przekalkulowane, wszystko taryfikowane. Nic za darmo. Ślub tyle i tyle; pogrzeb, oczywiście, smutne

pieniądze, ale pieniądze, żadnych uczuć, żadnych doznań; Bóg istnieje to fakt, ale jego wysłannicy obrastają w tłuszcz. Nie pomagają, gromadzą. Wiara to dobry pieniądz, kiedy naiwność doskonale wymieszać z uczuciem. Bóg jest, jestem o tym przekonany, lecz myślę, że z politowaniem spogląda na swoje czarne owce, przy żłobie ołtarza.

Gdzieś z boku doszedł mnie pogłos przeładowywanej broni. Zerknąłem w bok. Ochrona zajmowała strategiczne miejsca. Koniec zbliżał się nieubłagane. Kiedy podejmiesz decyzję złą, koniec zawsze przyjdzie zbyt szybko.

- Gdzie jest wyjście boczne? – Spytałem dziennikarza.

- Tam – pokazał palcem.

Szybko zniknęliśmy z tyłu. Jak dwa cienie nie z tego świata. Pędziliśmy do góry, krętymi, mroźnymi schodami, bicie naszych serc dudniło nam w głowach.

Weszliśmy na dach. Cichy wieczór otulił nas końcem skwaru dnia. Spojrzałem na miasto. Dochodziła dwudziesta, zgiełk aglomeracji powoli układał się do snu. Pojedyncze samochody z majestatem zmierzały do swoich przystani. Błada cisza układała wszystko do spania.

Dziennikarz sapał, ewidentnie nie miał kondycji.

- Co teraz? – Spytał.

- Wszystko się kiedyś musi skończyć.

- Co ze mną?

- Nic.

- Nic mi nie zrobisz?

- Nie. Nie zamierzałem nikogo skrzywdzić. Nie jestem mordercą. Robiąc to, co zrobiłem, naprawdę skrzywdziłem tylko siebie. I o to chodziło, żeby nie było żadnych strat.

- Co będzie dalej?

- Nie wiem. Wiem jedno, na pewno nie pójdę do więzienia.

- Pomogę ci jakoś – rzekł nagle dziennikarz.

- Mnie się nie da już pomóc. Zresztą wcześniej i tak nie mogłem sobie samemu pomóc.

- To, co mówiłeś wcześniej, jeśli chodzi o mnie, to nie jest tak.

- Nie musisz się usprawiedliwiać. Nie jestem sędzią. Twoje życie, twoja sprawa.

- Ale chcę. Kiedyś byłem inny. Pisałem rzeczy ważne, a przynajmniej tak mi się wydawało. I nagle trafiłem na złą sprawę. Taką śliską. Politycy, policjanci, coś śmierdziało. Walczyłem to fakt, ale byłem tak zmęczony tym wszystkim. Płytki sen, zły sen, nerwowy sen. Sam nie wiedziałem, co jest jawą a co złudzeniem. Halucynacje za dnia, złe duchy w nocy.

Nonsens wpleciony w rzeczywistość. I w końcu miałem dość prowadzenia gry, potyczki trwały zbyt długo, od zbyt długiego okresu czasu. Przestały być rozgrywką, z każdym kolejnym dniem stawały się zbyt dużym ciężarem, balastem ciągnącym mnie ku przepaści. Każda gra ma swoje granice, każda gra musi się kiedyś skończyć i każda gra musi mieć jakieś zakończenie. Złe gry też potrafią być korzyścią, jeśli właściwie je umiemy ocenić.

- Dzisiaj wygrałeś, odzyskałeś siebie z przed lat – dodałem z uznaniem.

- Wiem... zmieniłem się. To życie mnie zmieniło.

Odrzuciłem się w kierunku miasta. Z uśmiechem spoglądałem na wpół uśpiony świat. A więc to tak się wszystko w moim przypadku skończy.

- Co będzie teraz? – Spytał dziennikarz.

- Nie ma idealnej śmierci, lecz można sobie wybrać idealne miejsce żeby odejść.

- Nie rób tego. Jakoś cię z tego wyciągnę – poprosił dziennikarz.

- Są rzeczy nieuniknione w pewnych sytuacjach – zamyśliłem się. – Nie ma łatwych decyzji w obliczu śmierci, są tylko decyzje niezgłębione.

- To nie musi się tak przecież skończyć.

- Coś ci powiem – rzekłem. – Najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że kiedyś wiele rzeczy chciałem, a teraz nawet nie chcę chcieć.

Stałem na krawędzi dachu. Kiedyś stałem tam myślami, idealizowałem ten moment, to zawieszenie czasu i myśli, schyłek emocji, który nagle nieuleczalnie się za chwilę skończy. Widziałem siebie, jako bohatera, zwycięzcę pokonującego zwiotczały schemat świata, a tak w istocie nie było.

Bąłem się śmierci. Bąłem się, że teraz zwątpię, a najbardziej bąłem się tego, że to, co zrobiłem pójdzie na marne. Był szaleniec, nie ma szaleńca. Coś powiedział, coś nakrzyczał, może poruszył, choć nie do końca, ale to szaleniec, choć może mówił odrobinę prawdy. Był jakiś obłąd w jego oczach, zły obłąd. Nie może być prawdą to, co mówił, przecież tacy nie jesteśmy, jest w nas jakaś prawda. Kłamał nas, okłamał nas na oczach świata. Gdybyśmy byli tacy źli, tacy zamotani w obłądzie, umarlibyśmy za życia. A tak nie jest. On kłamał, cały czas kłamał, świetnie sobie radzimy. Coś udowadniamy, coś kupujemy, bardziej kupujemy niż udowadniamy, ale to szaleniec, coś wymyślił, coś chciał nam zabrać, może nasze myśli, może odwieczny spokój posiadania, a może wiarę i nadzieję, a może te dwie rzeczy naraz. Ale już go nie ma. Wszystko wraca do normy, a niepokój sumienia po prostu zapije się alkoholem, a niepokój duszy ukoj się następnym skrawkiem zakupionego ja, a oczy, cóż, to tylko spojrzenie, prawie nic, wystarczy tylko nie patrzeć w lustro i wszystko będzie dobrze.

Nauczmy się umiejętnie opuszczać wzrok przed zwierciadłem duszy i śmiało ruszymy do przodu. Jego zresztą nie ma. Był i znikł. Ale czemu coś boli w środku? Coś skwierczy na pustyni sumienia, coś drga niespokojnie w oczach. To nic, to przejdzie, to kiedyś zniknie, tak jak on, niczym ptak, zniknął na krawędzi bloku.

- Odejdź – rzekłem do dziennikarza. – Czas zakończyć farsę.

- Ale... – odparł, lecz przerwałem mu nagle:

- Proszę, odejdź. Muszę być sam, kiedy to się stanie – rzekłem błagalnie.

Zniknął w drzwiach na dachu. Zostałem sam. Sam ze swoimi myślami, sam ze swoim strachem i sam z rozdygotaną odwagą, uczeptioną na balustradzie życia.

„Nic do końca nie jest takie oczywiste, pomimo zatrzymania czasu w migawce skojarzeń” – pomyślałem, nie wiedząc samemu, co mój mózg chciał przez to powiedzieć. – „To nerwy, dlatego tak burzliwymi frazami reaguję”.

„Czy udało mi się coś zmienić? Nie wiem. Chyba nie. Ich nic nie zmieni. Zawsze będą gdzieś pędzić przed siebie, w innym kierunku niż ja. Inne drogi, inne cele, inne marzenia. Gdybym mógł... – to mnie zabolalo najbardziej w środku, ból skwierczał w obojętności losu. Niestety jest to najczęściej powtarzane zdanie przez ludzi, którzy właśnie przegrywają swoje życie”.

Zadrżały mi nogi. Ewidentnie się bałem. Nie pójdę do więzienia. Tam umrę za życia. Zamkną mój niepokój w zimnych ścianach. Przegram życie po raz kolejny.

Popatrzyłem w niebo. Uspokoili się szafirowe chmury. Stały i patrzyły na nieboskłon poświaty nieba.

„Boże! Wiem, że wątpiłem wiele razy. Wiem, że nie byłem doskonały. Któż jest. Nie chodziłem do Twoich świątyń, lecz z Tobą zawsze umiałem porozmawiać. Znajdowałem czas dla Ciebie, może w nienajlepszych momentach, może w bardzo złych chwilach, lecz uparcie z Tobą ciągle rozmawiałem. Staralem się być Ci lojalny, choć pewnie czyniłem to źle. Jak najbardziej chciałem zbliżyć się do Ciebie, jako przyjaciel, nie, jako człowiek. Nie udało się, teraz to wiem. Lecz próbowałem wiedząc, że i tak przegram. Bądź ze mną teraz, w tej ostatniej chwili. Nie zostawiaj mnie samego, kiedy mrok zbyt boleśnie zamyka mi powieki. Boję się, wiesz to. Ludzie mnie potępiają za czyny, które przypomniały im o marzeniach z przeszłości. Kościół potępi mnie za świętokradztwo bólu własnego ciała. A Ty bądź ze mną teraz. Nie zostawiaj mnie, nie opuszczaj mnie w moim strachu”.

Podszedłem do krawędzi jeszcze bliżej. Nie patrzyłem w dół, i tak wystarczająco się bałem. Podjąłem decyzję, już byłem gotów. Pokonałem strach, pokonałem zwątpienie, pokonałem siebie. Po raz pierwszy tak naprawdę wygrałem ze sobą, ze wszystkimi swoimi słabościami.

- Skocz ze mną Boże! – Krzyknąłem. – Bądź ze mną tu i teraz! Nie chcę być sam podczas tej okropnej chwili!

Odbiłem się. Poczułem ulgę. Nie byłem sam. Ktoś był gotów ze mną spędzić tych kilka sekund rozpacz. Zawiesić się ze mną na moment, w być czy istnieć.

Ktoś szarpnął mnie za rękę. Odwróciłem się nerwowo. Wróciłem z ciemności.

- Nie rób tego! – Dziennikarz patrzył na obłęd w moich oczach. – Zmień coś w sobie, ale nie rób tego!

Stałem i patrzyłem nienaturalnie na niego. Był jak demon. Coś mówił, ledwo go słyszałem. Świadomość wracała powoli. Już nie chciałem tego zrobić. Już teraz nie. Kiedy się zdecydowałem, kiedy psychicznie odbyłem ten skok, gdy zanurzyłem się w mroku i nagle wróciłem do światła, nie chciałem tego ponownie uczynić. Nie, dlatego, że czułem strach, bo go nie czułem, pokonałem go w środku, nie, dlatego, że w coś uwierzyłem, bo tak nie było, jednak zrozumiałem, ile mam jeszcze do zrobienia w tym nowym, jakże odmiennym czasie, i odzyskałem nadzieję.

Kiedy wystarczająco zbliżysz się do mroku, poczujesz jego oddech na ustach, to wtedy ujrzysz poświatę cienia zmieniającego się w blask, a ciepło tego iskrzenia odwróci złe zamiary w dobro, naświetli twoje zmysły czystym ciepłem chęci, że jeszcze coś masz do zrealizowania w odzyskanym od mroku czasie.

- Dobrze – szczeptałem rozdygotanymi zębami. – Już dobrze. Już nie chcę umierać. Teraz nie. Nie w tym dokładnie momencie i nie w tym dokładnie miejscu.

- Cieszę się.

- Weź to – podałem mu pistolet lufą do przodu. – Mnie nie jest już potrzebny.

I wtedy padł pierwszy strzał z bloku obok. Prosto w plecy. Wbił się w okolice serca. Drugi już nie był tak bolesny, może cierpki, lecz bez zadzioru bólu.

Upadłem na kolana. Potem na bok. Strach minął. Już się niczego nie bałem. Miłe uczucie, nie bać się niczego, nie bać się rzeczy ważnych i tych mniej ważnych. Mieć to po prostu za sobą. Czułem wędrówkę, która mnie za chwilę czeka. Długą podróż w nieznane. Drogę, która przeniknie me kroki niepewnością. Uśmiechnąłem się. Byłem wolny. Udało mi się.

Wyzwoliłem się z kajdan życia. Łańcuchy, które tak boleśnie krępowały me myśli, gdzieś znikły. Ciężar, który przygniatał mnie boleśnie od dłuższego czasu, rozplynał się w przestworzach. Byłem sam, wolny, swobodny, i nie wiedziałem, co z tą wolnością mam teraz uczynić. Dokąd mnie ona teraz zaprowadzi.

Patrzyłem na krwisto-czerwony zachód słońca. Pomarańczowe plamy na niebie, głaskały me oczy jaskrawym światłem.

Czułem spokój, ciszę i obojętność. Zgiełk rozplynał się nienaturalnie w powietrzu.

Krzyki obok już mnie nie dotyczyły. Były mi obce jak śpiew ptaka tonącego w morzu. Zgiełk świata przestał być moim bólem. Zgiełk miasta przestał być moim krzykiem i zgiełk duszy przestał być moją kaźnią.

Spokojnie zamknąłem oczy. Ciepło przykryło mnie płaszczem zapomnienia do snu. Świadomość wsiąkła szybko w powoli zastygające wnętrze.

NIEPOKÓJ

Malarstwo – utopijna sztuka spojrzenia na głębie świata, poprzez całą paletę kolorów. Wyrażenie precyzyjnie ulotności poprzez wrażliwe oczy artysty. Zrozumienie wszechświata i uchwycenie go takim, jakim go jeszcze nie mieliśmy okazji doznawać. Namiastka skrywanej wolności, przeniknięcia naszych zmysłów i podświadomości poprzez niesforne ruchy pędzla – wolne i swobodne. Próba dostania się na drugą stronę rzeki, kiedy szorstki nurt uparcie spycha nas na pobliską mieliznę.

Zbigniew Czewski, kiedy był małym chłopcem, jeszcze w przedszkolu, ogromnie lubił malować, tworzyć wygibasy z kredek, za które, o dziwo, wciąż dostawał nagrody. Jego dziecinne prace ciągle wisiały na tablicy, powieszono na ścianie przedszkola. Gdy na nie patrzył jaśniał z zachwyty.

- Będę malarzem – powtarzał dumnie. – Innym niż wszyscy – dodawał butnie i zuchwale.

Wychowawczynie wtedy pytała:

- Jak innym?

- Będę malował obrazy ciemne, a zarazem jasne, trochę brudne i trochę czyste, pełne kolorów życia, a zarazem pełne kolorów smutku – mówił, patrząc na swoje pierwsze prace. – Po prostu będą inne.

- Wierzę ci – śmiała się wychowawczynie, choć wiedziała, że pasje maluchów często ulegają zmianie.

W szkole średniej, a nawet wcześniej, w podstawowej, też trochę malował, choć faktycznie energia z przedszkola gdzieś zanikła, w obcej szarości życia, zagubiła się w mnogości innych zajęć, o wiele bardziej atrakcyjnych dla ciała. Mniej dla duszy.

Wciąż tworzył rysunki, gdzieś to w nim było, tkwiło bezustannie, nasączało jego duszę w środku, jednak były to tylko krótkie momenty, małe chwile, które szybko znikają w zabieganiu młodości.

Pewnego dnia Czewski, pod sam koniec szkoły średniej, przechodził koło Bramy Floriańskiej, czasami tam chadzał, i w ten dzień, skwarny i upalny, nasączony słońcem lata, stanął koło artystów wystawiających swoje prace na murach obronnych miasta.

Przystanął i zaczął oglądać obrazy. W zamyśleniu przechodził obok, obserwował uważnie każdą kreskę pędzla wyrażającą niepokój świata.

Większość dzieł, jeśli to tak można nazwać, była nastawiona na turystów – same pejzaże, widoki, portrety i miasto Kraków. Komeracja

ściągnąca pieniądze, marnowanie talentu za namiastkę luksusu w rzeczywistości.

Jednak jeden obraz przyciągnął wzrok Zbigniewa bardziej, o wiele bardziej niż inne. Stał oniemiały patrząc na niego w dzikim otępieniu. Był inny niż pozostałe, głęboki i wyrazisty. Tak bardzo nie pasował do pozostałych, a zarazem tak bardzo pasował do rzeczywistości.

Przedstawiał statek podczas sztormu, tuż przy samym brzegu. Skłębione morze i tryskające fale pędzone siłą wiatru. Skały coraz bliżej burty i ludzie na pokładzie walczący z burzą, w panice, lecz z godnością. Pompatyczne chmury, pełne deszczu i zwątpienia, pchane nienawiścią wiatrów, zalewały całe tło dookoła. Obraz przedstawiał ostateczność i ciężką na niej walkę. Walkę ludzi o dumną śmierć, walkę ludzi o szansę przeżycia i walkę ludzi o godność, ponieważ nigdy nie należy składać broni. Kiedy złe wiatry i mordercze prądy morskie, z dziką nienawiścią, spychają nas na wystające skały morskie, należy walczyć, gdyż ból przegranej jest o wiele gorszy od bólu zwątpienia.

Zbigniew stał zamroczony, coś w niego wstąpiło, jakieś lśnienie przeszłości; poczuł w sobie coś, co stracił, kiedyś bardzo dawno temu – pasję z przedszkola.

„I ta gra pozorów – pomyślał – i te odcienie barw, przenikające się uczucie godności i rychłej straty, to wszystko tkwi w tym dziele”.

Wrócił do domu przygnębiony, popatrzył smutno na szufladę. Wciąż tam tkwiły rysunki z przeszłości, coś, co z opieszałością wrzucił niedbale kiedyś do szuflady. Zamknął marzenia w zbyt ciasnej komodzie życia. Pozbawił je tlenu, tak łatwo skazał je na przegraną, chciał, aby umarły pozbawione wolnego powietrza, a tak naprawdę, to on umierał w środku, pozbywając się ich treści.

Przypomniał sobie, jak rozmawiał z mamą, a był mądrym dzieckiem w przedszkolu, nad wyraz dojrzałym, stało się to poprzez malowanie i także dlatego, że wcześniej stracił ojca i musiał nagle dorosnąć, szybko porzucić niewinność.

- Będę zmieniał świat, pokochają mnie wszyscy za marzenia wyrażone w moich rysunkach – mówił.

- Obrazach – śmiała się mama. – Obrazach, teraz malujesz rysunki, a gdy będziesz dorosły będziesz tworzył obrazy.

- Jak zwał, tak zwał. Gdy będą na nie patrzyli, oceniali je surowo, zobaczą siebie. Tak – mówił – będę malarzem.

Czewski wrócił z przeszłości, złe myśli schował na chwilę do innych komnat serca, podszedł do okna kamienicy i zerknął smutno na Wieżę Ratuszową. Mieszkał w okolicach rynku. Wyszedł na zewnątrz, na duży i

rozłożysty taras, z którego mienił się widok na stare miasto, rozpościerał pejzaż pełen nieskoordynowanych dachów, ukrytych kominów pomiędzy nimi i rząd pachnących przeszłością dachówek, starych i zwiotczących, schowanych milcząco na szczytach kamienic.

„Znów muszę malować, właściwie, czemu przestałem? – Zbigniew usprawiedliwiał się w środku. – Tak łatwo jest nam porzucać marzenia, choć są skarbnicą naszego serca, czynią nas niezwykłymi, dzielnymi w czynach i zabijają szarość życia”.

Postanowił po raz kolejny zostać malarzem, nie odwracać się plecami od chęci bycia wyjątkową osobą. Ta decyzja została podjęta nagle, bez zastanowienia, lecz była tak głęboka i wyrazista, niczym zagubiona dolina, nagle odkryta i pokazana światu, wystawiona na blask reflektorów wszystkich podróżników tego świata. Postanowił stworzyć nowy świat, przefiltrować go przez własne myśli, nasaczyć własną duszą i okiełznać przenikliwymi ruchami pędzla. Nie chciał osiągnąć sukcesu za wszelką cenę, po prostu postanowił stworzyć własną wyspę myśli, wyrażonych przez tworzenie ponad świadomych wizji. Odbiorcy, koneserzy i zwykli ludzie spoglądając w jego płótna zobaczą siebie, ujrzą swe zagubione myśli, tak odległe kłębiące się w ich umysłach.

Posiadamy w sobie tyle bólu, wzruszeń i emocji, jednak nie potrafimy ich wydobyć ze środka, gdyż śmieszność i obawa przed tłumem zniewalają nas w każdym momencie, nakładając przyciężkie kajdany obojętności. Podczas tworzenia, nakładania kolejnych warstw farby, otwieramy swą duszę i nasączamy ją rozedrganym sercem. Artysta wszystko może zmienić, tak jak zmiany mogą wszystko uczynić z artystą.

Czewski po głębszym zastanowieniu, nawet szekspirowskim namyśle, udowodnił swojemu rozumowi, że malarstwo, sztuka duchowych półprzezroczystości, umożliwi mu wyrażenie tych uczuć, głęboko schowanych w umyśle. Poskromi wyobrażenie, zniewoli odwagę, wydobędzie je z siebie i pokaże zakłamanemu światu.

Ponieważ kochał też literaturę, połykał książki oczami, czynił to agresywnie i żarłocznie, równocześnie postanowił iść na studia związane z tą dziedziną.

Pasja to jest żar, nie chciał jej mieszać z realnym hobby i z dziką kalkulacją życia. To miały być dwa niezależne i suwerenne światy, dwie planety kosmiczne, oddalone od siebie o miliony lat świetlnych. On jedynie miał być ich łącznikiem, kosmonautą w rakiecie, przemierzającym odległość między nimi w zawrotnym pędzie przestrzeni. W czasie spędzonym w kabinie, pomiędzy rzeczą utraconą a istotą namacalną, pomiędzy niebytem tworzenia a bytem urzeczywistnienia, pośrodku

radości zaczynania czegoś a smutkiem kończenia czegoś innego, jawił się on – samotny jeździec w przestrzeni, zawieszony pomiędzy wiecznością a trwałością własnych przemyśleń.

To był jego ostatni rok szkoły średniej – dobry moment na kończenie czegoś, a jeszcze doskonalszy na rozpoczęcie czegoś nowego.

Zmiany czynią nas lepszymi, a zmiany ducha doskonalszymi. Niektóre są jak lawina, z której wychodzimy pokiereszowani na duchu i umyśle, lecz jeśli są właściwe, wręcz niezbędne żeby coś zacząć, ruszyć w końcu do przodu, są jak meteor wśród gwiazd, niosą nas ku tarczy i pozwalają zbliżyć się do światła, do nadziei, do zagubionych planet. Czewski był gotowy na te zmiany, chciał odnaleźć swoją zagubioną planetę szczęścia.

Zbigniew Czewski, gdy kończył szkołę, był już na samym jej finiszu, zapisał się na warsztaty plastyczne; stwierdził wtedy, że jak coś zaczynać, to tylko profesjonalnie i od podstaw. Amatorszczyzna gubi każdego, nawet najlepszy talent.

Uczęszczał na nie dwa razy w tygodniu. Uczył się technik malowania olejnego, swobodnego mieszania barw swoim wzrokiem, tworzenia faktur swoim umysłem, nakładania efektów półprzeźroczystości swoją wyobraźnią, uczył się też łączenia barw światłem, a najbardziej uczył się przenikania trzeciego wymiaru, poprzez nakładanie grubych warstw farby. Chciał wyrażać umysłem to, co tak naprawdę jest niewyraźne.

Zrozumiał, jak ważne jest przygotowanie obrazu, czynność, która już na początku może zniweczyć nasze dalsze poczynania. Zły początek może stać się końcem wszystkiego, tak jak dobry koniec może być początkiem czegoś nowego i niewyobrażalnie niezwykłego.

Czewski dokładnie, niczym aptekarz ważący specyfik na receptę, pokrywał lniane płótno klejem stolarskim, w celu uzyskania lepszego efektu naprężenia, i zabezpieczenia go przed wsiąkaniem zaprawy w materiał. Był Bogiem tworzącym własny świat – świat marzeń, świat myśli, nowy świat wyobraźni.

Później nakładał kilka warstw zaprawy, dokładnie, precyzyjnie, ze snajperską nonszalancją, liczył się spokój, opanowanie i hartowanie swoich myśli, przed późniejszym wybuchem artystycznym.

Następnie Czewski kładł płótno w pozycji leżącej, lekko pochylonej, aby schło i cierpliwie czekało na pierwsze ruchy pędzla. Całość zbita była czterema listewkami, zaopatrzonymi przy obu końcach w głębokie wcięcia i miejsca na ruchome kliny. Lniany materiał, naprężony niczym żagiel przy huraganie, zbity gwoździami tapicerskimi, aby utrzymać idealność w nieidealności, sechł zamknięty w swojej dziewiczej czystości.

Gdy wszystko było gotowe, niecierpliwość zaspokojona cierpliwością, Czewski uczył się technik malowania, podstaw czegoś, co i tak chciał później zastąpić swoją odwagą artystyczną, śmiałością myśli jeszcze śmielszej wyobraźni.

Maturę Zbigniew Czewski zdał doskonale, dostał się na studia, na Literaturoznawstwo, później miał wybrać rodzaj specjalizacji; przez cztery lata miał przemieszczać się w tym świecie niczym Kolumb dążący do nieznanych lądów.

Bardziej jednak cieszyło go malowanie obrazów, które przy każdym ruchu pędzla, każdym naprężeniu włosia nasączonego farbą, powodowało uczucie ciągłego niezaspokojenia. Po skończeniu malowania czuł się jakoś niezwykle, czuł, że nie zmarnował kolejnego dnia życia. Jednak często ogarniał go niepokój, który wyrażał się w jego oczach, czarnych, lecz jakże wrażliwych, gorących, a jednak momentami przesiąkniętych chłodem. Wieczny niepokój twórcy, że rzeczy skończone są tylko namiastką rzeczy niedokończonych.

Czyszcząc paletę, płytę drewnianą z farby olejnej, czując w nozdrzach zapach terpentyny, obawiał się, że straci wątek, zgubi wrażliwość kończącego się dnia, a jutro nie znajdzie o poranku porozumienia przeszłości z teraźniejszością.

Czuł strach, dziki paniczny lęk, że nie odnajdzie dzisiejszej chwili w jutrzejszym zatraceniu. Myśli z wczoraj nie dotrą do zmysłów dzisiejszych, a ruchy ręki dzisiaj, nie zjednoczą się z pociągnięciami pędzla jutro. Martwiła go wieczna niepewność jutra, a jeszcze bardziej martwiła go niepewność jutra niedokończonego. Kończąc coś niedokończonego, nigdy nie mamy pewności powrotu dokończenia czegoś zostawionego. Labirynt pułapek, labirynt marzeń, labirynt niespełnionych snów, a pośrodku my, niezgłębieni, zagubieni i zamyśleni w amoku życia.

Czewski często malował na tarasie, pośrodku dachów, pośrodku rozgrzanego słońca – zawsze był wtedy głaskany suchym wiatrem miasta. Często towarzyszyły mu ptaki, szare gołębie znające każdy zakamarek miasta. Spoglądały zaczepnie na obraz, potem na Czewskiego, oceniały dzieło, a on je karmił, lubił ich towarzystwo, nie czuł się wtedy taki samotny, choć wiedział, że samotność zawsze jest domeną artystów. I tak siedząc na stalowych, lekko zardzewiałych po deszczu i mrozach barierkach, gołębie spoglądały mu w oczy, w rozedrgane od spiekoty pasji powieki i wydawały pierwsze opinie.

Czasem kręciły nerwowo swoimi głowami, jakby chciały powiedzieć: źle, bardzo źle, a innym razem poruszały to w dół to do góry swoimi

małymi, prawie sówimi oczami, i potwierdzały zamiary Zbigniewa: tak dobrze, prawie doskonale, już zbliżasz się do doskonałości.

Czasami mówiły mu oczami, że jego droga jest kręta i niebezpieczna, ale warto, wzmożony trud zawsze wieńczy koniec. Pamiętaj, mówiły ruchami głów, musisz być inny, podążaj tylko swoją ścieżką, nigdy nie chodź po śladach innych ludzi, bo zgubne będą twe kroki. Gdybyś tak uczynił, to na początku twe kroki będą pewne, gdyż będzie ci łatwiej iść, jednak, gdy zorientujesz się, że zabił cię, szybko stracisz orientację, stracisz świadomość bycia i będziesz chciał wrócić z powrotem. Jednak deszcz, mokry i intensywny, zniszczy twoje ślady, będą cieniem ciebie z przeszłości. Wtedy będzie za późno na powroty, nigdy już nie odnajdziesz siebie z przed lat. Na powroty przeważnie jest za późno, na marzenia nigdy.

I tak też robił Zbigniew Czewski, słuchał sztabu doradców siedzących na poręczach i śmiało podążał swoją drogą do przodu. Najlepszymi doradcami życia są ci, którzy nie mają żadnych korzyści z twojego upadku.

Często zatracał się w pasji tak, że dopiero zachód słońca wyprowadzał go z transu tworzenia, kiedy pomarańczowy blask mieniającej się smugi głaskał go w oczy, kiedy zerkał zmęczonymi powiekami w prawie schowane słońce i kiedy ogień przygaszonego pomarańczowego dnia, jednoczył się niewidzialną linią z jego wzrokiem, wiedział wtedy, że był w innym świecie, w środku swojej duszy, na innej planecie zrozumienia, a koniec dnia był jak dzwonek szkolny, wiązał sznurkiem ruchy pędzla. Dawał sygnał na sen, na powrót do jawy, do świata żywych istot, kiedy żar widoczny był w blasku jego źrenic. To nie on malował płótno, to nie on swoimi ramionami wykonywał ruchy niewykonalne, to jego serce, wyobraźnia skłębiona w marzeniach i snach tworzyła kolejne warstwy farb, a on stawał się niemym wykonawcą czegoś, co i tak do końca nie mógł zgłębić, ciemnej strony księżyca a raczej jasnej strony mroku.

Nieraz zdarzało mu się tworzyć pośrodku gwiazd. Zapalał wtedy światło w pokoju i lampę na balkonie. Spoglądał na wszechświat pomiędzy jednym pociągnięciem pędzla, a kolejnym ruchem włosia. Odczuwał wtedy więź, silną i mocną, z kosmosem, czuł się częścią planet odległych i wiedział, wręcz dotkliwie odczuwał, silną więź łączącą go z całym wszechświatem, z odległymi planetami, zagubionymi pośród jasnego blasku gwiazd.

Tak, Czewski lubił malować pośród dachów, pośród nocy, pośród dnia, uwielbiał tworzyć swoje wizje, przemyślenia, z których nie musiał się nikomu tłumaczyć, choć wiedział, że skoro dla niego nie są to dzieła do

końca zrozumiałe, to jak mają je zrozumieć inni. Nie osądzał obrazów, nie analizował, one po prostu w nim były, ani złe ani dobre, ani zrozumiałe ani jednoznaczne, pasmo skojarzeń schowane w jego głowie, w głowie przechowującej dary, skarby, które mogą być łatwo zniszczone, poprzez zawiść ludzką.

Na razie Zbigniew Czewski tworzył dla siebie, nie miał odwagi pokazać obrazów nikomu, chował je na strych kamienicy.

Musiał dojrzeć do myśli, że będzie chciał kiedyś podzielić się swoim światem z innymi, zaprosić intruzów na swoją wyspę. Czuł potrzebę malowania, lecz na razie nie odczuwał daru dawania. Nie chciał sprzedawać swoich myśli, nie chciał sprzedawać swojego żaru, a najbardziej nie chciał sprzedawać czegoś, co nigdy w zamiarze nie miało być na sprzedaż, swojej osobowości.

Zdawał sobie sprawę, że boi się krytyki, a jeszcze bardziej niezrozumienia. Oceny czegoś, co inni nie będą w stanie ogarnąć – istoty naszego losu. Znając się trochę na historii malarstwa, czytając o tym w książkach, czuł więź z malarzami, którzy przerośli swoją epokę. Umierali w skrajnej biedzie, w samotności dnia i epoki, odrzuceni przez społeczeństwo, a później wnoszono im pomniki, piedestały zastygłego niezrozumienia i zapomnienia. Tacy artyści też byli, lecz on nie był artystą w dosłownym tego słowa znaczeniu. Był twórcą, który być może kiedyś stanie się artystą. Człowiekiem, który z dnia na dzień znalazł pasję, i człowiekiem, który potrafił się w tej pasji zatracić. Doskonale wiedział, że rzucanie się na głębokie fale, ze zbyt urwistego brzegu, powoduje katastrofę, jednak ci, którzy mają odwagę to zrobić, rzucić się ze skały w przepaść, w kłębiące się u brzegu morze, mają szansę osiągnąć szczęście absolutne. Pozostali, którym ta sztuka się nie uda, zostaną doszczętnie zniszczeni przez nicłość całkowitą. Liczą się tylko te decyzje, które zmieniają całe nasze życie, inne są nic nie warte, zajmują tylko niepotrzebnie czas.

Koniec studiów zapowiadał się dla Czewskiego spokojnie, jego statek, załadowany drewnianymi skrzynkami z wiedzą, powoli dopływał do portu, do przytulnej zatoki, z której później mógł wypłynąć na otwarty ocean niepewności.

Strych Zbigniewa Czewskiego szczelnie wypełniały obrazy, równo ułożone na masywnych, staro-dębowych regałach. Niektóre wisiały na ścianach, te, na które Czewski czasami zerkał okiem, reszta schowana czekała na swoją szansę. Zbigniew Czewski powoli dojrzewał do podzielenia się swoją twórczością z innymi, jednak chęci nie zawsze

zaspokajane są rzeczywistym wymiarem praktycznym. Na razie po prostu czekał na właściwy moment. Czekanie to umiejętność zawieszenia myśli pomiędzy jeszcze niespełnionymi czynami.

Nie wiedział jednak jak to uczynić, nie wiedział też czy warto to zrobić i nie wiedział gdzie są osoby, które mogłyby mu w tym zamiarze jakoś pomóc. Sztuka została zepchana na manowce życia.

Czewski zerknął na zegarek, dochodziła prawie północ. Lekko stał pot z czoła, pobrudził sobie twarz farbą, a czerwoną linię rozmazał kolejnym ruchem ręki. Ręce miał zdrętwiałe i obolałe od malowania. To już prawie cztery godziny, czas tak szybko mijał, kiedy myśli stawały się czynem, kiedy dziki żywioł opanowywał szybkie ruchy pędzla i kiedy serce prawie przestawało bić, koncentrując się na żywych barwach farb.

Czewski spojrzał na niebo, maj, a w zasadzie jego końcówka, zapowiadała się doskonale; ciepłe partie powietrza jeszcze w nocy zachowywały swoją naturalną świeżość. Gwiazdy, ostre spojrzenia mroku, z zapalem rysowały swoje znamię na ziemi.

- Muszę iść spać – rzekł zmęczony Czewski.

Odłożył drewnianą paletę na rozłożysty drewniany stół. Szybko szpachelką oczyścił drewno z farby, zmył pośpiesznie terpentyną i spojrzał na swoje dłonie. Umazane były tęczą kolorów, wyglądały jak letnia łąka tuż nad ranem, zaraz po przebudzeniu słońca, kiedy leniwe smugi światła z ociąganiem głaszczą każdy rozbudzony kwiat.

- Jutro posprzątam – rzekł ponownie do siebie, patrząc na nieład w pokoju, potem zaniósł obraz do innego pomieszczenia i po wymyciu rąk położył się do kojącego snu.

Snu lekkiego, snu martwego i snu upojnego zatracenia, nasączonego dobrze spełnionym obowiązkiem. Jeszcze przed samym zaśnięciem, Czewski uśmiechnął się do siebie. Lubił to uczucie zaspokojenia twórczego, kiedy wiedział, że zrobił wszystko, co w jego mocy, aby wyobraźnia z jego głowy dostała szansę wydostania się do realnego świata. Czuł się wtedy taki wolny, pustka w głowie świadczyła, że wydobył z siebie niezaspokojoną wrażliwość i odtworzył ją na lnianej osnowie, schowanej w czterech ramach klinowych krat.

Nagle w ciemności obudził go dziwny szelest, tuż koło jego łóżka. Ktoś stał w świetle żółtych, migocących pustką, barw księżycy.

- Witam, obudziłeś się... to dobrze – mężczyzna w jaskrawym, krwisto-czerwonym garniturze uśmiechał się przebiegle. – Czekam i czekam – dodał poprawiając starannie uczesane, węglowe włosy.

- Kim jesteś? - Spytał zdenerwowany Czewski.

- Artystą, tak jak i ty, bardziej jednak artystą życia i dusz, nie obrazów – uśmiechnął się z wycuciem, biła z niego jakaś absolutna władza, służalcza przebiegłość, inteligencja schowana za mądrym uśmiechem.

- Czego oczekujesz ode mnie? – Rzekł z niepokojem Zbigniew.

- Dobrze pytanie? Nic, w zasadzie nic, odrobinę chęci, namiastkę posłuszeństwa, i wtedy spełnię twoje marzenie, o którym czasami myślisz, jednak nie masz siły go z siebie wydobyć. No... może też brakuje ci odwagi, ale to jeszcze ustalimy.

- Powiedziałeś, że malujesz?

- Jakby to powiedzieć – garnitur odbił się od poświaty księżycy czerwoną barwą – uprawiam taki styl tworzenia, kierunek o nazwie tobie nieznanej, naturalizm żarliwy; jest to połączenie ognia i wody, bardziej jednak ognia. Potrafię, wręcz umiem, wydobyć duszę na światło dzienne... no może bardziej nocne. Fascynuje mnie ogień i żar, który z niego bije. Jak myślisz, czy ogień potrafi mieć wiele znaczeń?

- Nie wiem.

- Myślę, że tak. Potrafi dusić, gasić życie żarem, potrafi piec, dając zaspokojenie i potrafi palić, niszczyć wszystko dookoła, jakby to do niego wszystko należało – mężczyzna zawiesił głos, a jego oczy przybrały węglowy kolor, w którym w środku pojawił się jaskrawy żar. – Choć osobiście uważam, że ogień jest królem świata. Droga ognia jest jego naturalną zdobyczą. Paląc zdobywa, niszcząc tworzy, zostawiając popiół dając nadzieję.

- O co ci chodzi? – Czewski czuł niepokój, a momentami odczuwał też dziwną fascynację obcym człowiekiem.

Był inteligentny, był obyty i był także doskonale ubrany. Styl mieszał się z grozą, a groza mieszała się ze strachem, strachem jakże pociągającym i uzależniającym.

- Mam do ciebie prośbę. Taki przyjacielski gest zaufania. Coś za coś, prosty układ – rzekł z uśmiechem mężczyzna. – Pomyśl o mnie, tylko jeden jedyny raz w ciągu dnia... oczywiście każdego dnia, przez mały moment, przez krótką chwilę, a ja uczynię cię sławnym.

- Nie rozumiem, przecież ja nawet nie wystawiałem swoich prac, nie pokazywałem ich nikomu.

- Nic nie szkodzi. To nie jest teraz ważne – zaśmiał się z tryumfem mężczyzna, a jego głos uniósł się w ciemności nocy jak syk węża, tuż po zadaniu pierwszego ciosu ofierze. – Ktoś do ciebie przyjdzie, ktoś się do ciebie zgłosi. Pamiętaj, jeden jedyny raz w ciągu dnia. – Mężczyzna zaczął w ciemności znikać, niczym mgła na bagnach pośród drzew. – Oczywiście codziennie – demoniczny śmiech zniknął w mroku nocy.

Promień słońca wdarł się rano do pokoju, niczym intruz oświetlił policzek śpiącego Zbigniewa. Ześlizgnął się po włosach, dotknął porannym ciepłem jego powiek i obudził Czewskiego.

Ten wstał, ziewnął leniwie niczym hipopotam na mokradłach i wyszedł na taras. Rząd dachów błyszczał w świetle dnia, trochę wyglądał niczym nieuporządkowany tor przeszkód, chaotycznie ułożony przez pośpiesznego organizatora.

- Cóż za sen, okropny, ale jakże wciągający w swoją grę. – Czewski przeciągnął się sprężysto. – Cóż mi szkodzi pomyśleć o tym mężczyźnie – zaśmiał się radośnie. – W sumie to bezsensu, ale zobaczymy. Sława, pieniądze, a wszystko za jeden gest dobrej woli; to przecież bezsensu, ale czyż samo życie w swojej prostocie nie jest bezsensu, a my żyjemy wbrew logice, wbrew obawom, że nasza droga jest niczym innym jak bezkresnym wałęsaniem się pomiędzy być a mieć, pomiędzy dostać czy wziąć, pomiędzy istnieć czy trwać. Nie lubimy za bardzo myśleć, ja jednak zaryzykuję, myśli, nawet te złe, są zawsze jakąś drogą w innym kierunku niż inni. A ja przecież chcę iść w innym kierunku, na przekór ludziom i czasom.

Czewski wszedł z powrotem do pokoju. Musiał iść na końcowe wykłady na uczelnię, jeszcze dwa miesiące i będzie wolny. Wciąż nie wiedział jednak, co z tą wolnością ma zrobić i czy ją pochopnie nie zmarnuje, rozszarpie jak wilk swoją ofiarę; jednak miał cichy zamiar się nią trochę nacieszyć i wykorzystać do swoich celów.

Kiedy posiadamy wolność tylko w marzeniach, to roztrwaniamy ją na wszelkie sposoby, a jak już jest namacalna i możemy z nią zrobić, co tylko chcemy, strach nie pozwala nam cieszyć się nią do końca. Strach, że coś zepsujemy, strach, że nie będziemy potrafić cieszyć się nią do ostatniego tchu, i strach, że marzenia o wolności są tylko wolnością niespełnionych marzeń.

Przerwa pomiędzy wykładami, końcowymi drganiami ostatków wiedzy, sprzyjała rozmyślaniom na korytarzu uczelni. Szum osób przemieszczających się w nieładzie, niczym rój pszczoł w ulu, spowodował, że Czewski usiadł na rozłożystym parapecie okna, w zakolu małej przystani samotni. Odetchnął z ulgą, coś się kończyło, coś się zaczynało i coś przez moment trwało. Był w zawieszeniu pomiędzy niedokończoną przeszłością a rysującą się w oddali przyszłością, a całość zakrapiana była iskrzącą się jeszcze teraźniejszością.

Cień nad głową obudził go ze snu zawieszenia myśli.

- Cześć Zbyszek, chciałem z tobą porozmawiać – kolega z roku, barczysty Grzegorz, usiadł obok.

- Cześć, o co chodzi? – Spytał Czewski.

- Słyszałem, że coś malujesz? – Spytał niedbale Grzegorz.

- Od kogo? – Zaciekawiał się Czewski.

- Nieważne, od kogo, ważne, że malujesz – rzekł Grzegorz. – Dobre wiadomości szybko się rozchodzą.

- No tak, złe jeszcze szybciej – stwierdził Zbigniew Czewski.

- Proponuję ci rzecz, a w zasadzie układ nieodrżucenia. Mój znajomy sprzedaje obrazy, no wiesz... koło Bramy Floriańskiej. Jestem mu winny przysługę, taką maleńką, on chciałby zobaczyć te twoje dzieła... i jeśli będą dobre mogłyby je sprzedawać turystom.

- Jeśli będą dobre, a jak nie? – Powiedział kąśliwie Czewski.

- Nic nie tracisz, co ci szkodzi żeby je tylko obejrzał. Kiedyś i tak musisz wypuścić je na świat, lepiej będzie jak zobaczy je pierwszy raz fachowiec – mówił Grzegorz. – Najwyżej oszczędzisz sobie wstydu – zaśmiał się Grzegorz. – Nie będzie tak z pewnością, żartuję, na pewno są dobre.

- Dzięki... ty umiesz pocieszać ludzi – zasmucił się Zbigniew Czewski.

- Sztuka to wyzwolenie, sprostanie oczekiwaniom ludzi, zawieszenie pomiędzy próbą wyrażenia siebie, względnie przystępnymi środkami, a zarazem dotarcie jak najbliżej, do zmysłów innych, nie tracąc przy tym własnej tożsamości. Będziemy wieczorem u ciebie.

- Co ty z tego masz? – Zaciekawiał się Czewski.

- Twoją duszę – rzekł sucho Grzegorz. – Żartuję – zaśmiał się patrząc na osłupiały i niemy wyraz twarzy Czewskiego. – Ja też na tym zarobię, uwierz mi. Do wieczora.

Grzegorz zniknął w tłumie. Czewski siedział spięty na parapecie, coś tu nie grało, przypadek czy zbieg okoliczności bliżej nieokreślonych? Fakt, myślał o tym mężczyźnie, jeden tylko raz. Nie, to musi być przypadek, cuda zdarzają się tylko w książkach, najwyżej w marzeniach...

Sprzedawca chodził po strychu, spoglądał na obrazy, zarówno te wiszące, jak i te na regałach, odkładał przeanalizowane na bok i patrzył, zamyślony wystawiał swoją opinię. Wyglądał jak surowy juror, ostro i krytycznie oceniający pracę ucznia.

- Dziwne..., ale dobre. Barwa kolorów... mętna, ale treściwa. Gra cieni, jakby szukanie myśli w chaosie duszy. Niby są niespokojne, ale jednak jest w nich jakaś oaza wyciszenia. Oczywiście miesza się z chaosem, wyłania się z nich pytanie, czy całość marzeń można wydobyć

na światło dzienne? Bez żadnych zbędnych strat – myślał głośno sprzedawca. – I te kreski, nie są jednolite. Przerywana, prawie niewidoczna linia, niektórych postaci i rzeczy. O co w tym chodzi? Co zamierzałeś przez to powiedzieć?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Przecież i tak sprzedajecie bądziwia turystom. Czemu to cię interesuje? – Zirytował się Czewski, znawca, pomyślał. Sprzedaje widoczki a udaje zagłębianie się w sztukę. Kolejny niespełniony artysta analizujący życie innych, a przecież obrazy to żywe fotografie naszych myśli, naszych dusz i naszych sumień, trochę prześwietlone realnością życia.

- Ostry jesteś... to dobrze. Musisz być niezależny i krytyczny, w szczególności wobec siebie, bo nigdy nie dojdiesz do punktu, który sam już sobie wyznaczyłeś i jak na razie jest on dla ciebie nieosiągalny. Chć po prostu wiedzieć – dodał. – A to, że sprzedaje komercję, nie musi wcale oznaczać, że nie znam się na sztuce.

- To dobrze. Chodzi mi tylko o to, że nic w życiu nie jest takie oczywiste jak nam się z pozoru wydaje. To tak jak z ogniem – Czewski sam nie wiedział, czemu podał ten przykład, mężczyzna ze snu oplół jego myśli dziwną pajęczyną wspomnień. – Widzisz pożar, a nie zawsze widzisz dym. Przerywana cienka linia olejna, na konturach niektórych faktur, jest prawie niewidoczna, ale jednak jest, to tak jakby poznawać oczywiste rzeczy i sprawy inaczej, bardziej dogłębnie, trochę podświadomie i na wskroś metafizycznie, ot wszystko. Mój świat nie zawsze musi być światem innych, nie zależy mi na tym, nie taki miałem zamiar. Chciałbym jedynie, żeby czasami ktoś, choć przez małą chwilkę, zamyślił się nad moją wizją świata; może nie jest ona doskonała, może nie jest właściwie do końca określona, ale jest moja i zawsze będzie moim marzeniem o lepszym jutrze. A jak ktoś jeszcze zobaczy odbicie siebie w moich ruchach pędzla, to będzie dla mnie najlepsza zapłata, na pewno idealną zapłatą nie będzie suma, jaką być może przyniesiesz mi kiedyś w przyszłości. Góra pieniędzy to góra problemów, a ja chcę być wolny; pieniędzmi wolności nie da się kupić, można ją tylko konsekwentnie tracić każdego dnia.

- Bierzemy je. Układ 30% dla mnie, 70% dla ciebie, odpowiada – sprzedawca podał rękę Czewskiemu.

- Zgoda.

- Jutro przyjdę po kilka pierwszych. Cześć.

Czewski został sam w pokoju. „Coś tu nie gra. Za szybko to wszystko się dzieje. Zaczynam sprzedawać samego siebie, choć prawdziwej ceny jeszcze do końca nie poznałem. Obawiam się, że pieniądze to tylko

dodatek do zapłaty, która może okazać się w przyszłości zbyt wygórowana”.

Życie to jest ciągła walka, co chcemy zdobyć, co zamierzamy zdobyć i to, co nigdy nie zdobędziemy, a malarstwo jest ciągłym niespełnieniem czegoś, za czym tak bezowocnie podążamy.

Czewski położył się zmęczony spać, noc otuliła granatem nieba całe miasto. Zasnął szybko, dużo wrażeń, dużo myśli, a w dodatku dużo zmian.

Mężczyzna siedział na krześle, noga na nogę zawadiacko założona, z lekką nonszalancją kołysała się rytmicznie. Przemieszczała się z góry na dół, w rytm wskazówek zegara, jakby czas uciekał, nieubłagane zatracił się w próżności życia i jakby nagle zaczęło się coś dziać, gra została rozpoczęta, a każda kolejna sekunda stawiała się częścią tej rozgrywki.

- No i jak myślisz – mężczyzna uśmiechał się tajemniczo – przypadek, czy tylko dotrzymuję słowa?

- Nie wiem, jesteś tylko snem, złym, ale snem – mówił Zbigniew.

-To ty tak uważasz. Gdzie jest granica pomiędzy snem a rzeczywistością? Gdzie sny się kończą, a zaczyna prawdziwe życie? – Wciąż pytał, a mrok otaczał pokój niczym pajęczyna. – Czy sen to nie jest zawieszenie pomiędzy stanem rzeczywistym a nierzeczywistym? Stanem, który nie jesteś sobie sam logicznie wytłumaczyć, gdyż boisz się uzyskać odpowiedź, która zburzy cały twój wizerunek świata.

- O co ci jeszcze chodzi? – Spytał Czewski.

- O to samo, co tobie, o zwycięstwo. Teraz pomyśl o mnie jeden raz więcej, w ciągu dnia. No wiesz, krótka myśl o... jak ty to nazywasz, śnie na jawie.

- Skąd wiesz, że tak pomyślałem? – Czewski był przerażony. Obcy mężczyzna wdzierał mu się w myśli jak burza, pożerająca swoim cieniem skąpane w ciszy miasto.

- Zobaczysz... – mężczyzna wstał z krzesła, popatrzył przez okno na księżyc, czerwony, smutny, lekko uśpiony nocą. – Już niedługo będziesz wielki, obrazy na murach będą się sprzedawać tak dobrze, że zrobisz ci wystawę. Sława, pieniądze, no i zobowiązania wobec mnie – dorzucił ostro, przeszywając wzrokiem pełnym piorunów Zbigniewa.

- To nie dzieje się naprawdę – Czewski był załamany.

- Ja jestem prawdą, jedyną prawdą dla ciebie. To dzięki mnie przejdiesz do historii, to ja zaprowadziłem cię pod mury; w sumie świetny obraz, ten o burzy i statku – dodał niedbale. – Kto wie, może to ja go namalowałem?

- Skąd to wiesz?

- Wiem o tobie dużo. Jestem spełnieniem niespełnionego. Jesteś kimś, kto jeśli mnie będzie słuchał zdobędzie szczyty. Tak naprawdę mamy podobne dusze, tylko, że ty potrafisz wyrażać swoją na płótnie. To są twoje zdjęcia duszy, fotografie twoich marzeń. Nazwę cię fotografem przeżyć, które nagle stają się rzeczywistością. Muszę już iść. Teraz rób to, co ci powiedziałem, a każdego kolejnego tygodnia myśl o jeszcze jeden raz więcej, tylko raz w ciągu dnia, przecież to nic ci nie kosztuje.

- Dobrze, może to zrobię – Czewski głos miał podłamany.

- Zrób to dla siebie. Oczywiście, jeśli ja dotrzymam obietnicy. Nie będę na razie do ciebie zaglądał. Skup się na sobie, przemyśl wszystko, czy warto jest robić to, co się kocha... i czy cena, jaką ci podałem nie jest naprawdę niska?

- Pomyślę.

- Myśl, tylko tego od ciebie wymagam... na razie – zaśmiał się szyderczo i zniknął, a echo poniosło śmiech w mrok, cichy mrok miasta.

Przyszło lato, studia się skończyły. Jaskrawość końca lipca mieszała się ze zgiełkiem miasta. Czewski wciąż malował, istotnie obrazy zaczęły się dobrze sprzedawać. Sprzedawca sam był zaskoczony takim obrotem sprawy, nigdy nikomu nie szły tak dobrze obrazy, zaraz na starcie. Były inne, obce pozostałym wiszącym obok, a jednak się sprzedawały. Inność okazała się ich atutem, może po prostu wyprzedzały swój czas, a może to czas nasączony był ich innością.

Czewski dotrzymywał słowa, myślał o nieznanym, choć uważał to za rodzaj jakiejś paranoi, metafizycznej obłądki, schowanej w jego umyśle. Choć mężczyzna nie pojawiał się już na jawie, wciąż obecny był w nim, powoli stawał się częścią jego rytmu życia. Nie był jeszcze oddechem, jednak nasączał jego bicie serca nostalgią. Nostalgia za szansą wybicia się w sztuce, nostalgią, że będzie można żyć z pasji i nostalgią, że czasami warto pójść na kompromis, żeby później robić rzeczy, które naprawdę są dla nas ważne – są wodą na pustyni życia naszej egzystencji.

Czewski czekał w gabinecie na dyrektora Muzeum Narodowego. Dyrektor sam do niego zadzwonił, sam do niego się zgłosił i sam osobiście chciał z nim porozmawiać.

- Witam, Marecki – podał mu rękę z uśmiechem. Był średniego wzrostu, wiek około pięćdziesięciu lat, przyjazny uśmiech, lekka nadwaga i czarne, lekko siwiejące włosy.

- Witam, Czewski.

- Przejdę do konkretów, nie mam za dużo czasu, oglądałem pana obrazy, są doskonałe, ja się na tym znam. Chciałbym zorganizować pana wystawę, powiedzmy za dwa miesiące.

- Dobrze – Czewski był zaskoczony.

- Wiem, że ma pan część obrazów na strychu, najwyższy czas pokazać je światu – zaśmiał się Marecki. – Ja o wszystko zadbam, to będzie świetna promocja zarówno dla pana, jak i dla nas, zawsze pomagamy młodym zdolnym artystom.

- Dziękuję.

- Nie ma, za co, talent należy promować – Marecki podał rękę Zbigniewowi. – Zgłosi się do pana mój zastępca, zajmie się wszystkim. Do widzenia.

- Do widzenia.

Czewski wyszedł na zewnątrz, hałas miasta wybił go z amoku szczęścia. Był październik, lekko skropiony deszczem, ostatni miesiąc przedzimowy. Czewski nie podjął jak na razie żadnej pracy, obrazy sprzedawały się dobrze, więc mógł spokojnie malować. Przyszłość zawodową po studiach odłożył gdzieś na bok, skupiał się teraz tylko na tworzeniu. Zaryzykował i już wiedział, że zrobił dobrze.

Nagle czyjś wzrok przykuł jego oczy. Mężczyzna stał pośród deszczu, pod czarnym jak smoła parasolem i uśmiechał się szelmowsko. Stał pośród drzew parku, stał pośród płaczu deszczu i stał w rzeczywistym świetle, a przecież był tylko złudzeniem.

Pomachał mu ręką na znak zwycięstwa. Czewski automatycznie odmachnął w strachu. To był on, człowiek ze snu, mężczyzna, który powoli pętał jego myśli strachem, co się jeszcze może wydarzyć.

Gdy Czewski spojrzał ponownie na park, już go nie było. Zjawa udała się w swoje zaświaty.

„To nie jest możliwe, to był tylko przypadek. Może urojenie, to na pewno był ktoś podobny. Widzę to, co chcę widzieć, albo chcę widzieć to, co myślę. Jakaś pętla myślowa, co jest prawdą a co życiem? Muszę się napić. Zapomnieć, choć przez chwilę, o wszystkim”.

Czewski poszedł do baru, wtedy po raz pierwszy od dłuższego czasu upił się, tak do końca, nieprzytomnie i samotnie. Przynajmniej nie myślał. Jedną noc miał zaliczoną, uśpiony wódką statek, samotnie w ciszy kołysał się na morzu. Myśli zostały osadzone kotwicą tuż przy samym brzegu.

Potem znów go widywał gdzieś przelotnie, pomiędzy jednym dniem a drugim. Pomiędzy blaskiem słońca a ciemnością nocy. Pomiędzy momentem zaśnięcia a momentem obudzenia.

Czewski zaczął tracić realność, obcy mężczyzna w czerwonym garniturze, nagle stał się tragicznym bratem jego sumienia. Wciąż był obecny w jego życiu, mijając go gdzieś przelotnie w tłumie, wciąż nasączał jego rozedrgane myśli jakimś złem w nocy i wciąż uparcie stawał się jego mgłą chaosu. Już nie rozmawiał z nim, po prostu zaczął pojawiać się wszędzie. Był, a zarazem go nigdzie nie było. Pojawiał się tam, gdzie istnienie nabierało innego znaczenia. Takie szachy życia, naznaczone złem świata.

Czewski zaczął popijać, żeby jakoś uspokoić myśli, nie tak do bólu i do końca, ale zaczął popijać. Żeby nadal malować musiał kontrolować swoje życie, więc na razie robił to z rozsądkiem, z planowanym umiarem, pasja pomagała mu jakoś przetrwać ten ciężki okres. Okres trudny, okres wątpliwy i okres, który na ironie okazywał się dla niego najbardziej twórczy. Tak bywa, że złe chwile okazują się najlepsze, jeśli ból potrafimy przemienić w sztukę. Są twórcze, są bolesne i są naprawdę nasze. Prawdziwy ból jest siłą nienarodzonych jeszcze emocji.

Gdy jesteśmy pod ścianą, tuż przy samej krawędzi, potrafimy wydobyć z siebie to, co mamy schowane gdzieś głęboko w sobie i sprawić, że później wszystko będzie inne, wyjątkowe z perspektywy dalszej naszej wędrówki.

Czewski miał świadomość, że być może teraz tworzy najlepsze dzieła swojego życia i nie może zmarnować tego przez puste picie. Musiał malować, musiał też czasami pić, a więc balansował jak zagubiony okręt pomiędzy wyspami, nie wiedząc gdzie zacumować kotwicę. Ster wymykał mu się z ręki, wiatry szarpały żagiel, a Czewski, jako kapitan wciąż szukał spokojnej zatoki, żeby mógł odpocząć po sztormie, który zniszczył mu częściowo żagle.

Wystawa okazała się sukcesem. Pisano w gazetach „Świeżość spojrzenia na mrok ludzkiej duszy, wyrażony względnie konwencjonalnymi środkami”. I chyba tak było, krytyka okrzyknęła go nadzieją czegoś nowego, co dopiero wyznaczy nowy kierunek w sztuce.

Czewski zatrudnił agentkę, dawną przyjaciółkę ze szkoły, teraz ona zajmowała się sprzedażą obrazów. Już nie można było ich kupić na murach miasta, ceny znacznie poszły w górę; nazwisko zawsze przyciąga pieniądze, choć czasami szkoda pieniędzy na jakiegokolwiek nazwisko.

Czewski nie myślał o mężczyźnie ze snów, złamał umowę zawartą w jego psychice, chciał się od urojenia jakoś uwolnić. Wyrzucić go z siebie, tak jak wyrzuca się za ciężki balast w przepaść.

Kolejne trzy lata minęły mu na tworzeniu, budowaniu swojej legendy. Stał się osobą rozpoznawalną w świecie malarzy, często zapraszana na wernisaże i różnego rodzaju bankiety.

Poznawał kobiety, spędzał z nimi trochę czasu, później je zostawiał albo to one go zostawiały, żył chwilą swojego nazwiska.

Uciekał w malowanie, kiedy było mu źle, uciekał w malowanie, kiedy było mu dobrze i uciekał w malowanie, kiedy znów pojawiał się mężczyzna w czerwonym garniturze – milczący, wiecznie uśmiechnięty i zawsze tak samo emanujący dziką potęgą tego, co może w przyszłości się wydarzyć.

Zatracił kontakt z rzeczywistością, a mężczyzna pojawiał się nagle jak mrok po słonecznym dniu, nigdy nie wiadomo gdzie i kiedy, i Czewski sam w końcu nie wiedział, czy to dzieje się naprawdę czy to tylko jest wymysł jego wyobraźni. Całość zlewała się w nicość, a on nie chciał o tym nikomu mówić; bał się niezrozumienia i bał się śmieszności ludzi, którzy zawsze wszystko widzą inaczej.

Jako artysta czuł się spełniony, jako człowiek nie. Posiadał szacunek dla swoich obrazów, a nie posiadał szacunku dla samego siebie.

Miał prawie dwadzieścia siedem lat, uznanie wśród krytyków, a jego los wciąż naznaczony był niepewnością jutra. Wciąż musiał sobie udowadniać, że potrafi malować coraz lepiej, i wciąż musiał sobie udowadniać, że mężczyzna w czerwonym garniturze to sen, zły sen, ale sen. Wciąż posiadał w sobie nienasycenie tworzenia, głód wyrażania emocji pędzlem i stanowczość nakładania farb na płótno, kiedy wątpliwości przerysowywały nierealny świat urojeń.

Teraz, kiedy znajdował się na początku drogi, a zarazem był już na szczycie, kiedy zrozumiał, że bycie artystą jest dla niego tlenem dnia powszedniego, gdy już wiele widział a jeszcze więcej nie potrafił dojrzeć, kiedy potrafił smutek rozpoznawać w radości, kiedy umiał zanurzyć się w niebycie i odnaleźć się w jego ramionach, potrafił malować emocje a nie potrafił dotrzeć do ludzi składających się z tych emocji, teraz, kiedy był a czasami czuł się tak jakby go nigdy nie było, kiedy czuł głód dzieł, które miał dopiero stworzyć, zrozumiał, że i tak nigdy nie pojmie świata do końca, nie zrozumie zawłości natury ludzkiej, nie będzie potrafił przeciwstawić się złu, które wyniszcza wszystko dookoła, i nie będzie potrafił zatrzymać dobra na zawsze w środku siebie, gdyż ono i tak ucieknie zza krat jego serca. Wiedział, że tego wszystkiego nigdy nie zrozumie z prostej przyczyny, skoro sam siebie nie potrafi zrozumieć do końca, to jak ma zrozumieć świat i ludzi, którzy po nim kroczą tak jak i

on. Pozostaną dla niego wieczną zagadką, choć postanowił nie zaprzestawać poszukiwań i dążyć do odpowiedzi mimo przeciwności losu.

W końcu był artystą, twórcą niespełnionym, a tacy ludzie zawsze szukają odpowiedzi w pytaniach bez odpowiedzi. Są wywarem z ziół pomagającym tym, którzy naprawdę chcą wyzdrowieć.

Bankiet zbliżał się ku końcowi. Gwar ludzi ostro pijanych, lekko podpitych i tych, którzy udawali przepitych, mieszał się z cichą muzyką kwartetu. Czewski musiał przyznać, że przyjęcia w ambasadzie miały klasę, elegancję naznaczoną snobizmem i dużą ilością wypitych wódek.

Na początku było widać, że towarzystwo jest mieszane – artyści, politycy, trochę bardziej znani dziennikarze i niespełnieni intelektualiści. Ci ostatni musieli najczęściej udawać, sprawiać wrażenie, iż są wręcz niezastąpieni na przyjęciu, są bardzo wyjątkowi w swojej dumie, i że tak bardzo pasują do tego wszystkiego, co ich wokół otacza – obłudy, władzy i splendoru naznaczonego flesztami.

Czewski lubił ich obserwować, grali światowców w źle dobranych, trochę staroświeckich ubraniach. Na początku zawsze chodzili skrepowani, jakby ktoś założył im kajdany obojętności tłumowi na nogi, nikt nie zwracał na nich uwagi.

Gdy pojawiało się jedzenie, doskonale podane przystawki, rzucali się na nie zazwyczaj pierwsi, później artyści i dziennikarze, na końcu władza: z dostojeństwem, z namaszczeniem i z ufnym w swoje możliwości piedestałem.

W piciu było podobnie, gdy podawali na tacach szampany, drinki o wielowarstwowych barwach, zawsze intelektualiści startowali pierwsi, chcąc wyciszyć obojętność tłumowi, później bywało różnie – artyści i władza też szybko upijali się, dziennikarze na końcu, chcieli mieć całość sytuacji na oku: przecież wszystko w życiu jest na sprzedaż, spotkania ludzi także.

Czewski przyszedł na przyjęcie ze swoją agentką, Mariolą Tkacz. Zaprosił ich ambasador, cyklicznie ich zapraszał, co jakiś czas.

Na początku, gdy kwartet grał austriackie walczyki, Zbigniew bawił się obserwowaniem ludzi, później z uśmiechem spoglądał na błazenadę dziennikarzy i źle ubranych intelektualistów, a na końcu spozierał na snobizm władzy, ukryty pod miną pozerstwa i coraz bardziej przepitych spojrzeń. Władza zawsze jest najzabawniejsza, gdy traci kontrolę nad sobą, jest to jedyny moment, kiedy ludzie widzą w nich normalność, zazwyczaj ta normalność boli, kiedy uświadamiamy sobie, że tak prości ludzie, zakłamanani w swojej butności, rządzą tym krajem. Stajemy się dla nich masą ludzi mamionych kłamstwami przy wyborach, kiedy każda ze stron

dobrze wie, że i tak nic z tych obietnic nigdy się nie ziści, i ślepa wiara na zawsze zostanie pogrzebana w studni pełnej snów. Jednak wciąż uparcie wierzymy i oszukujemy samych siebie. Nie da się żyć bez wiary, tak jak nie da się istnieć bez nadziei, gdy sucha pustka, nasączona ślepą obłudą, zabije w nas końcówkę światła z latarni, które powoli będzie przygasało za bladą mgłą, zbliżającą się powoli do kamienistego ładu.

Czewski rozmawiał z bystrą blondynką o długich, lekko falujących włosach, i o błękitnym spojrzeniu. Była dziennikarką, niestety o zbyt prawicowych poglądach, zakochaną w polityce, ze ślepą wiarą, że wszystko w kuluarach jest tak bardzo uczciwe.

Pomimo swoich trzydziestu lat, uparcie miała swój umysł nadzieją, że uda się coś zmienić w tym kraju, i że tłum też zmieni swoje podejście do życia – zacznie istnieć a nie trwać, przy okazji tylko konsumując zbędne produkty, otaczające go coraz ciśniej, duszące ostatnie oddechy wolności.

Po chwili rozmowy odeszła od niego i podeszła do podpitego polityka, trochę grubego i lekko bladego. Władza przyciąga do siebie piękne kobiety, jest jak samotne drzewo, usychające na tle nieba, lecz zawsze potrzebujące chwilowego deszczu. I tam, tuż przy kontuarze baru, skupiało się teraz życie towarzyskie elit, rządzących tym miastem.

Blondynka szybko została wchłonięta przez tłum, piękno zostało wtopione w świeże ustawy, dopiero, co rodzące się w oparach wódki. Mogła zaistnieć w ich tworzeniu, stać się częścią czegoś nowego, i nie przeszkadzało jej to, że zapłata może być noc spędzona z facetem, który rano przy zbyt jaskrawym świetle, straci cały swój blask. Znów będzie gnidą spełniającą swój obowiązek, pionkiem niemającym żadnego wpływu, na zło tego świata. Dzisiaj jest Bogiem, pijanym Bogiem nadziei.

Wśród tego tłumu Czewski zobaczył znajomą twarz. Czerwony garnitur został zastąpiony czernią, mahoniowym materiałem, tańczącym wśród lamp przy barze.

Nieznajomy podszedł do Zbigniewa. Podał mu rękę, jak zwykle był szarmancki i pewny siebie, wręcz butny.

- Witam partnerze, coś ostatnio mnie zaniedbujesz.

- Ciebie nie ma! Rozumiesz, jesteś moją wyobraźnią, grą snów naznaczonych moją zgubą – Czewski szybko wypił drinka, prawie jednym haustem. Chciał się znów upić, zapomnieć o tym wszystkim, co jest w jego umyśle. To była jedyna rada, recepta na zabicie zbyt wybujałej wyobraźni.

- Przecież prowadzę z tobą konwersację. A kariera, to też złudzenie? – Spytał zdziwiony mężczyzna.

- Ciebie nie ma! Nie istnieje!

- Założysz się? – Śmiech rozległ się po sali. – Jestem w tobie, tak jak ty jesteś we mnie. Tak będzie zawsze. Morze musi mieć plażę, a ocean wyspy. Ty musisz mieć mnie. Jak sprzedaż obrazów?

- Dobrze – Czewski wypijał w pośpiechu kolejnego drinka.

- Pamiętaj o zobowiązaniach. Zawsze dotrzymuj obietnic, nawet, gdy je dajesz nieznanym, gdyż szybko stracisz szacunek ludzi i samego siebie.

- Odejdź, proszę cię!

- Odejdę, lecz jeszcze się spotkamy. To spotkanie będzie dla ciebie, jak i dla mnie, sporym zaskoczeniem, jednak dla ciebie większym. Poznasz wtedy wszystkie odpowiedzi, jednak nie wiem czy będziesz zadowolony ze złudzeń, które będziesz musiał sam sobie wytłumaczyć.

- Jakie odpowiedzi?

- Bądź cierpliwy. Życie to pytanie, a los to odpowiedź. Maluj, twórz rzeczy ważne, dzieła obarczone troską twojego spojrzenia. Gdy tworzysz jesteś sobą, czas pomiędzy to nicość, postaraj się zniwelować nicość do minimum, a wtedy całość będzie bardziej spójna. Liczą się tylko chwile całkowitego spełnienia, pozostałe są zbędne, są przeszkodą do celu, za którym biegamy całe życie. Nigdy nie udaje nam się dojść do żadnego z celów, z góry ustalonych wierzchołków. Goniąc to złudzenie, a ja daję ci wiarę tego złudzenia.

- A spełnienie?

- Spełnienie, to zgubne wmawianie sobie przez cały czas, że to, co robimy, jest tak samo ważne dla innych, jak i dla nas samych. Przeważnie tak nie jest.

Nieznajomy zaczął odchodzić, jednak spojrzał jeszcze raz na Czewskiego.

- Spotkamy się, karą za twoją wzgardę, wobec niedotrzymanej obietnicy, będzie prawda, bolesna prawda rzeczywistości.

- Nie odchodź. Odpowiedz mi...?

- Z kim ty rozmawiasz? – Mariola Tkacz, lekko znieczulona alkoholem, stała obok.

- No... z tym mężczyzną – Czewski był zdeorientowany.

- Jakim? – Tkacz śmiała się, rozbudzona kolejnym drinkiem. – Stoisz tu od piętnastu minut i mówisz coś sam do siebie.

- Jak to? Ale ten mężczyzna... – Czewski nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Martwię się o ciebie, mówisz sam do siebie, masz jakieś stany lękowe. Co z tobą? Może pójść do jakiegoś psychologa.

- Chyba pójdę... Ale dzisiaj po prostu się upiję.

Czewski wypił szybko kilka drinków, takich znieczulających, lekko pobudzających, potańczył z blondynką, którą wyciągnął z tłumu przy barze, wyśmiał jednego dyplomatę i pojechał taksówką do domu, w towarzystwie rozochoczonej dziennikarki. Też czuła się samotna w tłumie, po alkoholu rozumiała, że nie chce dzisiaj być sama, tak samo jak i on, oboje chcieli jak najszybciej zapomnieć o kolejnym rozbitym dniu w ich życiu. Szklanym odprysku samotności, w którym obraz odbijał niewyraźne kontury świata.

Czasami Czewski czuł się jak rozbite lustro, w rozsypce leżące na dywanie, a każdy z tych kawałków dawał inne odbicie, rozmazany obraz duszy, niedopasowanej rzeczywistości. Ciągłe nie mógł znaleźć odpowiedzi, jak dopasować to w jedną spójną całość, posklejać myśli w mapę kolejnych złudzeń.

Czewski próbował o mężczyźnie zapomnieć. To, co powiedziała mu, a raczej zasygnalizowała Mariola Tkacz, było jakąś tam prawdą, jej prawdą, jednak nie jego. Stany lękowe, przewidzenia, dziwne rozmowy, przecież to wszystko było, ale czy naprawdę w nim.

Może gdzieś się zgubił, latał niczym lekkie pióro pośród burzy, unoszone groźnie wiejącym wiatrem. Odbijał się od drzew i ciągle próbował upaść na ziemię, a porywiste wiatry uparcie ciągnęły go za sobą, w kierunku ciemnych chmur burzowych.

Jednak w tą noc żarliwie się kochał, zapominał w ramionach kobiety o bólu, samotności, lęku. Czułość obcej kobiety zgasiła całą niepewność jego myśli. Był on, była ona, był żar – balsam ich uczuć zniknął w czerwieni księżycy, unoszącej się tuż za oknem.

W końcu poszedł do lekarza, właściwie do szpitala, który zajmował się takimi stanami. Przeszedł przez park należący do ośrodka. Park, w którym szaleństwo mieszało się z pustką, obłęd nasączony był dzikim spojrzeniem obcych twarzy, a pokiereszowane serca powoli wracały do zrozpaczonego umysłu – a całość kontrolowana była przez biały personel więzienny.

Zapukał do pokoju. Otworzył białe drzwi i usiadł naprzeciwko białego lekarza, w białym i czystym fartuchu. Kolor biały był wszędzie: biurko, krzesło, nawet lampka miała ten odcień życia. Wyciszenie przez kolor, kolor wyciszony przez szaleństwo tego budynku.

- Dobrze, że pan jest – rzekł czule biały lekarz. – Muszę z panem w końcu porozmawiać.

- Zna mnie pan? – Spytał Czewski.

- Od dwóch lat – powiedział doktor.

- Przecież jestem tutaj pierwszy raz – spokojnie odparł Zbigniew.

- Tak tylko ci się wydaje.

Ktoś zapukał do drzwi. Lekarz powiedział:

- Proszę wejść, doktorze Natasz.

Ktoś stanął za plecami Czewskiego. Ten odwrócił się spokojnie i nagle strach pojawił się w jego oczach, był jak ostry wiatr na pustyni, sypiący suchym piaskiem w oczy wędrowców.

Mężczyzna w białym ubraniu był człowiekiem z jego snów, paranoją jego myśli, mglistym snem na jawie. Czewski poczuł się jakby ktoś nagle wywrócił całe jego życie do góry i ostro upuścił je na dół, a bezwładne ciało w popłochu leciało w kierunku białej podłogi zwątpienia.

- Przecież ciebie nie ma – Czewski załamał ręce i schował w rozedrganej twarzy. – Jesteś snem.

Czewski zaczął nerwowo szlochać, nie wiedział już nic, co się wokół niego dzieje, stracił całkowicie kontrolę nad swoim losem.

- Siostro! – Krzyknął lekarz za biurkiem.

Wbiegła siostra, lekarze kurczowo trzymali podenerwowanego Czewskiego, cały się trząsł. Powieki łapczywie starały się znaleźć jakiś constans.

- Zastryk! – Krzyknął lekarz.

Siostra z wielką wprawą odwinęła rękaw koszuli Zbigniewa i przyłożyła strzykawkę. Mężczyźni mocno go trzymali.

Czewski zanim odpłynął w sny, po mocnym i skutecznym lekarstwie w płynie, zanim igła wyszła z jego krwiobiegu, spojrzał pielęgniarce przez sekundę w twarz. Osłupiał przerażony, obok stała Mariola Tkacz w białym kitlu i pogodnie się uśmiechała.

„Co się ze mną dzieje? Co jest z moim życiem? Dokąd to wszystko zmierza? Żyję w tamtym świecie, na pewno nie w tym. Jestem twórcą, malarzem, nie obłąkanym facetem zawieszonym pomiędzy dwoma światami. Życie to jest to, co mam przed oczami, a nie to, kiedy dusza i zmysły zniewalają właściwe odbieranie całości. Jestem wolny od tego wszystkiego. Jestem wolny od...”.

Czewski zasnął. Jego myśli zamarły w bezruchu czasu. Znów był spokojny, sen uśpił jego zmyły na krótki moment.

Zbigniew otworzył oczy, nagle i świadomie, spojrzał za okno, zachód słońca rysował się promiennie, na wysokości równo rosnących drzew w ogrodzie. Pomarańczowy blask pokrywał swoją barwą cały ogród, ułożył się do snu na białej pościeli Czewskiego. Wyglądał w swoich konturach jak pies, złocisty przyjaciel ułożony u stóp swego pana.

Ktoś zapukał i otworzył ostro drzwi. Lekarz wszedł do pojedynczej sali i spojrzął z troską, wręcz nienaganną czułością, na pacjenta.

- Lepiej – spytał trochę z zaskobieniem.

- O co tutaj chodzi? Jakże dwa lata?

- Leczysz się u nas o dwóch lat. Są poprawy, lecz niestety niewielkie – lekarz zamyślił się przez krótką chwilę. – Nie możemy cię wypuścić, przynajmniej na razie. Masz straszne skoki nastrojów, raz jesteś szczęśliwy, za moment przenika twą twarz mroczna depresja. No... i te rozmowy z kimś, no wiesz... sam rozmawiasz ze sobą.

- Nie wiem, co już jest jawą a co snem – Czewski schował twarz w dłoniach. – Gdzie ja żyję, który świat jest naprawdę mój? Straciłem swoje życie, ale nie tracę wiary, że je odnajdę.

- Sam musisz zdecydować, który świat jest właściwy. Gdzie istniejesz naprawdę. To ty musisz podjąć tą właściwą decyzję, my ci oczywiście pomożemy.

- Ludzie, nawet ci zdrowi, żyją w swoich zamkniętych pokojach, przeważnie złych, nie mają odwagi rozwalić szklanej klatki, w której są schowani i wyjść na zewnątrz. Boją się stracić złudzenia. Ja przecież odnalazłem kiedyś taki świat, byłem tam szczęśliwy i wolny. Naprawdę tak było.

- Prawdziwa wolność to wolność od pragnień. Kiedy wyzwolisz się od pragnień jednego świata, odnajdziesz szczęście drugiego – lekarz mówił chłodno, ale z uczuciem troski. – Kiedyś będziesz musiał podjąć właściwą decyzję i wtedy cię wypuścimy. Jeśli nie podejmiesz jej nigdy, a przynajmniej nie spróbujesz podjąć ją rozsądnie, zostaniesz tu na zawsze.

- Byłem malarzem, poprzez sztukę byłem sobą, wolny i bez więzów rzeczywistości. Umiałem odnaleźć pustkę i radość w sobie. Nie bałem się patrzeć ludziom w oczy, teraz krępię się nawet własnego odbicia w lustrze. Sztuka wyzwoliła mnie dosłownie, mogli zabrać mi wszystko, pieniądze, dom i wsadzić mnie do więzienia, lecz dumy i wolności nie mogli mi ukraść. Mogli mnie zabić, to jedyne, co mogli ze mną zrobić żebym się poddał, ale inaczej nie mogli wyrządzić mi krzywdy. Wszystko to osiągnąłem dzięki malowaniu obrazów, a teraz to straciłem. Tracąc pasję straciłem duszę. Umarłem za życia, pogrzebałem zarówno przeszłość jak i przyszłość, w głębokim grobie teraźniejszości.

Lekarz patrzył ze smutkiem, wyszedł nic nie mówiąc. Jego kroki po chwili znikły w głębi korytarza. Czewski siedział podłamani, myśli gubiły się w chaosie skojarzeń. Lekarz po chwili wrócił, pod ręką coś trzymał kurczowo.

- Popatrz, to są twoje dzieła.

Czewski patrzył z niedowierzaniem na nijakie bohomyzy, umieszczone na białych formatach kartkowych. Niby jakieś pejzaże, niby pozorne widoki, niesprecyzowane figury naniesione w pośpiechu dnia.

- To wszystko ja namalowałem?

- Tak... niestety tak. Przykro mi. Prawdziwe dzieła są tylko w twojej głowie, chorej głowie.

- Najwięksi malarze też byli chorzy, chorzy na wolność – smutno odparł Czewski. – To nie jest możliwe, to nie dzieje się naprawdę.

Lekarz pokiwał głową z wyczuciem. Spoglądając, obiektywnie zerknął na Czewskiego i wyszedł. Nie miał mu nic do powiedzenia, wszystko już zostało powiedziane. Są takie chwile, zdarzenia, że słowa już nic nie znaczą, są pustymi frazesami – to była właśnie taka chwila.

Po chwili ktoś zapukał do drzwi. Pojawił się doktor Natasz. Uśmiechał się pogodnie.

- No i jak wygląda rzeczywistość? – Spytał.

- Nijako, obco. Zabraliście mi mój świat.

Lekarz nachylił się Zbigniewowi do ucha i zmienił ton na bardziej ostry, artykułował sucho cięte słowa:

- Mówiłem ci, że wkrótce się spotkamy. Nie wierzyłeś.

- Kim jesteś?

- Twoją przeszłością. Nie dotrzymałeś umowy, teraz spotka cię za to kara.

- O co ci naprawdę chodzi?

- Teraz już o nic. Tak właśnie będzie wyglądać twoje życie do końca. Dałem ci wszystko, a teraz zabieram ci wszystko, całość wspomnień dawnego życia.

- Tak będzie już zawsze?

- Nie umiałeś docenić przeszłości, teraz pokochasz z bólem terażniejszość. Ci, co nie wyciągają wniosków z pomyłek przeszłości, giną nagle w terażniejszości. Umierają powoli w amoku życia.

- A sztuka?

- Sztuka to iluzja, tak jak iluzją jest życie. Żegnam, pacjencie niespełnionych snów. Za złe wybory zawsze płaci się najwyższą cenę, stawkę, która przypieczętowuje właściwie nasz los.

Czewski został sam, pokonany, załamany i skrajnie przygnębiony. Coś mu nie grało, coś podpowiadało, że jest to jakaś dziwna gra – gra myśli urojonych.

„Nie zamkną mnie za kratą marzeń! Nie zamkną myśli skłębionych w locie ptaka! Nie zamkną słów niesionych w barwach odcieni pędzla!”.

Wstał powoli, zajrzał do szafy. Ubranie wisiało równo na wieszakach. Ubrał się szybko, skupiony w sobie niczym strzelec wyborowy przed ostatnią akcją i wyszedł, spokojnie opuścił pokój. Musiał ponownie zanurzyć się w rzeczywistość, chciał odnaleźć właściwe odpowiedzi, a siedząc tutaj, w rezerwacie duszy, umierałby niczym kwiat w doniczce, podlewany zbyt dużą ilością wody.

Malarstwo jest iluzją, zbyt boleśnie wyciąganą z wnętrza, idącą w kierunku promieni naszej świadomości. Rzeczywistość to obrazy zatracone w iluzji tego świata. Wszystko się miesza – obrazy z życiem, życie z obrazami, całość nasączona jest nostalgią.

Kiedy życie stanie się obrazem, a marzenie płótnem nasączonym pragnieniem, osiągniemy spójność całkowitą. Jednak, kiedy obraz wypadnie z ram, a farba okaże się zbyt jaskrawa dla naszych oczu, stracimy kierunek, zgubimy się w szaleństwie dnia i ciemności nocy; staniemy się ciałą, krążącą zbyt blisko światła naszych pragnień.

Musimy tworzyć obrazy naszego życia, musimy tworzyć obrazy naszych marzeń, lecz najważniejszą rzeczą jest to, żeby twórca nie przerósł swojego dzieła, które jest tylko kolejną częścią nieposkładanych skrawków duszy ludzkiej.

ODKUPIENIE

Przemysław D. pochodził z rodziny przeciętnej, urzędnicy średniego szczebla z małą szansą na radykalną zmianę zawodową. Jego rodzice poznali się na studiach, pokochali nagle, niespodziewanie, zachłannie – jak kiedyś mu powiedzieli – ich miłość stała się doskonałym spełnieniem marzeń o wspólnej przyszłości.

Skończyli studia i dostali szansę, zamieszkania w zapomnianym, małym miasteczku. Chcieli pracować wspólnie, chcieli razem spoglądać na życie poprzez te same problemy i pragnęli być ciągle ze sobą, choćby w zapomnianym przez świat skrawku ładu. Kochali się, tak jak tylko mogą się kochać ludzie, na początku drogi każdego uczucia. Żarliwie i namacalnie, ogniście i w spełnieniu, przyjaźń zatracona w miłości nocy i miłość dnia otulona przyjaźnią ranka. Wiedzieli, że te dni pierwsze, kiedy coś się w sercu rodzi, kiedy jeszcze nie wiemy, że nasze myśli stają się ściśle uporządkowane na drugą osobę, kiedy serce boli w amoku dnia, z chęci zobaczenia osoby dopiero, co poznanej, kiedy sami zaskakujemy siebie swoim zachowaniem – dziwnym i tajemniczym – odczuwamy ból rozstania w momencie dopiero, co zaczynającego się spotkania, i rozumiemy, że mamy ogromne szczęście, iż udało nam się trafić na właściwą osobę we właściwym czasie – właśnie to wiedzieli, że początek zawsze jest najważniejszy, kiedy coś się później zacznie kończyć.

Oboje czuli, że te dni pierwsze, przeradzające się później w miesiące, a doskonale mówiąc, przy odrobinie szczęścia w lata, a dla wybrańców po kres drogi, właśnie te dni są symetrycznie doskonałe, a później, zdecydowanie później, kiedy euforia wymiesza się z przyzwyczajeniami, kiedy inność zacznie walczyć z żarem, i kiedy wymieszają się te dwa światy do końca, stworzą puchar nadziei spełnienia, później wszystko się zmieni. Wiedzieli o tym oboje, dlatego tak żarliwie zatarcili się w swoim uczuciu, zanim życie zacznie punktować ich swoją szarością.

Później narodził się on, symbol ich miłości, pieczęć szczęścia w dopiero, co rodzącej się książce życia – Przemysław D..

Następnie była rutyna życia, czyli praca, rodzina i dom. Szarość walcząca z zanikającym powoli, niczym woda w studni, uczuciu. I kiedy ich miłość umierała, przeistaczała się w agonię losu, kiedy w zasadzie wszystko było jasne, lecz nikt nie chciał o tym na głos mówić, ojciec zachorował, szybko i z taką determinacją, jakby choroba miała ich jakoś uratować. I uratowała. Ojciec zanim umarł, a odchodził szybko i konsekwentnie, każdego dnia, każdej godziny i każdej minuty, zmienił się.

Znów zaczął spoglądać na żonę dawnym spojrzeniem, choć teraz tracili go w każdym oddechu powietrza, w każdym promieniu słońca i w kroplach deszczu, które bezpiecznie spływały po szybach ich mieszkania.

Miłość wróciła za późno, kiedy wszystko było już stracone. Stała się bumerangiem wyrzuconym zbyt daleko, który był bez szans na powrót, i gdy zniknął w pobliskiej chmurze, to jednak mimo wszystko wrócił, przyleciał ze zdwojoną siłą do ręki właściciela. Ale zrobił to o wiele za późno.

Przemysław D. nie widział ich takich od dawna, tak kochających się łączywie. Łapali chciwie resztki uczuć, starając się oszukać tykający w pośpiechu czas. Wspierali się nawzajem, splecione ręce bólu wspólnie szły drogą przeznaczenia. Wiedzieli, że przegrywają, konsekwentnie przegrywają własne szczęście, i że wkrótce przegrają, lecz wciąż cieszyli się świeżym przypływem miłości, która wróciła tuż na progu śmierci. Ojciec umarł, a miłość została na wieki w sercu matki. Przemysław D. stojąc nad grobem, miał wtedy dziesięć lat, zrozumiał podstawową rzecz, pierwszą lekcję życia. Nic nie jest takie, jak nam się do końca wydaje, nic, co się kiedyś zaczęło, wcale nie musi oznaczać, że tak się musi skończyć, i nic, co mówią o nas inni nie jest do końca prawdą, nie znając sedna trudno pojąć istotę.

Drugą rzeczą, którą zrozumiał, zaraz po wyjściu z cmentarza, był ból, który nigdy już nie zniknie i myśl, która niczym wiatr przed burzą, przemknęła przez jego głowę. Czasami strata oznacza zwycięstwo, czasami ból oznacza wygraną, czasami miłość ma wiele znaczeń, i kiedy wydaje nam się, że ją straciliśmy bezpowrotnie, wraca, kusi swoim żarem i daje słodycz zwycięstwa, właśnie wtedy, kiedy wojska przeciwnika dawno wycofały się z pola boju. Miłość to nie jest pieczęć zawarta w dokumencie, jest to wielki znak zapytania, czasami zmieniający się w wyolbrzymiony wykrzyknik łez i skarg. W tych sprawach rzeczy jasne nigdy nie są do końca sprawami jasnymi, a rzeczy niejasne nigdy nie są takie, jakie innym się z pozoru wydają.

Matka została sama, i tak już było ciągle. Przemysław D. dorósł, wyjechał do dużego miasta, znalazł pracę, raczej średnio płatną i tam próbował jakoś żyć. Kochał matkę, tylko ją miał; jednak swojej miłości jeszcze nie odnalazł. Przyjeżdżał do niej czasami, widział smutek samotności w jej oczach, rozumiał to, sam był zagubiony w wielkim mieście, i pocieszał ją kłamiąc, że kiedyś będzie inaczej. Będąc samemu zagubionym, ciężko pomóc innej zagubionej duszy.

Przemysław D. wyprowadzając się do miasta, zostawił przyjaciół na miejscu, teraz miał przyjaciół tylko na odległość.

W mieście długie godziny pracy, zmęczenie chowane w wynajmowanym mieszkaniu, nie sprzyjały zarówno miłości jak i przyjaźniom. A więc był sam, sam mając prawie trzydzieści lat. Wiek nie miał znaczenia, większe znaczenie miała samotność.

Zabiegani ludzie, zabiegane twarze, zabiegane samotne dziewczyny w autobusach, bez jakichkolwiek szans na ich poznanie – to była ponura rzeczywistość miasta. Czasami, kiedy jechał środkami komunikacji publicznej, przyglądał się kobietom w jego wieku, zadbanym, miłym w dotyku jego spojrzenia, zabijające czas czytaniem książek, i gdy tak na nie zerkał, widział brak obrączek na ich dłoniach, czuł, że coś mogłoby zaiskrzyć między nimi, lecz wiedział, że tak nigdy się nie stanie. On do końca będzie patrzył swoim pustym wzrokiem w ich stronę, a one sponad książek będą z zainteresowaniem zerkać w jego oczy. A tak naprawdę nic się nie stanie, nigdy nic między nimi się nie wydarzy. On będzie konsekwentnie i z rezygnacją na nie samotnie spoglądać, a one z rutyną i z niecierpliwością, do końca będą na niego samotnie zerkać. Samotne serca schowane w blaszanej maszynie, samotnie będą starzeć się w pędzie świata.

Przemysław D. miał kilku kolegów, lecz oni mieli swoje żony i dziewczyny, a on będąc przy nich, czuł się jak piąte koło u wozu. Gdy się z nimi spotykał, było to tylko zabijanie czasu wolnego, a tak naprawdę marnował kolejne chwile, tracił czas wiedząc, że w ich towarzystwie nigdy nie pozna swojej jedynej osoby w życiu. Wyrzucał cenne sekundy wiary w błoto.

Najgorsze były wakacje, nie chciał ich spędzać samotnie, a zarazem nie chciał ich marnować. Siedzenie w domu, nie wyjeżdżanie nigdzie, nie było żadnym rozwiązaniem. Nie należał do ludzi poddających się zbyt łatwo, taki był jego ojciec, to po nim odziedziczył tą cechę. Posiadał wiarę, że zawsze można odmienić swój los.

Przemysław D. zawsze chciał być kowalem swojego losu, na razie niesprzyjającego, i kiedy miał problem, starał się go jakoś rozwiązać. Problemy i stres jednych paraliżują, innym dają siłę i zmuszają do większego wysiłku działania. On należał do tej drugiej grupy.

Zawsze wstawał rano, przeciągał się, zwiotczałe mięśnie odzyskiwały dawną sprawność. Podchodził do okna i nawet wtedy, kiedy łało z nieba, patrzył i mówił: „Życie to dar, nie można go tak marnować; na pewno uda mi się kogoś poznać, kto będzie mnie w stanie pokochać i ja będę w stanie go pokochać; życie to wyzwanie, rękawiczka rzucona od losu, a ja muszę

ją tylko podnieść i ruszyć do walki”. Tak sobie codziennie powtarzał, na razie nic się nie zmieniało, ale wierzył, że w końcu coś drgnie i znów zacznie żyć naprawdę.

A więc w wakacje Przemysław D. postanowił jeździć na wycieczki objazdowe. Obawiał się trochę tej pierwszej eskapady, przecież była to samotna wyprawa w obcy świat. Jednak o wiele bardziej bał się strachu, panicznego lęku zagubienia, iż kiedy zostanie sam w pustym mieszkaniu, to wolny czas z żelazną konsekwencją będzie go zabijał w każdej chwili. Puste emocje ukrzyżują go w czasie nudnego i bezpiecznego dnia, nieważne czy będzie słoneczny czy ponury, będzie to zhora egzystencji strachu, jego serce po prostu umrze, a czas zabije w nim całą nadwątłą boleścią wolność.

Pojechał do Włoch, było wręcz doskonale. Szybko zorientował się, że na takie wyprawy jeżdżą skrajni ludzie: pary, starsze osoby będące jeszcze w formie, samotne dziewczyny będące przyjaciółkami, i tacy jak on, ludzie lubiący podróże. Bywały też dziewczyny, które same chcą coś zobaczyć, i nie boją się podjąć decyzji, że samemu też można doskonale spędzić czas.

Takie wyprawy to emocjonalne wyzwanie dla samotnej osoby. Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka. Nigdy nie wiadomo czy będziemy potrafili się otworzyć na drugą obcą osobę. Czy w ogóle poznamy kogoś, czy będziemy potrafili poznać kogoś? Samemu zawsze jest trudniej, w każdej codziennej decyzji życia. Strach można pokonać, zawsze można go utopić w rzece wyzwania.

Rok później postanowił wyjechać do Chorwacji, kraju pełnego wysp – małych, dużych, zaludnionych i pustych, wysp szczęścia, wysp nasłonecznionych i wysp, gdzie ludzie jeszcze potrafią żyć naprawdę. Kraju pełnego promiennego słońca, kraju schowanego wśród niezliczonej ilości zatok, i kraju, gdzie małe miasteczka, ułożone równo w akwenach Morza Adriatyckiego, świeżo oddychają swoim powietrzem. Żyją spokojem ciszy, żyją pośród przypływów Morza Adriatyckiego i żyją schowane w cieniu gór, ściskających ich swoimi ramionami od środka.

Przemysław D. chciał zobaczyć ojczyznę wina, ojczyznę wolności schowanej w ludzkich oczach i ojczyznę ludzi, którzy zrozumieli, że życie to nie tylko praca, lecz czas, który umiemy poświęcić sobie samemu i tym, którzy myślą podobnie jak my.

Przemysław D. wszedł do biura, wybrał najlepszą ofertę i wyszedł. Teraz, trzy miesiące przed wyjazdem, gdy zapłacił pierwszą zaliczkę, poczuł się wolny. Już nie zrezygnuje, już nie zwątpi na samym starcie i już nie musi obawiać się dni, które pustką zabijają takich jak on.

Matka zadzwoniła do niego nagle i niespodziewanie. Rzekła, jestem w twoim mieście i chcę się z tobą zobaczyć. Cieszył się z tego spotkania, dawno jej nie widział i zapewne ona też chciała go zobaczyć.

Uściskali się w parku, objęli ramionami, czuł zapach jej włosów lekko siwiejących, i czuł, że coś dziwnego dzieje się z nią, wyczuwał to podświadomie. Miał instynkt, instynkt do wyczuwania problemów na odległość.

Nie pomylił się, pierwsze słowa matki były jak wyrok, jak zatruta strzała przeszły jego szyję, jeszcze żył zraniony słowami, jeszcze czuł, że trucizna zaczyna powoli działać, i jeszcze oddychał, powoli łapał chciwie każdy oddech.

- Muszę mieć tę operację, inaczej umrę – cicho, prawie niedosłyszalnie rzekła matka.

- Kiedy?

- Jak najprędzej. Mam termin za dwa lata – powiedziała chłodno, chyba się już poddała. – Nie dożyję tych kolejnych lat.

- Co ci powiedzieli?

- Proszę czekać, tak rzekli – łzy pojawiły się w żrenicach matki – czekać na śmierć, pomyślałam od razu nieświadomie.

- Nic nie da się zrobić? – Spytał Przemysław D..

- Da, wszystko się da, jeśli masz pieniądze.

- Ile?

- Dwadzieścia tysięcy i mogą mi ją zrobić choćby za trzy miesiące.

- Wyzdrowiejesz całkowicie?

- Nie, to tylko odwlecze coś, co i tak się kiedyś zdarzy. Będę żyła dłużej, może dziesięć lat, może pięć... nie wiem, bez operacji na pewno umrę.

Przemysław D. myślał gorączkowo, sam był trupem finansowym, nie oszczędzał prawie w ogóle, nie miał w sumie, z czego. Żył dniem dzisiejszym, zbyt mało zarabiał żeby próbować odmienić swój los. Kiedy na starcie wszystko jest jasne, po co niepotrzebnie komplikować przyszłość.

- Zdobędę te pieniądze dla ciebie – postanowił.

- Ale jak? – Matka zapłakała.

- Zdobęde – przecież znał ludzi, złych ludzi, którymi gardził, ale mieli pieniądze, złe pieniądze na zły procent.

Pożegnali się czule, matka wracała do siebie, a on miał cel, zdobyć te dwadzieścia tysięcy złotych.

Mężczyzna stał nad nim jak kat, patrzył z niedowierzaniem mu prosto w oczy.

- Pożyczamy na krótko, bardzo krótko i na duży procent – mówił sucho, lecz stanowczo. – Wiesz o tym?

- Tak wiem – wzrok Przemysława D. był zimny, na razie dobrze grał swoją wyuczoną rolę.

- Wiesz, co cię spotka, jak nie oddasz?

- Wiem.

- Nie próbuj nas oszukać i módl się, żeby ten interes wypalił.

- Wypali, to są szybkie pieniądze, współnik tak mówi.

- Dobrze byłoby, żeby miał rację.

- Ma – skłamał Przemysław D., nie lubił kłamać, uważał to za potwarz wobec drugiego człowieka, ale musiał, kłamiąc kogoś, sam siebie obrzucał błotem.

Wyszedł na ulicę, w rękach trzymał życie matki, dar papierków, które zabijały go już w momencie ich otrzymania. Nie był w stanie ich oddać, zagrał ryzykownie, zbyt ryzykownie. Przeanalizował zyski i straty, on żadnych zysków nie miał, oprócz życia matki oczywiście, ale to było najważniejsze w tej chwili, swoje straty postanowił zostawić na później.

Są takie sytuacje, że już w momencie podjęcia decyzji, palimy się na stosie rezygnacji, czasami nie mamy wyjścia, wyjściem jest stos, cicha zagłada naszych poczynąń.

Operacja się udała, matka w szpitalu szybko odzyskiwała siły. Dziwne, papierki, a jednak tak ułatwiają nam czasami życie. Lekarze byli mili, pielęgniarki troskliwe, w cenę wliczona była namiastka uczuć do pacjenta, współczucie wyrażone w banknotach.

- Dobrze się czujesz? – Spytał Przemysław D..

- Tak. Skąd miałeś pieniądze?

- Odłożone miałem – skłamał, tak bardzo nienawidził siebie za ciągłą konieczność oszukiwania bliskich.

- Tak dobrze zarabiasz?

- Nieźle – piekło gotowało mu się w sercu.

- Kiedy wyjeżdżasz? – Spytała matka.

- Za dwa dni. Do Chorwacji. Poznam nowych ludzi, nowy kraj. To wszystko pozostanie mi w pamięci, kiedy kiedyś będę to umiał jeszcze wspominać – mówił czule, wiedział, co jest ceną życia matki, oszukał oszustów, prędzej czy później będą chcieli odzyskać te pieniądze, nie znał dokładnej ceny tego kłamstwa, przypuszczał tylko, jakie będą konsekwencje.

Aż w końcu nadszedł dzień wyjazdu, spakował się do małej torby: krótkie spodenki, dużo podkoszulków, kilka par skarpet i majtek, jakieś przybory toaletowe, no i oczywiście aparat cyfrowy. Jechał gdzie jest ciepło, nie chciał brać za dużo rzeczy. Zbyt duża ilość ciuchów tylko komplikuje podróż, psuje wrażenia, utrudnia rzeczy, które powinny być proste.

Jeszcze gotówka, paszport, jakieś książki do czytania na drogę i tyle. Zapomni przez moment o swoim pustym życiu, zapomni o niechęci do tego świata, zapomni o pracy, którą już powinien dawno rzucić, zapomni o ludziach, którzy nigdy nie będą jego przyjaciółmi, zapomni o bólu wstawania rano do pracy, o bólu samotnych sobotnich wieczorów i o bólu myśli, że tak będzie zawsze, że nic już nigdy się nie zmieni. Najważniejszą rzeczą było jednak to, że zapomni o złych ludziach, którzy pożyczyli mu brudne pieniądze na dobrą rzecz.

„Co ma być to będzie. Życie to fala morska, biała dumna i niebezpieczna, my musimy się na nią tylko dostać i cierpliwie czekać, jak jej rozkrzyczane demony, poniosą nas swawolnie przed siebie” – pomyślał.

Pożyczając pieniądze przekreślił swoją przyszłość, teraz będzie się z tym borykał aż do końca.

Autobus czekał na dworcu PKS. Przemysław D. przyszedł, gdy prawie wszyscy już czekali w środku. Myślał, że jest ostatni, więc usiadł na samym końcu. Musieli jednak poczekać na jakąś kobietę, pociąg jej się spóźnił. Trwało to trzydzieści minut, aż pani w średnim wieku wtoczyła się do pojazdu, mocno sapiąc u wrót. Przepraszała, autobus ruszył stanowczo, silnik miarowo połykał gorące powietrze miasta.

Przemysław D. popatrzył na ludzi, nie mógł wyczuć, czy ktoś jedzie sam, tak jak i on. Byłoby mu rażniej, gdyby wiedział o tym od samego początku.

Na razie jechali do Opola, stamtąd mieli ruszyć do celu. Opole, a w zasadzie jego peryferie, było miejscem zbiórek wszystkich autobusów biura Itaka. Tam dzielono ludzi na kolejne wycieczki, jedni jechali do

Włoch, inni do Hiszpanii, a pozostali do Chorwacji; i tak posegregowani jak towar na półkach sklepu, wyruszyli na kolejną podróż swojego życia.

Po dwóch godzinach pojawili się na parkingu. Mały bar, mnóstwo ludzi, znów czekanie, aż wszyscy dojadą do punktu zbiórki.

Przemysław D. zamówił piwo, popatrzył chłodno na ludzi. Każdy z kimś rozmawiał, więc dosiadł się do czyjegoś stolika. Starsza pani, trochę z nadwagą, lekko zakłopotana, też samotnie czekała na swoją wycieczkę. Była sama, czuła to samo, co on, ból sytuacji, kiedy życie zmusza nas do samotnego spędzania wakacji.

Zaczęli rozmawiać, była miła, lekko się rozluźniła, niepokój przemienił się w swobodną rozmowę. Chciała wypocząć jak on, chciała zapomnieć jak on i łudziła się, że spotka kogoś, kto odmieni jej dalsze życie na zawsze.

Autobusy, niektóre spóźnione, odjechały w kierunku granicy. Posegregowani ludzie, przyporządkowani konkretnym siedzeniom, zostali ulokowani w środku. Czekala ich długa podróż, tysiące kilometrów, kilka granic i nadzieja, że po powrocie wrócimy inni – odmienieni magią kraju, do którego zdążamy.

Autobus śmiało przemierzał drogę, dwóch kierowców pewnie, wręcz z rajdową pewnością pokonywało kolejne kilometry. Zatrzymywali się, co cztery godziny, ludzie chętnie wychodzili, każdy pragnął rozprostować nogi, przeciągnąć się, choć na moment i już wtedy było widać, że powoli zaczynają robić się obozy ludzi. Dwie dziewczyny, raczej średniej urody, zaprzyjaźniały się z dwoma innymi przyjaciółkami, też raczej średniej urody. Później miało okazać się, że wszystkie posiadają, zarówno dowcip jak i dystans do świata.

Na kolejnym postoju, w nocy, kiedy zatrzymali się w miejscu, które Przemysław D. dobrze znał, w Austrii, zwrócił on uwagę na trzy dziewczyny, które też podróżowały same. Jedna starsza, Dorota, koło pięćdziesięciu lat, w okularach, z włosami jasnymi, lekko siwiejącymi, samotnie wałęsała się po parkingu. Druga, Agnieszka, zmysłowo opalona dziewczyna, raczej ładna i zgrabna, o czarnych prostych włosach, raczej długich niż krótkich, też czuła zagubienie wśród tłumu turystów. Stała zawsze z boku, czasami wchodziła do sklepów, tak naprawdę nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić w chwilach, w tych momentach, kiedy podróż tkwiła w martwym punkcie.

I Basia, kobieta po trzydziestce, szatynka o prostych włosach, o średniej budowie ciała, z niebieskimi oczami, z soczewkami kontaktowymi, które tylko podkreślały urodę jej oczu; ona też była sama, często tak jeździła, miała kogoś, być może mężczyznę swojego życia, lecz

na takie wyprawy zawsze jeździła samotnie. Być może był to jej sposób podróżowania, być może ów mężczyzna nie lubił podróży, a być może było tak, że posiadał on firmę, jak twierdziła stanowczo i bezwzględnie, i to ona zajmowała mu dużo czasu, zbyt dużo czasu, aby mógł go poświęcić jej, Basi – nauczycielce angielskiego na wakacjach.

Postój w Austrii był bajkowy. Budynki miały kształt zamków, niektóre enigmatycznych smoków, jeden był wizerunkiem ogromnego samolotu zawieszonego nienaturalnie w powietrzu, a całość przykryta była nocnym światłem gwiazd, sprawiających wrażenie uczestnictwa w baśni, historii tysiąca i jednej nocy.

Przerwa w podróży dała odrobinę wytchnienia, wszystkim uczestnikom wycieczki. Niektórzy spacerowali, inni tylko czekali na dalszą jazdę, a pozostali przechadzali się bezowocnie po parkingu, w zawieszeniu dnia i nocy.

Rano byli w Zadarze, bardziej w godzinach przedpołudniowych niż południowych. Przemysław D. podróżował z Jackiem, siedział tuż obok niego, był on nauczycielem – wykladał jakieś techniczne przedmioty. Sprawił wrażenie skały, niedostępny mężczyzna w niedostępnym fotelu. Był masywny, lodowaty, ostre rysy potęgowały tę barierę. Jechał z żoną i córką, pochodzili ze Śląska, i tak też wynikało z jego akcentu. Mało ze sobą rozmawiali, Przemysław D. nie próbował tego zmienić, Jacek też nie podejmował żadnej próby zmiany tej sytuacji. Dopiero, co się poznali, a dystans między nimi na razie był nie do ogarnięcia. Przemysław D. miał nadzieję, że trudy drogi, zmęczenie słońcem i czas spędzony pośród jazdy autobusu szybciej to zmieni. Droga zawsze nas zmienia, zwłaszcza droga wtapiająca się w podróż. Wypala piętno w rozmowie, wypala ból w pokonanych kilometrach i wypala nić porozumienia w obcych osobach – łączy ich magią wspólnych przeżyć.

Zadar – miasto, którego początki sięgają IX wieku p.n.e., słynne z produkowanego tu likieru „Maraschino”. Jedno z największych miast Chorwacji, struktura zabudowy centrum tego miasta opiera się na planie z czasów Cesarstwa Rzymskiego. Stare miasto znajduje się na półwyspie, otoczonym bardzo grubymi murami.

Wysiedli przy porcie, upał zniewolił ich płynnym żarem. Ruszyli w chłodny labirynt ulic starego miasta. Przewodniczka wprowadziła ich w ciąg historycznych ulic. Zwiedzili kościół Św. Donata, masywny, duży, z pojedynczymi oknami, sprawiający wrażenie fortecy, a nie budowli kościelnej. Szary kamień, pewny budulec tego kraju, potęgował zastrzyk historii w ich myślach.

Przechadzali się pośród fragmentów rzymskiego forum. Kiedyś tam były sklepy. Życie tętniło w przeszłości; teraz był tu upał, turyści i cichy blask czegoś, co zniknęło przykryte czasem zapomnienia. Widzieli jak wyglądały dawniej skalne lodówki, cicha toń przeszłości bezszmerowo wdzierająca się w ich serca.

Spoglądali na Katedrę Św. Anastazji – główną świątynię rzymskokatolickiej archidiecezji. Romańska fasada dobudowanej nawy uważana jest za najpiękniejszą w Dalmacji. Przemysławowi D. najbardziej podobały się dwa ogromne okna nad wejściem, oba okrągłe, jedno nad drugim, piętrzyły się swobodnie w kierunku trójkątnego dachu.

Potem, po szybkim rekonesansie miasta, mieli czas wolny. Przemysław D. samotnie przechadzał się pośród zacienionych uliczek, pełnych straganów, kawiarenek i okien, zaglądający brutalnie sobie nawzajem do środka.

Widział ceglasty, brudno czerwony, budynek z wizerunkiem Matki Boskiej, masę kościołów zanurzonych w historii miasta, stare studnie – sześciokątne kamienne, z żeliwnymi kołowrotkami do wyciągania wody, i port, duży port, skąd można było dopłynąć do luźno rozrzuconych wysp Adriatyku.

Gdy tak przechadzał się wśród zaułków, mijał ludzi z autobusu, nagle zobaczył w tłumie Agnieszkę, zagubioną jak i on, samotnie przemieszczającą zatłoczone uliczki. Gdzieś mignęła mu Basia z lodami, później dowiedział się, że je wręcz ubóstwiała, taka ośłoda życia od problemów dnia codziennego.

Przemysław D. kupił sobie lody, potem stanął przy ulicznym artyście, zamknął oczy i słuchał, jak obcy człowiek idealnie śpiewał Saimona&Gurfunkela. Robił to dobrze, nawet bardzo dobrze. Po kilku minutach wrzucił mu kuny do kapelusza i wrócił do autobusu, do miejsca ich zbiórki.

Przemysław D. obawiał się, że tak już będzie zawsze. Będzie samotnie zwiedzał kraj, będzie musiał zdać się na ślepy los i wierzyć, że można poznać kogoś nawet wtedy, kiedy złe wiatry przytłaczają nas boleśnie do ziemi.

Gdy wchodził do autobusu, zrobił sobie kilka zdjęć w porcie, pośród statków, żaglowców i okrętów, ogromnych promów w białym majestacie światła. Nie wiedział, dlaczego kochał porty, często też tęsknił za morzem, może dlatego, że zawsze pragnął kiedyś uciec, zostawić za sobą wszystko i zakotwiczyć się gdzieś na statku, rozpocząć resztki swojego losu na nowo. Pragnął tego mocno, lecz jeszcze się nie odważył.

Szybko opuścili miasto, następny port Szybenik. Port w środkowej Dalmacji, nad rzeką Krka, przy ujściu do Adriatyku. Założone przez Chorwatów miasto nigdy nie uległo tureckim podbojom.

Zatrzymali się w porcie i zanurzyli w sieć kamiennych uliczek. Zwiedzali labirynt dróg, mijali sklepy i restauracje, gwar miasta stał się ich gwarem.

Dotarli do Katedry Św. Jakuba. Cała budowa katedry trwała 124 lata. Jest to masywny kościół, mieszanina gotyku i renesansu, z ogromną kopułą, wspinającą się w kierunku chmur do nieba.

Kopuła katedry doznała poważnych uszkodzeń w czasie wojny, w 1991 roku, jednak teraz wszystkie zniszczenia były już usunięte.

Przemieszczali się w głąb miasta, sycili jego historią, nasączali muzyką murów, aż dotarli w pobliże portu, gdzie mieścił się park z małą fontanną. Przemysław D. pstryknął tam kolejne zdjęcie, pamiątka zmysłów zatrzymana w czasie. Tuż za parkiem mieścił się port. Mieli znów przerwę, krótki czas dla siebie, na pozbieranie gorących myśli.

Przemysław D. nie miał siły już chodzić, zmęczenie nocną drogą dawało powoli znać o sobie; usiadł na ławce przy porcie i łakomie, wręcz ściśle pazernie, połykał wzrokiem wyspy z naprzeciwka. Jedne były zamieszkałe, na innych pustka mieszała się z mokrym wiatrem, były czymś tak odległym, tak dziewiczo czystym, niczym nasze myśli tuż przed zaśnięciem, kiedy balansujemy na granicy dwóch światów – snu i jawy.

Obok niego usiadło małżeństwo z synem, z jego wycieczki. Starsze osoby z dzieckiem, którego los skrzywdził karą za życia. Syn był trochę zatrzymany w czasie, lekko utykał na jedną nogę, która była szczuplejsza od pozostałej. Okazali się mili i sympatyczni, ich syn także, miał w sobie zarówno pokorę wobec kary losu jak i rozsądek, że tak musi być – każdy jest inny, a on po prostu był inny fizycznie.

Gdy tak rozmawiali, Basia pośród skwaru popołudnia przemknęła tuż przed nimi. Wciąż była sama, robiła dużo zdjęć. Przemysław D. nie wiedział, czy jest to jej stan naturalny – samotny podróżnik w czasie, czy czuje się z tym źle, jak zagubiony księżyc w chwili dnia.

Zniknęła przy porcie, tam miała być zbiórka ich grupy, za dziesięć minut. Agnieszka powoli zaprzyjaźniała się z Dorotą, różnica wieku nie miała tu żadnego znaczenia, obie pragnęły towarzystwa – nie chciały samotnie przemierzać tego kraju.

Przyjechali do hotelu w Vodicach. Rozpakowali się, rejestracja szła sprawnie, biuro cechowało się fachowością i rzetelnością. Wiedziało, że ludzie chcą tylko wspomnień i odpoczynku, zbędny chaos mógł zburzyć wizerunek firmy.

Przemysław D. dostał pokój dwuosobowy, był w nim sam – nie sprzedano wszystkich miejsc na wycieczkę. Tak miało pozostać do końca – inny hotel, wolny pokój tylko dla siebie – dzięki temu mógł ze swobodą rozrzucić swoje rzeczy po pokoju, był panem świata skupionym na niewielkim metrażu z balkonem.

Dorota i Agnieszka zamieszkały razem w jednym pokoju, a Basia samotnie gospodarowała swoim pokojem. Była sama w czterech ścianach zagubienia.

Po szybkim prysznicu, zmyciu kurzu całonocnej drogi, po wysiłku zwiedzania, pobieżnym poznawaniu historii, mięśnie odzyskiwały dawną świeżość. Organizm szybko odzyskiwał dawny wigor.

Przemysław D. udał się na kolację, stół szwedzki na dole był suto zastawiony. Różnorodność potraw i przystawek, regenerowała każdy żołądek.

Dosiadł się, na rozłożystym tarasie hotelowym, do Doroty i Agnieszki. Tak to wyglądało przez kolejne dwa dni spędzone w hotelu.

Rozmawiali przy posiłku, wzajemnie poznawali się, nie przymierza została zasiana. Po obfitej kolacji, zmęczone dziewczyny poszły do pokoju, a energia skumulowana w sercu Przemysława D., i myśli, że cały ten pobyt nie jest tylko ucieczką przed przeszłością, która rysował się źle, wręcz fatalnie, lecz także jest darem, cudem czasu, którego nie można zmarnować – każda chwila powinna stać się wytchnieniem duszy nad umęczonym ciałem, i właśnie ta energia, schowana w jego umyśle, pokonała wczorajszy trud nocy i zmusiła go do spaceru.

Pochodził wzdłuż plaży wraz z małżeństwem i ich synem, pokrzywdzonym przez los. Rozmawiali, przechadzając się wzdłuż kamienistego wybrzeża, i pili piwo. Kiedy zmęczeni wrócili do pokoju, Przemysław D. został sam pośród szumu morza. Nie chciał wracać do pokoju, bo i po co? Poszedł do centrum miasta, w ciszy nocy, która lekko, ze swobodą, zamykała skwar dnia.

Tam tętniło życie, ludzie oszukiwali smutek radością, czas się zatrzymał, każdy chciał być, każdy chciał pragnąć i każdy czuł, że teraz ważniejsze jest od zaraz.

Światła, neony lamp, skały i twarze ludzi. Muzyka, alkohol, gęsta sieć sklepików rzuciła urok na turystów. Istnienie mieszało się z pożądaniem, chęci ze stratą, zachłanność chwili odprężała nawet najsmutniejsze głowy.

Wrócił do pokoju około północy, idąc w zwolnionym tempie wzdłuż falującego granatowego morza. Szybko zasnął, upał był mniej dotkliwy przy uchylonym balkonie.

Rano śniadanie i wyjazd. Rzeczy zostawały w hotelu – czekał ich jeszcze jeden nocleg w tym mieście.

Przyjechali do Trogiru – pięknego średniowiecznego miasta otoczonego murem obronnym, w środku twierdzy rosła roślinność śródziemnomorska, dająca wytchnienie zarówno murom jak i oczom przyjeżdżającym.

Wyspa pochłoneła wszystkich bezinteresownie, spacerowali wąskimi uliczkami, podziwiali piękne kamienne pałace, ciągnące się do rynku z ratuszem, a później zanurzyli się w katedrze Św. Wawrzyńca, budowanej przez wiernych cztery wieki. Widzieli przeszłość na własne oczy, zostali zawieszeni w czasie, historia raziła ich swoim blaskiem. Oddech tamtych czasów stał się ich oddechem.

W czasie wolnym Przemysław D. poszedł w kierunku portowego wybrzeża, wypełnionego jachtami i łodziami. Przespacerował się po nabrzeżnym deptaku, obsadzonym równo palmami, które stały jak bezimienna armia przed pałacem, w ciszy i w majestacie.

Gdy robił zdjęcia, nagle zauważył Basię – i wtedy to dopiero się poznali. Szła sama, zagubiona w ciszy portu.

Przeszli przez most, rozmawiali o swoich własnych światach i robili zdjęcia, zarówno wśród łodzi jak i jachtów, lekko kołyszących się na morzu.

Basia była nauczycielką angielskiego, lubiła sama podróżować. Szybko zrozumieli, że wspólna rozmowa może ich zbliżyć, ułatwić wyprawę, która z pozoru wydawała się trudna. Tak też się stawało, z godziny na godzinę, z dnia na dzień, zaczynali dla siebie coś więcej znaczyć. Ludzie brali ich za parę, tak to mogło wyglądać z boku, lecz nigdy tak nie było. Ona miała kogoś, on nie miał nikogo, ona nie chciała ryzykować, a on nie chciał podjąć tego ryzyka, ona mieszkała gdzieś, a on mieszkał gdzie indziej – odległość zawsze jest zabójcą czynów niespełnionych do końca. Pozostali osobami, które zabijały samotność podróży rozmową. Byli ze sobą w niedostępności bycia ze sobą.

Wrócili do autobusu, odrobinę za szybko, więc usiedli na ławce w cieniu – wciąż ze sobą rozmawiając, jakby chcieli nadrobić stratę niepoznania, pierwszego jednego dnia wycieczki.

Gdy usadowili się w autobusie i przewodniczka sprawdziła, czy wszyscy wrócili, pojechali do innego miasta, portowego Splitu.

Split jest największym miastem środkowej Dalmacji i jedną z najstarszych osad handlowych Chorwacji. Został założony przez rzymskiego cesarza Dioklecjana, który zbudował tutaj swoją rezydencję, mając nadzieję na poprawę swojego zdrowia, dzięki kąpielom siarczanym.

Zaczęli zwiedzać miasto, rozpoczęli od rzymskiej budowli Pałacu Dioklecjana, wybudowanego w III wieku naszej ery i zanurzyli się w jego mrocznych lochach – tam upał umarł śmiercią naturalną. Pstrykali zdjęcia, gdy wyszli na zewnątrz ciepło zaatakowało ich ze zdwojoną siłą. Zwiedzali antyczne zabytki, średniowieczne fortuny kłaniały im się w pas – bogate kamienice z odwagą i dostojeństwem przetrwały próbę czasu. Kościoły, kamienne postumenty tamtych czasów, zachowały dawną świeżość i styl.

I ponownie czas wolny, chwila na wytchnienie, na oddech i na spędzenie czasu na swój własny sposób.

Przemysław D. poszedł z Basią do portu. Ujrzeni ogromne statki czarterowe, pływające do innych, równie mocarnych portów świata. Palmy, wysokie i rozłożyste, dawały poczucie świeżości i blasku. Rybacy w cieniu raczyli się rakiją. Co chwilę było słycać polską mowę, rodacy wszędzie docierali, chłonęli świat łącząc odpoczynek z pasją zwiedzania.

Bocznymi schodami, z lewej strony deptaka, Przemysław D. ruszył z Basią na górę, stamtąd doskonale widzieli port z boku. U ich stóp rozpościerało się błękitne morze, okręty zawieszane w chwili spokoju i cała promenada, z rozchwianymi, gorącym wiatrem, palmami.

Oparli się o barierki. Patrzyli w ciszy przed siebie.

- Dla takich widoków warto żyć – Przemysław D. pierwszy przerwał milczenie. – Są spełnieniem w niespełnieniu świata.

- Cudownie jest tutaj. Tak inaczej, wyraziściej niż gdziekolwiek indziej.

- Wiesz, port to jest takie miejsce, skąd można gdzieś uciec, lub po prostu coś zakończyć. Wystartować przed siebie, zostawiając przeszłość za sobą. Dobre miejsce na jakąś zmianę, na rozpoczęcie czegoś nowego.

- Wiem – uśmiechnęła się Basia. – Zmiany zawsze są dobre, czynią nas wolnymi, umacniają wiarę, że czynami można zmienić cały obraz teraźniejszego świata.

Przemysław D. wciąż patrzył przed siebie. Tak obojętnie, tak znieczulająco spokojnie. P chwili jednak rzekł:

- Wypływasz i tyle, zostawiasz całą przeszłość, cały brudny świat za sobą. Jesteś tylko ty i morze, i nadzieja, że w sile wiatrów, w żywiole morza, odnajdziesz radość zmiany swojego losu.

- Chciałbyś tak zrobić?

- Może kiedyś się odważę, pokonam w sobie strach niepewności jutra... a może po prostu będę musiał. Dowiem się po powrocie.

- To mogłaby być najlepsza przygoda życia – dodała Basia.

- Każda przygoda ma swoje konsekwencje, czasami dobre, a czasami złe, przeważnie jest to zawsze jakaś przygoda z konsekwencjami.

- Wybory, to jest prawdziwa konsekwencja życia, my je tylko musimy podejmować, selekcjonować i ponosić kary, za złe i nietrafione decyzje – rzekła Basia, czuła, że dobrze im się rozmawiało. Byli podobni do siebie, oboje pragnęli z podniesioną głową iść do przodu przez życie.

Zrobili zdjęcia domu tuż koło nich, z fioletowymi krzakami przy płocie i zeszli na dół stromymi schodami. Minęli kawiarnie, gdzie ludzie osuszali pragnienie alkoholem, i weszli w kamienną starówkę. Robili kolejne zdjęcia, ona zatrzymywała go w czasie aparatem, a potem on robił z nią to samo. Chwila istnienia zatopiona w teraźniejszości.

Potem Przemysław D. kupił sobie pizzę, ona miała kanapki. Bez posiłku w środku dnia, ciężko wytrzymać z głodem, wytrwać do wieczora.

Gdy byli już w autobusie, gdy zwiotczałe ciała osadzili w fotelach, gdy radość chwil zobaczonych, mieszała się z radością rzeczy, które jeszcze zobaczą, gdy ich sposób myślenia stawał się wiatrem z kamiennych uliczek, to wtedy zrozumieli, zarówno on jak i Basia, że ta podróż będzie inna, bardziej ciekawa niż pozostałe ich wyjazdy.

Jechali wzdłuż wybrzeża do hotelu. Kręte ulice, po lewej stronie Morze Adriatyckie, uśpione skwarem miasta portowe, po prawej Góry Dynarskie, a pomiędzy nimi lasy iglaste nachylone w kierunku morza, powyginane na skos, zimnym, północnym wiatrem z gór, o nazwie bora.

Gdziekolwiek było widać agawy, duże zielone liście schowane w spiekocie lata, cyprysy w kształcie zielonej kropli deszczu, pnące się do nieba, i kaktusy, mężowie stanów tych rejonów.

Dojechali do hotelu. Przemysław D. poszedł pod prysznic, a następnie udał się na obiadokolację. Podczas posiłku dosiadła się do nich Basia, więc Przemysław D. siedział z trzema kobietami, otoczony ścisłym kordonem trzech różnych charakterów.

Dorota i Agnieszka podziękowały po posiłku za towarzystwo i udały się do swojego pokoju. Przemysław D. został z Basią. Lenistwo dnia, wymieszane z trudem zwiedzania, opóźniało resztkę chęci wstania od stołu.

- Idziesz pospacerować? – Spytał Przemysław D..

- Nie, raczej odpocznę – wahała się Basia.

- Trudno, ja raczej pójdę. Kupię sobie jakieś piwo, usiądę na leżaku przy plaży i będę patrzył przed siebie. Tak bez celu, tak bezowocnie.

- Lubisz tak robić?

- Tak – zaśmiał się Przemysław D.. – Po prostu patrzę przed siebie i nic nie muszę robić, nic nikomu udowadniać, o nic się nie starać i nic nie

oczekiwać. Wtedy, w tym zawieszeniu ciała i ducha, właśnie wtedy jestem sobą, podróżnikiem zawieszonym w czasie.

- Fajnie.

- Wiesz, czego ci zazdroszczę? – Rzekł Przemysław D..

- Czego?

- Tych wakacji, dwa miesiące to jest coś.

- Wiem, to był jeden z powodów, dlaczego zostałam nauczycielką.

Wstali od stołu, przeszli przez ciąg stolików i poszli długim holem w kierunku swoich pokoi. Okazało się, że mają pokoje naprzeciw siebie, oboje byli zaskoczeni takim obrotem sprawy.

Przemysław D. wziął kolejny prysznic. Starał się je brać jak najczęściej, taki klimat, a potem wyszedł do sklepu po piwo.

Gdy był przy kasie w sklepie, gdy płacił za alkohol, znów się spotkali, Basia kupowała wodę mineralną.

Uśmiechnęli się do siebie, przypadek czy przeznaczenie? Jednak ona poszła do pokoju, a on na plażę. Nie chciała kusić losu, czas szybko mija a jedna chwila uniesienia może zniszczyć całą naszą przyszłość.

Nigdy nie należy robić rzeczy na siłę, po prostu pewne rzeczy dzieją się a inne nie; czasami dostajemy coś od losu a innym razem nie; a jeśli coś się nie zdarza, to może tylko oznaczać, że czas i miejsce nie było do tego stosowne.

Przemysław D. siedział na leżaku na plaży, plastikowym, czarnym. Pił zimne piwo, raczył się lekką ciszą nocy. Obok niego Chorwatki pływały w ciemności mroku. Były młode, o wiele za młode dla niego.

Po trzecim piwie świat wydał się znacznie prostszy, myśli mniej skomplikowane, mniej zaborcze. Gorące powietrze lekko napierało na całe ciało Przemysława D..

Miasto mieniło się swoim życiem. Ludzie spacerowali, ludzie się kochali, ludzie łapali chciwie każdy łyk spędzonego tu czasu – po prostu żyli.

Gdy wrócił do hotelu włączył telewizor, usłyszał pierwszą stacją muzyczną, było mu obojętne, jaką. Ściany pokoju przestały być takie głucho i samotne. Zasnął w otępieniu lata.

Następnego dnia jechali na Riwierę Makarską, po drodze przystawali w najpiękniejszych zatokach wybrzeża. Robili zdjęcia na tle rozspanych miast, uśpionych fal i uziemionych gór.

W jednej miejscowości czekał na nich statek. Mieli płynąć na pobliską wyspę. Przemysław D. siedział koło Basi. Gdy zaczęli już pokonywać fale statkiem, zaczęli rozmawiać z małżeństwem z Radomia.

On, mężczyzna po czterdziestce, prawnik, lekko siwiejący; ona, jego żona, czarne włosy i zadziorny uśmiech, wiecznie pojawiający się uśmiech na jej twarzy. Była pogodną osobą lubiącą podróżować.

Statek cicho pracował, wiatr suszył ich pot ciepłym, kapitan poczęstował ich rakiją i napojami chłodnymi. Płynęli godzinę do wyspy.

Tam mieli czas dla siebie, potem wracali do brzegu, z powrotem na wybrzeże. Przemysław D. poszedł z Basią na plażę. On pływał, a ona tylko robiła zdjęcia w wodzie. Pływała słabo, więc nie wchodziła do morza, nie chciała ryzykować. Gdy wrócili na statek i usiedli w zadaszeniu, gdy statek ruszył już przed siebie, rozpoczęło się prawdziwe ucztowanie. Zimne wino, ryba z sałatkami, wędlina z serem żółtym, chleb, kawa i ciasto – biesiada na wodzie. Grupa jeszcze bardziej się zżyła, wino zaszumiło wszystkim w głowie, a podróż błyskawicznie im minęła. Nikt nie chciał wysiadać, gdy byli już na brzegu, jeszcze wspólne zdjęcia na nabrzeżu z kapitanem i wyjazd do Makarskiej – głównego ośrodka Riwieri.

W Makarskiej oglądali muzeum muszelek. Kolory, kształty, wizualizacje morskie sprawiały, że człowiek nie był w stanie ogarnąć faktu, że coś takiego stworzyło morze.

Potem znów czas dla siebie – taki schemat wycieczki. Czas wolny ludzie spędzali różnie, część osób poszła na starówkę. Basia była zmęczona, więc udała się razem z Przemysławem D. do portu. Tutaj powiedziała, wręcz spokojnie wyznała, że zażywa jakieś silne leki, i przez nie była taka zmęczona i ospała. Czasami działała jak na zwolnionym filmie.

Posiedzieli chwilę w parku przy porcie, a gdy Basia nabrała sił, poszli na nabrzeże.

Miejscowi ludzie wraz z dziećmi, całe rodziny, kąpały się przy brzegu. Dzieciaki bez obawy skakały do wody. Były nieznosne w swojej dzikiej radości. Miały w sobie ten rodzaj wolności, którą dorośli tracą, gdy już stają się dojrzałymi osobami.

Tuż obok nich, w skale, a wręcz w rozdartej pieczarze, była knajpka, tam spragnieni turyści raczyli się piwem w cieniu grotu.

Przemysław D. i Basia stanęli, popatrzyli z zakłopotaniem na miejscowych, czuli się pośród nich obco, jakby byli z innego świata, z jakże odmiennego ładu. Oni posiadali w sobie żar życia, a Basia i Przemysław D. tylko żar zwiedzania. Dwa światy a jednak jeden, żyli przecież na tym samym skrawku zniewolenia – zniewolenia czynów i myśli, które tymi czynami kierują.

Nocowali w nowym hotelu „Sunce”, na terenie Serbii i Czarnogóry. Pokoje były idealne, każdy miał balkon, wyżywienie też było dobre – stół szwedzki. Morze zza okna wyglądało jaskrawo i ciepło. Wręcz biło swoim blaskiem po oczach.

Basia i Przemysław D. poszli się wykapać, zaraz po kolacji. Gdy on zaczął pływać, ona szybko zrezygnowała, ogarnął ją strach, było dla niej za głęboko. Później pospacerowali wzdłuż kawiarenek, pośród szumu morza, pośród muzyki głośnej i zadziornej.

Powiedziała, że lubi swoją pracę, choć zdarzają się też dni trudne. Dzieci są różne, niektóre mają problemy i czasami ciężko im pomóc. Jednak starała się dobrze wykonywać swoją pracę. Przemysław D. nie wiedział, co ma jej powiedzieć, on pracował, bo musiał, swój zawód traktował bez emocji, choć wykonywał go dobrze, jednak nie czuł się z nim jakoś specjalnie związany. Gdy Basia wróciła do pokoju, znów został sam i wtedy, gdy siedział na plaży, ciemnej, suchej, pełnej małych kamieni, zrozumiał dwie istotne rzeczy, niby oczywiste, ale teraz naprawdę do niego dotarły, tak boleśnie, tak upokarzająco nieczule.

Ta wycieczka był doskonała, chyba najlepsza w jego życiu. Jednak żeby było naprawdę idealnie, tak wyśmienicie, na wyprawach, na wszystkich naszych kolejnych podróżach życia, musimy być z kimś, z osobą, którą gorąco kochamy, wtedy całość naszego życia jest odmienna – inna, ponieważ spoglądamy na świat poprzez oczy innej osoby. Razem spędzamy noce, razem spędzamy dni, łączą nas chwile spójne i chwile wątpliwe – jesteśmy brylantową całością.

Kiedy przez moment zerknął wstecz, na swoje wcześniejsze miłości, już wiedział, co jest istotne w związku dwóch osób. Szybko wysunął taką tezę:

„Żeby kogoś pokochać naprawdę, trzeba najpierw się z nim zaprzyjaźnić. Prawdziwa miłość jest doskonałą formą przyjaźni. Przyjaźni bezgranicznego uczucia”.

On nigdy nie zaprzyjaźnił się z żadną kobietą, i może dlatego, wciąż był sam. I teraz samotnie upijał się na plaży życiem.

Koło północy poszedł spać, choć miasto dopiero rozpoczynało swój dziki taniec ciemności.

Rano Przemysław D. wziął szybki prysznic, ciało schłodzone wodą ożywiło się na moment. Potem szybki posiłek, stół szwedzki. Jedzenie było sycące, a po nim pośpieszny wyjazd do Dubrownika.

Gdy dojeżdżali do miasta, długim wiszącym mostem, zaraz po prawej stronie rysował się port handlowy i pasażerski. Ogromne statki mające

połączenie ze światem, z dumą i zastygłym dostojnictwem, z pełną dozą monstrialności, stały na szklanym lustrze wody.

Dubrownik uważany jest za najpiękniejsze miasto Chorwacji. Ta „Perła Adriatyku” posiada kamienną starówkę i otoczona jest najdłuższym systemem fortyfikacyjnym w Europie. Dubrownik został założony w VII wieku przez rzymskich zesłańców. Miasto przeżywało rozkwity kulturalne i gospodarcze, bywało wolnymi republikami kupieckimi, upadło po trzęsieniu ziemi w 1667 roku, przeżyło okupację włoską i niemiecką, w 1944 roku zostało oswobodzone przez oddziały partyzanckie, a teraz stało dla nas otworem, wręcz przeistaczało się we wrota prowadzące nas do dawnych czasów. Jego brama zabierała nas w przeszłość, czas nakrywał nam na oczy płaszcz historii, a my w zagubieniu, w ślepym amoku, dawaliśmy się unieść podmuchom skamieniałych marzeń, w cieniu żywych wykopalisk świata.

Zanurzyli się w starym mieście, kamienne budowle wzięły ich pośpiesznie w swoje ramiona. Oglądali wielką Fontannę Onufrego, Plac Luza z reprezentacyjnymi budowlami, spacerowali w tętniącej życiem arterii Starego Miasta, spoglądali na Katedrę, Pałac Sponza z XVI wieku, Pałac Rektorów i robili zdjęcia przy Wielkiej Studni Onufria.

Doszli do portu, ludzie olśnieni powiewem wiatrów przeszłości, żarliwie połykali każdy szczegół miasta.

Tam czekała ich niespodzianka, rejs statkiem po morzu. Gdy okręt ruszył, uciekał z portu przed tłumem turystów, wszyscy zaczęli robić zdjęcia murów z pozycji marynarzy. Gdzieś, niespodziewanie, przemknęły im z boku osoby w kajakach, zaś oni spokojnie otaczali wyspę z minimalną prędkością i po pół godziny wrócili z powrotem do portu. Łyk rakii na statku jeszcze bardziej rozbudził całość wrażeń na wodzie. Basia była zmęczona, czarne okulary zasłaniały ból zaśnięcia.

Podróż trwała krótko, o wiele za krótko. Dostali ponownie czas wolny dla siebie.

Przemysław D. i Basia spokojnie zanurzyli się w wir uliczek. Labirynt zaciemnionych dróg, tras do nikąd, pochłonał ich całkowicie. Basia, w sklepie z pamiątkami, kupowała jakieś prezenty; Przemysław D. też coś kupił, cichą wiarę, że przedmiot utrwali wspomnienia w przyszłości.

Weszli na główną ulicę. Kupili sobie lody, zimne i szybko stygnące na słońcu. Usiedli na drodze, Basia przeżywała kolejny kryzys zmęczenia. Trochę wyglądali, siedząc na kamiennej posadce, jak para bezdomnych psów, zagubionych i bezpańskich.

Po chwili ruszyli, spiekota doskwierała każdemu ich ruchowi. Nagle zobaczyli pirata z kolorowymi papugami. Basia zapragnęła mieć zdjęcia,

on przygotował aparat i niemy film wystartował na ulicy. Pięć papug, o różnorodnych kształtach i kolorach, wisiało na ramionach Basi, a Przemysław D. pośpiesznie pstrykał fotki. Wszystkie wyszły, wszystkie były doskonałe.

Przemysław D. wiedział, że doskonałość życia to doskonałość przeżyć i doznań, jest to też doskonałość zmysłów, co chwilę zanurzających się w przeszłości wspomnień.

Wspomnienia są jak łzy w chusteczce, zostają na zawsze, aż do momentu, kiedy lata wypiorą je w pralce czasu. Są w nas, iskrzą się w środku i dają chęć ponownego wypłynięcia z portu, w nieznane.

Wrócili do autobusu, byli ostatni, usiedli na swoich miejscach. Pojazd ruszył i minął port z lewej strony, Przemysław D. robił ostatnie ujęcia aparatem – port przenikał spokojem całą okolicę.

Wracali do hotelu ze świadomością, że szczęście jest ulotne i kolejna wyprawa powoli zbliża się do końca. Kres jest już blisko, bardzo blisko. Kogoś poznali, coś zgłębili, siebie zaakceptowali na nowo, zanurzyli się w swoich myślach, w innym rejonie świata, dodali nowe fragmenty do swoich wspomnień, czuli, że wszystko przemija, kurz czasu wkrótce zetrze ich kroki w przeszłości, dając coraz wolniejsze złudzenie w przyszłości.

Spali po raz ostatni w Neum, w hotelu Sunce. Przemysław D. umówił się z Basią na plaży, przy kamienistym hotelowym lądzie.

Samotnie zszedł na dół, zobaczył ją jak opala się wśród tłumu ludzi. Samotność jej służyła. Są osoby, które doskonale komponują się same pośród tłumu. Są sobą, a zarazem są częścią tłumu. Można być szczęśliwym ze swoją samotnością, przebywając wokół licznych osób dookoła.

Usiadł koło niej, chwilę rozmawiali, a potem szybko ruszyli do wody. Ona pływała słabo, on lepiej, jednak razem czuli, że tkwią po uszy w raju, w miejscu, gdzie czas na moment się zatrzymał, trzymał ich szczęście kurczowo w swoich szponach. Czas był z nimi, a oni byli jego bezgranicznymi dłużnikami.

Później Basia poszła, zniknęła w tłumie, Przemysław D. ponownie został sam. Jeszcze raz popływał, potem poczytał dyżurną książkę, którą zawsze brał ze sobą w podróż i wrócił do hotelu. Dobiegał czas obiadokolacji.

Po kolacji już się nie umówili. Nie trafili na siebie podczas posiłku. Przemysław D. miał nadzieję, że ją gdzieś spotka, znów dzięki niej pozbędzie się pustki, choćby na moment. Jednak siedząc z piwem na murku, chłodnym i kanciastym, nie zobaczył jej więcej w tłumie, podczas tego wieczoru.

Znów został sam, był sam, w jaźni swojej samotności. Jednak nie czuł się do końca samotnikiem, chciał być z kimś, chciał spotkać kogoś i chciał zanurzyć się w miłości, uczuciu, którego jeszcze nigdy do końca nie zgłębił – ale również chciał zachować swoją samotność dla siebie, tylko dla siebie. Chciał kochać, ale również chciał istnieć – istnieć poprzez swoją samotność.

Przemysław D. pochodził wzdłuż nabrzeża, wolno i bez pośpiechu. Nigdzie się nie śpieszył, nigdzie nie miał dojść, nie miał jasno określonego celu. Po prostu szedł przed siebie, oglądał ludzi, czasami to oni jego oglądali, co jakiś czas spotykał osoby ze swojej wycieczki, chwilę z nimi porozmawiał i znów samotnie szedł przed siebie.

Ponieważ były mistrzostwa, oglądał mecz w hotelowej knajpie, Niemcy-Holandia. Piwo było drogie, ale zimne. Usiadł przy barze, tłum zaakceptował go całkowicie, jak brata.

Około północy wrócił do hotelu. Ciszę pokoju zagłuszył muzycznym programem w telewizji. Wnętrze nie jest takie puste, gdy muzyka opiewa jego ściany. Zasnął szybko przy otwartym oknie. Powietrze ze spokojem wkradało się do wnętrza, śmiało tańczyło wokół łóżka, rozglądało się w łazience i nagle uciekło spłoszone ciszą nocy.

Rano, zaraz po śniadaniu, ruszyli w kierunku Parku Narodowego Jeziora Plitwickie. Dzień nie zapowiadał się dobrze od samego początku. Przemysław D. wstał z bólem głowy, ostrym, ciężkim jak nóż, przecinający zmysły od środka. Zażył tabletki, pomogły, ale brak snu, upał, który nie pozwalał przespać nocy, powodowały zmęczenie całego ciała.

Przemysław D. spóźnił się na śniadanie. Wszystkie jego ruchy były wolne, ociężałe, ciężkie. Był ciężarem sam dla samego siebie.

Po minięciu granicy Chorwackiej, gdy Serbię i Czarnogórę mieli już za sobą, pogoda nagle zaczęła się psuć. Silne, głośnie i intensywne deszcze, z zawziętością biły o szyby. Natarczywość kropeł zagłuszała stonowaną pracę silnika. Przemysław D. obojętnie zaglądał przez szybę w kierunku brzegu. Miasta skąpane w strugach wody wydawały się mu takie odległe, z innej planety wszechświata.

Strome nabrzeże, ślamazarnie pokonywane przez autobus, kuślo tragedią. Oczy Przemysława D. zaczęły się zamykać. Widział, poprzez płytki sen, kolejne zakręty mokrej drogi.

Niebo było ciemne, czarne w środku dnia. Autobus jechał coraz wolniej. Nagle zza zakrętu wyłonił się tir, duży niemieszczący się na swojej połowie drogi. Zajechał drogę autobusowi. Ostre szarpnięcie kierownicy obudziło Przemysława D., zobaczył barierkę, usłyszał huk

złamanej stali, zobaczył jak autobus wypada z drogi i ujrzał jak morze, jego skalisty brzeg, zbliża się do nich z zawrotną prędkością.

Krzyki ludzi, chaos strachu, i przerażenie, to było wszystko, co zapamiętał Przemysław D. podczas lotu na dół.

Zaczęli tonąć w ciemnościach burzy. Zgiełk, hałas, ktoś krzyczał z przerażenia, woda zaczynała wlewać się do środka. Instynkt, wrodzony gen obronny spowodował, że szyba została wybita nogą przez Przemysława D.. Wypłynął na powierzchnię, autobus zniknął krzycząc w czeluściach granatowej toni. Burza wciąż szalała, pioruny, co chwilę rozjaśniały niebo, i podczas pojedynczych rozjaśnień Przemysław D. ujrzał tonącego autokar, cicho zanurzający się pod płaski pułap morza.

Mocne prądy odrzucały Przemysława D. od brzegu, fale zabijały resztkę jego sił. Oddychał w szaleństwie burzy, łączywie łapał każdy oddech zimnego, lodowatego powietrza. Jeszcze chwilę temu zasypiał w spokoju, a teraz walczył o życie, spychany coraz bardziej w kierunku głębin i odmętów morza.

Autobus zniknął pod wodą, a on nie wiedział czy ktoś przeżył; jego los też nie uwzględniał większych szans na przeżycie. Nagle, tuż za jego plecami, zobaczył coś pływającego, ktoś chaotycznie płynął na lekko pogiętych drzwiach autobusu.

Była to mała dziewczyna, 13-15 lat, przyjechała z rodzicami na podróż swojego życia – i faktycznie osiągnęła cel, podróż stała się przygodą jej życia.

Przemysław D., mimo niesprzyjającego wiatru, podpłynął do niej. Chwycił się jej łączywie, z dziką determinacją dotknął zimnej blachy.

- Żyjesz? – Spytał pośród świstu wiatru.

Dziewczyna się trzęsła, strach w jej oczach nie pozwalał nic mówić.

- Musimy jakoś dopłynąć do brzegu! – mówił lekko dysząc. – Musimy!

Dziewczyna nie miała siły machać rękami, tylko trzymała się kurczowo drzwi, a fale zabijały ich powoli i konsekwentnie.

Przemysław D. zaczął coś do niej mówić, chciał ją jakoś uspokoić, lecz jego głos wyrażał strach i niepokój, nie było w nim nadziei na ocalenie.

- Ty tylko się trzymaj – rzekł i zaczął z nią płynąć w kierunku lądu – ja będę płynął. Mam na imię Przemysław – mówił, chcąc ją jakoś zagadać.

Pogoda jeszcze bardziej się pogorszyła, złe prądy spychały ich w ramiona śmierci. Przemysław D. zaczął słabnąć, powoli opadał z sił.

Nigdy nie był sportowcem, nigdy nie miał kondycji i nigdy nie żył sportowo. Teraz te wszystkie braki dawały o sobie znać. Przegrał, jako sportowiec, przegrał, jako człowiek, a teraz przegrywał, jako ratownik. Pasma porażek przesiąkniętych niekonsekwencją życia.

Udało mu się podplynąć trochę do brzegu. Dziewczyna zaczęła dygotać ze strachu, przerażenie i panika jeszcze szerzej otworzył jej źrenice. Były ostre, wytężone w bólu, rozszerzone do maksimum, spięte czymś, co za chwilę może się wydarzyć.

Drzwi nie mogły dłużej utrzymać ciężaru dwóch osób, zaczęły powoli zanurzać się na dno. Wprawdzie, dzięki determinacji Przemysława D., byli już blisko brzegu, ale prąd, co jakiś czas spychał ich uparcie w kierunku morza. Zaczynali konsekwentnie zanurzać się w niesłabnącym zgiełku burzy.

- Płyn sama – dyszał Przemysław D. – w dwójkę nie ocalejemy, próbuj, ja muszę cię opuścić teraz – Oczywiście dziewczyny wyrażały błądy strach. – Musisz płynąć, ktoś musi ocaleć! Po prostu płyn! – Przemysław D. puścił się drzwi, a złe prądy wzięły go w swoje czeluści. Nie próbował walczyć, poddał się losowi, nie miał już sił, i wtedy zrozumiał, że tak naprawdę od pewnego czasu, nie miał już w ogóle motywacji walczyć sam ze sobą, ze swoją zwiotczałą egzystencją. Brakowało mu jakichkolwiek celów, i sił, które pozbawiło go bezsensowne życie.

Autokar zbliżał się do Parku Narodowego. Kierowcy zaparkowali na podjeździe, wszyscy wysiedli z autobusu. Przewodnik zaprowadził ich w kierunku wejścia. Powiedział gdzie mają się udać, jeśli ktoś zabłądzi. Postój numer jeden, gdzie miał na nich czekać autokar, miał być wyspą szczęścia dla zagubionych dusz.

Zanurzyli się w zieleni, szli drewnianymi, zrobionymi z bali drzew ścieżkami, kładkami rozłożonymi pośród potoków, skalnych barier i wodospadów. Robili zdjęcia niedużych jezior z krystalicznie czystą wodą, przemieszczali się pośród wodospadów, mniejszych i większych, hałaśliwych i głośnych, a mokre krople, spienionej wody, niczym deszcz, płucały ich strudzone twarze.

Ryby, niezagrożone naturalnymi wrogami, śmiało podplływały do dziewiczego brzegu. Ich łagodne łuski, blade szarawe, ostro lśniły w promieniach słońca i pośród fleszy, głaskających ich ruchy i kształty.

Park Narodowy Jeziora Plitwickie jest pod względem powierzchni największym z ośmiu chorwackich parków narodowych. Jest to najstarszy park narodowy w Chorwacji. Jeziora znane są ze swoich kaskad tufu wapiennego, oraz ciągłego biodynamicznego procesu ich wzrostu, w specyficznych warunkach hydrologicznych. Często woda zmienia tam swój bieg, wodospady wędrują pośród bukowo-jodłowej puszczy.

Przemysław D. z Basią szli na końcu. Pstrykali zdjęcia i pośpiesznie dochodzili do umykającej im grupy. Naturalna dżungla osaczała ich

powoli i konsekwentnie. Basia była rozluźniona, tabletki zaczęły w końcu działać.

Później płynęli statkiem, bardzo krótko, po cichej toni jeziora. I znów zdjęcia, i znów odchodzenie od wycieczki, i znów zostawianie na końcu grupy.

- Zgubimy się, zobaczysz – śmiał się Przemysław D..

- Może nie, chyba nie – odpowiadała Basia robiąc kolejne zdjęcia.

- Jak się zgubić to tylko w takim miejscu, wtedy nawet strach ma inny wymiar.

- Może masz rację, czasami trzeba się zatracić – odrzekła.

- Zatracić w sobie, czy zatracić w przyrodzie?

- I to i to – zaśmiała się, i wtedy zorientowali się, że koniec ich wycieczki zniknął im nagle z oczu.

Zaczęli przedzierać się pośród obcych turystów, pośród strachu Basi, i pośród chęci odnalezienia grupy. Byli zbłąkanymi istotami pośród obcych twarzy.

Niespodziewanie droga dała im dwie możliwości. Prawo czy lewo? Odwieczny dylemat człowieka – dokąd iść, która droga jest właściwa, i czy wybór skarci nas za złe konsekwencje decyzji?

Większość osób szła w prawo. Basia chciała w lewo. Kobieta w panice, gdy strach przesłoni jej oczy, działa jak we mgle, logika chowa się w strachu ciszy.

- Chodźmy w prawo – podjął decyzję Przemysław D.. – Tam podąża więcej osób, w grupie mówili coś o kolejce, która ma nas zawieść na stację numer jeden. Tam jest znak kolejki.

- Dobrze – zgodziła się Basia.

- Pilnuj mnie – zaśmiał się Przemysław D.. – Jak ci zginę, twoje szanse znacznie zmaleją.

- Znajdziemy ich? – Spytała z niepokojem.

- Poradzimy sobie – chciał ją jakoś pocieszyć, miał numer do przewodniczki, zawsze można zadzwonić – to było takie koło ratunkowe.

Dogonili wycieczkę, nie pomylili się, kolejka podjechała, grupa ulokowała się w wagonikach. Ruszyli, cicho zanurzyli się w bukowy las, a jodły, cichym szelestem wiatru, suszyły im czoła spocone żarem dnia.

Dojechali do bazy, stacji numer jeden. Tam chwilę postali, szybkie wejście do autokaru i znów droga. Tym razem Zagrzeb, stolica Chorwacji. Ostatnie miejsce wyjazdu i ostatnie miejsce, gdzie Przemysław D. i Basia będą mogli spędzić razem czas, poznać się jeszcze lepiej, tak bezpowrotnie, aby wspomnienia, i chwile, zostały w ich sercach już na zawsze.

Wspominać jest warto, jeśli mamy co wspominać, wspomnienia są ważne, jeśli mamy gdzie je umiejscowić w sercu, miejsca wspomnień to szuflady, schowane w komodzie celów i dążeń, to rzeczy, które oglądaliśmy, które jeszcze zobaczymy i te, które właśnie przeżywamy. Jesteśmy tu i teraz. Widzimy, oceniamy, zamykamy dzień. Potem do tego wracamy, częściej lub rzadziej. Gdy jest nam źle, gdy śnieg za oknem jest szorstkością naszej duszy, rozgrzewamy się wspomnieniami, późnym czasem przeszłym. Gorzej jest, gdy myśli wędrują w przeszłość, a tam jest pustka, cicha droga bez drzew, bez kwiatów i ludzi. Same cienie, niezliczona ilość dni i my, samotnie idący do przodu. Jednak zawsze można to zmienić, odwrócić się, plunąć ciszy w oczy i wybrać inny kierunek drogi. Może nie lepszej, ale zawsze ciekawszej w swojej strukturze.

Dojechali do Zagrzebia, pod wieczór. Mijali miasta, wioski, pasma gór, płaskie łąki porośnięte suchą zielenią, pojedyncze palmy, przysadziste agawy i kaktusy, dumnie stojące w spiekocie dnia. Słońce, jego nieustający żar, jego przenikliwa moc, osaczało ich codziennie, wysysało całość sił, odbierało jasność spojrzenia i było zarówno blaskiem światła jak i cieniem strudzonego dnia.

Przewodniczka z Itaki, opalona, drobna dziewczyna, z wiecznie zagubionym uśmiechem, z dobrocią w oczach, o czarnym, jakże węglowym kolorze oczu, ostrzegała ich, iż standard hotelu w Zagrzebiu będzie inny, mniej komfortowy niż wcześniej.

I tak też było. Hotel wyglądał z zewnątrz jak budynek robotniczy – szary, ponury, zaadoptowany dla potrzeb turystów.

Na recepcji dostali klucze. Przemysław D. wszedł po schodach na pierwsze piętro, nie chciał stać w kolejce do windy. Ze zmęczoną miną otworzył drzwi do swojego pokoju. Kolejnego miejsca w życiu, gdzie zabawi jakiś czas. Przyzwyczyił się do zmieniania miejsc, przyzwyczyił się do trudów podróży, i przyzwyczyił się, że samotne pokoje nie są takie puste podczas wędrowki, gdy mamy za sobą miejsca już zobaczone, a przed sobą miejsca, które jeszcze zdążymy ujrzeć jutro. Wędrowka jest wyzwoleniem, balsamem duszy, kiedy tak naprawdę nie mamy już, do czego wracać.

A on nie chciał wracać. Nie miał pomysłu jak oddać pieniądze, nie miał pomysłu jak je zarobić i nie miał pomysłu jak wystartować ponownie w życiu, po tylu tak idealnych dniach, tu na miejscu. Zmienił się w środku, odkrył w sobie pasję, chęci do przemieszczania się w czasie, a czuł, boleśnie wiedział, że jak wróci, pozostanie w zawieszeniu, część jego serca będzie tu, a pozostała część będzie skomleć z rozpacz na miejscu.

Wykąpał się, a w zasadzie wziął prysznic, upał ciała schłodzony został strugą zimnej wody w kabinie.

Poszedł na obiadokolację. Przyszedł, jako ostatni, równocześnie z jakimś małżeństwem z wycieczki.

Posiłki były tu nędzne, nie tragiczne, ale znacznie odstępowały od tych na wybrzeżu. Zjadł coś, głód zmusił go do uśmiechania się przy stole, że wszystko jest w porządku. Trochę rozmawiał z dziewczynami siedzącymi na wprost, dwoma przyjaciółkami, które jeszcze nie zaznały prawdziwej miłości w życiu. Były miłe, z godnością znosiły swoje samotne życie.

Po kolacji poszedł wraz z Łukaszem, prawnikiem z Radomia, i z jego wiecznie uśmiechniętą żoną, na spacer. Nie mieli gdzie spacerować, bloki, sklepy, szare ulice, komunizm budownictwa, nic nadzwyczajnego i odkrywczego nie mogli tu zobaczyć. Szybko wrócili do restauracji hotelowej, jedyne miejsce gdzie mogli zabić czas alkoholem.

Zamówili po piwie, żona Łukasza zamówiła sobie rum. Rozmawiali o podróżach, sięgali pamięcią wstecz, do miejsc niezwykle, byli daleko a zarazem gdzieś blisko. Zwiedzali dzikie krainy, błędząc myślami przy piwie.

Po jedenastej godzinie kelner zgasił światło przy barze. Czas stanął, zabił ich swoją siłą powrotu do rzeczywistości. Rano musieli szybko wstać, ostatni dzień podróży, ostatnie zdjęcia zawieszane w czasie i ostatnie tchnienie wolnego oddechu. Udali się z pokorą do swoich pokoi.

Śniadanie było jeszcze gorsze niż obiad. Musieli łapać cokolwiek, co pojawiło się na stole, kelnerzy z niechęcią donosili jedzenie na stół. Niby byli mili, ale uśmiechem żołądków nigdy się nie nakarmi.

Spakowali się i ruszyli w miasto. Zmierzali do centrum Zagrzebia, autokar z godnością pchał ich do celu.

Zagrzeb – stolica Chorwacji. Miasto o europejskiej architekturze, zupełnie odmienne od miejscowości położonych na wybrzeżu. Leży nad rzeką Sawą, i tak jak w większości miast tego typu, przeszłość miesza się tam z teraźniejszością, a historia pieczołowicie chroniona jest przez niezmienny upływ czasu.

Zaczęli zwiedzanie od Katedry Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Strzeliste wieże, ostro wbijające się w chmury, gotyckie ostre rysy, dwie neogotyckie dzwonnice, to wszystko stanowiło wizytówkę i symbol miasta.

Poszli w kierunku Starego Miasta, mijali kościoły, lokalny bazar, sieć starych uliczek.

Zatrzymali się na chwilę na dużym placu, tuż koło Ratusza z dwoma kolorowymi godłami na dachu, tam znajdowały się rządowe budynki parlamentarne. Honorowa warta czekała na przyjazd premiera Francji. Ochrona czujnie spoglądała na nich, a po chwali podjechał konwój czarnych limuzyn. Hymn, salwa z broni i marsz po czerwonym dywanie. Wszyscy pstrykali zdjęcia, część historii zapisywała się w obiektywach.

Doszli do centrum miasta, na główny plac, z pomnikiem Bana Josipa Jelacica na koniu ze szpadą. Tam zarządzono przerwę, każdy miał czas dla siebie, ponad dwie godziny nieskrępowanej wolności.

Basia i Przemysław D. poszli na lody, ona wręcz uwielbiała je jeść. Były dla niej wyzwaniem, rozkoszą, cichą chwilą radości, rozterką rozedrganego wiatrem dnia.

Spacerowali spokojnie, bez pośpiechu, cicho racząc się zgiełkiem dnia. Czasami mijały ich pojedyncze tramwaje. Pochodzili po sklepach, weszli do obuwniczego, Basia chciała sprawdzić, czy moda tu jest taka jak moda tam. Była podobna. Ona oglądała buty, a on przeglądał zdjęcia w aparacie i zerkał ukradkiem na Chorwatki, był jedynym mężczyzną w sklepie.

Po wyjściu stanęli przez chwilę przy młodej dziewczynie, grającej na skrzypcach. Przemysław D. rzucił jej jakieś drobne kuny. Rozumiał artystów, miał przyjaciela, który grał w zespole, doskonale wiedział, co znaczy pasja, gdy nie możemy z niej żyć.

Poszli do kiosku, ona kupiła widokówki, zawsze kupowała kartki z podróży, taki nałóg – część na wysłanie, a część dla siebie. On kupił sobie zimne piwo, a gdy wyszli, usiedli sobie na pobliskim murku, ona jadła kolejne lody, a on z rozkoszą popijał zimne, doskonale schłodzone piwo. Naprzeciw rysował się plac z pomnikiem Bana Jelacica.

- Szkoda wracać – rzekł Przemysław D. – Takie to dziwne, wracać z marzeń do rzeczywistości.

- Trochę szkoda – westchnęła Basia.

- Ty masz jeszcze dużo wolnego czasu, zazdroszczę ci.

- Wiem, dlatego też wybrałam tą pracę.

- Pewnie się nigdy nie spotkamy. To jest taka znajomość wakacyjna.

- Wiesz dobrze, że nie. Ja mam mężczyznę, a ta odległość, nie dawałaby nam żadnych szans. Po co stwarzać niepotrzebne szanse, kiedy wiadomo, że i tak ich nie ma.

- Wiem. Każdy ma swoje życie. I tylko czasami podróż może zająć dwa odmienne światy, zgłębić je od środka, unieść ku górze, ku niepewności, a później całość istoty pęka jak bańka mydlana, zostawiając czar mokrej goryczy w powietrzu.

- Mimo wszystko nie żałuje.

- Nie żałuje się rzeczy doskonałych, one po prostu się dzieją, żałuje się rzeczy niespełnionych. Niespełnienie to niemożność dokonania tego, co sobie wymarzyliśmy w przeszłości.

- Masz rację, liczy się teraz i tutaj. Później do końca to będziemy nosić w sobie, jak złoty naszyjnik na szyi.

- Naszyjnik wspomnień.

- Naszyjnik marzeń niespełnionych.

- Wracamy?

- Tak wracamy.

Wolno, z lekkim otępieniem, jak niewolnicy czasu, powlekli się do autobusu. Ostatnie kroki wędrówki, ostatnie wspólne kroki dwóch przypadkowych osób i ostatnie gesty, wyrażone w blasku słońca. Coś się kończy, coś się zaczyna, coś się urywa. Cichy film zaczynał gasnąć, jednak kamerzysta jeszcze nie miał odwagi wyłączyć kamery. Nieświadomie chciał wydłużyć czas, który z wolna zaczął się urywać, szarpać w godności chwili, wspomnienia powrotu do rzeczywistości.

Potem zostali im tylko pojedyncze postoje. Przed wieczorem, przed schyłkiem dnia, zatrzymali się na obiad. Część ludzi jadła, część spacerowała, a Przemysław D. i Basia usiedli z boku, za parkingiem na krawężniku.

- Dziwne, kilka dni żyliśmy w luksusie. Doskonałe hotele, wyśmienite widoki, plaże, porty, wyspy przed oczami, błękit morza odbijający światło, a teraz siedzimy tutaj jak bezdomni. Wszystko się zmienia. Czas zawsze wyrównuje szanse rzeczywistości.

- My się zmieniamy – rzekła Basia. – To dobrze, dzięki zmianom czujemy, że jesteśmy jeszcze żywi, że jeszcze coś dla siebie samego znaczymy, że istniejemy w środku. Jak stracimy resztkę chęci do nowych wyzwań, umrzemy jak nie podlewany kwiatek w doniczce, o którym ktoś zapomniał kiedyś w przeszłości. A to, że tu siedzimy na krawężniku, nic, a nic mi nie przeszkadza.

- Mnie też – zadumał się Przemysław D..

- Ważne, z kim siedzimy. Można znieść każdy los, nawet ten najczarniejszy, kiedy koło ciebie siedzi ta właściwa osoba. Zły los się kiedyś kończy, a wiara w drugą osobę zawsze wiecznie trwa.

- Jeśli siedzi ta właściwa osoba koło nas. A jak nie?

- Cóż, życie to sztuka wyobraźni. Wyobraźni marzeń, wyobraźni losu i wyobraźni czasu. Musimy szukać tą osobę, niestrudzenie szukać. A jak uwierzemy, i tak naprawdę bardzo się postaramy, to ją znajdziemy, prędzej czy później, a wtedy cały trud wędrówki przypieczętuje nasze wcześniejsze starania.

- A więc szukajmy.

- Może oboje już znaleźliśmy tą właściwą osobę? – Basia smutno popatrzyła na Przemysława D.. – Ale w nieodpowiednim momencie, w nieodpowiednim czasie, w nieodpowiedniej chwili.

- Może... – Przemysław D. wstał, pora powrotu bywa bolesna, tak jak bolesna jest chwila, gdy coś dobrego się kończy, choć tak naprawdę nic się jeszcze nie zaczęło.

Przemysław D. obudził się nagle i niespodziewanie; spocone czoło, piekący ból w piersiach, zwiotczałe nadwyrężone serce i strach, że coś z jego życiem jest nie tak.

Leżał w starej drewnianej chacie, zbitej z wypłowiałych czasem desek. Słońce, poprzez ogrom szczelin, przedzierało się na jego posłanie. „Gdzie ja jestem? Co się ze mną dzieje? Nic nie pamiętam?”.

Do chaty wszedł siwy mężczyzna, w zasadzie starzec, koło sześćdziesięciu lat. Popatrzył z troską na Przemysława D., potem zmęczoną dłonią zgarnął jego włosy z czoła na bok.

- Nie masz już gorączki – rzekł po angielsku. – To dobrze, nawet wymśnienie. Jak się czujesz?

- Słabo, nie mam w ogóle siły. Co ja tu robię?

- Nic nie pamiętasz? Morze wyrzuciło cię na brzeg nieprzytomnego. Myślałem, że wyzionąłeś ducha, ale jednak nie, jest w tobie wola walki. Masz mocny organizm. Pragniesz żyć, zresztą jak każdy.

- Ile tu już leżę? – Przemysław D. podparł się rękami o łóżko i uniósł z bólem zastygłe ciało.

- Ponad dwa tygodnie. Dobrze się tobą opiekowałem. Kiedyś byłem lekarzem, dobrym lekarzem... – mężczyzna zastygł we wspomnieniach na chwilę, jakże bolesnych wspomnieniach, – ale już nie jestem.

Przemysław D. zaczął sobie coś przypominać, cofnął się diametralnie w przeszłość, prześwity świadomości łaskotały jego pamięć. Pamięć zastygła, pamięć zmieszana ze wstydem luk w rozumie i pamięć nadwątloną pustką myśli.

„A więc nie byłem nad Jeziorami Plitwickimi – pomyślał – nie byłem w Zagrzebiu, przecież to wszystko stało się wcześniej, o wiele wcześniej. To ta gorączka, dzika realność snów zmieszana z realnością pragnień. Tego wszystkiego nie było... to znaczy było we mnie, lecz tak naprawdę nie było, zły sen naznaczony śmiercią ledwo, co poznanych osób”.

- Poleż sobie. Odpocznij – rzekł starzec.

- Gdzie ja się dokładnie znajduję?

- Na wyspie, bezludnej wyspie, jednej z tysięcy w Chorwacji. Tylko ja tu mieszkam. Uciekłem kiedyś tu przed przeszłością. I znalazłem spokój, i znalazłem ukojenie i znalazłem kotarę, za którą mogłem się schować przez zgiełkiem świata.

- Rozumiem – Przemysław D. opadł ciężko na łóżko, był całkowicie bez sił; zasnął, a jego ostatnia myśl brzmiała: „Wszyscy umarli, zginęli podczas katastrofy, może jednak ta dziewczynka żyje? Niech, chociaż ona przeżyje!”. Zapłakał w myślach i zasnął. Ukojenie zostało zneutralizowane snem.

Po kilku dniach Przemysław D. zaczął wracać do sił. Chodził po plaży – pustej, bezimiennej plaży. Oglądał mewy, puste mahoniowe morze i patrzył prosto, wręcz nostalgicznie przed siebie, bezdomnym wzrokiem szukał jakiegoś lądu. A tu morze, a tu cisza, a tu pustka zawieszona w czasie.

Po dwóch tygodniach był w formie, dzięki opiece starca. Świeże ryby, łowione przez niego, owoce z wyspy i górską wodą, spowodowały, że organizm znów zapragnął żyć i istnieć; gorzej było z myślami, lecz myśli zawsze naprawia się najdłużej. Potrzebują czasu, potrzebują spokoju i potrzebują chęci bycia we wzajemnej zależności z rozumem. Chęci to taki samochód, który musi kiedyś wjechać do garażu, do blaszanego rozumu istnienia.

Podczas jednego z wieczornych spacerów, gdy słońce zachodziło na wpół iskrzącym się widnokręgu morza, kiedy czerwień mieszała się z granatem wody, kiedy ostatnie podrygi światła odbijały się od półprzezroczystej tafli fal, starzec opowiedział mu swoją historię. Każdy ma takie opowieści na dnie duszy, o których chciałby kiedyś zapomnieć. Starzec też miał i nie chciał się swoim bólem z nikim. Teraz jednak chciał z kimś o tym porozmawiać.

Dawno temu, w lepszych dla niego czasach, był królem, Bogiem medycyny. Mógł wszystko, miał wszystko, mógł mieć wszystko. Mógł wiele pragnąć, i także wiele oczekiwać.

Potem była jedna zła operacja i całość prostej linii zmieniła się w krzywiznę. Syn bogatego i wpływowego biznesmena, powiązanego z polityką, miał wypadek. Jedna nieudana operacja, lecz nie z jego winy. Ból ojca nie zniósł jego tłumaczenia, on miał swoją wizję tej historii. Zwalono wszystko na niego, nienawiść ojca zniszczyła mu życie.

Przyjaciół biznesmena, minister zdrowia, wykorzystał władzę do prywatnych celów, potem były cofnięte kwalifikacje lekarskie i ucieczka w

niebyt. Przeprowadzka na peryferie innego miasta, tam też go znaleźli. Nienawiść ojca, jak dziki pies pustynny, znajdowała go wszędzie.

Nigdzie nie mógł wystartować, nigdzie nie mógł zaistnieć, nigdzie nie potrafił zacząć, gdyż ktoś nie pozwalał mu zapomnieć o czymś, o czym tak bardzo chciał zapomnieć; a on chciał przecież tylko zamknąć rzecz zastygłą w jego pamięci, od tak dawna. Ciężko coś zaczynać na nowo, gdy przeszłość niedokończona jest cierniem niezakończonych kiedyś spraw. Jest znamieniem, otwartą raną w oczach, krwawiącą iskrą łez, wyschniętych prawie do końca.

Którejś nocy, wziął łódź i wypłynął w morze. Znalazł tą wyspę, zdał się na przeznaczenie i ślepy los. Tu zamieszkał i tu zaistniał na nowo. Rozpoczął powtórny sen, nie lepszy, nie treściwszy, lecz nowy i świeży. Teraz nie płakał już po nocach jak kiedyś, teraz umiał zasnąć i przespać kilka godzin w spokoju. Złe sny zasnęły, zostały uśpione, nie wracały, a to już dużo. Nie był szczęśliwy, ale też nie był nieszczęśliwy – a to już sporo. Był wolny, i ze swoją wolnością mógł zrobić, co chciał. A chciał zostać tu do końca swoich dni.

Jeszcze tydzień Przemysław D. wracał do sił. Chodził wciąż po plaży, przyglądał się tańczącym falom w rytm muzyki wiatru i z dnia na dzień, z godziny na godzinę, zaczął lubić staruszką.

Polubił go za spokój, który bił z jego pomarszczonej twarzy, polubił go za troskę, którą go otaczał, chociaż tak naprawdę go nie znał, i polubił go za niestawialnie zbyt dużej ilości pytań; choć często tak patrzył na niego, jakby znał wszystkie możliwe odpowiedzi, i znał wszystkie ważne pytania, które mógł mu zadać, lecz nie chciał, nie czuł widocznie takiej potrzeby.

Podczas któregoś ze spacerów, bezwolnej podróży nóg po piasku, zaczął z nim rozmawiać o swojej przyszłości. Sam się zdziwił, że słowa tak nieskrępowanie wypłynęły z jego zastygłych w milczeniu ust.

- Dobre miejsce sobie znalazłeś – rzekł cicho Przemysław D..

- Każdy ma takie miejsce, na jakie zasługuje.

- Takie wolne, naprawdę świeże w swojej dziewiczości, takie zastygłe w czasie.

- Bo takie jest – uśmiechnął się starzec. – Chciałbyś tu zostać? Możesz. Jeśli czujesz taką potrzebę.

- Nie, nie mogę – smutno odparł Przemysław D.. – Niby mógłbym, ale to i tak nie rozwiąże moich problemów. One są, i muszę się z nimi zmierzyć. Nie mogę wiecznie uciekać, bo kiedyś źli ludzie dopadną mnie w najmniej spodziewanym momencie. Kiedy będę najsłabszy, kiedy będę bez żadnych szans.

- Rób jak uważasz.

- Muszę też znaleźć takie miejsce dla siebie jak ty, lecz nie tu. Skrawek ładu, który uczyni moje myśli wolnymi; skrawek ładu, gdzie moje serce będzie biło łagodniej; i skrawek ładu gdzie sam zrozumieć, że pośpiech to ranny koń, który w zagubieniu biegnie na bezgraniczny step, aby tam umrzeć.

- Znajdziesz to wszystko. Ale szukaj – starzec przyjrzał mu się uważnie, bacznie oglądając jego twarz. – Nie chcesz wracać, ale masz odwagę wracać. To dobrze, śmiało czyny czynią nas silnymi ludźmi. Jeśli umiejętnie zmierzysz się z rzeczywistością, to rzeczywistość ułatwi ci twój kolejny sen.

- Niezależnie od sprawy wciąż mnie gonią, może nawet mnie zniszczą. Może utopią w świetle dnia, ale było warto podjąć to ryzyko, ocalę czyjeś życie, być może tracąc swoje. Sprawiedliwe rozwiązanie, bicie serca za bezdech duszy.

Wstali z plaży, złoty piasek pozostał na spodniach Przemysława D.. Wrócili do chaty, krokiem równym, lekkim i cichym.

Jutro Przemysław D. miał wracać do domu. Najpierw do ambasady, później do domu. Dwa etapy, ten drugi znacznie trudniejszy. Bał się swojego strachu, ale o wiele bardziej bał się tego, że nie będzie potrafił z godnością przeciwstawić się temu uczuciu.

Ambasador patrzył się na niego ze zdziwieniem, objawieniem przesiąkniętym w jego mądrych oczach. Pracował tyle lat na placówkach, pomagał tak wielu osobom, widział porażki ludzi, zwątpienia złamane strachem, radości złapane w locie ptaka, wiarę tych, którym koszmar obcości już się skończył, a powrót dopiero się zaczynał. To wszystko widział. Ludzie bywali w placówce, ludzie spali w placówce i ludzie wyjeżdżali z placówki. Lecz nigdy, absolutnie nigdy nie widział, żeby ludzie odnajdywali się w placówce; zmarłe dusze, zagubione w czasie, nigdy tu nie bywały.

Przed nim siedział trup, człowiek zasypany piaskiem na cmentarzu. Umarł trzy tygodnie temu, jego pochówek dawno odbył się w kraju. Tutaj został pochłonięty przez morze, niby dobra i piękna śmierć; w kraju jego dusza zastygła już dawno w ziemi. Cud, prawdziwy cud, na który tak długo czekał ambasador, człowiek w sumie wierzący.

- Nie wierzę, po prostu nie wierzę – śmiał się całymi oczami ambasador. – Chyba nikt nie uwierzy.

- Jak wrócę do kraju? – Zaciekał się Przemysław D..

- Najbliższym samolotem. Będzie pan miał trochę problemów, pana już nie ma wśród żywych. Choć czasami żywi są bardziej martwi za życia niż ci, co umarli. Jednak wszystko można zmienić. Umarli za życia czasami też zmartwychwstają.

- Jak pan zresztą widzi – zaśmiał się Przemysław D..

- Niech pan idzie spać. Jutro wszystko załatwimy.

Przemysław D. udał się do pokoju obok. Takie dyżurne pomieszczenie w ambasadzie. Miękkie łóżko, miękka kołdra i miękkie prześcieradło zwiastowały miękkie sny. Zasnął natychmiast, tak jak potrafi zasnąć człowiek, który przez dłuższy czas nie miał własnego domu.

Kraj, ojczyzna, przywitała go ciepłym deszczem lata. Krople z nieba cicho głaszały ziemię swoją natarczywą siłą.

Okazało się, że został bohaterem. Dziewczynka przeżyła wypadek. Opowiedziała jak ją ratował. Najpierw został bohaterem po śmierci, teraz został bohaterem za życia. Odwrotna kolejność, lecz w miarę sprawiedliwa.

Często czynimy rzeczy bez powodu i zbierając za to laury zwycięstwa, jednak jeszcze częściej czynimy gesty pragnąc chwały, a dostajemy w nagrodę suchy chleb i jałowe myśli dnia codziennego. Gdy czynimy rzeczy naturalnie, bez zbędnych i powikłanych myśli, to wtedy los obdarowuje nas swoim blaskiem wedle uznania.

Zaczęły się wywiady, zaczęły się zdjęcia, przez moment Przemysław D. stał się ikoną zwycięstwa. Czuł się z tym źle, nigdy nie chciał być osoba publiczną. Źle znosił błysk fleszy i źle znosił miłe pytania dotyczące jego życia. Nie miał im nic odkrywczego do powiedzenia, nie miał im żadnych nowych prawd do pokazania. Uczynił, co uczynił. Okazał się tylko człowiekiem, nigdy nie zamierzał być bohaterem.

Były też plusy tego wszystkiego. Dziewczyny zaczęły patrzeć inaczej na niego. Był taki sam jak kiedyś, a jednak według ludzi inny – bardziej oszlifowany. Każda kobieta pragnęła mieć bohatera przy sobie, choćby przez chwilę; wcześniej nie chciały na niego spojrzeć, był zbyt szary, pospolity i nudny, jak większość ludzi. Jeden czyn, jeden dobry uczynek w dobrym momencie, i nagle okazało się, że jest inny. Symetria się zmieniła. Stał się lepszy, bardziej przystojny, o zmysłowym spojrzeniu. Jeden gest i z żaby przemienił się w królownę, w męskim wydaniu.

Kobiety zaczęły go, kobiety podrywały go i kobiety kokietowały go. Był ich snem, był ich przeznaczeniem, był ich wiarą, że są jeszcze brylanty wśród nas.

Postanowił to wykorzystywać. Nie chciały mieć szarego, zwyczajnego człowieka, będą teraz miały iluzję pragnień, w złotej masce dobroci.

Miesiąc minął mu na płatanu się pomiędzy telewizyjnymi salami i radiowymi studiami, czasami gazety gościły go też w swoich gabinetach. Czuł się w maszynie popularności coraz lepiej. Zniknęła gdzieś początkowa krepacja. Przestał bać się cieni z przeszłości. Znow nabrał wiary, że jest niepokonany.

„Co mi zrobią teraz? Będą się bali. Zrobią sobie krzywdę, gdy zaczną mi ponownie grozić. Muszą zapomnieć o rozliczeniach z przeszłości. Osoby publiczne są nietykalne. Ich długi są długami publicznymi, a kto wyciągnie po nie rękę, zostanie boleśnie ukarany”.

Nabrał ślepej wiary, że herosi są nietykalni. Boją się ich czarne charaktery, gdyż ich czyny, złe posunięcia, uczynią im więcej krzywd niż zysków. Zero promocji, maksimum strat. Tak zaczął myśleć, a to myślenie, te przebłyski dumy i ufności, zaczęły odgrywać coraz większe znaczenie w jego życiu; stawał się lepszym człowiekiem i czuł, że staje się innym człowiekiem.

Zmienił pracę na lepszą, już nie był magazynierem. Pracował w telewizji, jako zastępca reżysera w nocnym programie „I ty zostań bohaterem”. Mówił jak instynkt czyni cuda, gdy los sprawdza nas za życia. Pomagał prowadzić reportaże, zbierał wiadomości o ludziach występujących w poszczególnych odcinkach, i niespodziewanie, wręcz nagle i nieświadomie, zakochał się w dziennikarce telewizyjnej. Była to miłość z wzajemnością. Teraz lepiej zarabiał, lepiej kochał, lepiej żył. Smutny człowiek z przeszłości, został sam, daleko na peronie. I tylko czasami matka mówił mu, że się zmienił, nie jest taki jak dawniej. Mówiła, że go niszcza, że to nie jest praca dla niego. Wykorzystują go, bo jest teraz na szczycie, a gdy całość linii się zmieni, to wyciszą wszystko, przystopują jego życie. Tak mówiła, jak każda matka, która widzi więcej niż przeciętna wróżka.

Nie wierzył jej, lecz ją kochał. Nie chciał być taki jak dawniej, początkowe skrępowanie minęło, przysnęło jak bańka mydlana. Teraz czuł luz przed kamerą, śmiało mówił o swoim życiu, nie bał się żadnych pytań i żadnych odpowiedzi.

Nauczył się kłamać, musiał kłamać, gdyż ze starego życia nic już nie dało się wyjąć, wszystko było nijakie, może lepsze niż teraz, ale nijakie. Więc musiał kłamać, upiększać, fantazjować. Wmówił sobie i ludziom, że zawsze był bohaterem. To chcieli od niego usłyszeć i usłyszeli. Świat potrzebuje bohaterów, choćby na chwilę, dzięki nim czujemy, że

przeciętność zawsze można zmienić w odwagę. Aż w końcu, po setnym mówieniu nieprawdy, sam zaczął w to wierzyć. Może naprawdę tak było, takim człowiek był kiedyś, zastanawiał się w sobie bezgłośnie. Sam miał wątpliwości, co jest fikcją a co prawdą? Całość nieporozumień w duszy, zlewała mu się we mgle wątpliwych wspomnień.

Przemysław D. wracał zmęczony do domu. Wysiadł z autobusu na pętli i w kończącym się dniu podreptał pod klatkę. Szedł śmiało, szedł dumnie pośród zmierzchu, pośród zbliżającej się nocy, pośród zawieszenia gry cieni na ulicy. Musiał przejść pod tunelem w bloku, takim podziemnym krótkim przejściem, i tam, zaraz po prawej stronie była jego klatka.

W domu czekała na niego Dorota, dziennikarka z telewizji, wyjątkowa miłość jego życia, może ostateczna, taka do końca. Robiła romantyczną kolację, dobre jedzenie, świece, wybitnie rozanielająca muzyka, taki podkład zmysłów przed epitafrum nocy.

Wieczór zapowiadał się wyśmienicie. W końcu był szczęśliwy. Takim się czuł od pewnego czasu. Przypadek to sprawił, niepewny wyskok losu. Życie to gra przypadków, szachy z diabłem, jeden dobry ruch i całość ścieżki ostro się zmienia. On wygrał, zrobił doskonały ruch w niedoskonałym momencie. Najważniejsze, że wygrał, dał pstryczka czartowi w nos.

Zamyślony wszedł w tunel. Ciemność przysłoniła mu oczy. „Mogliby zrobić tu jakieś światło – pomyślał”.

Jakiś cień wynurzył się z boku, obok stały jeszcze dwa. Ciemne wrogie kształty o lodowatych spojrzaniach.

- Z nami się nie zaczyna – Przemysław D. poznał głos diabła z przeszłości.

- Oddam wam pieniądze! – Bezwiednie krzyknął w strachu.

- Nie chodzi o pieniądze. Chodzi o zasady. Coś bierzesz, coś obiecujesz, gdy z czegoś się nie wywiązujesz, coś w zamian dostajesz. Takie zasady, proste w istocie. Skuteczne, zawsze się sprawdzają.

- Byłem zajęty... – głos drżał mu z przerażenia.

- Wiemy – rzekł sucho szef grupy. – I dlatego czekaliśmy. Oszukałeś nas, a nas się nie oszukuje. Ale o tym, to już się nie dowiesz.

- Proś o litość, to może zrobimy to bezboleśnie – rzekł ostro głos z boku.

I nagle Przemysław D. przestał się bać. Coś w nim pękło, poczuł się tak jak na morzu, gdy ratował dziewczynę. Nie myślał o strachu, nie myślał o sobie, wtedy chciał tylko jej pomóc. I tak było teraz, poczuł taką dziwną odwagę; wiedział, że i tak z tego nie wyjdzie, nie mógł z tego

wyjąc bez szwanku. Oni przyszli go zabić, a on miał tylko skomleć na ich oczach. Oprócz krwi, chcieli jeszcze przedstawienia. Nie dostaną go, pomyślał. Gdy wszystko w zasadzie jest jasne, gdy śmierć swoim suchym oddechem pali nas w nozdrza, możemy tylko plunąć jej w twarz i powiedzieć: „Czemu tak wolno szłaś? Nie miałaś siły po nas przyjść wcześniej? Jesteś żałosna, żałosna w swojej żelaznej konsekwencji.

Poczuł się znów wolny. Wolny od pragnień, które już nigdy się nie spełnią; wolny od marzeń, których już nie ziści; wolny od myśli, które za chwilę zastygną na zawsze; i wolny od miłości, którą na moment poczuł, a która czekała na niego w domu, przy świecach rozpusty.

Gdy znajdował się w zawieszeniu, pośrodku życia i śmierci, gdy w zasadzie wszystko było jasne, serce jeszcze biło, lecz za chwilę miało zastygnąć w nocy, gdy obcy ludzie, źli i pełni nienawiści, szarpali go za ręce, gdy opuścił go strach a odwaga biła z jego spokojnych teraz oczu, gdy ostatni blask, dopiero co budzącego się księżyc, rozjaśnił jego spojrzenie, to wtedy obcy ludzie, siejący zło w mieście, zobaczyli dumną twarz bohatera, człowieka, którego bardziej już nie mogli skrzywdzić. Ujrzeni odwagę, nie taką z filmów, wydumaną na taśmie z kadru, lecz taką namacalną; zobaczyli dumę, nie tą z obrazów, kiedy ludzie umierali za swoje przekonania na krzyżach; i zobaczyli pogardę skierowaną przeciwko nim, taką zajadłą, taką doskonałą, taką niecierpliwą, zawieszoną w czasie. I to ich zabolowało, ta pogarda, ta duma, ta odwaga. Poczuli się mali, poczuli, że tracą kontrolę sytuacji. Mieli być zwycięzcami, a czuli się tchórzami. Mieli coś zakończyć, a ujrzeni, że coś się rodzi. Coś wyjątkowego, coś metafizycznego, coś niebiańskiego.

Byli za prości, żeby to zrozumieć. Nie chcieli, nawet nie próbowali. Nigdy nie próbowali zrozumieć swoich ofiar, nie umieli, a dzisiaj zrozumieli, że to on pierwszy ich zranił i zmusił do myślenia: „Dlaczego przegrany nagle okazuje się zwycięzcą?”.

I wtedy padł pierwszy cios nożem. Nawet go nie bolał, nie bolał tak bardzo, jakby miał się tego spodziewać. Drugi cios był szybki, szybszy niż pierwszy, też Przemysław D. nie poczuł go tak dotkliwie. Dopiero trzeci zabolął. Zabolął tak prawdziwie, jak może boleć tylko życie. I on był decydujący, wbił się mocno w serce. Jeszcze biło, jeszcze drgało, ale powoli i systematycznie zwalniało, jak odczepiony wagon pociągu, zostawiony na manowcach torów.

I wtedy, właśnie wtedy, Przemysław D. poczuł pierwszy strach. Gdy leżał na ziemi w strudze krwi, gdy słyszał tupot szybkich kroków, gdy oni uciekli i nie mogli już go bardziej skrzywdzić, bo i tak powoli odchodził, chłodno i bez pośpiechu, wtedy strach pustym śmiechem wkraść się w jego

serce. Zakradł się z tyłu koło niego, przysiadł obok jak wierny pies, czekał cierpliwie na jego agonię. Nie chciał jeszcze w niego wejść tak do końca, dawał mu czas na refleksję, tylko siedział i patrzył. Zimno, cierpliwie i bez emocji. Był z nim jak kat, był z nim jak zły ojciec i był z nim jak burza, która nagle zaskoczyła nas pośród gór.

„Warto było, uratowałem matkę. Cena może wysoka, ale jaka jest dobra cena za ludzkie życie. Nie ma doskonałych zapłat, tak jak nie ma doskonałych decyzji. Podjąłem decyzję, przegrałem wygrywając. Tylko ten ból, taki zły; ostry ból, który nagle się pojawił i czeka, aż w panice wyzionę ducha. Nie chcę się bać, a muszę. Już nie potrafię walczyć ze strachem; boję się ciemności, boję się bólu, który zaczyna powoli zastygać, i boję się, co będzie dalej. Zamknę oczy, obrócę się w nicość, i noc, długa, wieczna noc... Niech to już się stanie, niech skończy się rzecz i tak już dawno skończona. Niech Bóg nie patrzy na moje poniżenie, niech zamknie ten rozdział pogardy wobec bólu, nie chcę płakać ze strachu. Boże! Daj mi godnie umrzeć. Nie pozwól, aby odwaga została pokonana przez strach. Za chwilę się poddam, za chwilę zacznę skomleć, za chwilę moje oczy rozszerzą się w panice. Oszczędź mi tego. Daj mi godnie odejść!”.

I wtedy poczuł się znów naprawdę wolny. Strach minął, ból minął, zły pies gdzieś uciekł w ciemności. Nie bał się niczego, choć serce zwalniało coraz bardziej. Nie martwił się już o nic. Matka była bezpieczna i poczuł taką ulgę, że mógł zrobić w życiu coś tak naprawdę ważnego i godnego. I gdy czuł się taki szczęśliwy z tą myślą, taki wolny, taki bez bólu, taki prawdziwy do końca, bez złych min i bez złych grymasów, śmierć nadeszła nagle i niespodziewanie. Zamknęła mu skromnie oczy, wstrzymała oddech, zabrała myśli. Lecz jego już nie było. Był gdzieś daleko, tam gdzie zło ma inny wymiar.

Nie słyszał krzyków nad swoją głową, nie słyszał szybkich kroków, nie słyszał już nic. Był gdzieś w oddali, był wolny i był szczęśliwy. Błogie zaspokojenie było widać na jego spokojnej twarzy, zastygłej w blasku, wysoko unoszącego się na grafitowym niebie księżycu.

Poświęcenie to ważna rzecz, może najważniejsza w życiu. Gdy poświęcamy się dla bliskich, dajemy im swoją moc, jesteśmy dumni. Gdy poświęcamy się dla obcych, dajemy im swoje znamię, jesteśmy ważni. Gdy uda nam się poświęcić w obu sprawach równocześnie, poświęcenie dumy jest pochodnią poświęconą dobru. Łapiemy wtedy dwie rzeczy naraz, chwytamy resztkę godności mieszając ją z resztką wrażliwości. Mieszymy rytm serca ze świadomością naszych myśli. Łapiemy obce serca wkładając w nie naszą duszę.

Poświęcenie to reakcja naszych myśli na zło tego świata. Poświęcenie to jak wyciągnięcie gwiazdy z nieba i położenie jej na stół obcej osobie. Poświęcenie to bunt naszej duszy przeciwko obojętnej harmonii świata, który nigdy nie był i nie będzie harmonią naszych kroków, na ziemskim padole, schowanym w jasnym cieniu księżyca.

Strach

Odkąd pamiętam zawsze przyjaźniłem się z Krzyśkiem, od wczesnych lat młodości. Razem chodziliśmy do podstawówki, razem graliśmy w klubie w piłkę nożną, razem podrywaliśmy dziewczyny, które tak naprawdę nie były nam przeznaczone.

Wszystko razem, przyjaźń bez granic i bez zbędnych zobowiązań. Wiedziałem, że dostałem szansę od losu, poznałem taką osobę, która była doskonałym uzupełnieniem moich myśli, czynów i doznań. Ja byłem nim, a on był mną – dwie bryły, które niezależnie ukształtowało życie i dwie bryły, które czasami wspólnie łączyły się w swoich poczynaniach.

Krzysiek Lis był odważny, z taką łatwością pokonywał swój strach na łopatkach. Szedł z impetem do przodu. Strach nie trzymał się go nigdy, tak jak ogień nigdy nie będzie w stanie okiełznać swoją mocą morza. On taki był: odważny, pewny siebie i przebojowy. Najpierw coś czynił, a potem myślał, czy ten czyn mógł zabić jego ciało, zranić jego duszę, zniszczyć jego nieskrępowaną wrażliwość. Był sobą, mężczyzną, który zawsze wchodzi głównymi drzwiami do pokoju i wychodzi następnymi, ze zdwojoną siłą rozpędu, ufając w pompatyczną dufność swoich myśli, i w swoje nieograniczone możliwości rozumu.

Ja byłem inny, zresztą zawsze byłem inny. Byłem zarówno z nim, z jego przyjaciółmi i kolegami, ale też ciągle byłem z boku. Łapałem inne wiatry w plecy, inne ścieżki prowadziły moje kroki, wprowadzając niemały zamęt w moich myślach i czynach, a inne spojrzenie na świat i rzeczywistość, wciąż czyniło mnie obcym pośród tłumu ludzi, jakim otaczałem się wraz z Krzyśkiem.

Kiedy Krzysiek Lis wchodził głównymi drzwiami do kolejnego pokoju przeznaczenia, ja wchodziłem oknem – bez pośpiechu, bez emocji, bez poklasków; a gdy wychodziłem z tego pokoju, to zawsze bocznymi drzwiami, nigdy właściwymi. Taki byłem, takim się lubiłem, i takiego siebie szanowałem.

Kiedy człowiek pokocha siebie tak do końca, tak prawdziwie, tak należycie, to świat szybko zaakceptuje każdą inność drzemiącą w środku nas, w samym zapleczu naszego serca. Inność to błyskawica, która bez poklasku ucieka w szare odmęty brunatnych chmur na niebie.

Myślę, że tak naprawdę to byłem mężczyzną, który zawsze wchodzi niewłaściwymi drzwiami do niewłaściwych pokoi.

Miałem w sobie jeszcze jedną cechę, może dobrą, może złą, sam nie wiem. Cechę, która była moją siłą i zarazem moja skazą, przekleństwem zawieszonym w czasie.

Posiadałem w sobie strach, taki paraliżujący i przerażający, obcy syndrom bólu czegoś, co za chwilę będę musiał uczynić. Strach, który paraliżuje każdy oddech, każdy ruch, każdą cząstkę naszego zagubionego spojrzenia. Miałem go w sobie, ale nikt o nim nie wiedział, tak dokładnie go ukryłem pod swoją powłoką skóry. Byłem dobrym aktorem, aktorem z dramaturgią w oczach. Aktorem jednego teatru strachu. Grałem przed sobą, grałem przed innymi, a najbardziej grałem przed udręczonym szybkim biciem sercem.

Wciąż go pokonywałem, wciąż z nim walczyłem, wciąż przekraczałem własne granice kolejnych wyzwania losu.

Krzysiek Lis coś wymyślił, coś ryzykownego, coś z domieszką dzięki adrenaliny, i to czynił; a ja, cóż, też to robiłem, ale wciąż pokonywałem fale zwątpienia, które zalewały mój mały bezpieczny i piaszczysty ląd.

Starałem się wtedy nie myśleć, wyłączać rozum, który pracował jak źle ustawiony silnik i po prostu iść do przodu. Co też czyniłem. Najpierw działałem, a potem myślałem. Czyny bez wizji zwiótchalej konsekwencji. A gdy już pokonałem to w sobie, to strach wracał, był niczym jastrząb, dopiero co wypuszczony na wolność. Ręce mi drżały, ciało mi drżało, rozum mi chaotycznie drżał. Drgawki strachu przesączone przez chwilę zagubienia myśli.

Wciąż wygrywałem, choć zwycięstwa okupione były dużym strachem, własnego egzystencjalnego ja.

Kiedyś poszliśmy w góry, pospinać się na skałkach. Krzysiek Lis szybko osiągnął szczyt, lekko i sprawnie dotarł na sam wierzchołek. Szedł tak, jakby lina zabezpieczająca nie była mu w ogóle potrzebna.

A jak przyszła moja kolej, to ja z udawaną odwagą, długo przygotowywałem się do wejścia na ścianę. Pielęgnowałem każdy ruch, byłem mimem własnej sytuacji, aktorem na zwolnionym filmie akcji.

Aż w końcu wszedłem na ścianę, powoli wspinałem się do góry, nawet nieźle mi szło, ale gdy zajrzałem w dół, zupełnie niepotrzebnie, coś we mnie pękło, coś skuliło moje mięśnie w nicość, i po chwili, w rozkojarzeniu myśli, spadłem z hukiem w dół. Lina uratowała mi życie. Wisiałem bezwolnie jak pajac, rzucony niedbale w przestrzeń powietrzną. Zawiesiłem się pomiędzy być, czy istnieć; pomiędzy wyciem a brakiem skargi wobec przegranej; pomiędzy chęcią a zwątpieniem. Wisiałem i

myślałem: Czy przegrałem nie zdobywając celu, czy wygrałem starając się pokonać ten cel?

Czasami wspinaczka ma sens tylko wtedy, kiedy sami ustalimy sobie granice naszych możliwości i potem, bez zbędnego pośpiechu, zmienimy je radykalnie o jeden poziom. Często cele mają sens tylko wtedy, kiedy wiemy, iż na pewno nigdy ich nie osiągniemy. Właśnie wtedy tak naprawdę hartujemy swoje myśli do końca. Idziemy ku chwale wiedząc, iż nigdy tej chwały nie zaznamy. Wygramy przegrywając.

Kiedyś z Krzyśkiem postanowiliśmy popływać kajakami po rzece. Nurtowało nas obu kajakarstwo górskie, pokonywanie rzeki siłą własnych mięśni. Najpierw przygotowanie, krótki trening, a później pojechaliliśmy w góry.

Pamiętam początek, gwar ludzi, lekkie podniecenie unoszące się w powietrzu, adrenalina unosiła się w oparach lekkiego słońca.

Ruszyliśmy do wody, gęsiego, powolutku; chyba każdy zaczął sobie zdawać sprawę, że nie będzie łatwo, jednak kości zostały już dawno rzucone. Decyzja zapadła, szlaban bezpieczeństwa został za naszymi plecami.

Założyłem kombinezon, kask, kamizelkę, wolno siadłem do kajaku. Rzeka była pogodna, lekkie stuknięcia wody zachęcały do startu. Wypływałe chmury opalały się na nieboskłonie popiersi słońca. Dzień doskonały, dzień wyśmienity, dusza skruszona.

Popłynęliśmy wolno, strach został uśpiony na moment. Rzeka stawiała się coraz szybsza, zakola szarpały spokojnie wodę, zamęt dzikich nurtów nie dał nam na razie powodów do obaw.

I nagle wszystko się zmieniło. Wpłynęliśmy w kanion wodny. Szczelne skały ścisnęły nam ciała w rwący nurt wodny.

Szybkie spady, pojedyncze głazy wystające z wody, lodowaty zamęt siał spustoszenie w głowach.

Przestałem myśleć, działałem instynktownie. Sprawne ręce, niczym ruchy maszyny, pokonywały kolejne przeszkody.

I nagle skośny spad, małe Niagara podrzuciło mój kajak do góry. Poleciałem ostro na bok, młasnalem chaotycznie o wodę, stanąłem w poprzek, silnym ruchem wiosła uratowałem sytuację na moment. Rzuciło mnie znów na bok, bezkształtnie na skały, obroniłem się, nie spanikowałem, śmierć była o krok, wystający ostry rys skały otarł się o mój kask, zostawił chłodny ślad życia na czerwonym tworzywie, uciekłem o metr od przeznaczenia, jednak wciąż walczyłem o resztki godności ucieczki.

Znów spad, znów walka, znów żywioł. Grupa gdzieś znikła, i tak przecież płynąłem na końcu. Woda zalewała mi oczy, cichy wiatr osuszał moje rozdygotane spojrzenie. Walczyłem sam, w chwilach słabości zawsze jesteście sami. Walczyłem ze zmęczeniem, walczyłem ze strachem, a tak naprawdę walczyłem ze sobą, z obawą, że strach zmusi mnie do poddania się. A ja, tak w istocie, najbardziej bałem się porażki. Nie chciałem wygrać, chciałem tylko nie przegrać.

Pokonałem ostry zakręt i wody nagle się uspokoiły. Zniknęły tak szybko jak i szybko się pojawiły.

Wygrałem, kolejny raz wygrałem ze swoją słabością. Ale ile rund ma ta bitwa, ile jeszcze wyzwań będę musiał stoczyć, aby dotrzeć do końca? Teraz już wiedziałem, że każdy człowiek ma swoje małe Kilimandżaro, i że każda istota ma swoje diabelskie Niagary.

Gdy już siedziałem przy ognisku, gdy emocje minęły, strach siedział skupiony w cieniu lasu, niczym hiena czekająca na kolejną okazję, wtedy sobie uzmysłowiłem prawdziwe znaczenie słowa stres.

Stres może być siłą i może być przekleństwem. Może być ogniem, lecz bardzo szybko może przeistoczyć się w wodę. Może wspierać nas w chwilach słabości, lecz może nami gardzić w momentach zwątpienia. Zawsze jest obecny gdzieś w nas. W naszych spojrzeniach, naszych czynach, naszych prawdach.

Jednych mobilizuje do walki, innym paraliżuje ręce. Jednych zabija swoim blaskiem, innym dodaje siły, zmusza do błyskawicznego myślenia. Taki jest, nigdy się nie zmienia. Jest niezmiennym władcą naszych myśli. Nam wypada go tylko zaakceptować. Zawsze należy z godnością akceptować rzeczy niezaprzeczalne.

Mnie stres dodawał siły, to w sobie odkryłem. Był moją tarczą, zmuszał mój mózg do większego wysiłku, dodawał moim mięśniom woli walki. Dzięki niemu stawałem się lepszy na moment, na krótki rys mojego życia. Mobilizował mnie do wydobywania z siebie tego, co tak naprawdę nie potrafiłem wydobyć sam. Był górnikiem moich lepszych cech. Teraz to wiedziałem, teraz to czułem i teraz to doskonale rozumiałem.

Innym razem, podczas pochmurnego dnia, zaśnięcia popołudnia przed zbliżającym się wieczorem, poszliśmy poskakać na bungie.

Skoki odbywały się na moście, wysokość dwieście metrów. Wielu obserwatorów, mało chętnych.

Krzysiek Lis skakał pierwszy. Coś go blokowało, widziałem to w jego oczach, przecież tak doskonale go znałem; wtedy po raz pierwszy widziałem go zakłopotanego swoim zwątpieniem; ale się przełamał, zbyt

dużo znajomych było obok, zbyt wiele by stracił ze swojego tak idealnie dopasowanego wizerunku. Skoczył szybko, zanim strach zawładnął jego wyobraźnią.

Potem ja, inni się nie zdecydowali. Mówili, że im tak naprawdę na tym nie zależy. Za drogo, za ryzykownie. Dufne miny skupione w stadzie ludzi.

W zasadzie też nie chciałem skakać. Bałem się, nie wiedziałem czy podołam; ale jakiś głos wewnątrz mówił: spokój, nie daj się ponieść panice, to tylko złe emocje, one miną, gdy zrobisz ten pierwszy i ostateczny krok; przełamiesz zwątpienie, przełamiesz strach, przełamiesz wszystko co cię tak w istocie gubi.

I stanąłem na krawędzi mostu. Spojrzałem w dół. Teraz już wiedziałem co czuje człowiek, gdy ma już dość staczania się w dół. Teraz już czułem, ile odwagi wymaga pokonanie skargi i rzucenie wszystkiego na jedną szalę. I teraz rozumiałem, że ci, którzy odważyli się to zrobić, nie byli słabi, byli odważni, i tylko w ten sposób mogli zapomnieć, i tylko w ten sposób, a nie w inny, chcieli w końcu przestać myśleć i cokolwiek czuć. A rzucanie w nich obelgami po śmierci to fałsz. Tłum zawsze zabija najsłabsze jednostki; gardzi tymi, co nie godzą się żyć wedle ich reguł i zasad. Inaczej znaczy źle, niezrozumiale, nieistotnie.

I skoczyłem; poleciałem jak ptak pomimo strachu, pomimo stresu, pomimo bólu. Zawiesiłem się w powietrzu jak promień słońca. I przez ten krótki moment, przez nieistotną chwilę zawieszenia życia na sekundę, byłem wolny, byłem sobą, byłem w innym lepszym świecie. Świecie bez reguł, świecie bez bólu, bez skarg, bez nadziei, bez dążeń, bez zbędnych ruchów i poczynañ. Byłem sam, w końcu tak naprawdę byłem sam. Nic już nie musiałem nikomu udowadniać i nic już nie musiałem nikomu pokazywać. Czułem tak dobitnie wolność, która przeszła mnie swoim oddechem na wskroś.

Skończyła się matura. Zdaliśmy ją doskonale, sam byłem zaskoczony, że z taką łatwością przeszedłem przez pierwszą poważną kłódę życia. I co dalej? Gdzie iść? Dokąd zmierzać? Jaki obrać kierunek drogi? Byłem nie błędny. Błędy zbyt drogo kosztują, a czasami nie ma już czasu ani chęci żeby wrócić na właściwą drogę. Cofnąć się w tył, aby móc ponownie coś zacząć. Dziwne jest to, że cofając się idziemy jednak do przodu. Pozornie tracimy, a jednak zyskujemy. Ja nie chciałem się cofać. Bałem się, że nie będę potrafił wrócić, a jeszcze bardziej bałem się, że ze strachu, po kolejnej złej decyzji, będę uparcie parł do przodu, niczym dzikie zranione zwierzę, wierząc, że los sam za mnie zadecyduje, co mam dalej robić.

Poda mi rozwiązanie na tacy życia. Jednak tak nigdy nie jest. Przeważnie los krępuje nam ręce sznurem, lecz nigdy ich samoistnie nie rozwiązuje.

Wybraliśmy z Krzyśkiem kompromis, studia techniczne; kierunek gdzie można wszystko zacząć i zarazem wszystko skończyć. Szansa na dobrą pracę i nadzieja, że boleśnie nas nie wyrzucą po roku. Cóż, podjęliśmy decyzję, zdaliśmy i zaczęły się wakacje, długie wakacje prawdy, darowany czas, który nigdy potem już nie wróci. Coś skończyliśmy, coś zaczynaliśmy, a tak w istocie byliśmy w niepowtarzalnym momencie naszego życia; zawieszeni w próżni czegoś pomiędzy, tego, co już mieliśmy, tego, co dopiero będziemy mieć i tego, co w najbliższym czasie będziemy czerpać łapczywie garściami.

Ojciec Krzyśka był myśliwym. Polował często i namiętnie. Nie wiem czy lubił zabijać; wiem, że lubił tak spędzać czas. Nie przeszkadzało mu to, że dobre samopoczucie okupione było gaśnięciem powiek, dopiero co żyjącej zwierzyny. Gdy coś zaakceptujemy bezgranicznie, pomimo zła, które w tym tkwi, później jest łatwiej, o wiele łatwiej to znosić. W końcu każdy ma takie zło, na jakie zasługuje. Ojciec Krzyśka wybrał taką pasję – zimną pasję śmierci.

Ojciec Krzyśka miał koło pięćdziesięciu lat. Wyglądał dobrze; zabijanie i przebywanie na świeżym powietrzu mu służyło. Był w dobrej formie i tak też się czuł. Barczysty, ostre rysy twarzy, włosy lekko siwe i uśmiech, niegasnący uśmiech na twarzy.

Krzysiek Lis był do niego podobny, z tą różnicą, że o trzydzieści lat młodszy. Mieli podobne cechy charakteru, byli trochę dumni, czasami zbyt stanowczy, i zawsze odważni.

- Mężczyzna musi być odważny – mówił ojciec Krzyśka. – Bez odwagi nie ma zwycięstw. A cóż to za mężczyzna bez zwycięstw. Walka to cześć odwagi, a odwaga zawsze jest częścią walki.

Może miał rację, sam nie wiem. Ale co z pozostałymi? Ci mniej lub bardziej zagubieni – to ludzie słabi, wędrowcy, a może tylko poszukiwacze swojej drogi? Każdy szuka, nie każdy znajduje, nie każdy jest przy tym odważny. Ja na razie nie wiedziałem, kim jestem; uczyłem się dopiero być tak naprawdę sobą. Poznawałem siebie każdego dnia. Życie mnie kształtowało, a czasami to ja kształtowałem życie samemu. Różnie z tym bywało. Bardzo różnie i zaczepnie. Czasami wręcz utopijnie. Zawsze samemu ocierałem własne rany swoją rozdygotaną dłońią.

Szliśmy przez gęsty, liściasto chłodny las. Przedzieraliśmy się powoli, starając się robić jak najmniej hałasu. Przewodnik, przyjaciel ojca

Krzyśka, znał teren doskonale, polowali razem od dłuższego czasu. Kierował nas w kierunku cienistego lasu.

Ojciec szedł tuż za nim; czyli najpierw przewodnik – Wojtek, potem ojciec, a na końcu my, czyli ja i Krzysiek Lis. Ojciec zaprosił nas na polowanie w nagrodę za doskonale zdane egzaminy na studia. Miała być jeszcze niespodzianka, ale to dopiero wieczorem.

Prawie nie rozmawialiśmy, cień dnia głaskał nam twarze mrokiem; pojedyncze igły słońca pojawiały się, co jakiś czas przed nami. Szukaliśmy jelenia, to był nasz cel. Zabić zwierzę i zjeść je przy wieczornym posiłku. Cel wyznaczony, środki też przygotowane. Emocje były dodatkiem do przygody.

Tak naprawdę nie chciałem zabijać, nawet nie chciałem na to patrzeć; ale ojcu Krzyśka trudno było odmówić. Dobry człowiek z niedobrym hobby.

Podłoże lasu cicho szeleściło, co jakiś czas. Przy większym hałasie Wojtek odwracał się do nas i patrzył z odrazą. Też lubił zabijać, kręciło go patrzenie na ból zwierzęcia, jak życie powoli umyka na jego oczach. Widać to było w jego ciemnym i mrocznym spojrzeniu.

Nagle stanęliśmy, kora drzewa była obgryziona. Wojtek popatrzył, zmierzył zmysłami sytuację, i pokazał na polanę. Był malarzem śmierci, zaczynał dopiero tworzyć swoje dzieło zniszczenia.

Na odkrytym terenie stał jelen, delikatnie skubał trawę. Wiatr wiał nam w oczy, czuliśmy zapach jego skóry w powietrzu.

Długi tułów, lekko walcowaty, głowa niezbyt długa, o równej linii kości czołowej i nosowej, nogi raczej długie, zakończone racicami i lekko ruszający się w rytmie wiatru ogon, krótki, około piętnastu centymetrów.

Ogromne poroże, tryskające na boki niczym rozbudzona woda po nagłym wpadnięciu do rzeki, czyniły z niego leśnego króla. Suknia jelenia była ceglasto brązowa. Jego uszy były długie, ostro stojące, obrośnięte od wewnątrz jaśniejszymi i dłuższymi włosami.

Samiec stał spokojnie, z majestatem wciąż skubał trawę.

Ojciec Krzyśka wysunął się na przód; Wojtek milczał, raczył się każdą chwilą pustki, która zaraz w powietrzu zaistnieje. Chyba po to tylko żył, aby zobaczyć na własne oczy pustkę, która wszechobecna była od dłuższego czasu w jego życiu. Chciał poczuć obojętność losu wobec śmierci, poczuć obojętność emocji, których nie zaznawał już od pewnego czasu w realnym istnieniu, i poczuć w sobie coś, cokolwiek, w samym środku, jakiegokolwiek uczucie, gdyż obawiał się, że nie potrafi już rozbudzić martwego od dłuższego czasu serca. Twierdził, że złe uczucie jest lepsze od żadnego uczucia. Lepiej czuć zło, niż nie czuć nic wcale.

Nastąpił strzał. Zwierzę padło. Ojciec był doskonałym strzelcem. Sztucer został opuszczony na dół. Dwie lufy płakały, smutno przyglądały się rozżarzonej ziemi. Lekki dym unosił się w powietrzu. Jeden strzał – jedna śmierć. Zdumiewająca skuteczność u cywila.

Poczułem pustkę w środku. Zwierzę leżało martwe. Życie tak szybko znikło, jak zazwyczaj szybko się też pojawia.

Podeszliśmy do jelenia. Wyglądał jakby spał. Cicho zmrużył oczy do snu.

- Dobry strzał – rzekł Wojtek.

- Dziękuję – odparł ojciec. – To ważne, żeby zabić pierwszym strzałem, nie ranić niepotrzebnie zwierzyny. Wtedy ona cierpi i ja wraz z nią – i wtedy zobaczyłem w nim pierwszy ludzki odruch podczas tego dnia. Miał w sobie jakieś resztki uczuć. – Zabijać też trzeba umieć – dodał.

Coś za naszymi plecami zawarczało, jakiś cień przykrył całą radość polowania.

Odwróciliśmy się. Za nami stał niedźwiedź brunatny, w pozycji stojącej miał około dwóch metrów. Ważył chyba z pięćset kilogramów. Ciemno brązowa sierść nerwowo drgała, oczy z nienawiścią spoglądały na świat. Ktoś naruszył jego królestwo, ktoś bez jego pozwolenia zabił jednego z jego poddanych. On tutaj był królem, nikt inny poza nim nie miał prawa tego uczynić. My naruszyliśmy te zasady; byliśmy intruzami, wrogami lasu; najeźdźcami z innej, jakże odległej planety.

Jego ryk uniósł się w powietrzu. Słońce schowało się w panice za chmurami. Szerokie łapy, przysadziście rozłożone na boki, łapały w chaosie cząstki tlenu.

Stałem skamieniały. Wojtek znów coś czuł w środku, Krzysiek Lis był blady, jego wargi nerwowo drgały, po raz drugi widziałem go w chwili słabości. Ojciec Krzyśka powoli uniósł sztucer, wymierzył i czekał.

- Nie ruszać się – rzekł sucho. – Nie ważcie się ruszać.

Zwierzę podeszło krok do przodu. Dzieliły nas dwa metry od niego. Warczał z nienawiścią, sierść zrobiła mu się wilgotna, jakby słońce nie miało odwagi osuszyć jego żądz zabijania.

- Stoimy! Nie ruszać się! – Mówił ojciec.

Spojrzałem w oczy zwierzęcia i nagle na moment przestałem się bać, sam nie wiem, czemu. Było mi obojętne, co się stanie, co się wydarzy, jakiś błogi spokój wstąpił w moje serce. Nieistotne było, co będzie, liczyło się to, co teraz, a teraz byłem spokojny.

Niedźwiedź zacharczał agresywnie, i znów przeszył mnie strach. Ale chwila spokoju już była we mnie, wiedziałem, że potrafię, wręcz umiem, opanować strach. Prawdziwa odwaga jest we mnie, schowana gdzieś

głęboko, i tylko ode mnie zależy, czy uda mi się ją wydobyć na zewnątrz i okiełznać, podporządkować sobie.

Krzysiek Lis wciąż był błydy. Nie ruszał się. Czekał na rozwój sytuacji. Tak naprawdę całość kontrolował tylko jego ojciec.

Niedźwiedź podszedł jeszcze jeden krok do przodu, ojciec prawie nacisnął spust, czułem smród z pyska zwierzęcia, był tak blisko, zbyt blisko.

Zwierzę jeszcze raz zawyło, pożegnalnie, potem stanęło na czterech łapach i odeszło ze spokojem. Ojciec opuścił sztucer na ziemię. Usiadł na trawie koło martwego jelenia.

- Było tak blisko... tak blisko... – rzekł smutno. – Chyba jestem już za stary.

Wszyscy milczeliśmy, śmierć otarła się o nas bezowocnie. Poczuliśmy jej oddech na sobie, a potem spokojnie odeszła. Zaczepiliśmy z jej źródła łyk zimnego zwątpienia, a potem zostaliśmy za to ukarani.

Nikt nic nie mówił. Zresztą, co było do powiedzenia. Zabiliśmy coś, prawie coś zabiło nas, i zarazem zabiliśmy coś w sobie. Ja coś zyskałem, wierzę, że mogę być jeszcze odważny.

Ogień cicho skwierczał w ciemności lasu. Księżyc odbijał się świetlistym echem od leśniczówki, która stała w mroku tuż za nami. Skakał swoim matowym blaskiem po otwartych okiennicach i uciekał w pustą gęstwinę drzew.

Ojciec Krzyśka błędnie patrzył na tańczące płomyki ognia. Skakały, skwierczały, trzępały ciepłem żar dzięki potęgę przestworzy; żyły swoim życiem, pulsowały w rytm zamierzchłych czasów.

Alkohol wystarczająco krążył w żyłach ojca i Wojtka. Nic nie mówili, tępo spoglądali w ogień. Nam dali tylko odrobinę, w końcu byliśmy od niedawna dojrzałymi ludźmi, tuż po maturze.

Dzkie ryki dochodziły za naszymi plecami. Potem milkły na moment. Las żył swoim życiem – mrocznym, dzikim, bezlitosnym. Ogień był naszą klątką bezpieczeństwa, szansą na doczekanie rana we względnym spokoju.

Mięso jelenia było smaczne. Za bardzo przypieczone na ogniu, ale dobre. Wszyscy jedli ze smakiem, a Wojtek, co chwilę obracał resztkę mięsa na ogniu.

- Mam dla was niespodziankę... a w zasadzie nagrodę – ojciec przerwał błędne milczenie.

- Jaką? – spytał Krzysiek Lis.

- Mam przyjaciela, takiego z dawnych lat, takiego na dobre i złe – ojciec mówił cicho, głos mu się co chwilę zawieszał, był już trochę

podpity. – Mieszka w Afryce, od dłuższego czasu. Kiedyś był tropicielem, teraz prowadzi bezkrwawe safari, takie fotograficzne. Przynajmniej tak mówi. Nieważne, rozmawiałem z nim ostatnio, pojedziecie do niego na miesiąc. To moja nagroda dla was. Tam staniecie się mężczyznami; poznacie, co to znaczy trud, zmęczenie, i dowiecie się wielu ciekawych rzeczy o sobie. Poznacie znaczenie słowa zmęczenie, takie prawdziwe. Kiedy człowiek jest wystarczająco zmęczony, problemy tutaj, są niczym wobec problemów tam. Zmęczenie to czasami lekarstwo, pomaga zapomnieć, pomaga istnieć, pomaga iść do przodu, kiedy nie mamy już dokąd iść.

Byliśmy z Krzyskiem wniebowzięci. To miała być przygoda naszego życia. Sens w bezsensie zakłamanej młodości.

- Od kiedy go znasz? – Spytał Krzysiek Lis, a Wojtek w milczeniu znów obrócił mięso na inną stronę.

- Od dawna. Kiedyś coś poszło mu nie tak, nie powiem wam szczegółów, jak będzie chciał to sam wam o tym opowie. Noce w Afryce są chłodne i długie, zbliżają szybko obcych sobie ludzi. I kiedy było z nim źle, kiedy stracił już wszystko, co było dla niego ważne, kiedy nie miał już siły nawet oddychać, i szedł do przodu na ślepo, gdy prawie nie nabierał powietrza w płuca, gdy upadał i wołał iść z pokrwawionymi nogami, a tylko dlatego, że i tak chciał umrzeć, właśnie wtedy wyjechał ukoić swój ból w odnętach świata. Nagle znikł, chciał zapomnieć, a ucieczka była jego lekarstwem na doraźne zło. I wtedy wylądował w Afryce. Ten kraj osuszył jego łzy. Tam na nowo ożył, tam odzyskał nadzieję po raz drugi – ojciec na moment zamilkł, jakby chciał przypomnieć go sobie na nowo. – Był też mądrym człowiekiem, na tyle mądrym, żeby tą mądrość zachować dla siebie, więc czasami przelewał swoje myśli na papier, pisząc czuł się bezpieczny, tam, będąc daleko, wiedział, że słowami nikogo nie skrzywdzi. Bał się ranić ludzi, bo sam został przez nich zraniony. Kiedy ludzie zraniają cię wystarczająco mocno, gdy wiesz, ile wysiłku cię później kosztuje powstanie z kajdan tego bólu, nie chcesz ranić innych niepotrzebnie. Ich ból jest twoim bólem. Tego nauczył się w swojej mądrości, tego go nauczyło bolesne życie. I tą mądrość zachował dla siebie.

- Kochałeś go? – Spytał ojca Krzysiek Lis.

- Jak brata. Nie mogłem mu pomóc, nie mogłem go nawet zatrzymać. Musiał uciec, zresztą i tak chciał uciec. Czasami ucieczka to jedyne wyjście, jeżeli chcemy siebie ocalić.

Nagle ogień podniósł się nienaturalnie do góry i po chwili jak sucha kłoda opadł na swoją orbitę. Wycie wilka w ciemności zamroziło nas na chwilę.

- Mam nawet jego notes, dał mi go na pamiątkę. Noszę go ze sobą, chyba chciał żebym miał częśćkę jego myśli w sercu. Dał mi swoją duszę, wraz z tym prezentem. Teraz tak myślę, po czasie – ojciec wyciągnął notes z kieszeni. – Zawsze go noszę, gdy idę na polowanie. Czytam go czasami, a czasami po prostu go tylko noszę, mam przy sobie, jak relikwię z przeszłości. A gdy go czytam, czuję, że znów jest koło mnie. Kiedyś do niego pojadę. Jeszcze nie teraz. Przeczytam wam kilka zdań z tego, co zauważył sam w życiu, bez niczyjej pomocy.

Ojciec otworzył pierwszą stronę, był skupiony jak ksiądz na kazaniu. Światło z ogniska było wystarczające, żeby móc przeczytać coś, co dla kogoś miało takie duże znaczenie. Słowa zatrzymane w czasie. Cisza zatrzymana w momencie chwili. Chwila, która znów miała na moment ożyć. Rozbłysnąć w mroku nocy.

- „Jesteśmy różni, pozornie smutni, rozpaczliwie weseli. Nikt nie jest prostą linią zmierzającą uparcie w jednym kierunku. Dobro zawsze przesiąknięte jest złem, a zło zazwyczaj miesza się z radością. Smutek ciągle ma poświęcić śmiechu, a radość zakrapiana jest często łzami. Nie oceniamy ludzi, są tak zmysłowo piękni w swoich różnicach”.

„Inność jest wyjątkowa; nie jest grzechem czy smutną skazą. Dzięki niej nie jesteśmy płochą szarością, pustą normalnością. Żyjąc inaczej udowadniamy światu, jak bardzo jesteśmy zbliżeni do Boga, dzięki temu właśnie darowi”.

„Nie chcę spędzić życia na dorabianiu się, chcę jedynie udowodnić sobie, że nie warto tego tak bezgranicznie czynić”.

„Są kobiety na moment, na dłuższą chwilę, i takie, które wydają się, że będą z nami już do końca. Te ostatnie są utopią, stracimy je bezwolnie w najmniej odpowiednim momencie naszego życia”.

„Nie ma utartych dróg, którymi podążają tłumy, są tylko pojedyncze ścieżki, które mogą nagle odmienić całe nasze życie”.

„Najgorsze są złudzenia, że można coś zrobić, podczas gdy nie jesteśmy w stanie nic naprawdę uczynić”.

„Uciekając akceptujemy myśl, że nas kiedyś dogonią; idąc spokojnie, do przodu, hartujemy rzeczywistość w nieładzie życia”.

„To, że nagle nie jesteśmy z kimś, wcale nie musi oznaczać, że najlepsze rzeczy mamy już za sobą”.

„Skoro nie możemy odnaleźć się w jednym miejscu, to przynajmniej spróbujmy odnaleźć się w podróży, przynajmniej będzie ciekawiej”.

„Fotografia jest zmysłem dla duszy, która leczy wzrok delikatnym muśnięciem migawki”.

„Życie to taka nieustająca gonitwa za rzeczami, które już widzieliśmy, jakoś przeżyliśmy, i za rzeczami, które chcemy jeszcze zobaczyć, a przy okazji dochodzą do tego emocje”.

„Życie to wiara, że następny dzień będzie doskonałym spełnieniem tego, co chcieliśmy uczynić w marzeniach”.

„Życie to próba, próba szukania rzeczy niespełnionych”.

Ojciec zamknął notes. Łzy zaiskrzyły w jego oczach. Wstał, popatrzył tępo na ogień i rzekł:

- Czuł życie jak nikt inny, choć tak boleśnie go zraniło.

Poszedł w kierunku leśniczówki. Głuche milczenie otoczyło ogień. Kamienne rysy żaru cicho skwierczały w powietrzu.

Samolot chaotycznie krążył nad lotniskiem. Wiatr ostro spychał go z wyznaczonego kierunku lądowania. Żelazna maszyna nie poddając się siłom natury, z dziką konsekwencją zmierzała w kierunku rozpalonej ziemi.

W końcu koła opadły na betonowy pas i z wolna traciły cały rozpęd swojej mocy. Kręciły się szybko, później wolniej, a na końcu zgasyły jak promień świecy o zmroku.

Wyszedłem z Krzyżkiem wprost w ramiona rozpalonego temperaturą lądu. Afryka przywitała nas żarem, spiekotą i zbyt jasnym światłem słońca. Wszystko było takie inne, tajemnicze; przygoda dopiero się zaczynała, a ja już czułem jej oddech w swoim sercu.

Szybka odprawa i weszliśmy w tłum ludzi na lotnisku. Lotniska wszędzie są takie same – pełne ludzi, pełne chaosu, pełne zagubienia. Obcość bije z każdego ruchu ich nienaturalnego życia. One po prostu żyją swoim rytmem, jakże odmiennym od ruchu miast. Zgiełk lotnisk nigdy nie będzie mową miast.

Tony Szklarski podszedł do nas z boku. Zaskoczył nas, pojawił się tak nagle, jakby skradał się do zwierzyny. Jego kroki były ciche, zwinne, giętkie.

Miał pięćdziesiąt lat i nosił jasne, proste włosy, osuszone światłem Afryki; był barczysty, w miarę wysoki o ostrych rysach twarzy.

Jego uśmiech był jasny i pogodny, a zielone oczy mądre i skupione. Oczy miały w sobie jakąś niezapisaną do końca historię, gorzki rys przeszłości w żrenicach. Oczy nigdy nie kłamią, nie oszukują odbiorcy; uważny czytelnik zawsze znajdzie w nich ciekawą kartę losu.

- Cześć chłopaki, mówcie do mnie Tony – rzekł pogodnie.

- Miło nam – odparliśmy prawie równocześnie.
- Jak podróż? – Spytał. – Była w miarę znośna.
- Dobrze – rzekł Krzysiek Lis.
- Chodźcie do hotelu. Tam się ogarniecie. Tam ponownie odzyskacie wiarę w lepsze jutro pozytywnej energii. Dopiero następnego dnia jedziemy w głąb ładu.
- Już jutro? Doskonale – rzekłem lekko podekscytowany.
- Tak, już jutro. Po co czekać na rzeczy nieuniknione – zaśmiał się Tony. – Męskość czeka na was już od dłuższego czasu. A odwaga niecierpliwi się od kilku miesięcy.

Wyszliśmy z lotniska. Żar z nieba atakował nas od góry. Szybko weszliśmy do taksówki. Podczas jazdy przyglądałem się miastu i ludziom. Miasto było biedne, tak surowe jak i cały kontynent. Ludzie, czarne mocne twarze, z wrogością patrzyli na nas z góry. Byliśmy intruzami, obcymi, ludźmi, którzy nigdy nie pojmą do końca zasad i praw tego kraju. Zobaczą coś, zapamiętają coś i po prostu wyjadą. Skrawki późniejszych wspomnień, będą odłamkami rzeczy, tak bardzo zapomnianych w czasie, w odległej coraz bardziej przeszłości.

Poczułem się zagubiony, a bieda budynków i ulic, jeszcze bardziej potęgowała to uczucie. Zagubienie wędrowca na obcym terenie. Osamotnienie podróżnika zawieszonego w czasie. Obcość jednostki w odległym tłumie innego świata. Skrępowanie myśli, pośród bólu niezauważenia, obcej dla nas kultury. Innej, ale jakże obcej.

Następnego dnia wyjechaliśmy w teren, wprost na bezimienną sawannę. Poruszaliśmy się dwoma samochodami; większym jeepem i mini vanem z otwieranym dachem. Dwóch murzynów miało nam ułatwiać podróż i polowanie. Bezkrwawe polowanie – tak to na razie wyglądało.

Masy suchego powietrza podczas jazdy, nie pomagały osuszyć bólu głowy, spowodowanego zmianą klimatu.

Jechaliśmy wzdłuż sennej rzeki mijając lasy galeriowe; później widzieliśmy w oddali masywne góry, a na nich lasy górskie i szczyty pokryte śniegiem, które wyglądały jak białe płyty mleka, podczas podgrzewanego śniadania.

Gdzieś tam rosły akacje z dużymi kolcami, ogromne baobaby krzyczały do nas z oddali, pojedyncze palmy wbrew logice skupiały się w poświacie światła, a hebanowce w ciszy znosiły swój los otepienia. Gdy wkroczyliśmy w obszary jeszcze suchsze, pojawiły się sukulentki, głównie aloesy i agawy. Przyroda kwitła martwością ciszy. Kraj atakowany był od

stuleci spiekotą lata, a dwie pory deszczowe nie pomagały mu powstać z kolan na dłuższy okres czasu.

Gdy wjechaliśmy w sawannę, w bezgraniczny obszar równin, w bujną roślinność trawiastą o liściach ostrych i twardych, gdy ujrzelśmy rzadko rozmieszczone w przestrzeni drzewa, nieliczne kępy krzewów, gdy baobaby i akacje uśmiechały się do nas poprzez wibrujące ciepło w plenerze, gdy stada żyraf, słoni, antylop gnu, bawołów i innych parzystokopytnych zwierząt umykały nam prawie z pod kół, zrozumiałem, że naprawdę żyję, istnieję w końcu doraźnie, w doczesnej chwili życia, przeistaczam się w rytm ziemi, i już teraz wiem, że obcy człowiek w podróży, to ktoś, kto zgłębia tajemnicę świata na swój sposób, przesącza go poprzez swoją wyobraźnię, weryfikuje poprzez swoje poglądy i uczy się świata na nowo, wchłaniając łączywie każdy nowy oddech powietrza przed swoimi oczami. Jest wędrowcem własnych myśli, poganinem poglądów wyrzuconych w błoto.

Prawie dwa tygodnie przemieszczaliśmy się na południe. Rozbijaliśmy obozy, spaliliśmy w namiotach, słuchaliśmy głosu Afryki przy ogniskach, mężnieliśmy wraz z pokonanymi kilometrami. Uczyliśmy się życia na nowo. Twardej sztuki egzystencji przetrwania.

Wstawaliśmy rano, jazda samochodem, potem tropiliśmy jakąś zwierzynę, i zdjęcia, kolejne pamiątki zawieszane w przestrzeni.

I znów podchody; kto będzie lepszy, my czy zwierzę? Czy my oszukamy dziki instynkt przetrwania, czy może to instynkt oszuka nas, poprzez dobrą znajomość terenu?

Nauczyłem się cicho poruszać, nauczyłem się wstawać zanim słońce uniesie się nad horyzontem suchej ziemi, i nauczyłem się znosić upał, trudy i zmęczenie, z należytą godnością. Mężniałem każdego dnia, w każdej chwili i sekundzie – każdej nocy stawałem się innym człowiekiem.

Zmęczenie wydobywało ze mnie najlepsze cechy. Odwagę, dyscyplinę, sumienność i pokorę wobec swoich możliwości. Surowy klimat nauczył mnie godności wobec swoich poczynąń. A obserwując zwierzęta, patrząc jak żyją, jak walczą każdego dnia o pożywienie, o wolność, o życie, zrozumiałem, że powoli, systematycznie i ze ścisłą konsekwencją, zakochuję się w surowości i drapieżności tego kraju.

Afryka oczarowała mnie od samego początku, ale teraz dopiero zacząłem to zauważać. Jest jak miłość od pierwszego wejrzenia, pojawia się nagle i niespodziewanie, czujemy zmiany w środku, lecz efekty przychodzą później, zdecydowanie później. Atakują nas nagle i

zaskakująco, i wtedy nie jesteśmy w stanie nic istotnego zrobić, oprócz oczywistego zaakceptowania nowej sytuacji.

Ognisko płonęło cicho, ogień syczał jak wąż przed agonią. Ciemne, grafitowe niebo, unosiło się niczym talerz nad naszymi głowami. Pojedyncze gwiazdy rozjaśniały granatową poświatę nieba.

Sawanna spała, nieliczne odgłosy zwierząt zabijały ciszę swoim zgiełkiem i siłą. Była mroczna cisza, drapieżna – surowo obca.

Tony pił whisky, nas też częstował, ale tylko od czasu do czasu. Patrzył dziko w ogień. Jakieś bolesne wspomnienie na moment zaiskrzyło w jego oczach. Zaszklily się przeszłością. Samotność nagle, niczym wróg, wdarła się w jego spojrzenie.

- Napijcie się jeszcze – Tony wstał i dołał nam trunku do żelaznych, matowych kubków.

- Coś nie tak? – Spytałem z niepokojem.

- Tylko wspomnienia. Bolesne wiatry znów wróciły i zawały w moim, prawie martwym, sercu.

- Tak źle? – Spytałem.

- Nie źle, po prostu niedobrze.

- Powiedz, o co chodzi..., co się dzieje? – Spytał Krzysiek Lis.

Pisk hieny uniósł się szorstko w pobliżu obozowiska. Gdzieś z oddali bystre oczy uniosły się w szarości nocy. Źrenice ciemności przemieszczały się agresywnie wokół obozu. Ogień je odstraszał, bały się niepewności ciepła.

- Miałem kiedyś żonę... tak dawno to było. Pracowaliśmy w tej samej firmie. Duża firma, duże pieniądze. Ogromne szanse, jeśli umiesz nie patrzeć na innych. Traktować innych jak powietrze, jak zbędny tlen na pokładzie twojego losu. – Tony otworzył się przed nami. Podróż łączy, daje poczucie bliskości, nawet obcym sobie ludziom. Alkohol i noc jeszcze bardziej temu sprzyjają. – Było cudownie, zarabiałem duże pieniądze, miałem kochającą kobietę, cóż pragnąć więcej. Pojawiła się córka, spełnienie naszych marzeń i snów. Skarb, na który pewnie nigdy tak naprawdę nie zasługiwałem.

Ostry ryk lwa zawiesił się w ciemności. Pewnie ruszał na łowy. Cierpki strach pojawił się nam na plecach. Uczepił i nie chciał odejść. Afryka zaczynała żyć innym życiem, bolesnym oddechem prawdy tego krajobrazu. Nocnym zgrzytem instynktu przetrwania.

- Było dobrze, naprawdę dobrze. Wręcz idealnie. Może za dobrze, za doskonale. I wtedy pojawił się on, nowy szef, atrakcyjny, uwodzicielski z pieniędzmi, dużymi pieniędzmi. I stało się. Coś się zmieniło. Oziębłość

wkradła się w nasze relacje. Jej późne powroty, awantury o rzeczy, które kiedyś były zaletami, a nagle stały się przeszkodami, kłódami u naszych stóp – moja walka o miłość okazała się przegrana. Miała romans, tak doskonale go do tej pory ukrywała. Zakochała się, ja byłem złem, stratą czasu, rzeczą zużytą, której należało się jak najszybciej pozbyć.

Tony zawiesił głos. Trochę za dużo dzisiaj wypił. Miał powód, samotność zaatakował go ze zdwojoną siłą w najmniej spodziewanym momencie. Tak to już jest z nią, zabija nas każdego dnia, potem milczy, a jak się uspokoimy, zapomnimy o niej na chwilę, to znów wraca, i tak w kółko, aż obojętność pojawia się w naszych oczach.

Noc robiła się chłodna i nieczuła. Dołożyłem drewna. Ogień wybuchnął jak wulkan do góry, potem opadł i ponownie skwierczał w ciemności.

- Odeszła z nim. Znikła z dzieckiem tak nagle, jak nagle pojawiła się kiedyś w moim życiu. Pustka stała się moim domem, a rozpacz bratem. Uciekłem w alkohol, nie miałem, co ze sobą zrobić. Rzecz nieutralna okazała się utracalna. Wyjechała z nim gdzieś daleko. Chciałem tylko odzyskać miłość córki, pisałem listy, dużo listów, do jej schorowanej matki. To był mój punkt zaczepienia. Wierzyłem, że przekaże je mojej córce, jak nie teraz to kiedyś... On był ciągle w rozjazdach, a ona uciekała, wraz z nim, przede mną. Nie miałem szans. Ale pisałem, wciąż uparcie pisałem. Czułem się lepiej, kiedy mogłem coś do niej powiedzieć, choć nie mogła mnie usłyszeć, tak do końca. Myślę..., że w sprawach przegranej miłości zawsze jesteśmy bez żadnych szans.

Tony napił się brązowego płynu. Cierpka gorycz ostudziła jego myśli na krótki okres. Zatarła ból mocą kojących procentów.

- Potem straciłem pracę, on to załatwił, a następnie służbowe mieszkanie. Kiedy jest źle, kiedy konamy za życia, nigdy nie traci się tylko jednej rzeczy, zawsze tracimy wszystko po kolei, i wtedy tak istotnie dowiadujemy się, ile jesteśmy warci. Musimy, jakoś powstać z kolan, plunąć złu prosto w oczy, zaśmiać się światu prosto w twarz, i pójść swoją drogą naprzód, w cichym amoku własnej pogardy, co chwilę się potykając, i wtedy właśnie zazwyczaj jesteśmy sami... Twój ojciec mi pomógł – Tony rzekł do Krzyska. – On jedyny mi pomógł, kiedy zorientował się, jak jest ze mną źle, tak naprawdę. Rozmawiał ze mną, był psychicznie ze mną w bólu i wciąż rozmawiał, nie zostawiał mnie samemu sobie. I kiedy zrozumiałem, że tak nie mogę dłużej żyć, i kiedy zrozumiałem, że szukanie rzeczy nieodnajdywalnych nie ma sensu, i kiedy zrozumiałem, że ucieczka może być też wyzwoleniem, bo zaczynając coś od nowa można się ponownie narodzić, wyjąć diament z zastygłego popiołu, i kiedy w końcu zrozumiałem, że oddychanie ma tylko sens, gdy inne dalekie

powietrze krąży nam w płucach, to właśnie wtedy uciekłem. Zostawiłem cały świat, całą przeszłość za sobą. Listy do córki wciąż pisałem; wierzę, że kiedyś je przeczyta. Ostatni napisałem miesiąc temu. Ciekawe, jaka jest teraz, ma tyle lat, co wy, powinna iść na studia.

Milczeliśmy z Krzyśkiem. Jego ból stał się naszym bólem. Tony uczył nas życia na nowo. Nie tego z książek, tego prawdziwego.

- Coś wam powiem. Kiedy jest źle, ale tak naprawdę źle, czasami warto uciec, choćby po to, żeby ponownie narodzić się na nowo. W obcej skórze, w obcej twarzy, w obcym kraju. Może nie jest lepiej, ale na pewno jest ciekawiej. Ucieczka to wyzwolenie z kajdan życia, kiedy już nie mamy siły oddychać, a słońce zamiast ogrzewać, pali nasze oczy dzikim sykiem prawdy.

Tony wstał, zachwiał się na tle nieba. Ryki z sawanny stawały się coraz częstsze i bardziej ponure; zaczynał się spektakl nocy, teatr życia i śmierci, przedstawienie prawdy realnego świata natury. Zwierzęta ruszały na łowy. Ktoś umrze, ktoś wygra, odwieczne prawo natury. Słabi odejdą, lepsi przetrwają. Ruletka śmierci zaczynała swój taniec.

- Wiem, że umiecie strzelać. Ojciec powiedział... jutro zapolujemy naprawdę, na antylopę gnu. Koniec pstrykania. Być w Afryce i nie zapolować, wstyd. Nie pozwolę na to. Obiecałem wam przygodę, taką prawdziwą, dotrzymam słowa. Mężczyznę poznaje się po czynach, nie słowach, choć czasami słowo dane komuś jest ważniejsze od czynu.

Tony poszedł do namiotu. Rzucił się na łóżko polowe i zasnął. Natychmiast odszedł ze świata żywych. My też udaliśmy się do swojego namiotu. Ogień płonął przez całą noc. Pomocnicy dodawali drewna, co jakiś czas. Płomień był naszą zaporą, wobec zła sawanny skapanej w nocy.

Wstaliśmy wcześniej rano. Słońce nie było jeszcze tak wysoko na horyzoncie. Afryka dopiero, co budziła się ze snu.

Herbata podgrzana na ognisku szybko przywróciła nas do życia. Szybki posiłek i w drogę.

Mini van pracował równo. Tony był doskonałym kierowcą. Sawannę przemierzał z dziką zapalczywością i pewnością. Zapalił podczas jazdy papierosa, a dym lekko uniół się do góry, pchany pędem wiatru w kierunku słońca.

- Musimy pojechać jak najdalej na południe – rzekł głośno, chcąc przekrzyczeć pracę silnika. – Tam będzie bezpieczniej. Polowania są zakazane, dla zwykłych śmiertelników. Oczywiście jak masz gotówkę wszystko można, ale musisz mieć gotówkę.

- Rozumiem – rzekłem cicho.

- Na południu jest mniej zwierzyny, ale za to bezpieczniej. Mniejsze prawdopodobieństwo spotkania niepożądanych osób.

- Ma się rozumieć, tajemnica – odparł Krzysiek Lis dumnie, pełny wiary we własne, niezgłębione siły.

Tony spojrzął na niego. Zamyślił się nostalgicznie. „Ten jeden jest odważny, to widać gołym okiem. Bardzo pewny siebie. Wielu takich widziałem, sprytnych, zamożnych, bez żadnych zasad. Niektórzy tacy byli faktycznie, inni, gdy stanęli oko w oko ze zwierzyną, pękali nagle jak bańka mydlana. Wszystko z nich uciekało, pozostawał tylko strach. Sam musiałem kończyć to, co oni zaczynali. Gardziłem takimi ludźmi. W swoim świecie iluzji byli herosami, szefami z pieniędzmi; w realnym życiu byli nikim. Zagubionymi mężczyznami z odrobiną strachu. Ale to byli klienci, udawałem, że nie widzę jak się boją”.

Tony zerknął na mnie z ukosa. Tak niepozornie i tajemniczo. Nie widziałem tego, tak bardzo byłem zaabsorbowany światem, który miałem przed oczami. Mijałem go w pędzie wiatru. Pochłaniałem całą poświatą swoich zmysłów.

Tony znów zaczął wchłaniać myśli poprzez świst powietrza. „Ten drugi jest inny, to widać dosłownie. Niby jest odważny, ale się boi. Nie ukrywa tego za bardzo, nie zależy mu na tym jak tamtemu. Może tamten musi być kimś, ten niekoniecznie. Każdy ma swoje priorytety. Tacy niesprecyzowani są najgorsi, nigdy nie wiadomo jak się zachowają. Mogą uciec, mogą też zostać, kiedy zajdzie taka potrzeba. Są nieprzewidywalni. Nieokiełzani w swoich czynach. Ale... on jest inny niż ci, których znałem wcześniej. Tamci byli tchórzami, a on na takiego nie wygląda. Ma w sobie coś, sam nie wiem, jakąś moc i siłę, jeszcze nierozbudzoną. I te jego myśli, suche myśli, jest czasami taki skupiony. Widać, że wciąż myśli, a to rzadkość wśród ludzi, których tu spotykałem. Są mężczyźni, którzy są tylko odważni, lecz nie mają za krzty rozsądku; i ci, którzy myślą, przewidują każdy ruch przeciwnika, niekoniecznie są odważni, umieją tylko pokonać strach w środku i wyjść zwycięsko z każdej sytuacji. Ci drudzy to rzadkość, nie występują w tych rejonach świata. Ten jednak ma jeszcze wiarę, dzięki nienaturalność w oczach, jego oczy niczego się nie boją, jednak ciało wciąż skrępowane jest strachem. Jego rozum chyba śpi, kiedy ciało działa bez rozsądku. Sam nie wiem. Będę miał na niego oko”.

Późnym wieczorem dojechaliśmy do kolejnego obozu. Był taki moment, jak jechaliśmy, że stado hien zaatakowało nas znienacka. Poczułem strach, gdy odwróciłem się za siebie; zobaczyłem masywne szczęki uzbrojone w duże zęby, a nad nimi złe oczy, pełne nienawiści, pragnące przestraszyć nas swoim demonicznym blaskiem.

- Są głodne – zaśmiał się Tony. – Rzadko atakują same, raczej żywią się padliną.

Ich nienaturalny skowyt wciąż brzmiał mi w uszach, kiedy rozpalaliśmy ogień, tuż przed samym zmierzchem, snem czarnego lądu. Ich zła pieśń przeniknęła smutkiem moje rozdygotane ciało.

Po kolacji siedzieliśmy w kręgu ognia, jak wojownicy przed bitwą. Ogień pulsował, światło migotało w końcówce spiekoty dnia, a my patrzyliśmy na taniec demonicznego ruchu płomieni.

Płomień skakał do góry, zanikał na moment w sobie, podnosił się w blasku gwiazd, uciekał przed ciszą nocy, żył swoim własnym życiem, a jego melodia urzekała nas jak narkotyk.

- Jutro zaczynamy z rana – ziewnął Tony. – Z samego rana. Wiem, że jesteście w sekcji strzeleckiej. Dobrze strzelacie, widziałem jak podrzucaliście puszkę, podczas któregoś z postojów, i trafialiście ją w powietrze. Macie wyczucie.

- Dziękujemy – rzekłem.

- Ale polowanie to coś innego. Inne wyczucie smaku, inne emocje, które dopiero poznacie. Nie boicie się?

- Nie – odparł Krzysiek Lis.

- Raczej nie – dodałem.

Tony się uśmiechnął. Spojrzał na niebo, na gwiazdy i rzekł:

- To dobrze, to bardzo dobrze.

- Na co zapolujemy? – Spytałem.

- Na antylopę gnu. Są tutaj, z całą pewnością. To ich tereny.

- Uda nam się? – Spytał Krzysiek Lis.

- Na pewno. Grunt to dobrze ją podejść. Potem dobrze strzelić. To wszystko, cała historia. Ważne by dobrze strzelić, żeby zwierzę się nie męczyło.

Murzyn dołożył drewna do ognia. Potem zniknął w swoim namiocie, niczym duch. Nie rozmawiali z nami za dużo. Byliśmy młodzi, nie mieliśmy pieniędzy, byliśmy biali. Samo zło w sobie.

- Ojciec mówił, że piszesz trochę, to prawda? – Zapytał Krzysiek.

- Takie tam luźne zdania, spostrzeżenia, refleksje o tym, co widziałem, co przeżyłem, jak według mnie to wygląda. Takie moje prywatne spojrzenie na świat.

- Przeczytaj nam coś – poprosiłem.

Tony się zawstydził, nie był jeszcze gotowy na odbiór własnych przemyśleń przez kogoś. Są artyści, którzy nigdy nie dojrzeją do występów publicznych. Ich twórczość zawsze będzie martwa dla tłumów. Istotą jest tworzenie, chęć wyrażania uczuć na papier, szarpanie emocji w

środku i wydobywanie ich na światło dzienne za pomocą pióra, spisywanie myśli poprzez rozedrgane zmysły, wywlekanie ze środka uczuć, których inni nigdy nie dostrzegą w sobie, gdyż ich wrażliwość jest za płytka na jakiegokolwiek emocje.

Tony taki był. Niemy artysta o twarzy mima. Bezimienny człowiek, co lepiej postrzega świat niż inni pobratymcy. Samotny złamany żagiel, płynący bez celu po morzu. Podtopiona szalupa stygnąca w morzu, na ostatecznej skale zagubienia.

Otworzył notes i zaczął czytać. Najpierw nieśmiało, potem pewniej, a na końcu szybciej i odważniej. Przełamał wstyd, zanurzając się jeszcze raz w sobie.

- „Nieuchronność losu jest pewna, kiedy wierzymy w przeznaczenie”.

„Nie drażni mnie samotność u innych ludzi, o wiele bardziej boli mnie bezgraniczna samotność we mnie”.

„Dzieci są jak narkotyk, uzależniają dając nadzieję na przyszłość”.

„Najbardziej boli szczęście innych, kiedy sami jesteśmy u kresu dna”.

„Szarość zabija wszystkie kolory smutku, jest jak tęcza, która nigdy nie rozbłyśnie swoim naturalnym blaskiem”.

„Miłość z przeszłości zawsze wyciska zwoje znamień w sercu”.

„Sny to są duchy w szaleństwie życia, nie drogowskazy”.

„Życie to kilka chwil szalonych, przefiltrowanych przez rzeczywistość”.

„Wiara w marzenia to pozbycie się lęku, przed prawdziwym szczęściem”.

„Chciałbym potrafić odnaleźć rzeczy, które szukam przez całe życie, pogodzić się z rzeczami, których nigdy nie odnajdę w całym życiu, i znaleźć w sobie mądrość, aby właściwie odróżnić jedno od drugich”.

„Wolność to chęć wydobywania z siebie tego, o czym inni boją się w ogóle marzyć”.

„Życie jest za krótkie na długotrwały smutek”.

„Jestem jak malarz, tworzę fikcję, a życie jest tylko bolesną inspiracją”.

„Życie to taka nieustająca próba rzeczy, które już zrobiliśmy, rzeczy, które właśnie robimy, i rzeczy, których nigdy nie uda nam się zrealizować”.

Tony zamknął notes. Milczał chwilę, był zawieszony pomiędzy swoim wnętrzem a światem doczesnym. Po chwili wrócił do nas.

- Do spania, wcześniej wstajemy.

Zimne powietrze okryło cieniem cały obóz. Ogień wibrował w blasku półprzemyślnych gwiazd; hieny z oddali czekały na swoją kolejną szansę.

Pieśń Afryki cicho drgała w melodii nocy. Poświata mroku malowała kolejny obraz rzeczywistości.

Jechaliśmy już kilka godzin vanem. Miało być dużo zwierzyny, na razie mijaliśmy tylko pojedyncze okazy z oddali. Czasami sęp dawał nam znać, że coś niedobrego dzieje się w iskrzącym powietrzu czarnego łądu. Prawie nie rozmawialiśmy. Ja jak zwykle zajmowałem się trzymaniem strachu na uwięzi, a Krzysiek Lis uśmiechał się tajemniczo. Był podekscytowany bólem, który zaraz wymierzy przyrodzie. Miał to widocznie po ojcu. Może też lubił zabijać.

Zatrzymaliśmy się nagle – nienaturalnie, na bezimiennej drodze. Odcinku suchym, odcinku zagubionym i odcinku bez wskazówek, dokąd mamy zmierzać za chwilę.

- Dalej pójdziemy na piechotę – rzekł Tony.

Ruszyliśmy wolno, lecz swobodnie, w kierunku oschłych traw sawanny. Suche kępy trawiaste grały pod naszymi butami, jak pijany muzyk jazzowy nad samym ranem, kiedy nikt nie ma siły już go dalej słuchać. Nienaturalne drzewa, powyginane jak dłonie człowieka naznaczonego paraliżem, kołysały się wiotko pod muzyką lekkiego wiatru.

Po dwóch godzinach drogi ujrzelśmy stado antylop gnu. Postękiwania i nawoływania samic roznosiły się w ciszy słońca. Stado żerowało, zebry wmieszane pomiędzy nimi, spokojnie skubały trawę z dzikim pedantyzmem. Małe gnu bezpiecznie płątały się pomiędzy nogami matek.

Tony spoglądał skupiony na stado. Myślał, analizował, oceniał nasze szanse. Nagle ujrzał jednego dorodnego samca oddalonego na północ od stada.

- Tam idziemy – rzekł stanowczo.

I znów skradanie się wśród rozgrzanych traw. Murzyni szli na samym końcu, nic nie mówili. Byli jak dwie dobrze zaprogramowane maszyny, ustawiono im dobry program, a teraz go ze skrupulatnością realizowali.

Sztucery trzymaliśmy w pogotowiu, tak kazał Tony. Mówił, że na polowaniu wszystko może się zdarzyć, każdy wariant jest możliwy. Szachy życia, idziemy zadać śmierć, lecz za chwilę śmierć może nas samych zaskoczyć z tyłu; idziemy zadać ból, a za moment to my możemy cierpieć w spiekocie słońca. Szachy naznaczone niepewnymi ruchami, przesiąknięte śmiercią i bólem.

Zbliżyliśmy się do gnu; olbrzymi samiec jadł strzępy narośli ziemi ze spokojem, a tuż za nim rysowały się długie trawy, aż na wysokość dorosłego człowieka.

- Musicie pokonać go pierwszym strzałem, jeśli wam się nie uda, zwierzę zniknie w zaroślach – rzekł Tony.

Zapadło milczenie. Suche milczenie skazańców. Krzysiek Lis już się nie uśmiechał, ja cały czas raczej byłem mroczny.

- Kto będzie strzelał?

- Mogę ja – rzekł Krzysiek Lis.

- Dobrze, ty ubezpieczaj – rzekł do mnie. – Idziemy.

Cicho zachodziliśmy gnu z boku. Ciemna skóra, strzępiasta broda pod szczęką, rogi podniszczone czasem, ostro skierowane ku niebu i masywny kark, symbol walk i mocy skupionej w olbrzymim ciele. Mocne nogi, zawsze gotowe do ucieczki, ostro wbijały się w ziemię.

Byliśmy około trzydziestu metrów od zwierzyny. Niespodziewanie wiatr się zmienił. Zwierzę podniosło głowę w naszym kierunku. Wystające uszy świdrowały powietrze. Gnu coś wyczuło, niepokój zaiskrzył w oczach zwierzyny. Powoli zbliżyło się w kierunku zarośli.

- Ucieknie, jeśli wiatr się nie zmieni, ucieknie w zarośla – cicho, lecz chłodnym tonem rzekł Tony.

Nie mieliśmy już czasu dobrze ustawić się do strzału. Nie było gdzie się schować. Nie było drzew, nie było krzaków; był tylko spokój, cisza i my, rozedrgane słońce i przysadziste chmury na horyzoncie.

Gnu cofało się coraz bardziej do tyłu.

- Strzelaj – rozkazał Tony. – Teraz albo nigdy.

Krzysiek Lis podniósł sztucer w kierunku gnu. Wymierzył, był spokojny. Dobrze strzelał, na strzelnicy zawsze dobrze strzelał.

Nagle zauważyłem, że się poci. Kropla potu ześlizgiwała mu się po czole. Coś w nim nie grało, właściwa muzyka przestała pulsować w jego myślach.

- Strzelaj – rzekł sucho Tony. – Bo ucieknie.

Zwierzę cofało się coraz bardziej do tyłu. Tuż za nim były tylko zarośla.

- Teraz – krzyknął lekko Tony.

Krzysiek Lis się zawahał, ale strzelił. Głuchy odgłos broni zranił ciszę powietrza. Zwierzę upadło na dwie przednie nogi, zmagало się same ze sobą i niespodziewanie, dziką siłą przeżycia, podniosło się i boleśnie znikło w zaroślach.

- Za nim, ale ostrożnie – rzekł Tony.

„Żle strzelił, pomyślał Tony, za wysoko, za bardzo podniósł broń w ostatniej fazie strzału”.

Zaszli się w zaroślach. Pierwszy szedł Tony. Za nim my, a na końcu murzyni, byli jacyś przerażeni i dziwnie niespokojni.

„Najgorszy wariant, myślał Tony, najbardziej zdradliwy. Zranione zwierzę, wysokie trawy, nic nie jest pod kontrolą”. Tony nie lubił, gdy coś idzie nie tak, w rzeczach, które powinny pójść dobrze. Zawsze miał wszystko zaplanowane, a rzeczy nieprzewidywalne to zawsze ryzyko, gra bez pewnych posunięć. Teraz już nic nie mógł przewidzieć do końca, nic zaplanować, nic ocenić. Polowanie nasączone tajemnicą to polowanie zawsze złe. Lecz wiedział też, że nie może zostawić zwierzyny samej sobie. Cierpiała, musieli ją dobić. Takie niepisane prawo honoru. Zakończyć rzecz, która poszła nie tak. Załatwić coś, co znów zostało zepsute przez kogoś innego.

Tony zawsze miał zasady, gdy polował. Jeden strzał i koniec. Nikt nie cierpi. I zawsze pamiętał o tym, że nie poluje się z samochodu. Zwierzyna musi mieć jakieś szanse. Zwycięży lepszy, bardziej podstępny, bardziej myślący.

Tony miał różnych klientów: zarozumiałych, dufnych, tchórzliwych, cwaniaków, którzy płakali w nocy ze strachu pod namiotem, i odważnych, tacy też się zdarzali. Ale nigdy nie miał na polowaniu tak młodych ludzi. Może to był błąd. Jednak musieli kiedyś dojrzeć. Lepiej niech stanie się to tu i teraz, pod jego zapalczywym okiem, niż gdzieś w slumsach, gdy będą nieprzygotowani walczyli o swoje życie.

Teraz musieli tylko naprawić to, co zepsuli. Dobić ranne zwierzę. Zrobić to w miarę szybko i wyjść z zarośli, gdzie wszystko było tak nieprzewidywalne. Tony tak bardzo nienawidził rzeczy niekontrolowanych. A jeszcze bardziej nienawidził siebie za to, że czasami musiał się, za pieniądze, na takie rzeczy godzić.

Szli po śladach krwi, droga krzyżowa gnu naznaczona była pojedynczymi czerwonymi śladami na ziemi. Zwierzę się męczyło, oni się męczyli, a Krzysiek Lis, który czuł, że zepsuł wszystko, męczył się najbardziej ze wszystkich. Utrudnił sprawę, która z pozoru wydawała się taka prosta. Proste rzeczy nigdy nie są takie proste jak nam się pozornie wydają. Mają w sobie tajemnice, prostą tajemnicę przetrwania.

Maszerowali ponad godzinę. Szli wolno, bardzo wolno, wręcz skrajnie podejrzliwie. Bez zbędnego pośpiechu. Ostrożnie odgarniali zarośla i zanurzali się w następne, też tak pogmatwane jak ich sytuacja, w jakiej się aktualnie znaleźli. Nic nie mówili, w tej dokładnie chwili nie mieli sobie nic znaczącego do powiedzenia. Chcieli zakończyć rzecz, która coraz bardziej zaczynała ich męczyć. Była cierniem ich niemocy i wybujałej wyobraźni.

Słońce z marazmem schylało się ku ziemi. Musieli zdążyć przed nocą, gdyby tak się jednak nie stało, noc stałaby się kresem ich wędrówki, zmorą

rzeczy, którą zepsuli zaczynając coś, co być może nie powinni nigdy zaczynać.

Są takie posunięcia, ruchy, zbędne czyny, które nigdy nie powinny zaistnieć, a jednak, gdy nadejdą, pojawiają się nagle, błąd umysłu przejawia się bólem myśli, że uczyniliśmy rzecz, która nigdy nie powinna zaistnieć, a zaistniała, czyniąc spustoszenie w nas, u innych, w czynach, które w przyszłości zawsze będą miały piętno tego absurdałnego gestu życia. Wtedy nigdy nie wiemy, czy dobrze czynimy, robiąc coś do końca instynktownie, jednak zawsze wiemy, gdy popełniamy błąd.

Tony był zdenerwowany. Noc zbliżała się nieubłaganie. Powinni już wracać. Jeszcze pół godziny i wracamy, pomyślał zły, że podjął kolejną złą decyzję w życiu.

Nagle trawa się skończyła, wyszli na polanę. Stanęli oślepieni zachodzącym słońcem, na piedestale rozgrzanej ziemi.

I wtedy, kiedy odwrócili wzrok na prawo, gdy mieli słońce po lewej stronie, ku ich przerażeniu zobaczyli zabite gnu, leżące plackiem na ziemi, a tuż obok stał lew o sierści płowej, lekko rudawej i łapczywie pożerał martwe zwierzę.

Był stary, koło trzydziestu lat, ważył około dwustu kilo; długi ogon, około metra, z zawziętością obijał się o suchą ziemię, unosząc pył piasku ku niebu.

Samiec odwrócił się w ich kierunku, wiatr zza pleców grupy ludzi rozdrażnił jego nozdrza. Wstał, zaryczał w kierunku nieba, a jego ryk uniósł się ku górze, jak jęk zabijanej zwierzyny w galopie pościgu. Ruszył w ich stronę. Nienawiść zżerała jego serce, był stary, czuł się stary, coraz trudniej było mu zdobywać pożywienie, a gdy już je zdobył, nienawidził wszystkiego, co mu miało prawo zepsuć, być może jedną z ostatnich przyjemności w życiu.

Gnał w ich kierunku. Siła jego mięśni przenikała powietrze mocą nienawiści. Kurz ziemi unosił się z jakąś dziwną magią ku górze.

Tony podniósł automatycznie strzelbę. Wymierzył, strzelił. Cichy metaliczny plusk ogarnął okolicę pustką. Niewypał, krzyknął w myślach Tony, nie teraz, krzyczały jego oczy.

Słyszał, jak za sobą murzyni uciekali w panice. Szelest bosych stóp połykających trawę w pośpiechu, był tylko echem strachu ludzi, którzy za marne pieniądze godzą się na to wszystko.

A więc tak wygląda koniec, pomyślał. Nie miał już czasu nabić broni po raz drugi, nie miał czasu uciekać, nawet nie chciał. Afryka uczyniła go mężnym, ten kraj uczynił go odważnym, nauczył się walczyć, czasami przegrywać, i nauczył się pokory wobec natury i losu, nie chciał tego

zepsuć poprzez jeden pojedynczy, a tak w zasadzie już nieistotny gest. Nie warto było psuć tego, na co zapracował tak ciężko poprzez ostatnie kilka lat – godności i dumy. Odważę zdobywa się długo, czasami latami, a traci tak łatwo, poprzez jeden mały i gardzący gest losu. Tracąc teraz odwagę, straciłby siebie w wieczną otchłań pogardy sumienia.

I wtedy padł strzał, tuż przed samym skokiem lwa, prawie wtedy, kiedy jego przednie łapy były w powietrzu, a tylne prawie odrywały się od ziemi, w tym dokładnie momencie padł strzał, i lew z kulą pomiędzy oczami upadł u stóp Toniego. Lew zamarł w bezruchu, jak nagi cień śmierci osadzony na piedestale ciszy. Jego czy były puste, samotne w nienawiści. Umarł w walce, choć walka od dawna nie była widoczna w starych oczach samca. Tak jak u ludzi, u niektórych śmierć i rezygnacja od dłuższego czasu jest naznaczona w pustych źrenicach oczu; jeszcze chodzą, jeszcze trwają, lecz chęć śmierci przenika nieświadomie ich spojrzenia każdego dnia, każdej nocy, jest widoczny w każdym geście, który czynią z taką obojętnością.

Tony odwrócił się za siebie. Krzysiek Lis stał blady, jego ręce dygotały nerwowo w powietrzu, lufa strzelby skierowana była ku ziemi. Strach całkowicie sparaliżował jego ruchy, chyba już na zawsze. Przeniknął jego ciało na wskroś.

Jego przyjaciel jeszcze mierzył w zwierzę. Patrzył, czy się ono nie poruszy. Stał dumny i wyprostowany. Skupienie jego oczu mówiło, że wygrał najważniejszą bitwę z samym sobą. Pokonał wroga w środku. Już nigdy nie będzie się bał, podeptał to uczucie w błocie obojętności wobec strachu.

Tony kilka razy widział jak ludzie się zmieniają, z chłopców wychodzą mężczyźni. To się teraz stało, zaistniało na jego oczach. Przed nim stał mężczyzna, człowiek mądry, człowiek mężny i człowiek, który już nigdy nie zawaha się walczyć o rzeczy ważne, kiedy być może walka będzie od początku przegrana. Istotą będzie walka, nie sama wygrana. Jakaś dziwna siła biła od jego postaci, Tony zauważył to od razu, był to jakiś tajemniczy blask pewności, widać było, że właśnie teraz jest sobą, osobą, która odnalazła siebie samego.

„Chłopak znalazł to, czego inni nie mogą znaleźć przez całe życie, wiem, że nie ma rzeczy niemożliwych do zrealizowania – pomyślał Tony”.

Nie wiedziałem jak to się stało. Gdy Tony strzelił i nic się nie zdarzyło, gdy lew już prawie skakał na niego, podniosłem sztucer i strzeliłem; zrobiłem to jak na strzelnicy, dokładnie, precyzyjnie i bez pośpiechu.

Pośpiech wskazany jest w sporcie, gdy jednak zagraża nam oblicze śmierci, niekoniecznie.

Trafiłem go między oczy. Zwierzę upadło. Leżało martwe. Chwilę trzymałem broń w pogotowiu, potem opuściłem na dół. Nie bałem się wcale, już w ogóle niczego się nie bałem; wiedziałem, że od tej chwili nie będę bał się już nigdy, żadnej rzeczy. Czułem w sobie jakąś dziwną siłę i moc. Strach zakopałem w sercu na zawsze. Wydobyłem z siebie to, co inni boją się wydobyć przez całe życie – odwagę. Ale nie taką płaską i pospolitą na pokaz, lecz taką moją, osobistą i zawziętą, taką, że gdy zajdzie taka potrzeba, oddam życie bez zastanowienia za rzeczy, które będą dla mnie ważne, za ludzi, którzy będą mi bliscy i za myśli, które te posunięcia spowodują. Byłem teraz sobą i dobrze, wręcz wyśmienicie, zaczynałem się z tym czuć.

Wieczór był radosny, nawet wycie hien nie było w stanie zniszczyć tej radości. Można powiedzieć kolejne ognisko, kolejny postój, ale to nie była prawda. To było inne, zupełnie inne. Niby ten sam ogień, to samo zaciemnione niebo, te same gwiazdy nad nami, a jednak coś się zmieniło we mnie. Poczułem się częścią tego świata, tego pustynnego skrawka ziemi i co ważne, ten świat też mnie zaakceptował, przygarnął jak matka do siebie. Już nie czułem się intruzem, wygnańcem z innego kraju, który przyjechał turystycznie zwiedzić tą dziką krainę. Byłem współodpowiedzialny za wiatr, który mnie głąskał po głowie, za słońce, które mnie czasami zbyt mocno parzyło i za przyrodę, która tak bardzo utrudniała mi kroki za dnia.

Tony siedział jakiś inny. Skupiony, podпиты, jakby szczęśliwy. Tylko Krzysiek Lis był smutny, stracił swój cały, tak dobrze ułożony, wizerunek, i będzie musiał na nowo odnaleźć wiarę w swoje możliwości. Powstać z kolan i znów uderzyć w świat z dziką stanowczością. Uda mu się, pomogę mu w razie czego, od czego są przecież przyjaciele; a pokora, którą poznał dzisiaj tak naprawdę po raz pierwszy, będzie jego kartą przetargową, kiedy będzie musiał zagrać z losem o rzeczy przegrane. Cenna lekcja i całkowicie bezpłatna.

Afryka płakała nowym życiem, gdzieś z boku. Noc sprzyja walkom o przetrwanie; cieniom, które były przed chwilą gdzieś obok nas, a teraz są tak daleko. A ogień, cóż, głąskał nas jak zawsze swoim ciepłem, zbliżył nas na pewno do siebie, byliśmy przyjaciółmi na dany okres czasu. Często takie przyjaźnie są na całe życie. Krótkie chwile, które wywierają piętno czasu w naszych sercach.

Tony podniósł się z suchego kawałka drzewa, na którym siedział. Spojrzał w niebo, tak obojętnie; jego oczy miały dziwny blask w świetle gwiazd, i rzekł do nas:

- Wiecie, kiedy byliśmy przez chwilę w mieście i spotkaliśmy mojego starego przyjaciela, coś dostałem, rzecz, która może zmienić całe moje przyszłe życie. List od córki. Pierwszy list od mojego, już prawie dorosłego, szczęścia. Miałem go cały czas ze sobą. Bałem się go otworzyć. Dziwne... miałem takie gorzkie otepienie serca w sobie.

- Dlaczego? Czasami normalne. Nie wszystkie nasze czyny są logiczne z pozoru. Dziwne zachowania to też my – rzekłem.

- I dzisiaj go otworzyłem. Odważyłem się – jego oczy były wilgotne, coś w nim pękło, dawna miłość wróciła z prawie martwego serca.

- To dobrze. Jak to będzie dalej wyglądać? Coś się zmieni na lepsze? – spytałem.

- Przyjeżdża do mnie – Tony napił się whisky, była cierpka, chłodna, ale kojąca. – Za tydzień będzie na lotnisku. Przeczytała wszystkie moje listy. Wybaczyła mi nieobecność z dzieciństwa, ale dopiero wtedy, gdy przeczytała te wszystkie listy. Znalazła je u babci w szafie. Chce nadrobić stracone chwile. Dobrze, że pisałem do niej cały czas. Czyniąc inaczej nigdy bym jej nie odzyskał. Czasami gesty bez znaczenia, mają jednak jakieś znaczenie w przyszłości. Procentuje wiara, że czasami los sam nam odplaci dobrem za zło, które się kiedyś wydarzyło.

- Super – ucieszyłem się.

Tony zaśmiał się cierpko, ale stanowczo. Emocje skumulowane w nim od wieków, wychodziły powoli na światło dzienne. Znów nauczył się kochać kogoś, obudzi martwe serce do życia.

- Upijmy się – w końcu rzekł. – Są trzy powody, każdy ważny. Ja odzyskałem córkę, ty – popatrzył na mnie – odnalazłeś odwagę, a ty – zerknął na Krzyśka – uświadomiłeś sobie, że coś, co mamy w sobie naturalnego też trzeba pielęgnować, gdyż umknie, gdy zamkniemy na moment oczy. Nauczyłeś się, że nic nie jest pewne w nas do końca, i że czasami porażka to także zwycięstwo, cierpkie, bo cierpkie, ale zwycięstwo.

Piliśmy do rana. Dokładaliśmy drzewa do ogniska, śpiewaliśmy znane piosenki, ale te prostsze, i nawet Krzysiek Lis zrozumiał, że nic się nie stało, i że należy cieszyć się każdą darowaną nam od Boga chwilą, bo dzisiaj jesteśmy, a jutro nas nie będzie. A ja wiedziałem to, co Tony nie powiedział na głos, wszyscy otarliśmy się o śmierć. Była blisko, szarpnęła nas z zawziętością za włosy, ale my jej się wyrwaliśmy, uciekliśmy z jej szponów, płując jej w twarz swoją odwagą. Byliśmy zwycięzcami, każdy,

bo byliśmy tak naprawdę grupą, i nie ja wygrałem, lecz grupa osiągnęła zwycięstwo; bo życie to inni, te osoby, które są z nami, kiedy jest dobrze i te osoby, które są wtedy, kiedy jest źle. Tak, to teraz wiedziałem, życie to inni, ich marzenia, ich pragnienia, ich radości, będąc z nimi, obcując jak najczęściej, ciągle wygrywamy każdego dnia, w każdej małej opłakanej chwili, gdyż, kiedy przyjdzie odejść, zanurzyć się w ciemność, tylko te wspomnienia, te momenty będą się liczyć, a nie domy, w których nie mieliśmy czasu spać w samotności, nie samochody, które tak naprawdę woziły nas do nikąd, i nie puste przedmioty, które być może ułatwiały nam życie, ale były chyba zbędne. Bez nich na pewno byśmy istnieli, ale czy żyli? A bez tych osób stracilibyśmy całą głębię wszechświata, cały komfort ścieżki, po której podążamy, nie bylibyśmy tacy, jakimi chcielibyśmy być w istocie – ludźmi, którzy świadomie przeżyli swoje życie, tak po swojemu, tak jak chcieliśmy, bez nacisków, bez asekuranctwa. Czasami wątpiać i boleśnie, ale po swojemu, a przecież o to chodzi tak naprawdę, przeżyć swoje życie po swojemu, na swoich, a nie innych zasadach. Ciosy tak bardzo nie bołą, kiedy sami wystawiamy głowę na głaz, który leci na nas z góry, po zbyt pośpiesznym wejściu w wąwóz.

Samolot krążył pośpiesznie wzdłuż pasa startowego. W końcu wylądował. Koła lekko szarpnęły o pas betonu, a potem płynnie, niczym po lodzie, zaczęły z wolna tracić swoją naturalną zapalczliwość.

Wysłałam z kabiny z lekkim niepokojem. Po raz pierwszy byłam tak zdenerwowana. Miałam dziewiętnaście lat, wiek doskonały jak na dopiero, co rodzącą się we mnie kobiecość. Wchodziłam w dorosłość; studia, które dopiero zaczynałam, miały być przepustką do innego, nawet nie lepszego, bo nigdy mi na tym nie zależało, lecz do ciekawszego życia. Wiedziałam jedno – chciałam swoje życie przeżyć ciekawie, tak, żebym czuła, że momenty, które teraz są ze mną, a za chwilę ich nie będzie, i będą już za sekundę za mną, bo będą tylko wspomnieniem rzeczy minionych, żeby były w miarę możliwości najlepszymi chwilami na dany moment czasu. Dlatego wybrałam turystykę; między innymi po to, żeby zwiedzać świat, poznawać ludzi, mieć wystarczający dystans do siebie i do tych, których poznam gdzieś na samotnych szlakach egzystencji tej cywilizacji.

Dzisiaj byłam zdenerwowana. Dotarło do mnie, że oprócz tego, iż nie widziałam ojca od szóstego roku życia, to jednak tak wiele dla mnie znaczył. Był częścią mnie, chociaż go nigdy ze mną tak naprawdę nie było. Brakowało mi go, teraz to wiem. I właśnie wtedy, kiedy myślałam, że jestem mu całkowicie obojętna, nic dla niego nie znaczę, i właśnie

wtedy, kiedy złe emocje, pogarda dla niego, dla jego obojętności, przeszły moje serce, a nienawiść nieśmiało zaglądała przez drzwi, właśnie wtedy pojechałam do babci. Kochałam ją, często ją odwiedzałam, mieszkała sama, potrzebowała miłości, której na starość tak brakuje ludziom, którzy stracili drugie swoje szczęście, i tylko cierpliwie czekają na wyrok z nieba zawieszony w czasie.

Szukałam czegoś w starej szufladzie. Ciuchy, zapomniane szale, kapelusze z przeszłością, rękawiczki, które przesiąknięte były zamierzchną historią, i nagle stosy listów. Różne daty, znaczki z odległych miejsc świata i ciągle ten sam adres. Otworzyłam. Czytałam do rana, płakałam w ciszy nocy, płakałam, gdy słońce budziło się ze snu, były to łzy oczyszczenia, tak bardzo chciałam znów być małą dziewczynką i nadrobić stracony czas.

Ojciec pisał jak mnie kocha, ostatni list był zaadresowany miesiącem temu, Afryka Południowa, zresztą ostatnie listy były stamtąd. Pisał co robił, jak próbował odnaleźć się w nowej sytuacji, jak chciał ze sobą skończyć, kiedy życie zniszczyło go do końca, tak się wtedy czuł, ale podkreślał, że jestem najlepszą rzeczą jaką go spotkała w życiu, darem z niebios, jasną tęczą, która rozświetlała światło w mroku kiedy było tak źle, że czuł, iż za chwilę odejdzie, ale jedna myśl trzymała go przy życiu, cień nadziei, że mnie jeszcze kiedyś ujrzy. Czułam tę miłość bijącą z listów, były gorące, przesiąknięte cierpieniem, że nie mógł być ze mną wtedy, kiedy będę tego tak w istocie potrzebować.

Pisał, że potrzebował się ze mną zobaczyć, ale matka, zakochana w szefie z pracy, jeździła z nim po świecie. Duża firma, dużo podróży. Utrudniała mu to, jak mogła. Znienawidziła go za rzeczy, które kiedyś były takie dla niej wyjątkowe. Nietypowe zalety okazały się typowymi kolcami, gdy było naprawdę źle.

Pisał do babci, ona go jeszcze lubiła. Ale musiała być po stronie córki. Rodzina to rodzina. Jesteśmy z nią nawet wtedy, gdy ktoś popełnia błąd nienaprawialny. I nawet wtedy, kiedy widzimy zło, jakie wyrządza ten błąd innym, nie możemy być obiektywni. Rodzina to rodzina. Babcia była lojalna, patrzyła z pogardą, co robi jej córka, ale była lojalna. Niszczenie rodziny, osierocenie dziecka, nawet zakochaniem nie da się tego logicznie wytłumaczyć.

Listy chowała do szuflady, choć córka kazała je palić. Nie robiła tego, może dlatego, iż czuła, że życie samo napisze scenariusz do tej historii. Jedyne, co mogła robić to wsadzać je do tej podniszczonej czasem szuflady, i mieć nadzieję, że kiedyś przeznaczenie sprawi, że zagłdnę do niej, niesiona jakąś siłą intuicji.

Przed samym wyjazdem stanęłam przed matką. Popatrzyłam z pogardą w jej czarne oczy. Teraz już była sama. Zostawił ją mój ojczym, który nie potrafił być nikim, nawet namiastką ojca. Znudził się nią jak pies nudzi się starą, zużytą kością. Trochę było mi jej żal; samotna kobieta, która już nigdy nie odzyska pogody ducha. Podjęła kiedyś złą decyzję i teraz przyszedł czas zapłaty.

Rzuciłam listy na podłogę. Matowy dywan przyjął cios z godnością. Leżały jak płatki śniegu, tuż przed samym stopieniem, kiedy słońce jest zbyt gorące w zimie.

- Dlaczego! Cemu mi to zrobiłaś?! – Krzyczałam.

- Tak było lepiej – cicho jęknęła matka.

- Dla kogo! Chyba dla ciebie!

- Wtedy to wyglądało inaczej – broniła się uparcie.

- Zawsze jest jakieś inaczej! Wiesz, co czułam? Byłam niekochana, kiedy ty byłeś zakochana; a on, którego z nami nie było z twojej winy, wciąż mnie kochał. Zniszczyłaś mu życie, teraz to wiesz. Jesteś zadowolona?

- To nie tak... – matka zawiesiła głos.

- Co nie tak! Straciłam szesnaście lat bez miłości, tej prawdziwej, i patrzyłam jak powoli niszczy cię ten facet. Opóźniłaś rozstanie, przysmykałaś oczy na zdrady, chciałaś zawiesić decyzję w czasie, aż w końcu odszedł.

- Nie rób mi tego – rozplakała się matka.

- Jak mogłaś dopuścić do tego żebym zwątpiła w ojca... żebym zwątpiła w siebie. Wiesz, co czuje człowiek niekochany, zdradzony emocjonalnie? Teraz to wiesz, ale ja ci niczego nie utrudniałam. Dorastałam, bo musiałam. Nie plułam mu w twarz, gdy widziałam jak cię niszczy, nie plułam mu w twarz jak wymyślał wyjazdy służbowe, i nie plułam mu w twarz, gdy kupował mi prezenty, jak wracał z delegacji podпиты, prosto od kochanki, i chciał się z tobą tylko przespać, a mnie chciał kupić tym prezentem, bo wiedział, że mu to tylko to ułatwi. Rozmiękczy cię jego fałszywa dobroć. Widziałam jak cię niszczy, ale kochałaś go, więc ci nie utrudniałam. Mała dziewczynka umiała zrozumieć lepiej rzeczy, których ty nie potrafiłaś zrozumieć, jako dorosła osoba. Nie można niszczyć nikogo miłości, choć czasami jest tak bolesna. Nikt nie ma do tego prawa.

- Dosyć... daj mi już spokój!

- Są czasy urodzaju, są czasy miłości i są czasy zapłaty. Doczekałaś się tych ostatnich. Jadę do ojca. Nie wiem, kiedy wrócę. Spraw, żebym znów

mogła ci zaufać. Przemyśl to sobie, bo jak nie, to będziesz miał zbyt dużo czasu na myślenie o tym w samotności. Ucieknę ci, tak jak ty uciekałeś ze mną ojc. Spraw, uczyni coś – szarpnęłam ją za rękę, spojrzałam zaciekle w oczy – uczyni coś – powtórzyłam – żebym zobaczyła w tobie człowieka. Chcę ci znów zaufać, ale mi pomóż! Musisz odnaleźć siebie z przeszłości. Spróbuj, bo przegrasz wszystko. Ciężko jest umierać, gdy przegraliśmy w życiu wszystko. Zawsze jest szansa odmienić swój los, oszukać przeznaczenie, tylko nie każdy ma odwagę to uczynić. Spróbuj, daj nam jakąś, jakąkolwiek szansę.

Port lotniczy w Afryce. Nowoczesny, a jednak inny. Dużo smutnych twarzy. Trochę inny, bardziej brudny. Chaos na lotnisku może napawać odrazą człowieka zagubionego w sobie.

I wtedy go zobaczyłam. Twarz ojca była podniszczona, kontury, rysy twarzy były wciąż w mojej pamięci, ale jego oczy, one się nie zmieniły. Je zapamiętałam dokładnie. Były bardziej smutne niż kiedyś, ale pełne dawnej miłości.

Przytuliłam się do niego. To było tak naturalne. Tak bardzo mi go brakowało. Jego uśmiechów, jego zabaw, i jak czytał mi bajki. Dziwne, tak dobrze pamiętam te chwile, a przecież byłam tak mała. Może je chroniłam, stworzyłam zaporę, żeby czas nie zatarł śladów. Były zbyt cenne, musiałam je pielęgnować.

Stało koło niego dwóch młodych mężczyzn. Jak na jednego spojrzałam, zerknęłam mu prosto w oczy, tego się nauczyłam pomimo młodego wieku, oceniać ludzi po oczach, one nie kłamią, mimika twarzy tak, i jak zerknęłam na niego, coś w nich zobaczyłam. Jakąś siłę, jakąś moc, zapalczywą mądrość i dziwny spokój, z nim mogłabym się czuć bezpieczna i kochana. Miał w sobie coś, czego szukają kobiety przez całe życie. Dobroć przesiąkniętą mądrością.

- Jak masz na imię? – Spytałam.

- Tomek – rzekł spokojnie; dziwne, był taki spokojny jakby życie nauczyło go czekać cierpliwie na rzeczy ważne.

- Ładnie – ujęłam go pod ramię, z drugiej strony szedł ojciec.

- A ty jak? – Rzekałam do tego drugiego.

On był inny. Coś w nim zgaśło, niby pewny siebie, a jednak jakiś płomień przygasł w jego mrocznym spojrzeniu. Też był sympatyczny, takie sprawiał wrażenie, ale to ten drugi mnie intrygował; był taki inny, odmienny niż wszyscy mężczyźni, których do tej pory spotkałam na swej drodze.

- Krzysiek – odpowiedział w końcu.

- Też ładnie. No to gdzie mnie zabieracie? – Spytałam, gdy wychodziliśmy z portu lotniczego.

Wiedziałam, że dobrze zrobiłam, że tu tak szybko przyleciałam. Coś się zaczynało, coś ważnego rozpoczynałam w swoim życiu. Liczą się tylko ważne sprawy, mniej istotne należy odsuwać szybko na boczny tor. Ważne żeby je w porę zauważać, dostrzegać, kiedy już są w zasięgu naszego wzroku. Nie można tracić ważnych rzeczy, nigdy już później nie wracają, pomimo starań, prób i błędów.

Może odnajdę w Afryce to, czego szukałam przez całe młode życie. Spokoju, radości i prawdy jak należy żyć. Już wygrałam, odzyskałam miłość z przed lat – miłość ojca; może zyskam też miłość ważną dla kobiety, czyli tą do końca; i być może odzyskam wiarę tak nadszarpniętą czasem, że to, co ważne nigdy nie umiera, jest ciągle w nas w środku i tylko czeka na właściwy moment, odpowiednią chwilę, żeby znów na nowo rozkwitnąć. Trzeba wytrwać i cierpliwie czekać. Ja wytrwałam, okazałam się alpinistą, który z szacunkiem wszedł na kolejny ważny szczyt swoich możliwości.

Gdy ją ujrzałem, usłyszałem, że ma na imię Dominika, gdy popatrzyłam mi w oczy, poczułem, że chyba się w niej nieświadomie zakochuję. Zakochuję się w kobiecie, której w ogóle nie znam. Nigdy tak nie miałem, może dlatego, że nigdy takiej nie spotkałem. Ważne żeby spotykać tylko te właściwe osoby w życiu, inne ranią nas w najmniej odpowiednich momentach.

Była taka naturalna, jej szmaragdowe oczy pełne niebiańskiego żaru, błyszczały światłem miast, które mógłbym spróbować z nią poznać. Potrafiłbym patrzeć na nowe, nieznane miejsca jej oczami. Poznawać ludzi, nowe twarze, gdybym mógł ją zawsze mieć z boku. I wyznaczać sobie nowe cele, takie nierealne, a wszystko po to, żebym mógł z nią ponosić porażki, i później się z nich razem podnosić, zdobywając mniejsze szczyty gór, i żeby kiedyś mieć szczęście, i nadzieję, że zdobędziemy razem ten właściwy szczyt, i gdy będziemy już tam stali, rozejrzemy się wokół, spojrzymy za siebie i wtedy będziemy już wiedzieć, że było warto, pomimo trudów, pomimo lat, pomimo wyrzeczeń. I wtedy już będziemy wiedzieć na pewno, że tak miało być, bo gdy na siebie spojrzymy, na nasze zmęczone czasem oczy, to uświadomimy sobie, że spędziliśmy ze sobą całe nasze życie, a ten szczyt jest tylko dopełnieniem całej naszej miłości, i gdybyśmy go nie zdobyli, to nic, bo spędziliśmy ten czas razem, a kwintesencją jest trwanie razem w celach, które wydają się innym tak nieosiągalne.

Wyjeżdżając do Afryki myślałem, że to będzie tylko przygoda. Gdy wyjadę stamtąd, wrócę do kraju, pozostaną tylko wspomnienia. Nie wiedziałem, że tyle wygram, nie planując żadnych bitew i zwycięstw.

Zaznałem uczucia przyjaźni, rzeczy ważnej dla każdego; zaznałem uczucia strachu, doceniłem jego wartość należycie; później poznałem, co to znaczy pokonać strach, wziąć go w kajdany i zmusić do posłuszeństwa, to też ważna lekcja życia, może najważniejsza, pokonać słabość w sobie, zniszczyć rzecz, która może być katem całej naszej dalszej podróży, gdy ją zaakceptujemy i wmówimy sobie, że tak już musi być. A to nie prawda, nic nigdy nie musi być na zawsze. Od nas zależy, co to prawda, a co to fałsz. Co to niemoc a co to zwątpienie. Od nas zależy, co to miłość, a co to grzech. I tylko od nas zależy czy słabości staną się siłą, i czy tą siłą wykorzystamy we właściwych momentach naszego dalszego zmagania się z rzeczywistością.

Poznałem być może, a w zasadzie poznam, gdyż obok mnie szła pod ramię Dominika, co to znaczy zakochać się bez pamięci. Gdyż po krótkiej chwili rozmowy, po kilku zdaniach, niby nieistotnych, poczułem taką naturalną bliskość, emocjonalną więź, która była jak przypływ morza podczas wschodu słońca, kiedy księżyc jeszcze nie zasnął, a słońce, co dopiero budzi się ze snu. Być może poznam to uczucie tak do końca. Bo cóż znaczy odwaga, strach, ból, kiedy nie mamy miłości w sobie. Po co walczyć, jak nie mamy tak naprawdę, dla kogo wygrywać. Po co się podnosić z kolan, kiedy błoto nie jest ważne dla nikogo innego oprócz nas.

Tego się dowiedziałem o sobie na tym szarym, brudnym, pełnym niepewności skrawku ziemi. Zrozumiałem też, że ten kraj jest także piękny, wzniosły, dumny, pełen skrajności; jest jak postrzępiona skała morska, tuż przy samym brzegu, fale ją obmywają, wszystko niszczy: słońce, deszcze, burze, a jednak ona wciąż dumnie trwa, opiera się sile czasu ze zdwojoną niepewnością tego, co się kiedyś być może wydarzy.

Ten kraj był już we mnie, w moich ruchach, w moim spojrzeniu, w moich słowach, a ja byłem w nim. Wiedziałem, że muszę tu wrócić, na pewno wrócę. Byłem uzależniony od niego. Stałem się narkotycznym więźniem jego snów i marzeń. Często się wraca do miejsc gdzie z takim trudem kształtowaliśmy swoją rzeczywistość. Byłem tu szczęśliwy, jestem tu szczęśliwy i przez ten okres do końca wakacji na pewno będę tu szczęśliwy. Bo szczęście to jest to, co sami zmieniamy, a nie to, co zmieniają za nas inni. Bo szczęście to jest to, czego inni boją się dotknąć, a my wsadzamy po to rękę do ognia wiedząc, że i tak się poparzemy. I w końcu szczęście to jest to, co mamy w sobie, nasze wady, nasze zalety, i

to, co później wydobywamy na zewnątrz, obdarowując osoby, które tego bardziej potrzebują niż my.

Wyszliśmy znów w blask światła. Wsiadliśmy do taksówki. Było dokładnie tak jak wcześniej, kiedy tu z Krzyśkiem przyjechałem miesiąc temu. Samochód ruszył. Znow patrzyłem na czarne twarze, dumne, biedne spojrzenia, na nienawiść do białego, ale ja już byłem inny. Czas mnie zmienił. Lepiej ich rozumiałem, lepiej poczułem jak tu się żyje, i lepiej sobie uświadomiłem, że nie ważne skąd pochodzimy, bo piękno to ludzie, a nie kraje, skrawki lądów, na których żyją. Oni są cierniem i wodą każdej okolicy. Oni kształtują życie na swój sposób. Oni cię na pewno zrozumieją, gdy ujrzą w tobie człowieka i gdy ty ich też zrozumiesz. Ich ból, ich smutek, ich trwanie.

Wszędzie ludzie są tacy sami, choć los nie zawsze równo każdego obdarował swoją miarą.

Samochód pędził, moje myśli pędziły, a ja byłem spokojny. Czas znów był dla mnie tak łaskawy. Może dlatego, że ja także byłem dla niego łaskawym wyzwaniem. O nic nie prosiłem, o nic nie błagałem, po prostu wziąłem to, co mi dał. Byłem sobą. A przecież o to w końcu chodzi, żeby zawsze być sobą. Nigdy nikogo nie udawać. Każda maska kiedyś odpadnie i co wtedy zostanie? Byłem sobą, będę sobą i tego będę się w przyszłości trzymać. Bycie sobą to bycie innym. A ja chciałem być inny.

Otworzyłem okno. Pęd wiatru rozwał włosy Dominice. Odgarnąłem je lekko ręką. Uśmiechnęła się. Poczułem dziwny dreszcz. Byłem już zakochany, a samochód coraz szybciej zmierzał do hotelu.

ROZSTANIE

Ryszard R. siedział przy barze, a naprzeciwko niego mieniła się cała masa pustych butelek, równo rozstawionych na szklanych, lekko półprzeźroczystych, półkach. Patrzył na nie obojętnym wzrokiem, prawie pustym, a muzyka cicho grająca w tle była mu tak bardzo obca, tak obca jak obcy może być tylko wiatr pustyni, kiedy od urodzenia mieszkamy nad morzem.

Kończył pić drugie piwo; światło z baru, jego pojedyncze błyski, odbijały się od kanciastego, krystalicznie przesiąkniętego samotnością kufla.

Kontuar baru, może zbyt rozłożysty, może zbyt przysadzisty i być może zbyt nachalnie czarny, był jego przystanią samotności. Ryszard R. już teraz wiedział, czuł to nad wyraz dotkliwie, że uczucie skrajnej pustki będzie jego lustrzanym odbiciem w przyszłości. Zmuszony został przez odmęty życia, przez zbyt niebezpieczny zakręt losu, do podania sobie ręki z pustą drogą wiodącą na bezdroża, być może jedyne go kierunku, jaki będzie miał w najbliższym czasie. Zrozumiał, że będzie musiał przyzwyczaić się, wręcz oswoić, z uczuciem samotności, które od pięciu lat było mu tak dziko obce i tak bezpiecznie odległe.

Pięć lat temu bywał czasami samotny, bywało, iż zakrapiał to uczucie zbyt dużą ilością wypitego alkoholu, rodzaj trunku w tym przypadku nie miał dla niego najmniejszego znaczenia. Po prostu pił, żeby pokonać wroga; wódka, wino czy piwo były jego armią, a on, jako sprawny dowódca walczył z napastnikiem. Przeważnie wygrywał i osiągał zamierzony cel, jednak straty po bitwie, zaraz następnego dnia, były znaczące, wręcz druzgocące psychicznie. Jednak wciąż wygrywał i udawało mu się za dużo nie myśleć, a tylko właściwie po to toczył te zacięte boje, żeby w chwilach samotności i pustego, wiejącego chłodem zwątpienia, za dużo nie myśleć. I faktycznie nie myślał, więc w pewien sposób był zwycięzcą. Tylko tak umiał walczyć z wrogiem i tylko w ten sposób potrafił zwyciężać. Zapijając ból zapijał resztki uczuć, które w nim jeszcze zostały.

Wszystko się zmieniło, kiedy poznał Anię. Wrażliwą brunetkę o szmaragdowych oczach, lekko zakręconych jak fale morskie czarnych włosach, o smukłej tali, o radosnym spojrzeniu, które niczym promienie słońca rozgrzewało jego zatroskaną życiem twarz. Kobietę o wyjątkowym uśmiechu, którego blask, niczym ciepły i przyjazny wiatr, przenikał wszystko dookoła, czyniąc życie bardziej wyrazistym i krystalicznie

wnikliwszym. Tak, wtedy wszystko było inaczej, zdecydowanie prościej. Był on, była Ania i było szczęście, które niczym ich splecione dłonie, łączyło ten cud, który między nimi się wydarzył. Tak, wtedy wszystko było inaczej. Zmysłowo, wnikliwie niebiańsko.

Ryszard R. wypił ostatni łyk złocistego płynu zastanowienia. Nie chciał tutaj siedzieć, lecz także nie miał ochoty stąd wychodzić. Jego sytuacja była patowa. Po krótkim zastanowieniu, szybkim przeanalizowaniu różnych rozwiązań, stwierdził, że najlepszym rozwiązaniem będzie teraz wyjść, po prostu wstać i ruszyć się z miejsca, zanim zapije całą swą obojętność bólu, całą rozpacz smutku i cały zgielek rozstania, przy czarnym jak jego myśli barze.

Ryszard R. wiedział, po pięciu latach względnego szczęścia, iż smutek z dodatkiem wódki, problemy zmieszane z piwem, są niczym bomba zegarowa. Nigdy nie wiadomo, kiedy wybuchną i nigdy nie wiadomo, jakie przyniosą straty.

Ryszard R. wstał, zapłacił swój dług wdzięczności smutnemu barmanowi, który chyba nienawidził swojej pracy i wyszedł na zewnątrz, trochę obojętnym krokiem, jego statek wolno ruszył z przytulnego portu zapomnienia.

Gdy przekraczał próg knajpy, linię łączącą prawdziwe życie z nierealną fikcją, z tyłu za swoimi plecami, lekko zgarbionymi, słyszał cicho tłącą się muzykę przy barze. Była gorzka, cierpka, nie dawała żadnej nadziei na przyszłość.

Gorące słońce jasną pajęczyną oplotło posturę Ryszarda R.. Posturę zgarbioną, zniszczoną czasem, lekko zmęczoną życiem. Wszystko naokoło wręcz kipiało wszechobecną radością. Przyroda niczym gorąca lawa wulkanu, rozgrzewała serca spacerujących wokół ludzi, jednak Ryszard R. czuł się pusty i samotny, studnia zapomnianych uczuć dawno już się w nim wyczerpała. Została brutalnie zniszczona przez czas. Na zewnątrz pozostało tylko wiadro, metalowy pojemnik beznadziei, który wolno kołysał się, gdy wiatr rozbijał żelazny łańcuch łączący go z kołowrotem rozpaczy.

Ryszard R. wiedział, wręcz czuł to namacalnie w głowie, że dobrze zrobił wychodząc z baru. Choć każda decyzja była teraz dla niego błędna. Czasami nie ma doskonałych rozwiązań, są tylko decyzje złe albo bardzo złe, a my po prostu musimy podjąć jedną z nich.

Wątpliwym krokiem skrzył w lewo, lekkim łukiem przeszedł przez ulicę spaloną spiekotą lata, wcześniej przepuszczając kilka samochodów, szybko mknących do celu, i trochę zbyt pośpiesznie ruszył betonowym chodnikiem wzdłuż bloku.

Szedł niczym skazaniec na szubienicę i tak też się czuł. Nie chciał tam wracać, ale wiedział, że musi to zrobić. Każdy kiedyś musi wrócić do miejsca, w którym cierpienie miesza się z rezygnacją, wszystkim zdarzają się takie rzeczy. Ryszard R. nie był wyjątkiem, był istotną normą, która zbyt długo może trwała. Cierpienie nas wzmacnia, jest jak gips na nodze, który powoduje większy ciężar bólu, ale przez to stajemy się bardziej uważni i czujni, aby później nie popełnić tego samego błędu ponownie.

„Cierpienie nas umacnia, hartuje naszą rzeczywistość – pomyślał Ryszard R. – jest jak łaskawość przeznaczenia, które chce nas uchronić przed długą i mroźną zimą niebytu”.

Ryszard R. doszedł wolno do klatki, wręcz ociężale, jeszcze raz spojrzął na spieczone żarem ulice i wszedł do zimnego pomieszczenia. Przenikliwy chłód przeniknął jego ciało, był jak rentgen obcych emocji, a on nie wiedział czy jest to zimno wiejące z wynajmowanego mieszkania, czy tylko drgające zimnem powietrze, schowane w zaciszu wszechobecných piętér w bloku.

Doszedł do swoich drzwi, brązowych, statecznych, przystanął na moment, zawahał się zanim nacisnął lekko klamkę. Strach zagubienia pojawił się przed oczami Ryszarda R., jednak szybko prysnął, kiedy ostrym ruchem, prawie zamasyście, otworzył drzwi.

Staął w przedpokoju i z żalem popatrzył na pojedynczy pokój, który kiedyś był symbolem szczęścia, a teraz wydawał się tylko oceanem rozpaczy. To dziwne, że niektóre miejsca mają tak wiele znaczeń, wszystko zależy od punktu widzenia i od punktu odniesienia. Jego punkt odniesienia znajdował się wysoko w powietrzu, tuż pod czarnymi chmurami, gęsto skłębionymi na niebie, na razie chroniącymi go przed złowrogimi błyskawicami, które niczym stado wron zbierało się tuż obok.

Ania pakowała, a raczej kończyła pakować swoje rzeczy. Cztery duże torby, prawie do końca zapchane ubraniami, leżały na środku pokoju i wydawały się jak ogromne okręty płynące po spokojnym oceanie w niewiadomym kierunku.

Piąta torba, znacznie mniejsza od pozostałych, czarna jak sadza, do połowy wypchana była jakimiś kobiecymi kosmetykami i innymi obcymi przedmiotami do udowadniania mężczyznom, jak wyniosła i zmysłowa jest płeć piękna. Często potrzebujemy wsparcia, dla kobiet takim wsparciem są kosmetyki.

Ania usiadła na jednej z toreb, bezradnie rozłożyła ręce na kolanach, popatrzyła smutno na cały pokój, łzy zakręciły się w jej oczach, po chwili szybko przełamała swoje zwątpienie, nie chciała pokazywać jak bardzo jest słaba. Dla niej to też było bolesne. Mogła sobie wmawiać, że uda się

to pokonać bez emocji, bez zbędnego zaangażowania, oszukiwała samą siebie. Życie weryfikuje całość naszych dokonań i pokazuje boleśnie, prawie jak kat, jak naprawdę kiepskimi jesteśmy aktorami.

- Może ci pomóc? – Nieśmiało spytał Ryszard R..

- Niczego od ciebie nie chcę! – Syknęła Ania, jednak szybko się opanowała. – Nie, dziękuję – jeszcze potrafiła być miła, jeszcze potrafiła mieć resztkę uczuć do wroga, potrafiła to czynić, mimo trudnej sytuacji dla obojga.

- Tylko pytałem – dodał zrezygnowany Ryszard R..

Chciał zadać właściwe pytanie, jedno konkretne dobre pytanie, trochę rozluźnić atmosferę, ale teraz wiedział, iż w takich momentach nie ma dobrych pytań, są tylko pytania kiepskie i bardzo kiepskie. Widocznie jego było złe i nietrafione.

Chłód, niczym arktyczna zima, wionął mrozem od całego mieszkania, które jeszcze niedawno wydawało się ciepłe i przytulne.

Szczęście jest zjawiskiem przejściowym, przychodzi nagle i też nagle odchodzi. Jest niczym deszcz, który daje nadzieję, a czasami jest żywiołem, który niszczy i zalewa wszystko wokół.

Jeszcze niedawno ich łódź śmiało płynęła do celu, do portu, który wydawał się taki cichy i przytulny. I nagle burza, dziki sztorm morski, zniszczył ich żagle i zaczęli niebezpiecznie dryfować na skaliste wybrzeże. Teraz okręt był przy niebezpiecznym brzegu i lada moment miał uderzyć w najbliższą skałę, wynurzoną nienaturalnie z wody. Nawet nie było czasu, aby spróbować wyskoczyć. Po raz ostatni zanurzyć się w morzu zapomnienia.

Ryszard R. wiedział, iż wspólni znajomi będą zaskoczeni. Jeszcze dwa tygodnie temu byli na imprezie, wspólnym pijaństwie par. Wszyscy z kimś byli związani i wydawało się, że każda para jest szczęśliwa, a przynajmniej próbuje być szczęśliwa, oni też do tego wizerunku idealnie pasowali. Widocznie od pewnego momentu zaczęli grać i nikt nie przypuszczał, jak w ich związku jest źle, beznadziejnie źle. Wręcz niebezpiecznie. Nikt nie lubi przyznawać się do porażek i kłopotów, i tak też było z nimi. Nie potrafili, nie starczyło im odwagi, aby powiedzieć innym prosto w oczy, jak ich niewiele teraz tak naprawdę łączy. Nie mogli nie przyjść, więc idealnie grali, tak doskonale nauczyli się odtwarzać swoje tragiczne role. Większość ludzi gra, zakłada dziwne maski – tragiczne, wypalone, nienaturalnie wyzbyte z emocji, i później już nigdy nie wiadomo, która maska jest właściwym odbiciem lustra. Gubimy się, spalamy na stosie życia, toniemy w mroku otchłani, szarpiemy bezustannie, a wszystko po to, żeby pokazać innym jak naprawdę jesteśmy

doskonali. Wręcz idealni. To inni są słabi, to inni mają kłopoty, to inni nie radzą sobie w życiu. Sztuka udawania przesiąknięta sztuką błazenady.

Zegar w kuchni miarowo tykał, czas szarpał się w ciszy światła, wskazówka równo poruszała się do przodu. Ryszard R. chętnie przyspieszyłby ruch zegara. Czas często jest naszym sprzymierzeńcem, przyjacielem ze wspólnych wypadów i doznań, lecz czasami bywa też wrogiem, dzikim zwierzęciem, które nagle chce nas rozszarpać podczas ostatniego pościgu zatracenia. Pościgu, gdzie wyrok zawsze jest zawieszony w czasie, w czasie kolejnej ostatniej decyzji w życiu, w czasie gdzie każda decyzja, gdy się już ją podejmie, gdy przekroczy się kolejny most przeznaczenia, jest decyzją nieodwołalną, decyzją niezbitą i decyzją ostateczną.

Ryszard R. usiadł w rogu kuchni, tuż koło lodówki, sytuacja wciąż go jakoś nienaturalnie przerastała. Nie dość, że była banalna i krępująca, to jeszcze wprowadzała dziką nerwowość czegoś, co i tak dawno stracił. Ryszard R. nienawidził nerwowości spraw i tak dawno utraconych.

Ryszard R. zamyślił się głęboko, tak naturalnie i bezpiecznie, bez uczuć i doznań, tak po prostu obojętnie w sobie. Zastanawiał się, kiedy stracił kontrolę nad uczuciem? Kiedy pękła cienka nić uczuć, granica łącząca gorącą miłość z nienawiścią? Jak przejrzysta i niewidoczna jest linia, która łączy gorący żar z mroźnym arktycznym chłodem, zabijającym każdą żywą istotę podczas śnieżnej burzy? Przecież kiedyś ta nić była grubym łańcuchem, splecionym żelaznym ogniwnem, który zakończony był wielką kotwicą przywiązania. Teraz ta sama nić stała się cienką pajęczyną, lekko wibrującą w wiosennym skwarze dnia, a kończyła się gęstą siecią zwątpienia, uplecioną przez wiatr bólu.

- Gdzie się wyprowadzisz? Gdzie zamieszkas? – spytał cicho Ryszard R..

- Niech cię ta sprawa nie interesuje, zamieszkam tam, gdzie będę mogła znów wszystko na nowo rozpocząć, poukładać swoje sprawy od nowa, może nie lepiej, ale inaczej, bardziej bezboleśnie – odparła szybko Ania.

To prawda, nie mieli już wspólnych spraw i wspólnych rozmów. Właściwie Ryszard R. sam się sobie dziwił, że zadał jej to pytanie. Tak ogólnie już mu nie zależało na uzyskaniu żadnych odpowiedzi. Prawdę mówiąc to przestali się wzajemnie słuchać od kilku miesięcy, rozmawiali ze sobą, jednak się nie słuchali. Obojętność uczuć przesyciona dawką sztucznej nienawiści.

Ania skończyła się pakować. Smutno spojrzała w oczy Ryszarda R.. Nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Byli sobie tak bardzo obcy, pomimo tylu spędzonych wspólnie lat. Teraz oboje będą pamiętali całe zło

związku, przeżycia i radości nie miały już żadnego znaczenia. Ludzie pamiętają złe rzeczy z dobrych sytuacji, zamiast pamiętać o dobrych wspomnieniach ze złych chwil. Tacy jesteśmy, ból zawsze przesłania nam właściwy kierunek drogi.

Kiedy ich spojrzenia po raz ostatni się zetknęły, Ryszard R. uzmysłowił sobie, iż głębokie oczy Ani, kiedyś tryskające jasną energią, będące odbiciem żywych kolorów świata, nagle stały się zimnym sztyletem, głęboko raniącym wszystko wokół.

- Pomóc ci? – Spytał Ryszard R., tyle dla niej mógł jeszcze zrobić.

- Mówiłam nie! – Ania wzięła dwie torby z dziką zawziętością i wyszła z mieszkania.

„Pewnie taksówka podjechała, kiedyś musiała podjechać, zawsze jest jakieś kiedyś, i dlatego kiedyś musiała się pojawić ta niewłaściwa taksówka życia, ostatni niewłaściwy kurs, błędny transport donikąd – pomyślał Ryszard R.”. Ania po chwili wróciła, wzięła kolejne bagaże i szybko, wręcz pośpiesznie, zniknęła za drzwiami. Też chciała to mieć za sobą. Znowu wróciła, sięgnęła po ostatnią torbę, ostatni bagaż niewłaściwych emocji, spojrzała na obojętne jej teraz mieszkanie, pocałowała go w policzek i z płaczem wybiegła na klatkę.

Ryszard R. usiadł w zadumie na pustym tapczanie. Cichy płacz pustki przenikał ściany. Został sam ze swoim smutkiem i samotnością. Rozstania bołą, tak bardzo ranią naszą duszę. Czynią nicość z naszego niedoskonałego życia. Zabijają wiarę, że świat ma jakiś sens i znaczenie.

Ryszard R. wiedział, że będzie musiał przyzwyczaić się do ciągłego przebywania sam na sam ze sobą. Będzie musiał na nowo pokochać samotność jak jedynego przyjaciela. I będzie musiał pokonać strach przed zamykaniem się w swoim bólu, a wszystko po to, żeby na nowo uwierzyć w kolejną miłość swojego życia.

Ryszard R. miał szczęście, spotkał właściwą osobę na krótki moment swojego życia. Zatracił się w tym związku bez pamięci i poczuł, co to znaczy naprawdę kogoś pokochać. Niektórzy przez całe życie nie potrafią nikogo do końca pokochać, w drugim człowieku odnaleźć własne odbicie, a jemu się to udało. Sięgnął bram raju, a potem został tak brutalnie z niego wyrzucony. Stał się intruzem, któremu już nic się nie należało.

Ryszard R. podszedł do okna, spojrzał na niebo, na cichy i milczący blask światła. Na razie słońce przeniknięte było matowymi pasemkami smutku, jednak Ryszard R. miał nadzieję, cichą, choć zdruzgotaną wiarę, że nie będzie tak zawsze, tak boleśnie do końca. Wierzył, że kiedyś być może, słońce znowu będzie oznaczało szaloną radość życia, a patrząc na księżyc i gwiazdy, będzie widział jasne punkty świata, a nie zabójczy

mrok nocy. To wszystko będzie kiedyś, na razie musi spróbować jakoś iść do przodu, mozolnie wstawać do pracy każdego dnia, każdego poranka, i nie myśleć, za dużo nie myśleć.

Myśli, szczególnie te złe, są jak narkotyk, wciągają w swą zabójczą grę, uzależniając czyniąc straty i spustoszenie, wojnę gorszą niż największy sztorm na morzu.

Ryszard R. wiedział, bo czuł to w każdym oddechu serca, w każdym drganiu rozumu, że będzie musiał nauczyć się na nowo nie myśleć i tak jak małe dziecko będzie musiał nauczyć się na nowo chodzić. Później jego kroki staną się pewniejsze, lecz będzie to zdecydowanie później. O wiele, wiele później... Czas, niczym zgaszona żarówka, będzie cierpliwie na niego czekał – aż do skutku, aż do bólu, aż do zatracenia.

Przykro tracić rzeczy, które nadawały sens naszemu życiu, a jeszcze trudniej tracić rzeczy, które kiedyś wydawały się nieutralne.

I nagle Ryszard R. się obudził, tak nagle i natychmiastowo. Było to tak bolesne, sen tak przeraźliwy i chłodno realny. Taki prawdziwy, niby obcy, ale tak rzeczywisty. Czuł się tak, jakby to było jego życie, tak w istocie się wydarzyło i tak to wszystko się potoczyło. Było złe, trwało złe, i złe się całość poszarpanej układanki życia ułożyła. Ktoś złe poukładał niedoskonałe puzzle losu. Ryszard R. chwilę balansował na granicy dwóch światów, zawieszał się pomiędzy kolejnymi myślami, chciał uciec od snu, zostawić go za sobą, za swoimi plecami, i wziąć w garść nowe lepsze życie, to realne, to prawdziwe, to być może bolesne, ale jego, takie namacalne w swojej rzeczywistości, takie wątpliwe czasami, ale jego życie, nadające sens jego myśleniu, dające wiarę, że można wszystko zmienić, odmienić złe zakręty losu, bo on jest samemu żaglem, i żaden obcy wiatr nie może pchać go chaotycznie, bez jego wiedzy, do przodu. I tak balansował, lawirował bez celu, przez krótki moment był obcym intruzem pomiędzy dwoma światami. Nie był ani tu, ani tam. Był niczym szpieg zaczajony na granicy dwóch dróg.

Pozbierał się szybko. Wstał z łóżka, otarł spoconymi rękami, a w zasadzie dłońmi oczy i podszedł do okna. Dzień dopiero się budził. Góry, lekko uśpione wiatrem halnym, jeszcze stygły w ciemnościach szarego poranka. Były spokojne, wyciszone czasem i wczorajszą burzą. W górach wszystko wygląda inaczej, problemy są tak odległe i banalne, nasze czyny z tamtego życia nie są czynami tutejszego życia, coś, co miało znaczenie tam nie ma znaczenia tutaj, w górach sami poznajemy siebie na nowo, odkrywamy lepszą stronę naszej duszy, a czasami góry są ucieczką, kiedy jest już tak naprawdę złe, kiedy nie mamy już sił iść do przodu, bo

życie tak konsekwentnie wbija nam nóż w plecy, i właśnie wtedy jest to ucieczka kontrolowana, pozwalająca zebrać myśli, dająca nadzieję na przyszłość.

Ryszard R. miał kilka takich ucieczek w góry. Niektóre były bolesne bardziej, inne mniej. Góry zawsze mu pomagały, zbierał w nich poszarpane wiatrem, wąpiące słabości losu. I tak też było teraz, kolejna wyprawa dawała mu szansę na przyszłość.

Ryszard R. odwrócił się od okna, spojrzał na łóżko. Ania jeszcze spała, jej spokojny, cichy oddech, koił jego oczy. Kołdra miarowo kołysała się pod jej uśpionym ciałem.

Kochał ją, to już wiedział, tego się dowiedział, kiedy było między nimi źle, tak bardzo źle i boleśnie. Kiedy tak konsekwentnie ranili się nawzajem. Kiedy wzajemne ciosy zabijały ich razem. Zadając je sobie, ranili nieświadomie siebie samych. Ich bolesne rany porozrzucane zostały po ich dużym mieszkaniu. Teraz już gniły, ale kiedyś kwitły niczym łąka na wiosnę, kiedy wszystko budzi się do życia po zimnej i mroźnej zimie.

Mieli od siebie odejść, a jednak ze sobą zostali. Gdy ona już odeszła, gdy zakopał ją na cmentarzu wspólnych myśli, kiedy zaczął na nowo budować swoje pogruchotane życie, kiedy zaczął wychodzić na prostą, choć wiedział jak bardzo go ta prosta boli bez niej, wtedy przypadkiem się spotkali, na pustej drodze, w ich wspólnym parku.

W tym parku kiedyś się kochali, tutaj ją pierwszy raz pocałował, tu zdobył jej ciało podczas pełni księżyca, tam czuł się kiedyś dobrze, ona chyba też, to był ich ogród miłości, a teraz nagle okazał się ogrodem ich wspomnień.

I teraz, kiedy ją spotkał, zauważył znienacka, jak zanurzona w myślach krążyła bez ładu i celu po pustych jeszcze alejkach, zorientował się, że oboje tkwią w świecie wspomnień. Tutaj czuli się kiedyś idealnie, tak doskonale rozumieli wtedy życie i zasady, którymi ono się otacza.

Często jest tak, że gdy coś tracimy, ktoś bez pardonu zabiera nam dobro z rąk, to później tkwimy w przeszłości, kapiemy się w źródłach zapomnienia, nie mamy już siły iść do góry, dół nas o wiele bardziej pociąga, i tak tkwimy we wspomnieniach wspomnień, wiedząc, iż te wspomnienia nagle stają się naszym realnym życiem, a realne życie to czas tylko zastygłych już dawno wspomnień. Nie jest to dobre, ale tak już po prostu jest. Wspomnienia to dobro, jeśli właściwie wykorzystamy teraźniejszość.

Gdy podszedł do niej, tak z boku i niezauważalnie, gdy spojrzał w jej oczy, gdy pomyślał o tych sześciu miesiącach życia bez niej, gdy jego życie trwało w martwym punkcie, jego okręt stał pomiędzy skałami

zamiast płynąć na pełne morze, zorientował się, że ją wciąż kocha. Kocha ją, choć tak bardzo nienawidził jej niektórych cech. Zrozumiał, że można kochać kogoś, nie cierpiąc go czasami.

Zaczęli rozmawiać, spokojnie, w końcu bez kłótni. Przechadzali się po wspólnych ścieżkach. Potem znów się spotkali, po tygodniu, znów w parku. Oboje poczuli, że wspomnienia ich ocalały, gdy będą się w nich konsekwentnie zanurzać. I ponowne spotkanie, i kilka kolejnych. Odzyskiwali się na nowo. Potem wspólna noc, taka namiętna i czuła. Oboje pragnęli ciepła, gdyż pustka wysuszyła ich serca do końca. Dlatego tak idealnie potrafili się zatracić i odnaleźć w nocy.

Następnie kilka nocy u niej, potem u niego. I kiedy znów zakochali się w sobie na nowo, ona zmieniła się trochę, on też dla niej poczynił pewne ustępstwa, ona zrezygnowała z czegoś dla niego, on zrezygnował z czegoś dla niej, odrzucili swoje złe wady dla potrzeb miłości, i właśnie wtedy, w tym dokładnie momencie, ona zachorowała. Nie dawano jej szans, raczej znikome i krótkotrwałe.

I on wtedy z nią był, w jej biedzie, w jej strachu, w jej płaczu po nocach. Był w każdej chwili jej słabości. Wspierał, pomagał, nie chciał jej stracić właśnie wtedy, kiedy ją na nowo odzyskał. I tak walczyli razem, o godność, o miłość, o przyszłość.

Pokonali chorobę, pokonali ją razem. Wtedy kochali się jak nigdy, podczas radosnej nocy, kiedy lekarz rano powiedział, że jest już po wszystkim. Wygrali. Pokonali wroga. Zrobili to razem. Ich miłość ocalała. Chronili ją dużym ogniskiem w nocy, gdy śmierć krążyła wokół obozu, pośród mrocznych drzew, w lekkim półmroku nienawiści świata.

Dziwne było to, że teraz jeszcze bardziej się kochali, bardziej niż przed jej chorobą, bardziej niż przed ich rozstaniem.

Choroba ich połączyła, mrok rychłego odejścia, noce naznaczone płaczem, wspólna walka o życie i miłość, to wszystko jeszcze mocniej ich zbliżyło do siebie. Byli sobie nawzajem potrzebni, tego się nauczyli podczas walki o życie.

Nie zawsze jest tak, że gdy coś tracimy to coś zyskujemy, czasami jest tak, że zyskując coś, nagle coś tracimy.

Oni najpierw coś stracili, później odzyskali, znów musieli powalczyć o stratę odzyskaną, i dopiero teraz wygrali, choć zwycięstwo okupione było strachem i bólem.

Ryszard R. popatrzył na Anię. Jeszcze spała, zawsze długo spała. To go kiedyś denerwowało, teraz już nie. Zmienił się dla niej, ona też zmieniła się dla niego. Nie warto się szarpać, zwracać uwagę na błahostki; życie to my, ta druga osoba, a nie małe detale, które krępują nasze czyny.

On dla niej zrezygnował ze złej pracy, zbyt długiej. Ona dla niego rzuciła zły kontakt z matką; to właśnie matka, zaborcza i uparta, mąciła jej w głowie. Zrezygnowali ze złych przywar, ze złych nawyków, a te, które były niezmiennalne, zaakceptowali nawzajem, jako rzeczy oczywiste. Ugięli się, zmienili, bo chcieli dać sobie szansę na nowo. Odzyskać ponownie resztki uczuć.

Życie to rezygnacja z rzeczy, z których nie chcemy nigdy rezygnować. Jeżeli czynimy to dla miłości, to idealnie, jeśli dla innych, to duży błąd, nieodwracalny. Jeśli uginamy się dla świata, to później świat wypomni nam to z dzikim okrucieństwem. Rezygnacja ma tylko wtedy sens, kiedy wiemy, że kompromis zakwitł w sercu innej osoby. Gdy uginamy się dla świata, to zły los zawsze zniszczy zaczątki dobra w naszej przyszłości. Uginanie ma wtedy sens, gdy uginany zrozumie bezsens uginania się dla innych.

Ryszard R. znów spojrzał za okno. Dzień się rozbudził całkowicie. Chmury, czarne chmury lekko zaczepiły się o przysadziste szczyty gór. Zawiesiły się w czasie i przestrzeni. Wiatr lekko się uspokoił, już tak nie świstał i przeraźliwie gwizdał. Zapowiadał się szary i smutny dzień.

Jednak Ryszard R. nie był smutny. Przestraszył się snu, złego snu. Był on taki rzeczywisty i prawdziwy. Ale to tylko zły sen, zmęczony wcześniejszą walką zły sen.

Jego życie było tu i teraz. Tkwiło w tym pokoju. Jego sen spał właśnie w łóżku. Pogoda była senna i smutna, ale jego życie było inne. Już teraz inne.

Była ona, był on, były góry. Pogoda cóż, była jaka była, zawsze jest jakaś pogoda. To nie ona kreuje rzeczywistość, to my kreujemy ją sami.

Ryszard R. czuł się szczęśliwy, w końcu, po tylu latach, był całkowicie zaspokojony.

Gdy Ania wstanie, coś zjedzą i pójdą w góry. Cóż deszcz, cóż wiatr, cóż chmury, po prostu pójdą w góry. Tak przed siebie, tak bez celu. Po prostu razem, na dobre i złe. Wygrali, w końcu wygrali, teraz już zawsze będą razem.

Musimy walczyć o rzeczy neutracalne, gdyż walka, jej bunt i odwaga, naznaczają nas w przyszłości swoim blaskiem siły. Bez walki nie ma miłości, a bez miłości nie ma niczego.

Ryszard R. otworzył okno. Zimny wiatr wcisnął się ostro do pokoju. Lekki chłód opanował pomieszczenie. Ryszard R. wślizgnął się szybko do łóżka, okrył kołdrą i zamknął oczy. Sen nieświadomie ukoił go do porannej drzemki.

RYSIEK

Spotkałem kiedyś człowieka, którego spojrzenie naznaczone było łąką radości życia. Pierwszy raz ujrzałem go tuż koło mego bloku, miejsca gdzie ciągle żyłem, gdzie ciągle egzystowałem na pograniczu snu i jawy, i miejsca, gdzie zło miało zawsze inny, bardziej namacalny wymiar. Mieszkalem tutaj od zawsze, czyli od nikąd, znałem każdy krzak, każdą zbutwiałą ławkę i każdego starca, który cierpliwie, wręcz nienagannie i sumiennie, spacerując wzdłuż betonowych chodników, z dumą, ale i zarazem z rezygnacją, czekał na swoją ostatnią drogę.

Ów człowiek, a raczej jeszcze młodzieniec, który kończy młodość a jeszcze nie zaczął dobrze wczesnego okresu średniego, szedł powoli, jakby ociężale, lecz biła z niego jakaś niewidzialna siła, moc czynienia czegoś, co dawało mu poczucie, że jest kimś wyjątkowym. Każdy z nas powinien czuć się tak zawsze, albo przynajmniej momentami. Jednak wolimy czuć się niedocenieni, stłamszeni i poniżeni, skarceni przez los, skrajnie niedowartościowani, nie próbujemy odnaleźć w sobie coś wyjątkowego, co spowoduje, że znów pokochamy siebie na nowo. Staniemy znowu w blasku świecy, za kotarą naszych marzeń i doznań.

Miał około trzydziestki, czarne kruczkie włosy, raczej krótkie niż długie, spojrzenie pełne zadumy i szacunku wobec otaczającego go świata. Sprawiał wrażenie człowieka mocnego, silnego jak stal miecza, pomimo tego, że był raczej średniej budowy ciała.

Trafiłem na niego wtedy po raz pierwszy, co później miało się zmienić, właśnie wtedy, kiedy podchodził do zaniedbanego bieda starca, człowieka, który rozpacz traktował jak tlen dnia powszedniego. Odkąd pamiętam, ta starsza osoba, zniszczona życiem i losem, który okazał się tak bardzo niełaskawy, stojąca na pograniczu snu i jawy, na pograniczu sensu w bezsensie obojętności świata, zawsze siedziała przy pętli autobusowej, tuż koło zmatowiałego przystanka, i codziennie prosiła kogoś o jakiegokolwiek wsparcie, najlepiej finansowe.

Kiedyś ludzie, ci bardziej życzliwi, lub ci, którzy chcieli uciec od porażki, poprzez kilka miedziaków, rzuconych niedbale w pośpiechu na ziemię, wrzucali mu jakieś drobne. Teraz, kiedy przyzwyczaili się do jego obecności, do jego skrzywionego cienia na słońcu, tak jak przyzwyczajamy się do posiadania telewizora czy radia, nie wrzucali mu dużo, i czynili to w pustych gestach zapomnienia, aby zapomnieć o całej niezręcznej dla nich sytuacji. Pomyślałem sobie, patrząc na tego biednego człowieka, skażonego ostrą linią przegranego już życia, że powinien

zmienić miejsce, zakotwiczyć swój okręt w bardziej przychylnym porcie, gdyż i tak mało dostawał do starego, zmiętego jak i on, czarnego, zjedzonego przez mole kapelusza. Gdy dostajesz mało, mało oczekujesz, gdy nie robisz nic, oczekiwanie na coś, co i tak nie zmieni ci losu, jest bezsensu w sensie, jest sensem w bezsensie ograniczeń naszej wiary w lepsze jutro.

Rysiek, bo tak miał na imię ten młody człowiek, o czym później miałem się dowiedzieć, spokojnie podszedł do tego siwego starca, i z pewną dozą dostojęstwa, lekkiej nonszalancji, lecz absolutnie nie obraży, wrzucił mu jakieś pieniądze.

Starzec lekliwie na niego spojrzął, zawstydzony swoją przegraną samotnością, podpartą krępującym ubóstwem i uśmiechnął się do Ryśka. Było coś wyjątkowego w tej sytuacji, przecież on nigdy się nie uśmiechał. Pomyślałem, tępo się zastanowiłem, że los go tak przeraźliwie zniszczył, iż każdy jego uśmiech był grzechem, skazą w przestrzeni czasu. A jednak on się uśmiechnął, a ja byłem tak zaskoczony, że nagle stanąłem niczym zepsuta zabawka, w której nagle baterie się wyczerpały, i pomimo braku czasu patrzyłem, wciąż patrzyłem, oniemiały tą dziwną w samej sobie sytuacją.

Rysiek też na niego spojrzął, lecz nie było w tej wymianie spojrzeń pogardy, ani pychy, że tak słabo radzimy sobie z losem, lecz była wiara w drugiego człowieka, że jeszcze kiedyś coś się zmieni i życie rozda zdecydowanie lepszą talię kart. Nie idealną, ale lepszą. Bardziej cierpliwą w swej doskonałości.

Starzec długo patrzył za odchodzącym Ryśkiem, a twarz jego była dumna i rozświetlona mglistym blaskiem, była niczym luna światła na niebie, w czasie sennej pełni księżyca. Na te kilka sekund łaski losu, na te mgnienie wiary w jego spojrzeniu, ów człowiek uwierzył w coś, co i tak prawdopodobnie było nieosiągalne, poczuł, skrajnie sobie uzmysłowił, tak dawno zapomniane uczucie zwycięstwa, coś, co kiedyś tak bezpowrotnie utracił. Rzeczy raz utracone rzadko wracają do nas po pewnym czasie. Jeśli jednak komuś to się uda, nigdy nie wracają do stanu poprzedniego.

Wtedy widziałem Ryśka po raz pierwszy, oczywiście nie wiedziałem, iż ma na imię Rysiek. Nie przypuszczałem, że kiedyś go jeszcze spotkam. Jednak przeznaczenie ma wiele znaczeń, często sennych i utopijnych, posiada w sobie dużo dziwnych, wręcz narkotycznych rozwiązań. My musimy się do nich ustosunkować, jakoś dopasować, tak jak dopasowuje się puzzle, pomimo braku na nie czasu i chęci, że uda nam się je jakoś ułożyć. I wtedy już wiadomo, że zwycięstwo to także porażka, a porażka też może być jakimś zwycięstwem.

Miesiąc później, szef w firmie, w której aktualnie pracowałem, zawołał mnie niespodziewanie do gabinetu. Byłem zaskoczony, raczej rzadko tam bywałem. Nie byłem ani złym pracownikiem, ani też dobrym, i może dlatego dosyć rzadko przebywałem z nim sam na sam.

Zapukałem i spokojnie wszedłem na odgłos z wewnątrz: „Proszę wejść”.

Szef siedział w obszernym, całym ze skóry fotelu, na wprost rozłożystego stołu, a tuż obok siedział on, człowiek naznaczony łąką radości życia.

- Poznajcie się, Tomek to jest Rysiek. Będziecie razem pracować – stwierdził lakonicznie szef.

- Rozumiem, że mam go wprowadzić w realia pracy na magazynie? – Spytałem trochę zakłopotanym głosem.

- Za to cię lubię Tomku, potrafisz zawsze dobrze ocenić sytuację i świetnie to wyrazić słowami – uśmiechnął się właściciel firmy. – O to mi właśnie dokładnie chodzi. – Szef odwrócił się w kierunku telefonu, który nagle zadzwonił przeraźliwie, wręcz piskliwie jak młode pisklę w gnieździe na drzewie, i zanim go odebrał, sucho, prawie bez żadnych emocji, dodał na odchodnym: – No to do pracy.

Obaj wyszliśmy z gabinetu. Staliśmy skrzepowani obcością tej nagłej, dziwnej dla nas sytuacji, lecz po chwili pierwszy się otrząsałem.

- Chodź pokażę ci wszystko.

Przez pierwszy miesiąc cierpliwie uczyłem go pracy na magazynie. Mało co mówił o sobie, a ja też nie nalegałem, aby w jakiś sposób mi się niepotrzebnie zwierzał. On był sobą w zamkniętym swoim świecie, a ja byłem sobą w świecie, który łączył go z pozostałą częścią ludzi pracujących w firmie. Dwa światy nieświadomie się przenikające.

Był pojętny, może nawet bystry, trochę jak szachista, potrafił przewidzieć kilka moich posunięć do przodu, co na pewno było domeną dobrych szachistów, lecz on raczej był szachistą życia, a nie graczem z zawodu czy pasji.

Koledzy, gdy zbliżał się koniec miesiąca, zgodnie z tradycją ludzi pracy, lubiących pić za darmo, gdy jest ku temu okazja, zaczęli mnie naciskać, abym wymusił na nim postawienie alkoholu, w zamian za późniejszą aprobatę reszty załogi. Taka tradycja, postawisz jesteś swój, zbuntujesz się, zawsze już będziesz wrogiem. Wszyscy stawiają, nikt nie chce mieć nieprzyjaciół na początku drogi. Kompromis w zamian za zakup obcych dusz.

I stało się, tuż po wypłacie, gdy słońce niespokojne drgało na piedestale nieba, poszliśmy na picie. Było to ostre, szarpiące ducha i ciało picie,

klasyczne upodlenie po wypłacie, podczas którego wiele się dzieje i raczej mało co pamięta, kolejnego dnia. Zawsze jest idealnie, kolejnego dnia każdy próbuje sobie coś przypomnieć, i z tych szczątków informacji, załączków skrajnej wiedzy, powstaje czarno-biały, do tego niemy, wczorajszy niedokończony film. Takie rzeczy łączą załogę, spajają żeliwnym ogniwem poszarpanych wspomnień obce sobie dusze; dzieje się to pomimo kaca, pomimo bólu, i pomimo braku jednoznacznych wspomnień, których i tak nie chcielibyśmy do końca rozpamiętywać.

Tam, podczas środka imprezy, Rysiek bardziej się otworzył. Spowodował to alkohol, który świszczał w naszych rozedrganych ciałach, był jak stepowy wiatr, szumiący tuż przed samą burzą.

Dowiedziałem się wtedy, że pochodzi z domu dziecka, że później musiał go opuścić i pójść swoją własną, krętą drogą. Drogą samotną, iglastą, bez żadnego wsparcia, i pełną cierni pochowanych na poboczach ścieżek. Zmuszony był wynajmować mieszkanie, choć go nie było tak naprawdę na nie stać i musiał żyć z dnia na dzień. Jak powiedział, to był trudny okres, raczej zły w jego życiu. Balansował na pograniczu głodu i udręki, lawirował pomiędzy być a istnieć, i wciąż próbował nie tracić nadziei, jedynej rzeczy oprócz dumy, która go jeszcze trzymała jakoś na powierzchni. Była niczym woda na pustyni, niezbędna i konieczna, żeby iść do przodu, przez kolejną Saharę życia. Każdy ma taką Saharę, dużą pustynię beznadziei, od nas zależy czy uda nam się ją pokonać, czy to ona pokona nas. Woda za cenę schowanej w piasku wolności.

- Nie wiesz, co to znaczy iść samemu przez życie, bez wparcia, bez pomocy i bez przyjaciół – mówił pijanym głosem Rysiek. – Tak wiele trzeba mieć siły i wiary, że kiedyś będzie inaczej. – Rysiek zawiesił głos na moment. – I udało się, los mi trochę pomógł. Dostałem mieszkanie w spadku po babci. Teraz już mam gdzie mieszkać. Jest łatwiej, dużo łatwiej.

- To dobrze – dodałem głosem tak upiornie pijanym. – To bardzo dobrze.

- Mam swój ład na ziemi, skąd nikt mnie nigdy nie wyrzuci. Sam ustanawiam sobie prawa i sam je zmieniam. Inaczej niż w domu dziecka, gdzie samotność miesza się z wszechobecną pustką, a rygor zarażony jest dziką dyscypliną.

- Musiało być ci tam ciężko? – Spytałem pijąc kolejny kieliszek wódki.

- Było..., ale to działo się tak dawno. Tak dawno temu... Nie chcę do tego teraz wracać – łyż zaiskrzyły w oczach Ryśka. – Nikt nie zrozumie głodnego, jeśli sam nigdy nie głodował. Podobnie jest z domem dziecka, nie byłeś tam, nic nie wiesz, nie jesteś sobie tego w stanie wyobrazić.

- Wiem, nie mów, jeśli nie chcesz. Napijmy się za spotkanie – wzniosłem toast, a pozostali, zajęci ważnymi rozmowami, podnieśli kieliszki do góry. – Za spotkanie! - Krzyknęli wszyscy razem.

I tyle pamiętam z tej imprezy. Reszta była mgłą, przesiąkniętą wielką zasłoną zapomnienia. Kotara w teatrze się zamknęła, a ja obudziłem się w swoim łóżku, z wielką pustką i z jeszcze większym kacem.

Podczas kolejnych dni, a później miesięcy, odrobinę się zaprzyjaźniliśmy, na swój własny, trochę inny sposób. On wciąż był bardzo milczący, zapewne to przeszłość go tak ukształtowała, czas wycisnął na nim swoje drastyczne piętno. Natomiast ja szanowałem jego zadumę i moc milczenia. Były też momenty, że rozmawialiśmy, i wtedy zaczynałem rozumieć jego dziwny, może czasami niezrozumiały świat.

Okazało się, że Rysiek mieszka osiedle dalej od mojego bloku i zapewne dlatego, go po raz pierwszy wtedy ujrzałem. Później zdarzało się, że razem wracaliśmy do domu. I wówczas przekonałem się, że on pomimo słabych zarobków, ani dobrych ani złych, raczej szaro przeciętnych, wciąż pomagał innym. Kiedy zobaczył bezdomnych proszących o wsparcie, chociaż wyglądali jakby pili całe życie, jak tylko zauważył cygankę z głośno i przeraźliwie płaczącym dzieckiem, choć wiadomo, że przeważnie nie chce im się w ogóle pracować, jakby praca była skazą, trądem, z którego nigdy się później nie wyleczą, zawsze do nich podchodził i coś im wrzucał.

Nie robił tego z pogardą, jego spojrzenie nie było przesyczone wyższością, a wręcz udawało mu się tchnąć nadzieję w tych biednych i samotnych ludzi. Oni, pomimo wzgardzonego losem życia, uśmiechali się do niego. Czuli, że ten człowiek, z wyglądu szary jak mglista rzeczywistość, doskonale ich rozumie, a błysk w jego oczach przesycony był współczuciem nadziei, dawał im tyle energii, że nieświadomie się do niego uśmiechali. Na moment wspinali się na górę zwycięstwa, aby później, po jego odejściu, spaść w przepaść niemożności. Jednak ten moment, ta chwila, powodowała, że przez te kilka sekund czuli się normalni, byli tacy jak wszyscy, a jednak trochę inni.

Taki właśnie był Rysiek. Inny w swojej poświęceniu nadziei. Pewnego dnia odważyłem się go spytać, czemu to robi, nie zarabia przecież aż tak wiele. Odparł szczerze, jego oczy to znacząco potwierdziły:

- Nigdy nie miałem dużo, wręcz często bywało, że nie miałem za co żyć i tak naprawdę nigdy nie będę miał wiele. Co to zmieni w moim życiu, gdy dam im tymi pieniędzmi trochę nadziei i wiary? Ja i tak się nie dorobię wielkich bogactw. Mam niewiele, a oni nie mają nic – rzekł nostalgicznie Rysiek. – Dzieli nas słowo niewiele, które dla nich jest jak

głęboki ocean, przeraźliwie stłamszony wyjąłymi wiatrami i niepokornymi falami, które w swojej sile i majestacie niszczą wszystko dookoła.

- Skąd wiesz, że ci ludzie cię nie oszukują? – Zadałem dość kłopotliwe dla niego pytanie. – Może nie chce im się pracować?

- Z pewnością masz dużo racji – Rysiek na moment się zamyślił. – Jednak niech na dziesięć osób będzie ta jedna, która faktycznie potrzebuje pomocy. I co wtedy, czy można ją pozbawić nadziei, wiary w ludzi?

- Niby tak – trochę mnie przekonał.

- Kiedyś tą osobą możesz być ty. Życie to jest jedna cienka linka, która trzyma nas nad przepaścią. Kiedy pięknie, lub naciągnie się niebezpiecznie na dół, wszystko się zmienia. Kolorowy świat staje się nagle czarno biały, a słońce zamiast grzać, nagle zaczyna nas parzyć. Noc staje się mrokiem, wyciem wilka w naszej duszy.

- Mam nadzieję, że nigdy tak się nie zdarzy – stwierdziłem dość smutnym tonem.

- Jeśli zrobisz wszystko co w twojej mocy, aby tak nie było, to na pewno to się nie zdarzy.

To była rozmowa, która dość głęboko zapadła mi w pamięci. Wciąż pracowaliśmy razem i myślę, że nawzajem się w pewien sposób szanowaliśmy. Ja nie wnikałem w jego życie, nie lustrowałem go na wskroś, jak to robi większość ludzi, a on nie analizował moich poczynań. Rysiek stosunki w pracy miał dość przyzwoite, nawet monumentalnie pewne, aż do momentu, kiedy wydało się, że często pomaga innym.

Podczas kolejnego wspólnego picia, choć Rysiek ich raczej unikał i chodził na nie tylko czasami, lubił się napić, ale nie do przesady, padło słowo frajer. Gdy padło to słowo po raz pierwszy, Rysiek tylko popatrzył na Roberta i nic nie powiedział, zresztą, co było do powiedzenia, kiedy wszystko zostało powiedziane i każdy był dość wypity.

Mijały kolejne dni a wciąż pojawiały się w pracy następne uśmiechy pożałowania. Ludzie lubią mieć ofiarę, kogoś, kto uzmysłowi im jak bardzo są lepsi od innych. Chcą być sędziami, katami i wykonawcami swoich wyroków. Lubią spuszczać gilotynę na dół, pośród niespełnionych uczuć i skarg, na szyję obcej im ofiary. Wybrali Ryśka, choć tak bardzo starał się być wobec nich w porządku.

Nadeszły takie czasy, iż zabrnęliśmy w taki labirynt obojętności, że dobro nie jest w cenie, jest krzyżem, który należy spalić na stosie zbędnych i niepożądanych emocji. Wszyscy myślą o sobie, a chęć posiadania przesłania chęć dawania. Dawanie to przyszłe odbieranie innym. Wszystkie środki mają prowadzić do kolejnej oazy szczęścia, a ci,

którzy się buntują, robią coś przeciwko, chcą zburzyć masy racjonalizmu, są niczym Chrystus na krzyżu, obdarci ze skarg i żalów.

Rysiek patrzył na to smutno, na początku z pobłażaniem. Potem było tylko jeszcze smutniej i dosadniej, a kiedy okazało się, że nie ma dziewczyny, wszyscy zaczęli sobie z niego jawnie kpić. Łatwo jest oceniać ludzi, choć przyczyny ich poczynań mogą być takie niezwykle. Niezwykłość zawsze przesiąknięta jest jakąś klątwą.

Podczas kolejnego miesiąca pracy zauważyłem, że Rysiek zaczął samotnie przesiadywać z tyłu magazynu. Tam czuł się swobodny i był bardziej wolny, w świecie, gdzie wolności i tak nie ma wcale. Praca przestała mu sprawiać przyjemność; myślę, że dobro zostało zniszczone przez zło zawiści ludzkiej. Zły sen pojawił się na jawie.

Podszedłem do niego i usiadłem obok. Milczeliśmy chwilę, czasami milczenie jest bardziej wyraziste niż mowa. W pewnym momencie Rysiek zaczął mówić, trochę łamanym i pełnym bólu głosem:

- Chyba zrezygnuję z pracy. Mam dość ludzi, potrafią być piekłem na ziemi.

- Jesteś pewny? – Spytałem niepewnie.

- Powiedz, o co im chodzi? – Rysiek spojrzał mi w oczy. – Czy ja im każę robić to, co ja robię?... Nie! Czy chcą żeby byli tacy jak ja?... Nie! Więc, o co im chodzi? – Nagle Rysiek wstał i rzekł:

- Wiesz, dlaczego nie mam dziewczyny?... Miałem kilka, lecz teraz nie mam żadnej. Odeszły, bo chciałem żeby tak było. One wszystkie były takie jak oni. Chcą tylko mieć, ciągle chcą coś posiadać i wciąż na nas wymuszają pewne rzeczy, żeby dążyć do ich celów, tylko do ich kierunków drogi. Ja tego nie chcę, po prostu mi nie zależy, najgorsze zło jest wtedy, jeśli rzeczy przesłaniają cały widok istoty świata. Stają się obrazem, a nie sztuką. Nie mam wiele, jednak potrafię ujrzeć dobro w innym człowieku, i co najważniejsze, umiem patrzeć na świat poprzez jasne kolory. Kiedy widzisz tylko ciemność i brud, nigdy nie będziesz szczęśliwy.

- Chyba nie lubisz zwykłych ludzi? – Stwierdziłem smutno.

- Kiedyś lubiłem wszystkich, teraz bardziej szanuję biednych. Mają w sobie jakąś godność, niewidzialną dumę. Są sobą, nikogo nie udają. Zwykli ludzie widzą w nich śmieci, ja widzę niespełnione marzenia. Normalni ludzie patrzą na nich ze wzgardą, ja sprawiam, że czują się przez moment lepsi. Taki już jestem, raczej nigdy się nie zmienię.

Miesiąc później Rysek się zwolnił. Przed odejściem poszliśmy razem na piwo. Podziękował mi za wszystko, przeprosił, jeśli kiedyś był niemiły w stosunku do mnie. Chyba się polubiliśmy, a może nawet w pewien

sposób zaprzyjaźniliśmy. Przyjaźń ma wiele odmian, czasami może też być milcząca.

Rysiek poszedł szukać kolejnej pracy, następnego miejsca gdzie będzie przez chwilę bezpieczny. Przylądka, gdzie jego okręt zakotwiczy przed sztormem, i z którego będzie zmuszony wypłynąć, gdy wszystko znów się wyda. Był statkiem bez kierunku, statkiem bez dobrego żagla i steru, statkiem, – który zawsze będzie balansował na granicy dwóch światów, tego realnego i tego, gdzie zło ma inny wymiar i znaczenie. Horyzont to mglista ścieżka, do której będzie się starał dopłynąć.

Widocznie jego życie naznaczone jest nieustającą podróżą, docieraniem tam, gdzie innym nigdy nie uda się dotrzeć, i jego podróż zawsze będzie skażona ciągłymi zmianami adresów. Taką ścieżkę wyznaczył mu Bóg, a on tej drodze się tylko podporządkował.

Od siebie mogę powiedzieć, że spotkałem człowieka, który tak bardzo pomagał ludziom i zarazem tak bardzo nienawidził ludzi. Życie każdego z nas nie jest tak oczywiste, jak innym z boku na pozór się wydaje. Jego postawa świadczyła, że wszechświat jest ironią losu, potrafimy kochać i potrafimy równocześnie nienawidzić, wszystko jest w nas. Piekło skażone jest niebem, a niebo czasami skazane jest na piekło. Jesteśmy jak wielka, stara podniszczona komoda, z dużą ilością niedomkniętych szuflad. I tylko od nas zależy, którą w danym momencie wysuniemy. Która okaże się tą właściwą, na właściwy moment życia.

Rysiek pokazał mi, a nawet udowodnił, że można żyć inaczej, i że inność nie jest grzechem ani żadną bezgraniczną skazą. Inność to dar, wyróżniający nas spośród tłumu, a my musimy nauczyć się go jak najlepiej wykorzystywać. Rysiek potrafił to robić, myślę, że on potrafił ten dar doskonale wykorzystać.

SPOTKANIE

Marek Asko był wybitnym dziennikarzem politycznym. Potrafił zaskakiwać, potrafił pisać nietuzinkowo i co najważniejsze potrafił dobić polityka wtedy, kiedy wyczuwał u niego fałsz i kręctwo. Tak było, kiedy przeprowadzał wywiady z politykami. Oni byli ci źli, on był ten dobry – układ polityczny nie miał tutaj żadnego znaczenia.

Później, kiedy odsunęli go dyskretnie na boczną, gdy widocznie był za ostry na takie rozmowy, pisał tylko artykuły polityczne. Były ostre jak brzytwa tuż przed samym goleniem, posiadały w sobie jad węża, który powoli zabijał ofiarę nieświadomą swego losu, i wyjątkowo zjadłe, niczym sfora wilków goniąca wycieńczoną sarnę, przed szybko zapadającym zmierzchem.

Za to go ceniono i zarazem nienawidzono. Posiadał też zabójczy styl pisania, ostry, cięty, cierpki i dlatego szefostwo gazety, a zwłaszcza naczelny redaktor, często musieli się za niego tłumaczyć. Wszędzie są układy, zwłaszcza polityczne, i one obecne były także w ich gazecie. Udziałowcy, współwłaściciele, znajomi znajomych, to wszystko powodowało, że naciski z góry były wszechobecne i coraz częstsze. Chciano zniszczyć jad, który i tak skierowany był w kierunku węża.

Marek Asko prywatnie był człowiekiem cichym, raczej spokojnym, był niczym bezwietrzne morze, przed zachodem uspiętego horyzontu, o głęboko szmaragdowych oczach, nieśmiałym uśmiechu, lekkim spojrzeniu i czarnych włosach, schludnie zaczesanych na prawą stronę. Postury był średniej; czasami chodził lekko zgarbiony, a było to wtedy, kiedy o czymś intensywnie myślał – a zdarzało mu się to dosyć często.

Wtedy, w tamtych dniach, był kimś, lecz było to wtedy, słowo wtedy najbardziej pasuje do tego okresu jego życia. W tym czasie, w tym pędzie życia, nic nie wskazywało, że wszystko może się diametralnie zmienić. Kiedy jest dobrze nikt nie myśli o porażkach, kiedy osiągamy sukcesy, zło jest jak trąd, który został zwalczony bardzo dawno temu.

To był bardzo krótki moment nieuwagi, chwila zagubienia, kiedy zaczął wszystko po trochu tracić. Najpierw rodzinę, żonę i dziecko, później pracę, a teraz przyplątał się ten głupi nałóg, z którego nie miał ochoty ani chęci się wyzwolić.

Zaczęło się od nagonki w gazecie na jego zbyt ostre artykuły. Były ostre to fakt, lecz Marek stwierdził, że nie będzie podlizywać się politykom, którzy, jak uważał, są fałszywi i zakłamani. Nie lubił ich, tak

jak nie lubi się zbyt głośnych sąsiadów, nie szanował ich, tak jak nie szanuje się nieudanego i nietrafionego prezentu, i gardził nimi, tak bardzo gardził nimi, za przekręty, te nieudowodnione i za brak szacunku dla słowa, dla tego, o czym mówili.

Wtedy Marek zaczął popijać, najpierw trochę, później zdecydowanie więcej. Musiał jakoś przetrwać stres, a poranne picie stało się jego codziennym lekarstwem.

Do domu przychodził spięty, czasami zbyt bardzo. Pracował długo i rodzina zawsze na tym cierpiała. Kiedy doszło do tego picie i przesadna nerwowość, żona z dzieckiem wyprowadziły się do matki. Mieszkanie i tak było jego, a ona musiała gdzieś odejść. Nie kochała go zbyt mocno, tak silnie żeby przetrwać ten trudny dla niego okres. „Kobiety przychodzą i odchodzą” – tak wtedy myślał Marek Asko. Później dowiedział się, że to stwierdzenie nie zawsze jest trafne.

Zaczął jeszcze więcej pić, w pracy bywał niesystematycznie; był jak ciągle spóźniony pociąg, który nie ma gdzie nadrobić straconego czasu.

W końcu go wyrzucili, kiedyś musieli to zrobić, szukali pretekstu od pewnego czasu, aby to uczynić, on miał im się tylko podłożyć, a kiedy właścicielem gazety został syn znanego i wpływowego polityka – jego wylot okazał się faktem dokonany.

Na otarcie łez, Marek Asko, w dniu wypowiedzenia, ubrał się elegancko w nowy, czarno-błyszczący garnitur, i poszedł pewnym krokiem do gabinetu właściciela. Zapukał do jego drzwi, dostojnie i stanowczo.

- Proszę – doszedł go głos z pokoju.

Marek wszedł ostro do gabinetu. Syn siedział z dumą, z lekką nonszalancją, w swoim władczym fotelu. Obok stała duża doniczka, z dosyć egzotycznym kwiatem.

- Przyszedłem się pożegnać – Marek uśmiechnął się nad wyraz uprzejmie.

Syn wstał z fotela i podał mu rękę mówiąc:

- Dobrze nam się razem pracowało – mówił jak jego ojciec polityk, uprzejmie i fałszywie, co krew to krew. – Rozumie pan, redukcja etatów.

Marek uściśnął jego dłoń mocno, może zbyt mocno i plunął mu w twarz z pogardą. Ślina zwolna obmyła twarz zdumionego szefa.

- Jesteś świnią, tak jak twój ojciec! Gardzę tobą, jak i twoim ojcem! Kiedy stracisz pieniądze, wtedy pozostanie wokół ciebie tylko bagno, staniesz się śmieciem, ludzie będą przesuwac ciebie na bok, ze wstrętem! Tatusz kiedyś straci stołek i ty też polecisz na dół, zmoro w czystym

garniturze! – Krzyczał bez opamiętania Marek. Nerwy ewidentnie mu puściły.

Syn stał oniemiały i przerażony. Marek śmiał mu się w twarz szyderczo, tak dosłownie z pogardą, potem z dumą zwycięzcy wyszedł z gabinetu. To był jego ostatni tryumf w życiu, ostatnia góra, którą udało mu się zdobyć, ostatni jasny promyk słońca, który rozświetlił jego zmęczoną czasem twarz. Później zaczęły się porażki i powolne trwanie wszystkiego, co miało dla niego jakąkolwiek wartość. Życie jest tak ułożone, że jak coś tracimy nagle, to przy okazji tracimy też inne rzeczy, tak bezpowrotnie, sumienna zasada serii, jak nie idzie, to nie idzie. Jedna strata jest matką drugiej straty.

Minęło pół roku, sześć miesięcy upadku godności ludzkiej. Marek wszędzie był zadłużony i prawie u każdego spalony. Powoli i systematycznie, z żelazną konsekwencją, bezkresnie się staczał, był niczym ogromny i ciężki głaz, który ruchami tektonicznymi, przesuwanymi wzdłuż krawędzi, przemieszczał się na wprost, a za górskim występem rysowała się tylko przepaść.

Dzięki kontaktom z dawnych lat i grupie przyjaciół z innych gazet, którzy go jeszcze nie opuścili, trochę pisał, jakieś zwirotczate artykuły. Nie było ich wiele, lecz musiały starczyć na picie i jedzenie.

Marek zalegał z czynszem, zalegał z życiem, wciąż zalegał z samotnością, a najbardziej bolało go zaleganie z obojętnością ludzi. Uodpornił się już na pogardę wobec samego siebie, uodpornił się na wszechobecny kac, który witał go każdego poranka, nie mógł jednak uodpornić się na dumę duszy, która podpowiadała mu każdego wieczora, że nie można tak ciągle żyć.

Marek Asko każdego ranka szedł do sklepu. Najbliższego sklepu z alkoholem. Wyglądał inaczej niż kiedyś, jego chód był teraz niepewny i chaotyczny, nie było w nim dawnej dumy i odwagi, garbił się jeszcze bardziej niż okoliczni starcy, włosy miał tłuste, przeraźliwie niedomyte brakiem czasu. Jego szmaragdowe oczy dawno straciły dawny blask, stały się ciemną studnią, do której wrzucało się tylko odpadki życia. Nieśmiały uśmiech i promienne spojrzenie zastąpiła rozpacz głęboko samotnego wzroku. Oczy nigdy nie kłamią, a jego mówiły, wręcz krzyczały, niech to się wszystko jakoś skończy. Obojętnie jak, lecz niech nastąpi już koniec.

Każdego poranka kupował coś do picia i szedł do domu, do resztek gruzu rodzinnej sielanki. Często pił w samotności, wtedy czuł się lepiej, na moment lepiej.

Znał wszystkich zatraćców z okolicy, bywało tak, że w chwilach rozpacz, kiedy nie chciał być sam, kiedy samotność stawiała się nożem zbyt mocno wbijanym w serce, pił z nimi, tak też niestety bywało. Jednak nie chciał się do nich przywiązywać, ponieważ wiedział, że jeśli tak uczyni, to będzie z nimi tak stał, koło najbliższego sklepu, aż do końca swojego życia.

Czasami, w chwilach przebłysku nadziei, wynurzała się jasna błyskawica z nieba, która podpowiadała mu, że kiedyś będzie inaczej, że może los w swojej łaskawości rozda lepsze karty. Jednak już po chwili pojawiała się czarna chmura, która szybko zakrywała wszystko swoją ciemną poświatą. I znów wszystko wracało do normy.

Ponieważ jeszcze zdarzało mu się pisać, w końcu miał jakieś zobowiązania, wtedy mniej pił i trochę więcej pracował. Często przytrafiało mu się pisać pod wpływem całkowitego odurzenia alkoholem. Nic wtedy nie pamiętał, nie pamiętał, o czym pisał i w jakim to było kontekście i tonie. Znosił artykuły do redakcji nie wiedząc, co w ogóle napisał, i wracał bardzo powoli do domu, do pustej przystani swojego życia.

Później dowiadywał się, że niektóre artykuły, które napisał w całkowitym upojeniu alkoholowym, były najlepsze spośród wszystkiego, co do tej pory stworzył. Dla niego był to kolejny argument, że musi po prostu pić.

Marek Asko myślał, że bardziej nie można już się upodlić, osiągnąć stan całkowitego upodlenia, zaakceptować wieczną pogardę wobec samego siebie, pomylił się, nie umiał zatrzymać się nawet na dnie.

Posiadał pamiątkę po matce, stary złoty łańcuszek z ogromnym i lekko błyszczącym krzyżem. Jedyna pamiątka po matce, kobiecie, która odeszła tak niespodziewanie i nagle, i osobie, którą tak bardzo kochał i szanował. Była dla niego szczęściem, być może jedynym szczęściem, jakie spotkało go w życiu.

Sprzedał go do lombardu, w dramatycznym momencie, kiedy musiał się czegoś napić. Miał wtedy bardzo zły okres. Zły czas pośrodku złego czasu. Obiecał sobie solennie w duszy, że na pewno go kiedyś wykupi. A gdy wrócił już do domu i spojrzał z niesmakiem w lustro, posiadał w sobie tyle pogardy i wstydu, tak bardzo znienawidził siebie po raz kolejny. Nienawiść twarzy pokrywała się z nienawiścią wzroku.

Nienawidził losu za złą kartę, nienawidził siebie za zaniedbany wygląd i nienawidził swoich oczu, z których biła tak boleśnie przegrana.

Marek w samotności zaliczał kolejne dni. Nie miał celów, nawet takich małych, nie miał marzeń, które zmusiłyby go do zmiany swojego

smutnego losu i nie miał jasnych punktów, do których starałby się dopłynąć pomimo niesprzyjających prądów.

Nie miał nic, nie posiadał nic; był samotną wyspą pośrodku oceanu. Stał się okrętem, który osiadł na mieliźnie i czekał na ogromne fale, które go w końcu zatopią i szybko zniszczą. Chciał być zniszczony i nie patrzeć więcej na swoje upokorzenie.

Pewnego skacowanego poranka, szarego i nijakiego w swej bladeści, kiedy leżał na pomiętym łóżku, kiedy słabość nie pozwalała mu wstać, kiedy rytm serca skakał przeraźliwie – to w dół, to w górę, kiedy puls zanikał na moment, był niczym wiatr, znikał i znów pojawiał się jak burza, kiedy głowa, bolejąca część jego ciała była prawie na cmentarzu, Marek wtedy zrozumiał jedną rzecz, która uświadomiła mu, dlaczego tak łatwo się poddał.

Kiedy dostaniesz pierwszy cios od życia, to następny ból już nie jest tak bolesny i dotkliwy. Marek uzmysłowił sobie, że on po prostu za bardzo przyzwyczaił się do tych ciosów. Potraktował je jak chleb powszedni, i nie zastanawiał się nad tym, że można coś w tej układance zmienić, spróbować po raz kolejny żyć inaczej. Było to bolesne doznanie, ale jakże prawdziwe. Tak łatwo nam przychodzi akceptowanie złych przyzwyczajeń, kiedy jeszcze wszystko można odmienić.

„Muszę wydobyć się z tego dna, z tego dołka niemożności, muszę zatrzymać swoje życie na moment i znów ruszyć przed siebie ze zdwojoną siłą, i muszę wykupić łańcuszek matki z lombardu” – pomyślał gorączkowo Marek.

Wiedział, że teraz ponownie spróbuje, starczy mu sił na ponowny rozruch swego zwiotczalego ciała i rozbieganych w pustej przestrzeni myśli, to na razie dawało mu wiarę w odmianę swojego losu.

Żeby wykupić łańcuszek sprzedał telewizor. Transakcja wiązana, coś za coś. Łańcuszek wrócił na swoje dawne miejsce, do metalowej, lekko posrebrzanej szkatułki i tam miał do końca pozostać. Od tej pory Marek często zaglądał do niego, zakładał go na na szyję niczym możnowładca koronę, był to dla niego symbol władzy i dostojeństwa, później podchodził z nim do lustra.

Patrzył lekko przepitym wzrokiem, spojrzeniem zaczerwienionym od wódki i czuł się lepszy, bardziej ludzki.

To był jego pierwszy krok w kierunku naprawy swojego życia, zmiany czegoś, co wydawało się nieodwracalne.

„Przecież wszystko można zmienić, nie ma rzeczy nieodwołalnych; za wyjątkiem śmierci, która nas zawsze jakoś zaskakuje. Muszę mieć więcej siły i determinacji, więcej walki w oczach i więcej wiary. Nie mogę

skończyć jak ci pod sklepem, których życie zawsze już będzie porażką, a oczy zawsze będą świecić dziką pustką”. – Marek stał przed lustrem i powtarzał to sobie w myślach. – „Każdy dzień jest darem i tylko od nas zależy jak ten dar należy wykorzystać. Poranek jest kolejnym wyzwaniem, a ja muszę temu wyzwaniu podołać”.

Marek Asko codziennie stawiał przed lustrem, każdego zimnego od bólu niepicia wschodu dnia, lekko się chwiało, czasami utykało, i wciąż powtarzał te same zdania, aż do znużenia. Czuł, że to mu trochę pomaga; te zdania były dla niego jak przysięga na wierność ojczyźnie, tuż przed samą bitwą, na której polach prawdopodobnie poległ.

Następnym posunięciem było znalezienie sobie normalnej pracy, gdyż z dziennikarstwa, z pojedynczych artykułów, nie był w stanie spłacić swoich długów, a tym bardziej utrzymać się na trawie egzystencji.

Zaczął sprzątać parki, zatrudnił się w ekipie utrzymującej czystość zieleni całego miasta. Wstydził się nowej pracy, wstydził się ludzi, którzy go obserwowali, ale bardziej wstydził się dawnego życia, mocno nasączonego alkoholem.

„Przecież nie będę tu tkwił do samego końca. To jedynie jest zły okres przejściowy. Życie to schody, strome i kręte, niektóre stopnie są zbutwiałe i podniszczone, a ja znajduję się właśnie na takim stopniu. Następny na pewno będzie solidny i stabilniejszy. Muszę tylko do niego jakoś dojść. Nie zapaść się na niewłaściwym schodku”. – Marek Asko wciąż o tym myślał, zarówno podczas pracy jak i podczas długich powrotów do domu, kiedy szedł pustymi ulicami, skażonymi ciszą zbliżającej się nocy.

Myśli, od których tak bardzo chciał się kiedyś uwolnić, teraz stały się jego wiernym przyjacielem. Nauczył się z nimi rozmawiać, były doradcą dającym mu siłę i wiarę, wspierały go, kiedy przechodził obok sklepów z alkoholem.

Było mu ciężko, faktycznie czuł wtedy ból istnienia, a ciało spragnione wódki tak przeraźliwie go bolało. Jednak Marek nie poddawał się, a w chwilach zwątpienia zakładał łańcuszek matki na szyję i patrzył już bardziej spokojnym wzrokiem w lustro. Czasami wydawało mu się, że widzi matkę, która zza szyby pogodnie się do niego uśmiecha. Po chwili wszystko znikało, rozmazywało się w lekkich oparach powietrza, a Marek Asko znów zostawał w pokoju ze swoim bólem, ze swoją samotnością i z czterema ścianami, które były tak przeraźliwie zimne.

Kiedy dawni przyjaciele dowiedzieli się, że przestał pić i stał się bardziej solidny, zaczął dostawać więcej zleceń. Nikt nie miał odwagi go jeszcze zatrudnić, ale dawne wpływy kolegów spowodowały, że znów zaczął więcej pisać.

Żeby nie stracić ostrości pióra wrócił do poezji, nie tak dawno amatorsko pisał wiersze. To było kiedyś – kiedyś przed małżeństwem, kiedyś przed dzieckiem, które go teraz nie chciało znać i kiedyś przed piciem. Wydawało mu się, że minęły wieki od tego czasu, a było to przecież tak bardzo niedawno. Złe momenty trwają wieczność, dobre są jak mgnienie lata, mijają szybko, bezpowrotnie.

Pisał, wciąż mozolnie pisał, a wraz z kolejnymi wierszami powolnie wracała mu wiara i styl. Był jak rakietka, stalowa i zbyt ciężka, która pomimo dużego ciężaru, powoli wznosiła się ku złocistym gwiazdom.

Po kilku miesiącach udało mu się nie pić, nie pił już wcale. Wódka wciąż była w jego myślach, w jego oczach, ale nie musiał już pić. Był wolny, uwolnił się od nałogu, choć wirus uzależnienia na zawsze został wczepiony w jego głowę.

W pewien jesienny, lekko zamglony poranek, opary mgły, mleczno zabarwione rosą, otuliły okoliczny drzewostan swoim majestatem. Ptaki niewidoczne na drzewach, schowane w kołdrze białej mgły, cicho śpiewały swoją pieśń wyzwolenia.

Ktoś zapukał do drzwi Marka Aski. Leniwie, prawie ze wstrętem, podniósł się z łóżka. Dochodziła dziesiąta rano, trochę przespał poranek, była wolna sobota, nie musiał iść do pracy, tak naprawdę nie miał planów na kolejny dzień.

Wstał i podszedł zniechęcony do drzwi. Zorientował się, że jest prawie nagi. Pozbierał porozrzucane na ziemi, w dziwnym nieładzie ubrania, pośpiesznie się ubrał i otworzył wolno, bez zaciekawienia, stalowe drzwi.

Stała w nich kobieta, piękna, koło trzydziestki, wyglądała jak anioł, a światło z jej oczu rozświetliło całe mieszkanie Marka.

- Słucham – rzekł zaciekawionym głosem Marek. Pewnie pomyliła drzwi, do mnie od dłuższego czasu nikt taki nie przychodzi, pomyślał Marek, wpatrzony w miłą, gustownie ubraną kobietę.

- Pan Marek Asko? Mam na imię Joanna. Chciałam z panem porozmawiać.

- Proszę wejść – Marek wpuścił Joannę do środka. Szybko złożył łóżko, przysunął ławę i poprosił żeby usiadła.

- Pewnie nie wie pan, po co przyszedłam?

- Niestety nie. Ale i tak się cieszę – rzekł szczerze Marek. – Piękna kobieta w taki smutny dzień. U mnie to rzadkość. Ostatnio moje dni zawsze są domieszką smutku, zdecydowanie szare i mgliste, prawie takie jak dzisiejsza pogoda.

- Nie zawsze tak musi być – zaśmiała się Joanna, a jej usta i ogniste oczy stały się świetlistą latarnią w parku, w samym środku nocy, i przesłoniły swoim blaskiem całe pomieszczenie.

- Słucham panią – rzekł Marek. Było w niej tyle ciepła i nadziei.

- Joanna, mam na imię Joanna – podała mu swobodnie rękę. – Proszę tak do mnie mówić.

- Miło mi, Marek. W czym mogę pani, ci służyć – szybko poprawił się Marek.

Znów się zaśmiała. Była dla niego ideałem. Połączenie piękna z poczuciem humoru. Ikona tego, co nigdy tak naprawdę nie potrafił zauważyć u kobiet, które przewinęły się kiedyś w jego życiu.

„Gdybym miał taką kobietę, może wszystko wyglądałoby inaczej. Tacy jak ja nigdy nie zdobywają takich cudów. W życiu ważną sprawą jest trafić na właściwą kobietę, a wtedy każda burza, nawet ta z ognistymi piorunami, wydaje się lekkim wiatrem” – myślał Marek wpatrzony w Joannę.

- Mój ojciec kupił gazetę. Jestem redaktorem naczelnym, zbieram nową ekipę. Chciałbyś z nami pracować? – Joanna dziwnie, wręcz zalotnie na niego patrzyła.

- Nie wiem, dawno nie pisałem na wysokim poziomie – wahał się Marek. – Trochę piszę, ale tak z doskoku. Nawet nie wiem, czy jeszcze potrafię dobrze pisać.

- Zawsze pisałeś na wysokim poziomie – stwierdziła Joanna. – Czytałem twoje felietony. Były dobre albo bardzo dobre. Oni cię stłamsili, niestety wszyscy podlizują się politykom. Zepchnęli cię na bocznice życia, pora to zmienić.

Marek poczuł się jakby dostał czymś ostrym w głowę i obudził się nagle z jakiegoś letargu. Piękna kobieta, skażona tak ostrym słowem, jeszcze bardziej wydawała mu się atrakcyjna.

- Może trochę przesadzałem. Ja po prostu polityków nienawidzę. Za ich notoryczne kłamstwa, za ich fałsz, a najbardziej za to, że dają wiarę ludziom, a potem niczym zabójca, zabijają nas kulą wystrzeloną w tą tłącą się lekko nadzieję.

- Nie przesadzałeś. Oni tacy są, a tylko ty miałeś odwagę im się przeciwstawić. Dlatego cię zwolnili – Joanna podała mu ponownie rękę. – Będziemy razem pracować.

- Nie wiem czy sobie poradzę. Mam trochę zły okres w życiu – wciąż wahał się Marek.

- I pora go przerwać – Joanna patrzyła na niego z pasją i żarem, a może Marek się mylił. – Zapraszam na poranną kawę. Obok jest przytulna kawiarenka. Musimy opić kawą twój angaż.

- Zgoda. Wiesz, że piłem? – Marek sam zaskoczony był swoim wyznaniem, ale czuł, że ona wie o nim więcej, niż sam może się spodziewać.

- Wiem o tobie wszystko. Szanuję cię pomimo twojego upodlenia. – To słowo zabolalo Marka najbardziej, ale faktycznie tak było. – Teraz nie pijesz, podjąłeś walkę. Wiesz, na czym polega wielkość człowieka?

- Nie.

- Że potrafi się podnieść, kiedy nie ma racjonalnych powodów żeby to zrobić.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj mi, podziękuj sobie za odwagę, że w końcu odważyłeś się to uczynić.

- Skąd to wszystko wiesz? – Zaciekawiał się Marek, przygotowując się do wyjścia.

- Jestem dziennikarką, dobrą dziennikarką, wiem wszystko. – Joanna potrafiła uśmiechem zbić wszystkie obawy Marka, co do przyszłej pracy. Powinna pracować w dziale zatrudnień, pomyślał Asko.

- No tak, pewnie niczym cię nie zaskoczę – smutno odparł Marek.

- Mężczyźni ciągle nas czymś zaskakują. Oczywiście interesujący mężczyźni, a ty do nich należysz. – Marek odniósł wrażenie, że Joanna trochę go podrywa. Nie, na pewno nie, to było tylko złe wrażenie, myślał podekscytowany rozmową. – Z pewnością zaskoczysz mnie nie raz w pracy. Ja to wiem. – Joanna wzięła go z naturalnym wdziękiem pod rękę i wyszli na zewnątrz.

Mgła powoli unosiła się do góry. Miasto budziło się z letargu nocy do kolejnego wyzwania. Promienie słońca przeciskały się przez mleczną zasłonę na brudne od kurzu ulice. Pojedyncze promyki, przygaszone śnieżną bielą mgły, głaskały przechodniów swoją radością. Na moment dotknęły twarzy dwóch idących pod ramię osób, Marka i Joanny.

Joanna wciąż coś do niego mówiła, a Marek dziękując za łaskawość losu, który go dzisiaj spotkał, słuchał jej jak jakiejś arii, pięknej, wzruszającej i powodującej łzy w kącikach oczu.

„Może wszystko jeszcze będzie inaczej. Być może jest to w końcu ta dobra karta, na którą tak długo czekałem. Muszę wykorzystać swoją szansę, inna być może nigdy już nie nadejdzie. A może jest to kobieta mojego życia? Zna mnie na wylot i chce mi podać swoją pomocną dłoń. Muszę najpierw sam w siebie uwierzyć, a wtedy na pewno wszystko

będzie inaczej” – Marek myślał chaotycznie, trochę bezwzględnie i naiwnie, wpatrzony w Joannę niczym w obraz.

Przed ich oczami ukazała się mała, przytulna kawiarenka. Marek nie wiedział nic o jej istnieniu, choć wiele razy przechodził koło niej do sklepu po wódkę. Wtedy była przeszkodą w dotarciu do wodopoju śmierci, teraz mogła okazać się portem, z którego mógł wyruszyć w dalszą szczęśliwą podróż. Dziwne, jedna rzecz, a może mieć tyle znaczeń. Była to jakaś samotna wyspa pośród oceanu smutku.

Joanna wciąż się do niego uśmiechała. Odnosił wrażenie, może na wyrost złudne, że go pomimo tylu upodzeń szanowała. Być może było to kolejne złudzenie przepitej tak bardzo kiedyś głowy.

Szli, rozmawiali i wydawali się z boku szczęśliwi. Kiedy usiedli w kawiarni przy oknie, przy cieplej i gorącej kawie z mlekiem, przechodnie brali ich za parę, zakochanych ludzi w średnim wieku. Wydawali się ogromnie szczęśliwi i tak też oboje się czuli. Szczęście to suma naszych marzeń podzielona przez chęć dzielenia ich z inną osobą.

Marek uwierzył, znów na nowo uwierzył, że spotkał kobietę, w której będzie umiał się po raz kolejny zakochać i zatracić bez pamięci.

Joanna, patrząc na Marka, widziała w nim szczerość i odwagę, trochę podłamaną czasem i zbyt bolesnym życiem. Jednak to dodawało mu jeszcze więcej atrakcyjności. Był sobą, nikogo nie udawał, a wszyscy inni, jej byli mężczyźni, wciąż kogoś grali. Chcieli żeby to ona była inna, albo to ona chciała żeby oni byli inni. I to zawsze ich jakoś gubiło. Przed nim nie musiała udawać kogoś innego. Rozmawiała z nim od pół godziny, a czuła jakby go znała od kilku wieków – prawie całe życie – i odnosiła wrażenie, że z Markiem jest podobnie. Od dłuższego czasu oboje nikogo nie kochali i ich serca, tak dobrze się rozumiejące, spragnione były nowego uczucia.

Prawdziwym darem losu jest to, żeby właściwe osoby spotkały się we właściwym czasie. Aby dwie jasno migające gwiazdy nie mijały się zaślepione blaskiem księżyca.

REZYGNACJA

Deszcz zajadłe atakował, z rwącym impetem, szybę białego dostawczego samochodu. Uderzał płaszczem kropel o szklaną zaporę, malował swoją siłą bezkształtne figury, znikające po chwili za szybkim ruchem wycieraczek.

Padało tak od trzech godzin. Było szaro, zimno i obojętnie mglisto. Andrzej Ryster ze znużeniem przetarł lewą ręką na wpół uśpione oczy, a drugą ręką mocno, niczym alpinista linę, przytrzymał kierownicę. Zmęczenie powoli atakowało go z dziką obojętnością. Chciał dzisiaj dojechać do domu, miejsca gdzie znajdował spokój, wyciszał swoje myśli i gdzie radość mieszała się z płaczem jego dwuletniej córki.

Przed dwoma godzinami dzwonił do żony, mówił jej, że już prawie dojeżdża. Zła pogoda zmieniła wszystko, pokrzyżowała jego dobrze ułożony plan wieczoru. W pierwszej wersji miał końcówkę dnia spędzić z żoną i z dzieckiem; teraz chciał tylko dojechać przed północą do domu. Życie weryfikuje nasze plany, często je zmienia, a i tak w końcu większość z nich nigdy się nie spełnia.

Jechał wolno, coraz wolniej, a przyroda i zła pogoda mozolnie pokonywały go cały czas.

Włączył radio, cicha muzyka dobiegająca jakby zza światów, uczyniła kabinę bardziej przytulną. Mógł być zadowolony, mogło być zdecydowanie gorzej, mógł gdzieś moknąć na przypadkowym przystanku i kłać na złą pogodę, przeklinając swojego pecha. A on jechał suchy, ciepły, w towarzystwie muzyki.

Mijał poszczególne zakręty, niektóre strome i niebezpieczne, pozostałe spokojne i przewidywalne. Trochę przypominały one życie, ścieżkę nieopisanych i nieprzewidywalnych dróg, które w strugach deszczu prowadzą nas w niepewną przyszłość.

Nagle zwolnił, mocno naciskając hamulec; poprzez senne myśli nie zauważył kolejnego pijanego człowieka. Zbliżał się koniec tygodnia, samotni ludzie upijali swoje myśli przed snem.

„Niewiele brakowało” – westchnął w duchu. Andrzej po tym manewrze już wiedział, dotkliwie poczuł, jak bardzo jest znużony i okropnie strudzony. Jednak tak bardzo chciał spędzić, choćby pół nocy z żoną, ogrzać się jej ciepłem, po długiej i bolesnej drodze. Był blisko celu, tak bardzo był blisko celu. Końcówki zawsze są najgorsze, tego nauczył się za kierownicą.

Ryster często słyszał od znajomych kierowców opowieści, wręcz legendarne historie, o wypadkach, które zdarzały się pod koniec drogi, kiedy zwycięstwo zostawało zabijane poprzez pośpiech i zmęczenie. Kiedy rozsądek zostawał pokonany przez urojoną chęć pokonania samego siebie.

Na razie udawało mu się, był moralnym zwycięzcą. Choć miał dwa przypadki, które mogły mu dać wiele do myślenia. Wyszedł z nich zwycięsko, choć mogło być różnie.

Andrzej tłumaczył sobie, że uszedł z życiem dzięki doświadczeniu, pięcioletnim stażu kierowcy. I że stało się to dzięki sile przejechanych kilometrów, dzięki odwadze pokonania tylu zim, i dzięki mocy przeznaczenia, które łączyło się też ze sporym szczęściem.

Pierwszy raz uniknął śmierci na Pomorzu, wczesnym świtem. Stało się to, gdy jechał powoli, gdy był po trzy godzinnej drzemce na parkingu. Mijał kolejny zakręt, przed nim rysowała się długa i spokojna prosta, a po obu krańcach drogi rosły wielkie i masywne drzewa. Wyglądały jak pojedyncze barierki, dokładnie przylegające do jezdni, ustawione dla poprawy bezpieczeństwa na drodze. Miały być ozdobą i ostoją, a dla niego mogły okazać się piekłem wplecionym w zielony krajobraz.

Naprzeciwnie, w oparach lekkiej porannej mgły, pojawił się niczym stłamszony duch, prawie niewidoczny pojazd. Jechał szybko, lecz trzymał się dziwnie środka jezdni. Ryster nie zwrócił na to uwagi, był jeszcze trochę rozespany, zawiódł go instynkt. Gdy byli od siebie dwieście metrów, pojazd zjechał całkiem na jego stronę.

Andrzej zaczął przeraźliwie trąbić, nie potrafił minąć żółtego samochodu z żadnej strony, a po obu brzegach drogi rysował się szary cień masywnych konarów śmierci. Andrzej wciąż naciskał spazmatycznie klakson i jechał bezwolnie na czołowe zderzenie. Zjeżdżając na bok wkładał się w ramiona śmierci, jadąc na wprost stwarzał sobie szansę, cień nadziei, że kierowca w końcu się obudzi i wyjdą razem ze zbliżającego się błyskawicznie piekła.

Ryster coraz bliżej widział śpiącą głowę na kierownicy i czuł, jak blisko jest bram nieba. Wciąż walczył z chęcią skrócenia na bok i poddania się sile uderzenia w drzewa. Wszystko podpowiadało mu skrócić, rozum i instynkt, a nerwy, trzymane na wodzy siłą charakteru, sugerowały, walczyć do końca i dopiero wtedy dowiesz się, co jesteś naprawdę wart. Gdy jesteś u kresu, prawdziwa wartość objawia się w sile przyzwyczajęń.

Po ostatnim zrezygnowanym naciśnięciu klaksonu, kiedy wszystko już było jasne, człowiek drgnął jak ryba złapana w sieć, i skrócił ostro w prawo.

Andrzej uciekł na swoją stronę jezdni, i gdy mijali się na drodze, byli tuż koło siebie z boku, Ryster zobaczył po raz pierwszy w życiu, co to znaczy prawdziwy strach i przerażenie. Twarz obcego człowieka okazała się lustrzanym odbiciem jego twarzy.

Ryster ostro zahamował i popatrzył wstecz w lusterko. Strach i przerażenie, wymieszane ze wstydem słabości, popchało żółty pojazd do przodu; całkiem obcy człowiek szybko zniknął za zakretem.

Nie znali się, nic dla siebie nie znaczyli, a życie tak boleśnie mogło ich razem na zawsze połączyć. Jedna nieuważna chwila mogła zespolić przypadkowe obce dusze.

Andrzej zapalił papierosa, choć nie palił prawie od pół roku, i od tej pory nałóg pozostał z nim na stałe. Słabość została pokonana przez strach. Popatrzył chłodno na drzewa, które mogły okazać się wysłannikiem śmierci. Zaciągnął się dymem z papierosa i kiedy uspokoił myśli, znów ruszył przed siebie. To był pierwszy raz, kiedy tak dotkliwie poczuł bliskość nieuchronności losu.

Drugie zdarzenie miało miejsce dwa lata później, na drogach północnych Mazur. Wracał z zaprzyjaźnionej firmy, z którą współpracowali od lat, zostawił im towar, faktury, i chciał jak najprędzej wrócić do domu. Wtedy zrozumiał, po tym dotkliwym zdarzeniu, że słowo najprędzej jest nieświadomym gwoździem, wbijanym w serce osobie, która za chwilę umrze. Takie słowo nie powinno nigdy istnieć, w słowniku ludzi pracujących zawodowo za kierownicą.

Zbliżał się wieczór, cudowny letni wieczór, kiedy słońce kładzie się za horyzontem do snu, znużone szorstkim skwarem dnia.

Andrzej jechał pewnie i równo. Koła szarpały swoim pędem czarną szosę, czasami tylko wyrzucając suchy piasek na pobocze. Przyroda pachniała wilgocią okolicznych jezior, a liście podrywane śpiewem wiatru, subtelnie poruszały się tańcząc w powietrzu. Nic nie wskazywało, jak czasami radość potrafi mieszać się ze smutkiem. A ból ze skazą istnienia.

Gdy szarość stała się wszechobecna, gdy dzień położył się całkowicie do snu, Andrzej wjechał w cichy mrok lasu. Było cicho, mrocznie i spokojnie. Mijał impetem prędkości poszczególne zakręty, a słupki błyszczące przy drodze, znikwały za nim głaskane reflektorami samochodu.

Gdy las zaczynał się kończyć i pojawiły się pola obficie obsiane żytem, nagle, tuż przed nim, pojawił się jeleń. Stał na masywnych nogach, w brązowej oprawie sierści, a poroże, wysoko wystające do góry niczym masywne drzewa bez liści w zimie, buntowniczo skierowane było w kierunku gwiazd.

Przez krótką chwilę, spojrzenie Rytera i króla lasu, połączyły się niewidzialną nicią losu. Zwierzę patrzyło dumnie i bez strachu, na zbliżający się z dużą prędkością samochód. Jego oczy, głęboko brązowe, mówiły jak wiele stoczył potyczek o dominację w grupie, i że strach jest ostatnim uczuciem, jakie może u niego wystąpić.

Zwierzę stało dumnie i stanowczo, nie czując pokory wobec nikogo. Andrzej skręcił ostro w lewo, auto zjechało z werwą na pobocze i z dzikim impetem zanurzyło się, niczym nóż w torcie, w wysoko rosnące zboże w ciemności.

Ryster nacisnął hamulec, noga mocno dociskała ostatnie koło ratunkowe. Auto przejechało sto metrów i stanęło w ciszy ciemności nocy. Andrzej odetchnął, położył nieświadomie głowę na kierownicy i wtedy klakson ostrym dźwiękiem obudził wszystko dookoła.

Wyszedł z kabiny, znów otarł się o śmierć. Ponownie szczęście wygrało z przypadkiem. Kolejna szubienica uciekła w kierunku niewidocznej skazy na niebie.

Stał pośrodku gęsto obsianego zboża, a gwiazdy pomarańczowym blaskiem odbijały się od cicho falujących łąnów. Światła samochodu oświetlały drogę na wprost i zatrzymały się na czarnej tafli jeziora, znajdującej się tuż za polem. Z tyłu rysowały się dwa ślady, równo pogniatanych pszennych kłosów.

Ryster oparł się o przód samochodu, rezygnacja mieszała się z ciepłem bijącym z maski silnika. Spojrzał na drogę, jeleń powoli znikał w ciemności nocy. Szedł dumnie i spokojnie pośród zboża, a poroże wystające znad tafli żyta, nieubłagane zbliżało się w kierunku lasu. Był zwycięzcą, a Andrzej był tylko przegranym.

„To jest drugie ostrzeżenie, trzeciego z pewnością już nie będzie” – zamyslił się Andrzej.

Wziął głęboki oddech, nerwy znów zostały schowane do kieszeni na samo dno i wsiadł do samochodu. Wrzucił wsteczny bieg i wyjechał na drogę.

Powoli, bardzo powoli, wręcz ślamazarnie dojechał do domu. W tą noc nie mógł już zasnąć, wiedział, że powinien zmienić swoje życie, lecz wciąż nie wiedział jak to uczynić. Świt przywitał go ciepłym płaczem deszczu.

Kiedy Andrzej Ryster zaczynał pracę, jako kierowca, był po kilku nieudanych startach zawodowych w innych branżach. Pracował, jako budowlaniec, pracował, jako sprzedawca, był magazynierem, i albo to on nie był zadowolony z pracy, albo to praca nie była zadowolona z niego.

Jak zaczął jeździć był sam, całkowicie sam. Nie był z nikim związany emocjonalnie. Szybko polubił swoją nową pracę, potraktował ją, jako namiastkę prawdziwej wolności.

Jeździł po całej Polsce, w niedostępne i buntownicze góry, a także w kierunku Mazur, sieci jezior rozrzuconych chaotycznie w tej części Europy. Trafiały mu się też wyjazdy nad morze, nieczęsto, ale zdarzały się, mógł wtedy poczuć za szybą samochodu słoń i wiatr morskiego krajobrazu. Czuł się wtedy wolny, tak beznamiętnie i dziko wolny.

Starał się tak gospodarować swoim czasem, że gdy był w górach, zatrzymywał się gdzieś pośrodku niebezpiecznej drogi, na przydrożnym parkingu i podziwiał urwiste widoki rysujące się przed jego oczami.

Na Mazurach siadał na wprost jeziora i patrzył przed siebie, na cichą toń wody. Siadał i patrzył, po prostu pożerał oczami widok, wyciszając swoje myśli. Chciał być wtedy sam, samotność w tym czasie mu służyła.

Gdy praca zaprowadziła go nad morze, parkował samochód tuż przy samych wydmach, żółtych i skąpanych w słońcu piaszczystych falochronach ziemi i udawał się na plażę. Siadał okrakiem na piasku, jaskrawo żółtym dywanie i spoglądał na pulsujące fale, które wiatr cierpliwie pchał do brzegu. Słuchał szumu morza mieszającego się ze śpiewem mew, widział z daleka kutry wykonujące mozolnie swoją pracę i czuł się wolny, nieświadomie obojętny na cały zgiełk życia.

Nie liczyły się trudy pokonanych kilometrów, nie liczyły się problemy znajdujące się gdzieś daleko za jego plecami i nie liczyła się przyszłość. Był tu i teraz, i to było dla niego najważniejsze. Wtedy naprawdę czuł, że żyje, i że może to wszystko ma jakiś sens. Wtedy był sam i w miarę dobrze czuł się z tym w życiu. Był sam, ale nie był samotny. A to ważne, żeby nie czuć się samotnym wtedy, kiedy się jest naprawdę samemu.

Później już tak nie było. Wszystko się zmienia i tak też było z nim; nikt nie jest wyjątkiem, zmiany w przyszłości dotyczą każdego z nas.

Zwolnili jedną osobę w firmie, recesja na rynku pracy, i musiał jeździć coraz więcej. Pokonywał większe ilości kilometrów, wracał coraz bardziej zmęczony, i radość jeżdżenia została zbrukana codziennością życia. Ciągłe był zmęczony, wciąż nadrabiał samochodem stracony czas, i ciągle sobie wmawiał, że podwyżka i pieniądze są w stanie zagłuszyć głos sumienia, że coś z jego życiem jest nie tak.

Wolność, którą przez moment posiadał, została brutalnie zniszczona przez ciągłe zmęczenie myśli, tak dotkliwie eksploatowanych w pracy.

Deszcz przestał powoli padać, a krople coraz wolniej opadały z chmur na ziemię. Andrzej przetarł czoło rozdygotaną dłonią, było spocone zbyt

mocną koncentracją jazdy. Wraz z mniejszą ilością deszczu, lejącego się uparcie na jezdnię, Andrzeja skupienie powoli zaczynało znikać.

Ryster mimo swoich trzydziestu lat, mimo pięciu lat pracy za kółkiem, był mężczyzną pogodnym. Długie trudy pokonanych kilometrów na drodze nie były w stanie zabić pogody ducha, która uwidaczniała się w jego błękitnych oczach. Rezygnacja, po zbyt długim spędzaniu czasu w pracy, nie objawiała się ani w jego ruchach – szybkich i pewnych, ani w uśmiechu, który dość często pojawiał się na jego skupionej twarzy, ani w rozmowach przez radio, podczas długich i ponurych nocy, tak bardzo samotnych w jasno oświetlonej kabinie. Andrzej był człowiekiem pogodnym, tak został stworzony, i samotność na drodze nie była w stanie zabić jego natury.

Kiedy spotkał Renatę, nie był jeszcze gotowy na miłość. Większość mężczyzn nigdy nie jest gotowa na to uczucie, Andrzej też nie był wyjątkiem, ale później wszystko się u niego zmieniło. Z mężczyznami jest tak, kiedy poczują, że to jest właśnie to, zanurzają się w tym uczuciu, które zabija całą złą przeszłość, zostawiając tylko przyszłość.

Tak było z Andrzejem i Renatą. Spotkali się na imprezie u kolegi. Ryster wrócił w ten dzień z Pomorza; trasa była trudna i męcząca. Na początku nie chciał iść do Roberta, był zbyt zmęczony, lecz po telefonie przyjaciela postanowił pójść do jego mieszkania. Nie chciał zawieść jedynej osoby ze szkoły, z którą jeszcze utrzymywał jakiś kontakt. Gdy wchodził do wynajmowanego mieszkania, nadymionego i rozedrganego falą podpiętych uczuć, zobaczył tłum ludzi zbyt głośnych, zbyt pijanych i zbyt nieznanych.

Usiadł przy stole, napił się pośpiesznie drinka, porozmawiał z Robertem, i wtedy ją zobaczył, jak swobodnie tańczyła, poruszała się z taką lekkością, w tym zagubionym przez czas pomieszczeniu.

Kiedy ich spojrzenia przelotnie się spotkały, kiedy iskra uczucia przedarła się przez tłum pijanych osób, Andrzej wiedział, że spotkał osobę, za którą już teraz mógłby oddać życie.

I kiedy już tańczyli, i świadomie spojrzał w jej szmaragdowe, tak bardzo głębokie oczy, wtedy zrozumiał, jak bardzo był samotny do tej pory. Poczul ciężar bólu, jaki by go spotkał, kiedy powiedziałyby mu nie, i nigdy więcej by się nie spotkali. Lecz ona się zgodziła. Zgodziła się i wtedy po raz pierwszy był z nią szczęśliwy. Później szczęście wszechobecne było przy każdym ich następnym spotkaniu. Miłość kwitła jak kwiat w zapomnianym ogrodzie, była podlewana deszczem, głaskana przez wiatr i ogrzewana przez słońce.

Potem wszystko było według ustalonych norm. Zaręczyny, ślub i dziecko, a następnie pojawił się brak czasu dla rodziny. Praca powoli i z żelazną konsekwencją zaczynała oddalać ich od siebie. Wciąż się kochali, wciąż wiele dla siebie znaczyli, lecz początkowa bliskość umykała im gdzieś między palcami.

Andrzej najdotkliwiej to czuł wtedy, kiedy wracał w nocy, spoglądał na śpiącą córkę, na jej spokojny i miarowy oddech, na jej ciche pomruki przez sen i półsenne uśmiechy, kiedy lekkie sny unosiły ją w bajkowe zaświaty, i wtedy rozumiał, dotkliwie odczuwał, że coś mu umyka, coś niespodziewanie gubi, traci rzeczy, których już nigdy nie odzyska, jeśli nie spróbuje, wręcz nie zaryzykuje, coś zmienić w swoim życiu.

Deszcz przestał padać, krople ostudzały się w poświacie mroku, dochodziła druga w nocy. Znowu nie zdążył na czas, po raz kolejny zawiódł swoją żonę, swoją córkę i zawiódł samego siebie; los znowu udowodnił mu boleśnie, iż nie potrafi pogodzić dwóch rzeczy na raz: pracy i rodziny.

Droga zrobiła się sucha, smoliście matowa, teraz mógł trochę przyspieszyć. Andrzej nacisnął mocniej pedał gazu. Samochód szybkim szarpnięciem ruszył do przodu. Koła coraz szybciej się kręciły, choć i tak nie mogły nadrobić straconego czasu, czasu zgubionego gdzieś w płataninie zawirowań atmosferycznych.

Andrzej ziewnął rozpaczliwie, zmęczenie konsekwentnie pokonywało jego organizm. Minał kolejny ostry zakręt, las powoli zaczynał się kończyć, ciemne drzewa pozostały z tyłu, choć ciągle miał wrażenie, iż były tuż za nim, za jego plecami, niczym zagubione stado wilków, pędzących wciąż z tyłu, aby zabić coś, co miało jeszcze jakieś znaczenie – jego wiarę.

Nagle jakiś błysk zaświtał w źrenicach Andrzeja. Był jak ogień roztargnienia. Po prawej stronie na polu, leżał rozkraczony dostawczy samochód, na lewym boku, wyglądał jak zranione zwierzę, z tą różnicą, że z niego wydobywał się szary, ciemno-popielaty dym.

Ryster ostro zahamował i szybko wyskoczył z kabiny. Biegł jak oszalały w kierunku samochodu, a dym stawał się coraz gęstszy. Silnik ostro syczał, ciągle coś ciekło na zwilżoną od deszczu ziemię; czas nie był sprzymierzeńcem ani Andrzeja, ani osoby leżącej cicho w rozwalonej kabinie.

Andrzej mocno kopnął butem w szybę, szkło wpadło do kabiny, wiedział, że musi się spieszyć, za krótką chwilę samochód zacznie płonąć, ogień pożre go szybko i beznamietnie.

Zaczął ostrożnie wyciągać mężczyznę z fotela, człowiek coś mamrotał do siebie; był w letargu, ostro zamroczony bólem.

W końcu Andrzej go wyciągnął, nie bez wysiłku, i zaczął powoli oddalać się od samochodu. Kiedy go tak ciągnął do tyłu, sapiąc z wycieńczenia, gdy zbliżał się coraz bardziej do drogi, rozwalony samochód wybuchnął i cały stanął w płomieniach. Wyglądał jak ognisko, wielki ogień bólu i rozpacz. Silnik syczał w agonii.

- Żyjesz? – Andrzej spytał nieznajomego mężczyznę.
- Tak, lecz wszystko mnie boli – jęknął cicho brunet.
- Muszę zabrać cię do szpitala. Tutaj teraz nikt nie jeździ... o tej porze – rzekł Andrzej. – Wytrzymasz?
- Będę musiał – prawie szeptem zamruczał mężczyzna.

Po pięciu minutach byli w samochodzie. Ryster był spocony od nadmiernego wysiłku. Ewidentnie nie miał już od dawna kondycji. Emocje spowodowały, że ręce lekko mu drżały, a serce biło ze zdwojoną energią i siłą.

Andrzej spojrzał na bruneta, był barczysty i cały umazany we krwi.

- Musisz wytrzymać... człowieku musisz wytrzymać – chciał dodać mu jakoś otuchy, lecz nie wiedział, co mu ma tak istotnie powiedzieć.

Samochód ruszył, Ryster wiedział, iż musi bardzo się spieszyć.

- Mam na imię Krzysiek – brunet zaczął powoli coś mówić, a może po prostu chciał poprzez rozmowę zapomnieć o bólu, który było widać na całej jego twarzy.

- Andrzej, mam na imię Andrzej – nerwowo odparł Ryster.
- Też jeździsz... tak jak ja?
- Zgadza się – odparł Andrzej. – Boli?
- Musi boleć – Krzysiek jęknął cicho i spazmatycznie. – Zresztą całe życie mnie tak przeraźliwie boli. Od dłuższego czasu.

- Przesadzasz.

- Niestety nie. Kiedyś byłem taki jak ty, młody i dumny. Teraz jestem samotny i dumny. – Krzysiek chciał poprzez rozmowę skierować myśli w innym kierunku niż ból. – Straciłem wszystko, radość i miłość, a teraz pewnie stracę też życie.

Andrzej mocniej nacisnął pedał gazu. Tak bardzo chciał uratować tego człowieka. Był mu tak bardzo obcy, lecz poprzez rozmowę stawał się coraz bliższy. Mówił to, co dawno podpowiadały mu jego myśli i zdrowy rozsądek; jego słowa mogłyby być słowami Andrzeja. Andrzej zawsze starał się te symptomy dezorientacji spychać na boczny tor obojętności, na opustoszałe perony skazy, gdzie jest zapomniana poczekalnia niemożności, zmiany czegokolwiek na razie, w tym dokładnie momencie, w tym punkcie losu, w jakim się aktualnie znajdował.

- Praca zamiast mnie uratować, powoli i konsekwentnie, jak gorąca i parząca lawa, żarem niszczyła mi całe życie. Mogłem żyć inaczej, pieniądze zaślepiły mi cały świat. Mogłem prawdziwie kochać, a teraz mogę jedynie tylko prawdziwie umrzeć.

- Przeżyjesz – Andrzej zaczynał wątpić w swoje słowa.

- Nawet nie wiem czy chcę..., Co mi z takiego życia, nikt za mną nie zatęskni. – Krzysiek odwrócił wzrok na bok. – Nic po sobie nie pozostawiłem, choć miałem szansę kochać prawdziwie.

- Jeszcze będziesz mógł – Andrzej chciał jakoś pocieszyć nieznajomego. – Choć prawdę mówiąc, życie składa się z niewykorzystanych, kolejnych szans.

- Teraz jest za późno, prawdziwa miłość zdarza się tylko raz w życiu... i jeśli przejdziemy koło niej obojętnie, lub ją stracimy, nigdy do nas nie wróci – Krzysiek zamilkł na moment. – Tak naprawdę, kolejne uczucia zagłuszają rozpacz utraty tego pierwszego.

- Może masz rację... Zresztą nie wiem.

Wjechali do miasta i po pięciu minutach stanęli przed szpitalem. Andrzej zatrzymał się na podjeździe dla karettek.

Podbiegli sanitariusze i położyli Krzyśka na noszach. Krzysiek chwycił rozpaczliwie Andrzeja za rękaw:

- Zostań ze mną do rana. Nie chcę być sam... Proszę.

- Dobrze – Andrzej sam nie wiedział, dlaczego się zgodził.

- Nawet nie mam nikogo, kto za mną zapłaci – dodał sucho Krzysiek, jak już zaczęli z nim iść na blok operacyjny.

Andrzej usiadł w holu szpitalnym. Żółte lampy na suficie tańczyły swoim pustym blaskiem. Był sam na korytarzu, cisza przenikała nicosć chwili.

Ryster wstał, nie mógł tak spokojnie siedzieć. Zaczął nerwowo chodzić po blado białych posadzkach podłogi.

Przecież nawet go nie znał, nie wiedział do końca, kim jest, a jednak Krzysiek wypalił tak bolesne znamię w jego sercu. Może stało się tak, dlatego, że Andrzej zobaczył siebie w przyszłości; człowieka, który kiedyś tak bardzo bał się odmienić swoje przeznaczenie.

Andrzej krzątał się nerwowo po korytarzu. Myśli rozdzierały mu rozum, jakiś amok potęgował dzikie uczucie otępienia. Zamartwiał się innym, całkiem obcym człowiekiem.

Zorientował się, że zapomniał całkowicie o pośpiesznym powrocie do domu, zorientował się, że w domu czeka na niego żona z dzieckiem i zorientował się, że znalazł się w takim punkcie swojego życia, że zmiana musi nastąpić natychmiast.

Nie może już dłużej czekać, jak wiatrak na odległy wiatr; nie może już dłużej zwlekać, jak skoczek spadochronowy na krawędzi samolotu, tuż przed samym wyskokiem, i nie może już dłużej odwlekać decyzji, którą powinien podjąć w momencie narodzin córki.

Stracił niepotrzebnie dwa lata, ponad siedemset dni na brudnych, ubłoconych kurzem drogach i ponad dwadzieścia cztery miesiące na szarpaniu się z niedoścignionym czasem, w błędnym pośpiechu każdego dnia. Już teraz wiedział, co ma robić, ten wypadek to było ostatnie ostrzeżenie losu – innych na pewno już nie będzie.

Z potoku złych myśli wyrwało go ostre szarpnięcie drzwi na korytarzu. W żółtym świetle lamp szła niepewnie w jego kierunku pani doktor. Twarz miała zmęczoną, nocny dyżur dostarczył jej dużo pracy, był to ogrom zajęć przesiąknięty smutkiem, wymieszany ze śmiercią. Takich dyżurów miała kilka w miesiącu; może miała pecha, lecz zawsze ktoś na nich umierał. Odchodził mimo usilnych starań lekarzy. Starania, nawet te bezgraniczne, nie zawsze przynoszą pożądany efekt.

Tak było i teraz; norma jej godzin pracy była stała, śmierć podczas operacji uniosła kolejną duszę do nieba.

- Co z nim? – Spytał nerwowo Andrzej.

- Kim pan jest dla niego?

- Nikim.

- Jak to? – Lekarka podniosła zmęczone oczy. – Nikim z rodziny?

- Absolutnie nikim. Przywiozłem go tylko tutaj – mówił cicho, trochę ze wstydem Andrzej. – Trochę rozmawialiśmy. Chyba bał się śmierci, nawet bardziej niż samotności.

Lekarka podniosła oczy jeszcze wyżej.

- Już nie musi się niczego bać, odszedł spokojnie... Niestety.

Andrzej poczuł dziwną pustkę w sercu; stracił kogoś, kogo nie zdążył nawet dobrze poznać. Został sam z szarym cieniem nieznanego przyjaciela.

Lekarka poszła dalej, w cichym blasku korytarza. Gdy miała minąć otwarte drzwi, odwróciła się nagle.

- To dziwne... Miał taki wyraz ulgi, gdy umierał. Taki dziwny spokój był w jego oczach – powiedziała zamyślona, prawie nieobecna, i przekroczyła próg białych drzwi.

Ryster usiadł na ławce, drewnianej, pustej ławce bez nikogo. Blask światła palił jego twarz, cisza wbijała mu ostrze w głowę, a półmrok z dalszej części korytarza, zaglądał mu podejrzliwie w oczy.

Ciężar smutku przybił go boleśnie do siedzenia. Ryster odważył się w końcu wstać, ruszył wąpiącymi schodami na dół, do samochodu.

Gdy wychodził ze szpitala, prawie go opuszczał, był pomiędzy nim, a zarazem przed nim, i za nim, blask wschodzącego słońca uzmysłowił mu, że zaczął się kolejny dzień. Nowy świt zapraszał go do kolejnych wyzwań i poczynąń.

Przestało padać, powietrze było mokre i wilgotne. Ptaki zaczynały kolejny poranny śpiew, a ich ćwierkanie roznosiło się głucho w rozedrganym powietrzu. Wiatr złośliwie poruszał liśćmi na drzewach, jego poddmuchy z szelestem znikwały w labiryncie gałęzi.

Andrzej wciągnął zwilżone deszczem powietrze w płuca. Ruszył w kierunku samochodu. Szedł pewnie, lekko zamasyście.

Auto sennie stało na parkingu, wyglądało jak bezludna wyspa, rzucona przypadkiem na ocean ziemi. Pustka jego szyb była znacząca, jakaś odległa.

Andrzej Ryster już teraz wiedział, dotkliwie czuł, że marnował konsekwentnie ostatnie lata. Postanowił, że jutro pójdzie do pracy i złoży wypowiedzenie. Tak uczyni, żeby uratować część siebie samego, uwolnić jasny fragment duszy, odnaleźć człowieka z przed kilku zmarnowanych lat. Będzie szukał, będzie na nowo próbował znaleźć pracę, taką, która zaspokoi zarówno potrzeby jego, jak i jego rodziny.

Znów odzyska świeżość, zgubioną na odległych i opustoszałych drogach, znów pokona zmęczenie, które tak dotkliwie przyczepiło się do jego spojrzenia, i znów pokocha życie na nowo. Przynajmniej spróbuje to uczynić; zawrze pakt z diabłem na nową nonszalancję życia.

Musimy odnajdywać w sobie chęci, żeby pójść inną drogą do przodu, musimy znaleźć siłę, która pozwoli nam odrzucić zawadzący kamień w innym kierunku, i nie możemy pozwolić, aby kolejny głaz blokował nam drogę ku naszym marzeniom. Mamy ich tak niewiele, więc nie warto gubić ich w pośpiechu dnia. One są jak cienie gwiazd, które nie dosięgły jeszcze blasku księżycy.

Rodzina i marzenia są jak czerwone róże, które zawsze powinny kwitnąć w najjaśniejszej części naszego ogrodu.

TERAPIA

Są osoby, które od samego początku, można powiedzieć od przedszkola, czują, że los wyznaczył im jakąś misję, niewidzialną ścieżkę przeznaczenia, cel, któremu muszą się podporządkować.

Mogą się bronić, uparcie odwlekać decyzję, unikać wyznaczonego celu, ale prędzej czy później będą zmuszone, wręcz wepchane, na właściwy tor kierunku swojej jazdy. Mogą też spróbować pójść za głosem serca, niczym ślepiec w kierunku bicia dzwonu w kościele, ale któż wie, czy ta droga jest tą właściwą. Jeśli zrobią inaczej, będą przeklinać przed śmiercią wybór, że spróbowali iść błędnie, wbrew woli natury, i zaczną balansować na granicy chęci zmiany wytyczonego toru, a próbą wyzwolenia się z kajdan nieumyślnego minięcia się z prawdą, że natury nie da się oszukać, i że jest ona jak znamię wypalone w sercu, jest niczym tatuaż zrobiony u przydrożnego artysty, jest jak błysk w oku, który zawsze się pojawia, gdy nerwy życia spalają nam radość przetrwania. Są rzeczy nieodwracalne i z pewnością, nawet z pewną dosadnością, można stwierdzić, że do takich rzeczy należy zaliczyć przeznaczenie. Ich przeznaczenie.

Można powiedzieć, że im jest łatwiej, w pewien określony sposób, nie muszą się szarpać niczym ryba w rozedrganej sieci, w wąpiącej decyzji, że coś trzeba z tym życiem zrobić.

Marta Ulska już od przedszkola czuła, że coś innego ma w sobie, jakiś magnes powodował, iż ludzie do niej lgnęli.

W szkole średniej nauczyła się słuchać innych, bez mrugnięcia oka zanurzać się w ich myślach i marzeniach, podcinać śmiałymi stwierdzeniami skrzydła rozmówcy, kiedy błądził na bezdrożach. Czuła gdzie tkwi problem, umiała go wydobyć z potoku słów i zniszczyć, wyrzucić z wąpiącej głowy.

Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, a jednak przyjaciele, koledzy i rodzina wyczuwali w jej głosie spokój i zrozumienie; była jak tratwa podczas sztormu, na którą zabierała przypadkowych rozbitków.

Marta Ulska zorientowała się, podczas słuchania kolejnej historii, że to kłębowisko wirusów ma jeden punkt wspólny – pokorę. Nikt nie mógł zrozumieć, iż to wszystko, czym nas życie obarcza podczas drogi, ma jakiś sens, głęboką bliznę doświadczeń. Stwórca bierze pędzel do ręki, zanurza go w czarnej farbie i rzuca na płótno zbłąkanej duszy, a wszystko po to, żeby nauczyła się pokory. Pokory wobec siebie, pokory wobec otoczenia, które nas skrupulatnie i z żelazną konsekwencją wyniszcza każdego dnia, i

pokory wobec systemu, w którym żyjemy, który każdej minuty, już od samego poczęcia, zabija w nas to, co dobre i niezastąpione, a zostawia to, co jest istotne, abyśmy tylko przetrwali, przeistoczyli się w owce pędzące w jednym kierunku, do celu, jakim jest samozadowolenie, i abyśmy szli bez zbędnych twarzy obok, bez problemów, które nas nie dotyczą i nigdy nie będą dotyczyć, i bez chęci odwrócenia się na bok, kiedy ktoś słabszy upadnie, gdy siły zawiodły go tuż przed metą. To inni są słabi, to inni są ślepi i to inni czołgają się w kurzu zapomnienia cywilizacji. Słabość to grzech, tak jak grzechem jest słabość pokazać.

Pokora, z której można tak wiele się nauczyć, to coś, czego nie dostrzegali słuchacze Marty. Być może nigdy nie chcieli jej dostrzec. Łatwiej jest żyć, gdy świadomie wyrobimy sobie nawyk niedostrzegania pewnych rzeczy. Całość bryły jest prostsza, powietrze bardziej świeże, a chwilowa zadyszka, spowodowana brudem życia, jest tylko krótką słabością, która nie decyduje o dalszym kierunku drogi. Większość z nas akceptuje tylko te zapachy, które dają przyjemne powonienie. Stęchłe, zduszone kurzem powietrze, naznaczone nędzą pustego miasta, jest niedopuszczane do naszych płuc, uparcie wypływane przed siebie, zanim zanieczyści idealne, wyczyszczone filtrem znieczulenia, płuca.

Marta właśnie kończyła studia, ostatni rok składał się z praktyk w szkołach podstawowych. Psychologia to było coś, co kochała, w co wierzyła, było to narzędzie, którym chciała się posługiwać, aby pomagać innym. Chciała być dobra, choć doskonale wiedziała, że sama taka nie jest. Zło mieszało się w niej z dobrem, zwątpienie zastępowane było radością, a chwiejność nastrojów wyrażała się w smutku, który za moment przejawiał się w euforię życia. Tak, Marta wiedziała, że nie jest doskonała, ale ktoś jest, i te studia, ten zawód – pomagać innym, był dla niej sposobem na poznanie siebie.

Chciała się na nowo zrozumieć, lepiej poznać od środka, zaprzyjaźnić sama ze sobą, zaakceptować inność, która na razie była dla niej nie do zaakceptowania, i wyjaśnić sobie, czemu nasze wnętrze, tak bardzo nie pasuje do świata postrzeganego przez innych. Dążyła do harmonii pomiędzy sercem a duszą, pomiędzy smutkiem a radością, i dążyła do tego, żeby szczęście w życiu, nie przysłoniło nieszczęścia poza nim.

Marta Ulska miała głębokie, krwisto czarne oczy, jeśli ktoś w nie spojrzał, zanurzył się w ich blasku, co często zdarzało się rozmówcom, ujrzał w nich spokój, zrozumienie i błysk akceptacji, że nikt nie jest sam. Spoglądając w Marty źrenice, człowiek zanurzał się w studni zapomnienia,

czerpał wodę życia ze strumienia oczyszczenia, i wychodził z niej mokry na sercu, ale wolny i spokojny na duszy.

Czarne, brunatno mosiężne włosy, niczym węgiel z kopalni, lekko opadające na ramiona, zawsze falowały podczas spacerów w parku. Marta lubiła spacerować, to ją wyciszało, uspokajało i stawało się dla niej niczym kąpiel w morzu, tuż po wschodzie słońca, kiedy morze jest lekko schłodzone po nocy, a zarazem swobodnie rozgrzane dopiero, co budzącym się dniem.

Kiedy tak wędrowała po parku, poruszała się z dziką swobodą, można było zorientować się, że jest istotnie bardzo zgrabna, i umie poruszać się lekko, bez wymuszonej dozy dostojności, a tym bardziej jakiejś ukrytej gry. Była atrakcyjna i tak też się czuła. Była wolna i przez tą chwilę spaceru, była sobą. Była piękna, piękna w prostocie swoich poczynań i doznań. I co najważniejsze, posiadała w sobie jakąś moc, dar stwórcy tylko dla niej, i z tą mocą doskonale się czuła.

Wyrażało to się w pewności jej ruchów, w pewności jej spojrzeń i w pewności jej poczynań, zwłaszcza podczas spacerów. I tak też ją postrzegali inni, jako silną i niezależną kobietę, która lepiej niż inni rozumie ten świat, i lepiej niż inni poznała jego tajemnice i reguły.

Marta Ulska nie burzyła tego wizerunku, to miało jej później pomagać w pracy. Skoro ją taką widzieli, niech i tak będzie – sama tak stwierdziła, podczas oczyszczającego snu w nocy. Inni zawsze nas widzą inaczej, inaczej niż byśmy sami tego chcieli. Można z tym walczyć, można próbować to zmienić, lecz i tak nie wygramy, można też się poddać i zaakceptować to w sobie, tak jak akceptuje się dzień i noc, tak jak akceptuje się słońce i deszcz.

Marta stwierdziła, że skoro jest inna, niech tak będzie. Skoro ją taką widzą, niech i tak będzie, i skoro ją chcą taką widzieć, niech tak zostanie. Będzie lustrem ich słów, ocen i zamiarów.

Sama doskonale wiedziała, że jest inaczej. Pozory mylą, są jak komety w kosmosie, świetliste i z wyrazistą łuną, ciągnącą się tuż za nimi, a kiedy kometa zniknie, uderzając o przypadkową planetę, wszystko się zmienia, nie pozostaje nic z ich blasku, całość staje się czernią czegoś, co nagle zderzyło się z rzeczywistością wszechświata.

Praktyki w szkole miały jedną zaletę, Marta czuła, jakby cofnęła się w czasie. Znów była dzieckiem, radosną istotą, nieskażoną brudami dorosłych. Przemieszczała się pośród szkolnych korytarzy, które teraz wydawały się takie małe, nasączała się gwarem przerw, hałaśliwym, bucującym i tak jej bliskim, i w swoim sercu słyszała coraz szybsze bicie

przeszłości. Dobre chwile spędzone w tych czasach, wciąż tam gdzieś w niej tkwiły, były cukrem jej wczesnej młodości.

Miała swój gabinet i rozmawiała w nim z uczniami. Starła się im pomóc, jak najlepiej potrafiła, brała ich słowami za rękę, a później razem ruszali przez chwiejący się most dojrzewania, na drugą stronę. Woda pod nimi mierzwiła się samowolnie, bulgotała rozbijając się o ostre skały, lecz oni powoli, z dużą konsekwencją, przechodzili razem na drugą stronę.

Teraz prowadziła trudny i skomplikowany przypadek. Ośmioletnie dziecko zostało nieświadomie wciągnięte w grę dorosłych. Rozwód dwóch osób, nawet gdyby był bezbolesny, a przeważnie nigdy tak nie jest, zawsze jest złem dla dziecka. Jest to zbyt wczesne nakładanie kajdan na nogi osobie, która nie jest gotowa na ciężar uwierającego żelastwa.

Gdy patrzyła w niebieskie oczy małego Mateusza, czuła w nich strach, obojętność wobec jej lodowatych pytań, i zimną trwogę, że za chwilę zdarzy się coś, co radykalnie zmieni jego życie. Dzieci mają instynkt, zimne przeczucie nieuchronności czasu i zdarzeń, nikt ich nie jest w stanie oszukać. Gdy coś jest złe, choćbyśmy ubierali to w jak najlepsze stroje, nigdy nie będzie dobre. Dzieci to zawsze wiedzą, dorośli tylko czasami.

Mateusz nerwowo kręcił się na krześle, niczym ślepiec patrzył się obojętnie w podłogę, starając się znaleźć jakiś grunt, choćby najmniejszy punkt zaczepienia. Nie miał go, dobrze o tym wiedział, pomimo swoich ośmiu lat życia. Nagle i niespodziewanie został rzucony w wir dorosłości, w sieć intryg ludzi, których tak bardzo i bezgranicznie kochał. Najgorszą rzeczą było to, że nie wiedział, po której stronie barykady ma stanąć. Stojąc z jednej strony, na wypukłym wzniesieniu uczuć, niszczył nieświadomie drugą osobę. Gdziekolwiek by teraz nie stanął, zawsze już będzie czuł się przegranym. Patrząc w oczy rodzicom, starał się ich jakoś zrozumieć, i zastanawiał się – dlaczego dorosłość to ból, cierpienie i niemożność zatrzymania uczuć na zawsze. Nie mógł zrozumieć, pojąć w małej głowie, dlaczego kochający się ludzie nie wiedzą, że za kilka lat, w najlepszym przypadku, nauczą się siebie tylko tolerować. Dlaczego rozwijamy żagle na porywisty wiatr wiedząc, iż kiedyś na pewno przestanie on dmuchać, i co wtedy zrobimy z żaglem, który pomimo tylu nawahnic, jeszcze trzyma się drewnianego masztu?

Marta Ulska usiadła na wprost Mateusza i uśmiechnęła się pogodnie. Poglaskała go po głowie ręką, jednak ten gest nie dał chłopakowi żadnego ukojenia. Pozorne gesty nigdy nie odnoszą spodziewanego sukcesu.

- Musisz zrozumieć, że rodzice wciąż cię kochają – rzekła jak najbardziej ciepłym głosem Marta. – Dla ciebie nic się nie zmienia – skłamała, a Mateusz to szybko wyczuł – wciąż jesteś ich synem.

- To, dlaczego mam mieszkać z jednym z nich? – Rzekł zadziornie chłopak.

- Bo razem nie mogą już dłużej mieszkać – próbowała tłumaczyć sytuację Marta. – Teraz byłoby to dla nich zbyt bolesne.

- Ale dlaczego?

- Tak to jest, że zbyt często dorośli do siebie nie pasują. I dowiadują się o tym dopiero wtedy, kiedy już nic nie da się dalej uczynić. Nic naprawić.

- Czyli za późno – powiedział Mateusz.

- Właśnie... za późno. W życiu ciągle jest na coś za późno... Niestety.

- Muszą mieszkać osobno?

- Powiem ci tak. To tak jak z klockami. Na początku je kochasz, bawisz się nimi cały czas. Są idealnie do siebie dopasowane. Później bawisz się nimi rzadziej, mniej chętnie, aż w końcu zauważasz, że cię nudzą. A na dodatek wyrobiły się okropnie, nawet do siebie nie pasują. Tak właśnie jest z dorosłymi, przestają nagle do siebie pasować.

- Wcześniej tego nie wiedzieli?

- Nikt nie zna przyszłości miłości. Wydaje się wieczna, a w rzeczywistości jest tak bardzo nietrwała. Jest jak lot ptaka ku słońcu, w końcu i tak spalą mu się skrzydła od żaru, i spadnie w głąb oceanu. Jednak do tego czasu nieświadomie będzie leciał w kierunku światła.

- Rozumiem. Są teraz dla siebie obcy.

- Ty wciąż będziesz miał ich miłość. Wciąż będą o ciebie dbali i wciąż będą się o ciebie troszczyli.

- Jednak z osobna – dodał Mateusz.

- Niestety z osobna – potwierdziła Marta. – Przyprowadź jutro do mnie rodziców. Chcę z nimi porozmawiać.

Mateusz poszedł do swojej klasy. Marta usiadła za biurkiem, spojrzała sucho za okno. Ciemne chmury spowiły szarością niebo. Warstwa skłębionych chmur, burzowo brunatnych, zbliżała się do miasta.

„Czemu nic nie jest takie proste? Dlaczego dzieci cierpią za winy dorosłych? I dlaczego uczucia tak szybko mijają? Może nie warto się z nikim wiązać na stałe, gdyż burza uczuć w przyszłości, zniszczy wszystko z dziką zapalczliwością? Jednak coś wart jest świat bez miłości? Jest pustką, szarym cieniem samotnego drzewa stojącego na rozdrożu”.

Marta zrozumiała, że każda miłość ma swoją cenę. Zapłatą jest pustka, która zawsze dotyczy jednej strony, przeważnie tej słabszej. Pustka emocjonalna, pustka egzystencjalna i pustka społeczna, gdyż słabszym rzadko ktoś obcy pomaga.

Rodzice Mateusza siedzieli w pokoju Marty. W milczeniu patrzyli na młodego psychologa, który z butami wtrącał im się w życie. Nie wierzyli w sens tej rozmowy, tak jak dawno przestali już wierzyć w siebie. Pomimo tego przyszli, dobro dziecka jest najważniejsze, ważniejsze niż rany, jakie sobie nawzajem sprawiali, widząc się ponownie tak blisko siebie. Kiedyś nie mogli się od siebie oderwać, każde rozstanie, choć na krótki moment, nagle stawało się pustką i przerwą w ich życiorysach. Przerwy w życiu są ważne, dają poczucie dystansu, ale tylko wtedy, kiedy dają nam czas na zrozumienie, ogarnięcie rzeczy i problemów, które zawsze stały gdzieś obok nas, w cieniu przydrożnej kamienicy.

Ojciec, przystojny mężczyzna przed czterdziestką, smutno spoglądał za okno, jakby szukał jakiegoś pocieszenia na niebie, wśród chmur. Pozornie był zwycięzcą, to on odszedł do innej kobiety, z dawno już martwego związku. Cmentarz emocjonalny, który za sobą zostawił, każdego dnia, każdej kolejnej sekundy życia, każdego poranka, którego nienawidził za sam fakt, że każe mu z obojętnością wstawać w nowe jutro, pozostał mu teraz za plecami. Teraz próbował iść do przodu z inną kobietą, która być może za kilka lat też go znienawidzi, za jego słabości, do których przestanie się nagle tak słodko uśmiechać. Tak, pozornie był zwycięzcą, jednak czuł się jak cesarz rzymski, spalający ukochany Rzym. Na pewno nie był wygrany, nie czuł się tak nigdy. Stracił żonę, którą kiedyś tak bardzo kochał, zniszczył życie swojemu synowi, który od teraz zawsze będzie już miał pod górkę, będzie mu znacznie trudniej niż innym dzieciom, i tak naprawdę zniszczył samego siebie, przestał wierzyć, że można pokochać kogoś aż do śmierci. Stracił wiarę, że w życiu są rzeczy nieutralne.

Matka siedziała dumna, choć to ona została zraniona. Trzydzieści sześć lat życia, wychowywania dziecka od urodzenia, trochę podniszczyło jej urodę. Kiedyś mogła być atrakcyjna, nie piękna, lecz atrakcyjna, posiadała w sobie coś, co skupiało wzrok obcych mężczyzn na jej ciele. Może to był uśmiech, być może sposób poruszania się za dnia, a może blond włosy, dumnie szeleszczące na wietrze. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia, i tak to zgubiła, i boleśnie wiedziała, że jest to rzecz niedoodzyskania. Każdy ma takie rzeczy, złote cyrografy zalet, które gdy raz zostaną utracone, nigdy do nas nie wracają.

Teraz musiała grać przed prawie byłym mężem, jak bardzo nie dotyczą jej te sprawy, które niczym zaciskająca się na szyi pętla, koło niej się dzieją. Były to suche rozmowy w trakcie rozprawy, inna kobieta u jego boku i podział majątku, którego tak naprawdę nie mieli zbyt wiele.

Chciała go zniszczyć za zmarnowane życie. Chciała go jak najbardziej skrzywdzić, za to, że zostawił jej marzenia gdzieś daleko z tyłu, i chciała mu pokazać dumę, trochę podłamaną czasem, iż ta kobieta, z którą się aktualnie związał, nic dla niej nie znaczy. Była teraz słaba, jednak nie mogła mu tego pokazać. Więc grała, uparcie odgrywała swoją tragiczną rolę. Być może ostatnią tragiczną rolę jej życia, po której pozostanie, gdy już zejdzie ze sceny, tylko szarość, smutek i rozpacz, że nie udało się jej nikogo spotkać, na swojej kolejnej, zagubionej ścieżce życia.

- Musicie państwo dużo rozmawiać z synem – rzekła w końcu Marta – czuje się rozbity tą sytuacją.

- Co panią to interesuje! – Naskoczyła ostro na Martę matka. – To są nasze sprawy!

Ojciec milczał i tylko słuchał. Był spokojny, jednak dziwnie smutny.

- Boi się przyszłości, co będzie dalej? Musicie mu wytłumaczyć, że nadal będziecie go kochać.

- Wytłumaczmy, jednak to nie pani sprawa! – znów krzyknęła matka.

Marta nie dała się sprowokować. Ile nienawiści skłębionej w środku drzemało w tej kobiecie. Była częścią nerwów, a nerwy nagle stały się częścią jej. Zatraciła się w swoich urojeniach.

- Mateusz to dobre dziecko, dobrze się uczy, jednak potrzebuje teraz więcej miłości i zrozumienia. Musicie z nim dużo rozmawiać i jak najczęściej przebywać.

- Co myśli pani, że o tym nie wiemy! – Matka prawie wstała z krzesła. – Powtarzam, to są nasze sprawy!

- Czy nie widzicie, że i tak spieprzylicie dziecku życie! – Marta dała się sprowokować, to był błąd, jednak kobieta zachowywała się tak arogancko. – Teraz jego świat zawsze będzie wyglądał inaczej. Wszystko dla niego będzie trudniejsze, nawet miłość będzie miała inne znaczenie i wymiar. – Marta ochłonęła po chwili. – Przepraszam, poniosło mnie. Jednak chcę państwu, a w zasadzie Mateuszowi pomóc.

- Co panią...! – nie dokończyła matka, gdyż nagle ojciec wstał i krzyknął:

- Przestań! Nasze sprawy nie dotyczą dziecka! – Usiadł na krześle i zaczął ponownie mówić. – Ma pani rację, co możemy w takiej sytuacji uczynić, jak się zachowywać?

Matka chciała coś powiedzieć, jednak spojrzenie prawie byłego męża zbiło ją z tropu. Było stanowcze, suche i beznamietne, i zarazem twarde, nigdy nie widziała go takiego zdecydowanego. Jedno nie ulegało wątpliwości, zawsze był dobrym ojcem i zawsze kochał syna. W tym nic się nie zmieniło.

- Przepraszam – stonowała matka. – Prosimy o pomoc.

Marta uśmiechnęła się. Za oknem złe chmury rozwiewał jasny, pogodniejszy, zmysłowo drżący wiosenny wiatr. Lato zapowiadało się parne, przynajmniej tak mówili w telewizji.

- Oczywiście, że państwu pomogę – to był jej pierwszy większy sukces zawodowy, udało się jej pogodzić na moment zwaśnione strony i później przeprowadzić ich wszystkich razem przez ten trudny dla nich okres.

Później odeszła ze szkoły, praktyki tak szybko się skończyły. Dobrze wspominała ten okres, wtedy czuła się szczęśliwa i nieskrępowanie wolna. Wtedy jeszcze umiała komuś pomagać bezinteresownie. Naprawdę pomagała tym dzieciom, prowadziła ich za rękę, poprzez rozmowę, w trudniejsze aspekty dziecięcej dorosłości. One odpłacały jej uśmiechem, czystą radością, która rozwiewała jej smutek w oczach i krystaliczną, nieskażoną światem dorosłych, ciepłą niewinnością; po prostu dzieci uzmysławiały jej, że rodzimy się zawsze dobrzy, a tylko później stajemy się inni i mniej doskonali, przesiąknięci pustymi chęciami, które nas w przyszłości tak konsekwentnie zabijają każdego dnia. Zło posiadania zabija dobro dawania.

Marta Ulska siedziała tuż przy oknie, w małej przydrożnej kawiarni. Piła lekko ostygłą kawę i znudzonym wzrokiem spoglądała na ulicę. Deszcz głąskał szybko na zewnątrz swoim płaczem, samochody oblewane figurami wody, które rozlewały im się bezkształtnie na maskach, w skupieniu przemierzały prawie opuszczone ulice. Ludzie w pośpiechu uciekali do domów, pogoda zapędzała ich skupione myśli w cieplejsze zakamarki miasta. Świat zamierał, a wraz z nim coraz bardziej puste miasto. Sen miasta stawał się snem tłumu.

Marta spojrzała na zegarek. Agnieszka spóźniła się o całe pół godziny. Marta ponownie napiła się schłodzonej kawy, smakowała nijako, tak samo pusto jak dzisiejszy dzień.

Nagle, prawie zaskakująco, otworzyły się drzwi do kawiarni. Agnieszka, skropiona wodą z nieba, prawie wbiegła do środka. Usiadła przy Marcie i z zakłopotaniem spojrzała w jej oczy.

- Przepraszam, wszystko mi dzisiaj źle wychodzi – usprawiedliwiała się z przykrością. – Zły dzień naznaczony przykrymi sytuacjami w pracy.

- Rozumiem. Co chciałaś mi powiedzieć?

- Wiem, że szukasz pracy. Mam dla ciebie propozycję – Agnieszka po raz pierwszy miała dzisiaj odwagę, a raczej przyjemność się uśmiechnąć. – Chciałabyś pracować razem ze mną?

- Wiesz, chcę się zaczepić gdziekolwiek – odparła Marta. – Chcę pracować w zawodzie, pomagać ludziom i ułatwiać im życie, zabijać w nich to, co złe, a zostawiać to, co dobre.

- To świetnie. Pracuję w dużej, świetnie prosperującej firmie. – Agnieszka zawiesiła na moment głos, jakby chciała podkreślić moc tego, co za chwilę powie. – Duże zarobki, duże możliwości. Ludzie nie wytrzymują presji, no wiesz, jedni awansują, inni upadają, a jeszcze inni stoją w niebycie. Ogólnie mówiąc frustracja, kłębowisko ludzi, którzy chcą więcej niż umieją z siebie wydobyć.

- I co w związku z tym?

- Firma zdaje sobie sprawę z tego, że świetnie płaci, lecz ludzie nie wytrzymują presji. Chodzi o to, żeby im pomagać, kiedy napięcie wymyka się spod kontroli. Nie chcą mieć problemów z ludźmi. Za duże pieniądze przewijają się przez firmę, aby zło w człowieku opóźniało rozwój przedsiębiorstwa.

- I co? Myślisz, że się nadam? – Zaciekała się Marta.

- Oczywiście. Będziesz świetnie zarabiać.

- Nie chodzi o pieniądze. Chcę pomagać ludziom – wahała się Marta.

- I będziesz. Poza tym każdemu chodzi o pieniądze. Są dwa rodzaje ludzi, ci, którzy przyznają się, że zależy im tylko na forsie, i ci, którzy boją się przyznać, że zależy im tylko na forsie.

- No, nie wiem.

- To jest duża szansa dla ciebie – kusila Agnieszka. – Jutro masz spotkanie z prezesem. Umówiłam cię o dziesiątej rano.

- Muszę się zastanowić.

- Zastanowisz się u niego – Agnieszka wstała z krzesła. – Muszę lecieć. Pamiętaj o dziesiątej.

Marta znów została sama. Kawa całkiem wystygła. Nie nadawała się już do picia. Była ciepka, zimna i chłodna, taka jak dzisiejsza pogoda. Są dni lepsze i gorsze, ten dziś ewidentnie był zły, naznaczony smutkiem popołudniowego czasu.

Następnego dnia Marta poszła do firmy. Porozmawiała z prezesem – był miły, pogodny i stanowczy, taki jak większość ludzi na wysokich stanowiskach. Posiadał w sobie nieskrępowaną swobodę osoby, która osiągnęła już tak wiele, iż teraz wszyscy muszą liczyć się z jej zdaniem. Władza przesiąknięta pieniędzmi, pieniądze przesiąknięte władzą.

Dostała świetne warunki pracy. Nie mogła odmówić, a może wobec takich argumentów, nie potrafiła po prostu oprzeć się tej propozycji. Została zniewolona pieniędzmi, których jeszcze nie widziała na oczy. Wirtualnie nałożono jej kajdany przyszłości.

Mogła jeździć służbowym samochodem, przychodzić do pracy wtedy, kiedy jest naprawdę potrzebna, a co najważniejsze, wreszcie będzie mogła przestać liczyć się z każdym groszem. Zarobki rysowały się wyśmienicie, została skuszona wizją przyszłych profitów w firmie.

Dobrze pamiętała ostatnie słowa prezesa, kawalera, który nie miał czasu na życie prywatne:

- Nie chcemy mieć problemów z ludźmi, od tego właśnie pani jest, od likwidowania bólu w zarodku. Ludzie są słabi, a szczególnie wtedy, kiedy nie dostają tego, czego oczekują. Koledzy z jednego gabinetu nagle stają się wrogami, gdyż jeden awansował kosztem drugiego – prezes zawahał się na moment. – Takie są realia życia, jeden idzie do przodu, a drugi powoli się cofa. Wytrwają najsilniejsi, a tych tu jest niewielu.

- Rozumiem – odparła lekko zagubiona Marta.

- Jeśli zajdzie taka potrzeba, to jest pani do ich dyspozycji cały czas, nawet w nocy. Firma wszystko ureguje. Powtarzam, nie chcemy mieć problemów z ludźmi. Za dobrze im płacimy, aby się jeszcze użerać z ich niedoskonałościami.

- Oczywiście – skruszonym głosem, lekko podłamanym czekającymi go zadaniami, odpowiadała Marta.

- No to świetnie. Życzę powodzenia – prezes podał rękę Marcie. – Zaczyna pani od jutra.

- Dziękuję – Marta wyszła z gabinetu.

Gdy wracała do domu, wciąż zastanawiała się, czy dobrze zrobiła przyjmując tą pracę. Szła niczym lunatyczka przed siebie, wpadając, co chwilę w pułapkę własnych skojarzeń myślowych.

Przecież chciała pomagać innym, a tu okazuje się, że najbardziej to pomoże samej sobie, szczególnie finansowo. Obawiała się, że przyszłe pieniądze zatrą jej dalszy kierunek drogi, straci orientację w terenie. Omamią jej umysł, nałożą sieć niewoli, a później, kiedy obrośnie materialnie, otoczy się przedmiotami i zbędnymi rzeczami, nie będzie miała dość siły i chęci, aby to wszystko porzucić, rzucić ze skarpą zniewolenia. Ludzie, którzy mieli być sensem jej życia zostaną gdzieś z boku, zostaną całkiem sami, opuszczeni na rozdrożu dróg, bez jakiegokolwiek szansy, że ktoś do nich wyciągnie rękę, lub łaskawie skieruje wzrok w ich kierunku, aby dokładnie przyjrzeć się ich rozpacz.

Marta postanowiła spróbować, nie poddawać się już na początku drogi. Najwyżej zrezygnuje, kiedy okaże się, że pomoc niesiona przez nią nie ma tutaj żadnego znaczenia. Chciała pracować w zawodzie, a jak na razie, po pół roku od ukończenia szkoły, była to jedyna propozycja pracy, jaką dostała. Często kończymy coś, mamy marzenia, łudzimy się, a i tak życie

kieruje nas na inne tory przyszłych poczynañ. To, co jest waŹne dla nas, nie zawsze jest waŹne dla innych, i dlatego tak często łądujemy na rozdroŹu, upadamy w przydroŹnym rowie.

Praca dla Marty okazała się dobra, inna niŹ na początku myślała. Rozmawiała z ludŹmi, dawała im wskazówki jak ksiądz na spowiedzi i pozornie wydawało się, Źe realizuje swoje marzenie, czyli pomaganie innym.

Gdy minęło pół roku, sześć miesięcy starania się o poparcie właścicieli, aby realizować swoją strategię pracy, po tym czasie, Marta powoli, wręcz absurdalnie stanowczo, zaczęła przyzwyczajać się do dobrobytu. Wynajęła duŹe, zbyt wielkie jak dla jednej osoby mieszkanie, i zaczęła zniewalać swój umysł luksusem, a następnie zmuszać go do takiego sposobu myślenia, iż juŹ tak zawsze będzie.

Nienormowane godziny pracy sprzyjały podróŹom, więc Marta często zwiedzała pobliskie kraje i dzikie okolice wokół miasta, a wszystko po to, Źeby lepiej siebie poznać. Nie była związana z nikim, nie czuła potrzeby trwałego związku, po prostu chciała wyrzucić z siebie cały swój ból, nienaturalną inność, a co najwaŹniejsze zrozumieć, dlaczego inność jest tak bardzo bolesna, kiedy wszystko dookoła przesiąknięte jest szarością.

Z Agnieszką widywała się rzadko, bardzo przelotnie. Agnieszka robiła ogromną karierę w firmie, stała na wielkiej fali zwycięstwa, wraz z ruchem fal śmiało szła do przodu, a juŹ za chwilę miała być na samym szczycie, na piedestale gór i na wzniesieniu zwycięstwa. Młoda osoba skazana na sukces, który miał być wyznacznikiem jej dalszej przyszłości. Była sobą, chciała duŹo mieć, duŹo posiadać, duŹo znaczyć. Nikogo nie grała – chciała władzy, była w tym uczciwa, uczciwa dla siebie i dla otoczenia, które ją teraz otaczało.

Kolejne pół roku uświadomiło Marcie, Źe zadowolenie szefostwa z jej wyników pracy, nie jest żadną miarą sukcesu. Rozmawiała z ludŹmi tak jak jej przykazano, słuŹała frustracji zawodowych, przewaŹnie lęków przed brakiem awansu, i czuła się tak bardzo zagubiona zawodowo, niczym ptak, który nagle został pozbawiony skrzydeł, a czas lotu stał się koszmarem zanurzonym w teraŹniejszości.

Często budziła się w nocy, w pięknym luksusowym mieszkaniu, w aksamitnej atłasowej pościeli, a krople potu nasączały jej poduszkę nocnym cierpieniem.

WyobraŹała sobie podróŹ przez sawannę, szła samotnie na północ, ktoś nałożył jej kajdany na nogi, a ona uparcie, wręcz systematycznie, z jakimś

dziwnym mozołem, szła do przodu. Ciężar żelastwa przytłaczał ją coraz bardziej, aż w końcu stawał się nie do zniesienia. Poruszała się coraz wolniej, zmęczona czasem i energią zużytą podczas marszu. Tak dokładnie było z jej pracą, ktoś obcy nałożył jej kajdany, i teraz nie mogła ich ściągnąć, pomimo usilnych wysiłków rąk.

Biurowiec, w którym pracowała, odznaczał się dużą ilością pięter i mnogością istot z problemami. Często, gdy na nich spoglądała z boku, wydawało jej się, że są jak ćmy w nocy, krążące tuż przy lampie naftowej. Tak bardzo pragnęli ciepła, gorącej nadziei, i tak intensywnie starali się dostać do środka ognia, choć doskonale wiedzieli, że szybko spłoną, i że cena zabije ich natychmiastowo. A mimo to zamierzali się spalić, a wszystko po to, żeby, choć przez moment być na samym szczycie, zrozumieć, co to znaczy władza i pieniądze. Chcieli poczuć woń pieniądza i dokładnie wiedzieć, jak bardzo można być niezależnym, kiedy inni podlegają decyzji jednej osoby, a dzieje się to z jednego powodu, że ktoś inny wyżej, kto nad nami stoi, pociąga bezmyślnie sznurki, i od jego humoru zależy, czy nasza przyszłość będzie piekłem, czy ścieżką biegnącą koło wodospadu zaspokojenia.

Gdy patrzyła w ich oczy, widziała żar pieniądza, gdy słuchała ich głosów, czuła woń władzy, a jak zanurzała się głębiej w ich myśli, przerażała ją martwota moralna, która schowana była głęboko w ich umysłach. Byli zepsuci, gotowi na wszystko, zdeterminowani, i posiadali w sobie moc realizowania pragnień za wszelką cenę, bez względu na konsekwencje. Puste maski bez krzty litości. Tępe spojrzenia bez krzty wiary. Puste oczy bez pragnień niespełnionych. Tacy byli, a co najgorsze było w ich twarzach, to rysy odważne, męskie w swej prostocie, i ślepa wiara, że uporem i bezkompromisowością można osiągnąć każdy cel, nawet wtedy, kiedy trupy cały czas leżą u naszych stóp.

Wyjazdy odrobinę jej pomagały, dzięki nim potrafiła naładować swoje baterie, znieczulacze schowane głęboko w sercu. Kiedyś na korytarzu spotkała Agnieszkę, zagonioną jak zawsze, i w końcu udało im się przez krótki moment porozmawiać, w firmowej kawiarni.

- Jak możesz tak żyć, w takim szalonym pędzie? – Dopytywała się Marta.

- Takie czasy. Nauczyłam się wrywać każdy kęs życia z dziką zapalczywością i bezkompromisowo go do siebie dopasowywać.

- Kiedyś będziesz musiała stanąć, zatrzymać się, popatrzeć wstecz za siebie. Co wtedy zobaczysz? Pustą drogę z klęczącymi ludźmi.

- Wtedy będę już bardzo wysoko – dumnie powiedziała Agnieszka.

- A jak ci się nie uda. Stracisz wszystko, władzę i życzliwość ludzi. Pamiętaj, niektórzy ludzie nigdy nie zapominają krzywd – mówiła Marta.
– Dobrze ci życzę, przecież wiesz, że się lubimy. Uwierz mi, każdy kiedyś musi odpocząć, usiąść na kamieniu przy drodze i zastanowić się. Nie można całe życie biec bez opamiętania, ponieważ tracimy przez ten pośpiech ostrość postrzegania świata.

- Dzięki za radę. A co u ciebie?

- Dobrze. Choć nie wiem czy dobrze zrobiłam zatrudniając się w tej firmie?

- Nie wiem, o co ci chodzi. Świetnie zarabiasz, nikt cię nie pilnuje w pracy, w sumie same plusy.

- A jednak ludzie mnie męczą. Gonią za rzeczami, których naprawdę nigdy nie dostaną. A ja im mam to ułatwiać. Plotą mi jakieś bzdury o samorealizacji zawodowej, a ja w ich oczach widzę tylko zysk.

- Część z nich to materiał odpadowy, a część to karierowicze bez zahamowań. Ty masz ich tylko wyselekcjonować. Nie jesteś doktorem ich czynów, jesteś lekarzem ich dusz.

- Niby tak.

- Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze – Agnieszka wstała od stolika. – Muszę lecieć do pracy.

Gdy wychodziła z kawiarni, Marta krzyknęła przez całą salę:

- Nie brak ci miłości w życiu? Nie czujesz się czasami samotna w tej ginitwie?

- Nie – Agnieszka zaśmiała się na odchodne. – Samotność i miłość to grzechy, z których należy się jak najprędzej wyleczyć.

Agnieszka wybiegła z sali. Marta czuła, że pośpiech ją kiedyś zgubi, okaże się pułapką, ślepą uliczką w ciemnej kamienicy, zapadnią na grząskiej drodze, z której ciężko będzie się jej wydobyć.

Dwa kolejne lata pracy w firmie wyniszczyło ją emocjonalnie. Przestała się całkowicie śmiać, straciła pogodę ducha. Była psychologiem, który sam sobie nie mógł pomóc. Zniszczyli ją ludzie obojętnością wobec innych, namiętnością do pieniędzy i zgubną wiarą, że awanse załatwią im całą przyszłość. Będzie im łatwiej rozwiązać problemy poprzez własne stanowisko. Nawet nie wiedzieli jak bardzo się mylą. Władza uzależnia, jednak nie daje żadnych nadziei na lepsze samopoczucie.

W tym okresie Marta prowadziła dwie sprawy równocześnie. Przychodził do niej frustrat, który nie dostał awansu, choć podobno, według jego słów, był pewniakiem do tego stanowiska. Musiał awansować, musiał być o stopień wyżej i musiał więcej zarabiać niż inni,

gdyż według niego było to miarą prestiżu, chęcią pokazania innym, jak na wiele go jeszcze stać. Mężczyzna ciągle był niezadowolony, wciąż uparcie drażył tematy swojego życia, powtarzał w kółko jak bardzo jest doskonały, niczym oszlifowany diament leżący w sejfie u jubilera.

Druga sprawa była okropna, paraliżująco trudna dla Marty. Czuła się, podczas rozmowy z mężczyzną, iż brodzi z nim przez moczary w lesie, i on, swoim okrucieństwem, wciągał ją coraz dalej w głębokie bagna. Ów mężczyzna jechał z żoną i małą córką, samochodem, do domu. Gdy dojeżdżali do domu, zadzwonił telefon służbowy. Mężczyzna z wyrobionym nawykiem odebrał go natychmiast i rozmawiał przez bardzo krótki moment. Jednak ta chwila nieuwagi zaważyła na jego dalszym życiu, przeoczył tira jadącego z boku, który uderzył ich z całą bezwzględnością. Kobieta z dzieckiem zginęła na miejscu, on przeżył, choć tak bardzo pragnął w szpitalu śmierci. Dla niego śmierć mogła być tylko wyzwoleniem, zapomnieniem o przeszłości, a jednak wciąż żył. Los ukarał go głuchą skargą przeżycia.

Gdy Marta Ulska z nim rozmawiała, to wciąż widziała piekło w jego oczach, żar utraconego spokoju duszy, ciągnął go na skraj przepaści. Momentami pojawiał się gniew wobec samego siebie, że to on ponosi winę za to wszystko. Przecież prowadził samochód, mógł nie rozmawiać przez telefon. Jeden błąd – jedna kara. Surowa kara – bezmiar piekła.

Marta widząc to wszystko, jego bunt wobec życia, wybrała mniejsze zło, starała się go utrzymać tylko przy gniewie, gdyż widziała w błyskach jego źrenic strach, co będzie, gdy odważy się na ten ostateczny krok. Wołała gniew niż piekło, w tym momencie to był dla niego najlepszy. Gdy taplał się w gniewie, niczym rekin przed polowaniem, był na moment bezpieczny i oddalał się o dwa kroki od skarpy. Gniew był skuteczniejszy, dawał większe szanse przeżycia; piekło wciągało żarem, stawało się ścieżką bez przyszłości.

Mężczyzna stał na pograniczu dwóch światów, wciąż się wahał, gubił i miotał. Marta tak bardzo chciała mu pomóc. Każde kolejne spotkanie stawało się szarpaniną pomiędzy nocą a dniem, pomiędzy ciemnością a blaskiem i pomiędzy bólem a sposobem ukojenia tego uczucia. Ciągnęli nawzajem linę, szarpiąc ją bez opamiętania. Marta okropnie bała się, że kiedyś, w którymś momencie, ona pęknie i wszystko zamieni się w koszmar. Poniesie największą porażkę w życiu, nie pomoże osobie, która tej pomocy już od nikogo nie oczekiwała. Są sytuacje, kiedy nic nie da się uczynić, kiedy wszystkie karty dawno są rozdane, a gracze próbują tylko opóźnić i tak wiadome, z góry ustalone, zakończenie rozgrywki.

Widowała się z nim codziennie, siedzieli naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy, jego spojrzenie zawsze nasączone było pustką, świecił w nim chłodny wiatr pustyni – suchy, cierpki i mrocznie bezwzględny. Ich spotkania wyglądały trochę jak gra w szachy, Marta wykonywała ruchy, przemyślane i przeanalizowane na kilka posunięć do przodu, a on jak maszyna, bezduszna płatanina trybów, wykonywał swoje posunięcia. Marta chciała wygrać, a on chciał tylko przegrać. Dla niego zwycięstwem mogła być tylko przegrana. Ironia losu, przegrywając też można stać się zwycięzcą.

Drugi mężczyzna też ją niepokoił, lecz stawał się dla Marty wytnieniem pomiędzy walką z diabłem. Mówił coś o swoim dołku, że trudno mu z niego wyjść, a ona na niego patrzyła i z zawodowym uśmiechem doradzała mu kolejne kroki jego życia. Było jej obojętne czy mu pomoże, czy nie – tak bardzo nienawidziła tego człowieka za zawracanie jej głowy bzdurami, które były tylko wymysłem jego chciwego umysłu. Musiała z nim przebywać – to wciąż była jej praca.

I potem znów wracała do piekła schowanego w umyśle drugiego pacjenta. Chwilami wydawało się jej, że mu pomaga, lecz później błady wzrok wyjaśniał Marcie, że stoją znów nad przepaścią.

Zapamiętała ostatnią rozmowę z mężczyzną. Cierpkość jego słów świadczyła, że podjął on decyzję i tylko odwlekał ją w czasie. Bał się śmierci, lecz o wiele bardziej bał się wspomnień. Zmuszał swój umysł do niepamięci, a on niczym strzelec wyborowy, trafiał kulami wspomnień w samo serce.

- Niech pani mnie zostawi. To i tak nie ma sensu. Ja wiem, że pani musi ze mną rozmawiać.

- Nie muszę, chcę.

- Każda ścieżka się kiedyś kończy. A tak w istocie, kiedy stoję nad przepaścią, to zarazem się cofam wstecz. Nie chcę się cofać, chcę iść do przodu. Nie należy iść do przodu tylko wtedy, kiedy nas gonią. Niekiedy musimy iść tylko po to, żeby w końcu dokonał się jakiś wybór, nieważne dobry czy zły. Zawsze jest jakiś wybór, nie dokonując go, opóźniając w czasie, tkwimy w martwym punkcie. Ja już nie chcę tkwić w martwym punkcie...

- Razem uda nam się przez to przejść.

- Nic nam się nie uda. Jestem niczym studnia na pustyni, pusty i zniszczony. Niech mi pani tylko ułatwi ten jeden krok do przodu i wtedy znów będę zwycięzcą. Oszukam przeznaczenie.

- Nie boi się pan?

- Okropnie, lecz o wiele bardziej boję się smutku, samotności duszy. Zawsze już będę sam, martwi na duszy nikogo nie interesują. Serce straciłem, duszę straciłem i teraz muszę tylko ciało stracić. To tak niewiele i tak dużo – mężczyzna zamyślił się w niebycie skojarzeń. – Boję się zasnąć, gdyż i tak nie będę spał, boję się wstać, gdyż i tak nie będę żył, boję się myśleć, gdyż i tak myśli zabijają mi przyszłość.

- Nie można się poddawać – Marta chwyciła go za rękę. – Musimy iść do przodu pomimo niepowodzeń – głos jej się łamał krzyżowo, czuła, że go straciła i już więcej nie zobaczy.

- Dziękuję za wszystko. Spotkamy się jutro – skłamał, gdyż chciał ją uspokoić. – Często to śmierć nas zaskakuje, a jednak czasami bywa tak, że to my zaskakujemy śmierć.

Mężczyzna wyszedł. Marta siedziała załamana. Proces oczyszczania duszy z bólu całkowicie spalił na panewce. Czuła, że przegrała, każdy by przegrał, a jednak to ją nie pocieszało i nic nie usprawiedliwiało.

Całą noc myślała o ostatniej rozmowie, a rano prawie pobiegła do budynku firmy. Mężczyzna nie przyszedł do pracy, serce Marty waliło jak młot, gdy dzwoniła na policję.

Nie pomyliła się, stało się to, co i tak musiało się stać. Powiesił się nad ranem, kiedy niespełniony sen i nadmierne zmęczenie ułatwiło mu decyzję. Wystarczy tylko odrobinę się zmęczyć, żeby pewne sprawy załatwić bezboleśnie. Kiedy umysł zamroczony jest zmęczeniem, wszystko jest łatwiejsze.

Plakała całą noc, rano wyglądała jak cień demona z najgorszych koszmarów. Pojechała do pracy, odbębniła powolne godziny i gdy wracała do domu, zatrzymała się mimowolnie tuż przy szkole, tam gdzie miała praktyki na studiach.

Dzieci biegały na boisku, gwar mieszał się ze zgiełkiem pędzących uczniów w środku budynku. Chaos mieszał się ze szczęściem, a spokój nasączony był chaosem. Uśmiechnęła się w duszy, kiedyś była tu szczęśliwa, choć nie miała wcale pieniędzy. Teraz posiadała pieniądze, a jednak straciła szczęście. Nawet nie udało się jej głębiej zanurzyć w sobie, pochłonięta została przez frustratów, którzy skierowali ją w kierunku blasku pieniądza. Prawie im uwierzyła, że pieniądze są same w sobie celem, wciągnęli ją w tą grę bez przyszłości, a ona dała się uwieść blaskowi ich rozżarzonych spojrzeń.

Przez kilka dni siedziała w domu, nigdzie nie wychodziła. Zanurzyła się w smutku, mocno i głęboko. Zegar na ścianie tykał niespokojnie, wskazówki przemieszczały się w prawo w amoku zamkniętej chwili. Biła

z niej jakaś obojętna agonia czasu – czasu, który stracił dla niej prawdziwy sens.

Gdy nadszedł dzień pogrzebu cały ranek padało rześistym, lekko podmytym wiatrem deszczem. Przysadziste chmury, gonione na wschód oporem powietrza, zakrywały miasto zimną kopułą. Wszystko zamarło schowane w strugach deszczu.

Marta Ulska poszła na cmentarz na piechotę, schowana pod czarnym, lekko podniszczonym parasolem. Szła po kałużach rozłożonych równomiernie na chodnikach. Było jej wszystko jedno, zarówno, jaka jest pogoda jak i to, że ma mokre buty. Przegrała, wiedziała, że została brutalnie pokonana przez rzeczywistość. Dostała nokaut od życia, skuteczny cios skierowany w kierunku jej doświadczenia zawodowego.

Jej myśli rozbiegane i chaotyczne, wyglądały jak lot nietoperzy w jaskini przesyconej ciemnością, goniły z ciemności w mrok, z mroku w czeluść nocy. Przemieszczały się w różnych kierunkach, szukając jakiegokolwiek wyjścia, lecz wszystkie kierunki stały się nagle złe i wątpliwe. Żaden nie był prawidłowy i właściwy.

Kiedy popełniamy duży błąd, taki nie do naprawienia, całość linii prostej nagle diametralnie się zmienia, i każdy następny krok staje się niepewnością. Tracimy wiarę i dumę. Pozornie przemierzamy się do przodu, a tak naprawdę cofamy się w strachu do tyłu.

Niewiara staje się naszym ojcem, a pustka matką. Wtedy boleśnie sobie uzmysławiamy, jak kiepskimi rodzicami obdarowało nas życie. Niby są, a tak naprawdę ich nie ma i nigdy nie było.

Cmentarz spowity był w całości w deszczu. Cała firma przyszła pożegnać kolegę. Ostatni ukłon pieniędzy w kierunku śmierci. Marta patrzyła na ceremonię półprzymkniętymi oczami, nie chciała ich widzieć, tak doskonale udawali ból, choć tak w ogóle mało, co się znali, i prawie nic dla siebie wzajemnie nie znaczyli. Byli połączeni wspólnym budynkiem, wspólnymi godzinami pracy i wspólnym dążeniem po trupach do celu.

Za kilka dni zapomną o koledze, będzie przeszłością, która zostanie przesłonięta szybko biegnącą, niczym sprinter na końcu finiszu, terażniejszością. Wszystko wróci do normy i znów będzie można spokojnie zarabiać pieniądze.

Gdy Marta wychodziła z cmentarza podszedł do niej drugi mężczyzna, ten, którego leczyła równocześnie z dzisiejszym trupem. Nie wziął ze sobą parasola, więc był mokry i przesiąknięty kropkami deszczu.

- Dziękuję za wszystko, udało się, awansowałem – mówił radosnym głosem.

- Może nie rozmawiajmy o tym dzisiaj – zaproponowała cicho Marta, schowana niczym tchórz za parasolem.

- To tylko dzięki pani, tak mnie pani wspierała, teraz będzie wszystko inaczej.

- Jest pan pewny, że lepiej? – Zadała kąśliwe pytanie Marta.

- Oczywiście, większe pieniądze, przywileje, całość życia się zmieni.

- W życiu liczą się detale, to one składają się na całość, nigdy odwrotnie.

- Nie rozumiem, ale dziękuję. Dzięki pani jestem innym człowiekiem – powiedział mężczyzna i zaczął wychodzić z cmentarza.

- Ale czy lepszym? – Mężczyzna jednak nie usłyszał pytania, zbyt zajęty był swoimi mrzonkami.

Marta wróciła do domu. Siadła na tapczanie wolno i cicho, spoglądała na ostro tykające wskazówki zegara na ścianie i uparcie myślała, starała się jakoś okiełznać całość tego, co się wydarzyło, mądrym tokiem myśli.

Tak bardzo zależało jej na zwycięstwie osoby, która dziś odeszła w zaświaty, a jednak przegrała. W ogóle jej nie zależało na pomocy drugiemu mężczyźnie, on nigdy nie potrzebował jej wyciągniętej ręki, a tam właśnie odniosła zwycięstwo. Spragnionego nie potrafiła napoić, a przejedzonego dopychała kolejną porcją chleba.

Stwórca wyznacza nam dziwne koleje uczynków, odnosimy zwycięstwa, których nie potrzebujemy, a doznajemy porażek, na które nie zasługujemy. Wszystko jest jednym dużym testem, na którego pytania w zasadzie nie znamy odpowiedzi. Zły krzyżyk postawiony przy pytaniu oznacza decyzję, z której bardzo długo podnosić się będziemy w przeszłości.

Następnego dnia Marta złożyła wypowiedzenie. Odeszła niezauważalnie z firmy, podobnie niezauważalnie jak do niej przyszła. Ludzie bez ambicji zawsze są niezauważalni dla innych.

Marta już teraz wiedziała, iż posiadała tylko jedną ścieżkę, cel, od którego na moment się oddaliła, pomaganie innym. Postanowiła do marzeń jakoś wrócić, zacząć wszystko od nowa. Na swój sposób, bez pośpiechu, a przede wszystkim bez bieganiny, która w tej pracy więcej przeszkadza niż pomaga. Pośpiech wskazany jest w sporcie, w życiu niekoniecznie.

Wróciła do szkoły, miejsca gdzie wszystko się rozpoczęło, zaczynało kwitnąć i nagle się skończyło.

Po głębszym namyśle Marta Ulska stwierdziła, że nie da się pomóc ludziom, którzy są już na środku ścieżki życia, a tym bardziej na samym

jej końcu. Oni są przegrani, bezkarnie naznaczeni skazą czynów już dokonanych. Przyszłość dla nich to pieczęć, za którą znajdują się niespełnione marzenia.

Trzeba zacząć od dzieci, one są nadzieją i wiarą. Bezbronnością atakują suchą rzeczywistość. Im można jakoś pomóc, je można jeszcze zmienić, są na samym starcie, na początku drogi. Gdy Marta nimi odpowiednio pokieruje i pomoże im w chwilach zwątpienia, na pewno dojdą do celu, do swojej wyspy, która gdzieś spokojnie pływa w rozhukanym oceanie.

Marta chciała zacząć od podstaw i dlatego właśnie wróciła do szkoły. Do zgiełku, do chaosu, do korytarzy przepełnionych żarem i do niewinności rozpościerającej się tuż pod sufitem szkoły.

Oszukiwanie swojego sumienia zdaje swoje zadanie, lecz tylko na początku. Oszukiwanie swojego serca, dawanie mu za szybkiego rytmu bicia, tymczasowo sprawdza się, lecz kiedyś musi nastąpić przesilenie. Oszukiwanie swoich myśli, nadawanie im absurdałnych znaczeń, zmienia nas całkowicie, zabija od środka, wierce dziurę w mózgu, który nagle zaczyna pracować inaczej.

Nigdy nie zmieniamy naszych myśli, dajmy im szansę rozwinąć skrzydła i unieść się ku chmurom, gdyż, jeśli zamknijemy je w klatce umrą w ciemności nocy, przesłonięte niemocą zmiany losu.

Myśli są jak mewy nad morzem, nisko latają wśród szczytów fal i nigdy nie boją się dotknąć skrzydłami porannej bryzy morskiej.

NAJSMUTNIEJSZY CZŁOWIEK ŚWIATA

Smutek jest to lękliwy stan zawieszenia pomiędzy radością a depresją. Sklasyfikowany jest raczej bliżej depresji, jednej z cech, która zatrzymuje nas przez moment w ciszy bólu, ale jednak ten stan potrafi także ocierać się o radość, przemyślaną radość zadumy.

Zostaliśmy zaopatrzeni przez Boga w bagaż emocji – plecak uczuć noszony w spojrzeniu, w mimice całej twarzy, w ruchu swobodnym rąk i w siłę głosu, który potrafi tak sprawnie emocjami kierować, niczym dobry przewodnik goniący pośpiesznie spóźnioną grupę ludzi na wycieczce.

Mamy w sobie zarówno dobro tak jak i zło, mamy gorycz niesłusznego zwycięstwa mieszany z goryczą porażki, mamy również radość, choć zbyt często ocieramy się, co jakiś czas o smutek, mamy łzy w oczach, jednak często nasze oczy świecą blaskiem niczym rozpalone gwiazdy w nocy, podczas nienagannej pełni księżyca, mamy też bunt, a jednak wraz z nim chwytny pazernie czas czyniąc z niego pokorę, zwątpienie też posiadamy, choć przeważnie momentami, ci, co mają je przez dłuższy czas toną, powoli zanurzają się w morzu rezygnacji, wszystko to mamy w sercu, w oczach i ruchach, czyli jeśli mamy wszystko – nie posiadamy do końca tak naprawdę nic.

To wszystko jest jak pasja malarza rzucona na cichy huragan płótna, barwa kolorów, barwa cieni i barwa uczuć, które tylko częściowo są nasze, a tak ogólnie są niczyje – wątpliwe cechy naszych marzeń o idealnym sobie, o doskonałości swego ciała i umysłu.

Smutek przeważnie jest przelotny, zastępowany szybko śmiechem, czasem ironicznym, czasem łzawym, przelotnie krępującym. Problem, a raczej istota ścisła świata, polega na tym, że kiedy smutek przemienia się w ciągłość życia, staje się nagle chlebem powszednim naszych kroków, izolacją śmiechu w naszym umyśle, i kiedy to dzieje się świadomie, a nie daj Boże jest to nieświadomość losu, który zakrada się znieścacka i nas gdzieś po drodze zaskoczy, to wtedy, życie, które miało być ciągłą wędrówką do celów bliższych lub dalszych, czasem niespełnionych, staje się nagle, umiarkowanie podsumowując, tragedią duszy na rozdrożu, i kiedy budzimy się rano z brakiem uśmiechu na twarzy, ze strachem, że już na starcie dnia mamy szarość w oczach, a jednak uparcie wstajemy, nie poddajemy się od razu, zmuszamy siłą rozpędu nasze zwiotczałe ciała do życia, mamy obowiązki, całe mnóstwo rzeczy do spełnienia – ważnych lub

mniej ważnych dla nas, a momentami bardziej istotnych dla innych i dla rodziny, która zawsze wtedy jest gdzieś z boku, w samotności smutku zawsze jesteśmy tak naprawdę sami, i mimo wszystko robimy te dziwne rzeczy, dobre, a momentami może złe, i ciągle mamy problem z normalnym oddychaniem – przecież oddychamy na smutno, na siłę, i spotykamy ludzi, całe mnóstwo żyjących tylko sobą istot, które nie widzą nas naprawdę, są zajęci swoimi światami jak zawsze – zmieni się to tylko wtedy, kiedy natura zmusi ich do upadku, jednak na razie są na prostej, ścisłej prostej swojego uporządkowanego życia, i kończymy swoją pustą egzystencję wraz z mrokiem nocy i cieszymy się, choć nie powinniśmy, że dzień się kończy, że można będzie zasnąć i zapomnieć, a może nagle uciec myślami do marzeń sprzed lat, do wiary, dziecięcej nadziei o doskonałości życia i świata, i tuż przed samym zaśnięciem, zawieszeniem pomiędzy dwoma światami, rzeczywistym i tym nierealnym, choć do końca nie wiadomo naukowo, który jest lepszy, ten ze snów – nieprawdziwy, lecz przepełniony marzeniami, czy ten realny – prawdziwy jednak mało, co zbliżony do tego, o którym błędzimy myślami w amoku coraz słabszej wiary, i tuż przed samym zawieszeniem myśli, uświadamiamy sobie wąpiący strach przed następnym kolejnym dniem, który nastąpi po kilku godzinach snu przed nami, uzmysłowimy sobie dotkliwie, że tak już będzie zawsze, uzmysłowimy sobie inność nas samych, taką dziwną, obcą i całkowitą, i w końcu uzmysłowimy sobie, co nas najprawdopodobniej najbardziej zabolą, że smutek będzie zawsze naszym przyjacielem aż do końca, prawdziwym przyjacielem strachu, i poczujemy wtedy strach dogłębnie, poczujemy obawę i poczujemy ból, który znów nas otuli powoli do snu, ugłaskuje nasze myśli przed ostatnim zamknięciem powiek i pomoże zasnąć, aby znów rano przywitać nas z radością – radością smutku poranka.

Krótko mówiąc, smutek prawdziwy niczym nie różni się od smutku przejściowego, z tą różnicą, że niektórzy są na niego skazani przez nie łaskawość losu do końca, i będzie to opowieść o człowieku – Najsmutniejszym Człowieku Świata, który kiedyś taki nie był, dopóki los nie skarcił go bez powodu, rzucił na niezaorane pole gliny i kazał iść do przodu ze świadomością jałowości tej drogi, a więc będzie to opowieść o Najsmutniejszym Człowieku Świata – przesączona przez moje oczy i przez smutek, który nagle zaczął bić od niego, nagle – i to nagle było zaskakujące zarówno dla niego jak i dla jego ciała, co wkrótce okaże się z nurtu moich słów.

Mieszkalem w malej miejscowosci, nazwa tutaj jest bez znaczenia, takich miasteczek sa tysiace – bezimienne miasta bez wiekszych szans na przyszlosc. Ideałem tych skupisk istot jest spokój – można tutaj w samotności dnia się zapomnieć, minusem – brak szans dla młodych ludzi, osób pragnących wyfrunąć na szerokie wody oceanów życia. Wybór zazwyczaj jest trudny, w życiu strategiczne decyzje przeważnie są zawsze trudne, albo pieniądze za utratę korzeni, albo korzenie nasączone trudem przetrwania – zazwyczaj wybieramy przyszłość, czyli pieniądze – korzenie można wszędzie zapuścić, a tęsknotę zawsze można zapić alkoholem. Starym eliksirem zapomnienia w bólu.

Zaczęłam chodzić do szkoły podstawowej, zresztą jak każdy, piękny etap wczesnego dzieciństwa – nowe znajomości, nowi przyjaciele, nie tylko ci z podwórka, i wszystko nowe – takie niedostępnie świeże, nasączone początkami wiedzy.

Zdobyłem kilku przyjaciół, w miarę szybko, może zbyt pośpiesznie, zresztą sam nie wiem do dziś, grupę osób, z którymi się bawiłem na przerwach; i właśnie wtedy w mojej klasie, chyba drugiej, pojawił się on, mały brunet wiecznie uśmiechnięty, lubiany przez innych, a jednak zawsze stojący gdzieś z boku, na poboczu dwóch planet – swojej i naszej. Wtedy jeszcze nie był Najsmutniejszym Człowiekiem Świata, miał radość w oczach, pożerał nimi każdą świeżość kolejnego dnia. Miał cele jak każdy, małe cele małej osoby; widać było, że lubi swoje życie, jest z niego w miarę zadowolony. Znałem go jak każdy, pozornie, pobieżnie, jednak nie do końca.

Graliśmy czasem w piłkę, podczas przerw na boisku, od czasu do czasu robiliśmy też różne kawały, i tak, prawie bezpiecznie, doczekaliśmy się czwartej klasy. Pod koniec roku szkolnego nagle zniknął nam z oczu, podobno jeździł na konsultacje do lekarzy, jak się później miało okazać, bezowocne wizyty w szpitalach podczas nierównej walki z chorobą – walka z chorobami przeważnie jest nierówna, zwłaszcza z tymi nieuleczalnymi, i dlatego później porażki tak bardzo nas naznaczają wiecznym smutkiem w oczach.

Przyszedeł po wakacjach, uśmiech został zastąpiony mrokiem, rezygnacją w oczach małego chłopaka i konsternacją wymieszaną ze wstydem tego, co nagle, ale konsekwentnie, zmieniło jego dalszy los.

Jego ciało, a zwłaszcza plecy, chyliło się trochę do przodu, mały jeszcze garb nieproporcjonalnie niszczył cały koloryt jego postury. Ręce już były krótkie, jak na ten wiek, a korpus stał się małym okrętem łączącym maszty, żagle i zbyt dużą kabinę w całość – jedną bezkształtną owalność statku.

Choroba zaatakowała go nagle i niespodziewanie, niczym tajfun niszczyła całe jego dalsze życie, wszyscy byli zaskoczeni takim obrotem sprawy, a już najbardziej zaskakująca była dla niego – stał się ruiną za młodu, zbombardowanym miastem bez szans na jakąkolwiek odbudowę.

Adam Kasprzykowski – bo tak nazywał się Najsmutniejszy Człowiek Świata, stał się milczący, zanurzony w niepokoju chwili, w nieodwracalnym momencie swojego dopiero co zaczynającego się losu. Odsuwał się na bok od wszystkich, albo to inni powoli zaczynali się odsuwać od niego. Był chłopakiem z innej planety, już nie zapraszali go do gry w piłkę jak kiedyś, choć był świetnym napastnikiem, już nie zapraszali go do wspólnych żartów na przerwach i już nie zapraszali go do swoich wspólnych światów – miał swoją planetę a oni mieli swoją. Samotność choroby nigdy nie jest samotnością tłum. W chwilach próby zawsze jesteśmy sami, a teraz dla niego zaczynała się nieustająca chwila próby, powolnego uświadamiania sobie, że można być samemu na świecie – bez przyjaciół, bez kolegów i bez osoby, która mogłaby być naszą drugą poświatą, a której już nigdy nie będzie miał nawet w marzeniach. Przykra jest myśl, zwłaszcza na początku drogi, że zawsze już będziemy sami, i że nasze życie będzie jałowe, pełne chłodu, bez emocji i bez celów. Gdy nie mamy dla kogo robić rzeczy niezwykłych, po co je w ogóle próbować robić.

Jeszcze z nim rozmawiałem, być może byłem jedyną osobą, którą dopuszczał do swojego cierpiącego świata, lecz musiałem niespodziewanie wyjechać, ojciec dostał dobrą pracę w dużym mieście, a więc skreśliliśmy nagle nasze uporządkowane życie tutaj, i wyjechaliśmy, jak to się potocznie mówi, w wielki świat, no, może większy niż ten tutaj. Wynajęliśmy nasze mieszkanie, a ja go ostatni raz widziałem właśnie wtedy, w połowie piątej klasy. Choroba nieubłaganie w nim postępowała, niby był zdrowy, a jednak chory, niby normalnie funkcjonował, a jednak był inny, i w końcu niby był sprawnym człowiekiem, a jednak jego nienaturalny wygląd odstraszał innych od niego.

Już wtedy Najsmutniejszy Człowiek Świata stawał się odludkiem z wyboru, osobą z innego brzegu rzeki. Najsmutniejszą rzeczą, jaką widziałem tuż przed samym wyjazdem, w ostatnich dniach szkolnych roku, były te chwile, kiedy rówieśnicy przestawali się litować, a litość zamieniała się w śmiech – wtedy pierwszy raz ktoś rzucił w niego kamieniem, zbudowanym ze słowa, i nazwał go żółwiem. Tłum szkolny szybko podchwycił tą nazwę i Adam został żółwiem, wtedy zamknął się całkowicie w sobie, w myślach i w sercu; łyzy, które pewnie wylewał w poduszkę w nocy stały się słońce, bardzo słońce w mglistym świetle gwiazd.

Tłum umie linczować innych, szczególnie tych słabszych, zrozumienie przegrywa wtedy z krzykiem, niezdecydowani są niesieni falą nienawiści okrzyków, na reakcję później jest o wiele za późno, gdy raz kogoś utopimy za życia w wodzie, ciężko go później wydobyć z mętnych głębin studni. Śmiech i żarty uderzają najmocniej, a szczególnie wtedy, kiedy jest w nich odrobina prawdy, prawdy nie z naszej winy, lecz prawdy z nie łaskawości losu i skrajnego przypadku, który nas wybrał świadomie za swojego dozgonnego przyjaciela.

Straciłem go z oczu na wiele lat. Mieszkalem w dużym mieście, uczyłem się w dużym mieście i nagle, niespodziewanie dla mnie, poczułem jak bardzo zagubiony jestem w dużym mieście. Bez przyjaciół, bez znajomych i bez ciszy, która wszechobecna była w dzieciństwie. Okazało się, że zgiełk miasta nie jest moim zgiełkiem duszy.

W szkole średniej poznałem już lepiej ludzi, tam startowałem od zera, zresztą jak każdy, wszyscy byliśmy dla siebie na początku obcy, nieznanymi charakterologicznie i niezgłębieni w swoich czujnych twarzach. Tam było lepiej, zdecydowanie lepiej niż w szkole podstawowej, gdzie zostałem rzucony na głęboką falę nieznanym dla mnie twarzy, a którzy będąc w szóstej klasie potrafili ze sobą doskonale już funkcjonować. Tam byłem nowy, a nowym wszędzie jest ciężko.

Rodzice byli zadowoleni z nowego, podanego im na złotej tacy, życia. Wiadomo, wielki świat, wielkie nadzieje na przyszłość – nowość ich całkowicie pochłonęła. Podczas rozmów ze sobą, wspólnych wieczornych debat przy herbacie, a czasami przy lampce czerwonego wina, postanowili, że nie wrócą nigdy do ojczyzny mojego dzieciństwa.

I wtedy, kiedy wszystko już było postanowione, okazało się, że w życiu nie należy nic postanawiać na wyrost – los i tak weryfikuje nasze zamiary, pchając nas na siłę w szpony przeznaczenia. Plany są dobre, dają siłę iść do przodu, jednak i tak na końcu okazuje się, że są bez jakiegokolwiek znaczenia.

Ojciec umarł na raka, szybko i niespodziewanie, choroba nagle wchłonęła go w czeluści śmierci. Mieszkanie służbowe przestało być naszym domem, oazą spokoju, i niespodziewanie dla nas samych zostaliśmy bez dachu nad głową. Ponieważ matka nie pracowała, nie było wcześniej takiej potrzeby, zostaliśmy też bez pieniędzy. Straciliśmy całą stabilizację życia. Względny spokój przerodził się w niepewny niepokój.

Wróciliśmy na stare śmiecie. Akurat skończyłem szkołę średnią, niby miałem studiować, coś próbować robić w życiu, a tu nagle życie zadecydowało za mnie samo. Musiałem iść do pracy, żeby, choć trochę

pomóc matce. I tak nie miałem koncepcji na studia. Zamiast iść na byle jaki kierunek, lepiej podjąć byle jaką pracę, aby pomóc rodzinie, a teraz miałem tylko matkę – samotną osobę zrozpaczoną w domu. Nigdy nie jesteśmy gotowi na odejście osoby ważnej, żadna siła nie jest nas w stanie na to przygotować, a odejście niespodziewane jest jeszcze bardziej bolesne – nie mamy czasu oswoić swoich myśli ze śmiercią.

Zacząłem pracować w magazynie, szybko się wdrożyłem, być może byłem urodzonym magazynierem – bez świadomości swojego przeznaczenia. Nawiązałem kontakt z dawnymi przyjaciółmi, nic się nie zmienili, niestety życie ich też zmusiło do pracy. Małe miasto, małe perspektywy, mała szansa wybicia swoich marzeń na światło dzienne. W małych miastach ciężko mieć duże marzenia. Małe miasta niszczą te marzenia, a jeśli nie zniszczą ich dokumentnie, to próby podjęcia tych marzeń i tak dla większości kończą się porażką. Niektórym jednak się udaje, moim przyjaciołom niestety się nie udało. Zostali tam, gdzie prawdopodobnie zostaną do końca życia, w miejscu swojego urodzenia.

Pewnego poranka, po kilkuletniej akceptacji dalszej części swojego przyszłego losu, czekałem na peronie na ciotkę – o dziwo, nasze miasto posiadało dworzec, mały betonowy peron, który dla niektórych był symbolem nadziei, szalonej ucieczki od czegoś małego, a dla pozostałych był kwintesencją porażki powrotu, rezygnacji z rzeczy niespełnionych. Dla mnie był poczekalnią – miejscem, gdzie czasami czekałem na kogoś, albo to ktoś czasami czekał na mnie. Kolejnym miejscem bez znaczenia, kłębowskiem ciał wyjeżdżających do kogoś, lub przyjeżdżających do kogoś.

Gdy pociąg wtoczył się na peron, ze świstem wtargnął w nasze małe miasteczko, gdy koła z mozołem kończyły swój bieg, zanim stanęły w bezruchu i uspokoiły swój ruch, wtedy go zobaczyłem, po raz pierwszy od długich lat znów go ujrzałem.

Najsmutniejszy Człowiek Świata stał na peronie. Miał tyle lat, co ja – czyli dwadzieścia. Wciąż był mały, może teraz trochę większy, garb się odrobinę powiększył, długie ręce i długie nogi wciąż były nieproporcjonalne, i ten smutek bijący z jego spojrzenia, głęboki smutek cierpienia i obcości – to się u niego nie zmieniło, wręcz spotęgowane zostało przez te długie, jakże obce mu lata, suche daty pustych dni, nasączone obojętnością innych na jego osobę.

Stał zagubiony, może skądś wracał, a może na kogoś czekał, jednak stał bez emocji, bez przekonania, ludzie mijali go jak powietrze, skupieni na swoich małych prywatnych światach. Dla nich był tylko przeszkodą

torującą im drogę na peronie, kimś, kogo należy ominąć żeby nie potknąć się na drodze. A on tylko stał i patrzył pusto przed siebie – bez emocji, bez żalu, bez konsekwencji swojego spojrzenia na rzeczywistość.

I nagle ludzie wylali się z pociągu niczym pszczoły z ula. Najsmutniejszy Człowiek Świata został zalany masą ludzi, tłum wchłonał go jak maszyna pompująca wodę w zalanej piwnicy. Zniknął niespodziewanie tak jak niespodziewanie się pojawił. Cień przeszłości zabrało mi ciche światło dnia.

- Długo czekasz? – Ciotka stanęła tuż koło mnie.
- Nie ciociu, krótko – skłamałem.
- To dobrze, pociąg trochę się spóźnił.
- Chodźmy do domu, mama czeka – rzekłem. Potem wyszliśmy z peronu.

Ciotka przyjechała na miesiąc, w końcu był to jej urlop. Każdy pragnie ciszy i spokoju w wakacje – a nasze miasto mogło to jej niezbitcie zagwarantować. Tanie wakacje w małym mieście, najtańsze rodzinne wakacje dla ciotki, czyli u nas.

Ciotka spędziła u nas cichy miesiąc. Niespodziewanie stałem się dla niej kamerdynerem, przewodnikiem i psychologiem, słuchaczem jej cichych wywodów o życiu, – dlaczego jest tak okropne, dlaczego tak nas poniża i dlaczego młodość, czas, w którym się aktualnie znajduję, takie klimakterium światła, niedoceniana jest przez zainteresowane strony, później podobno mamy tego żałować. Żałuje się porażki, żałuje się straconej miłości, żałuje się wtopionych pieniędzy w błoto, więc można także żałować utraconej młodości, choć osobiście uważałem, że nie powinno się nigdy żałować najlepszego okresu w życiu, choćby był naszym najczarniejszym snem.

Gdy wyjechała poczułem ulgę, znaczący komfort odzyskania siebie na nowo, harmonia powoli wracała do domu. Znów stałem się panem swojego losu i znowu mogłem chodzić z kolegami na łąkę, tuż przy samej rzece, i w piątki upijać się tanim winem, aż słońce zachodem zakończy kolejny dzień – była to bezpłatna naturalna telewizja przyrody.

Siedzieliśmy nieruchomo w trawie, jak łowcy oczekujący na zwierzynę przy wodopoju – akurat nasz wodopój właśnie się skończył. Jak zwykle wszyscy byli zaskoczeni – koniec butelki zawsze paraliżuje w zaskoczeniu nasze myśli. Jak to się mogło stać? Aż tak szybko? Znów za mało, znów

za prędko, znów za słabo podziało. Suma zaskoczeń podzielona przez ogólne zdziwienie, wynik – smutek i przerażenie.

- A więc koniec? – Stwierdziłem patrząc w granatowe chmury. Ciemność zakryła gwiazdy nad naszymi bezwymiaryowymi głowami.

- Zawsze jest jakiś koniec – rzekł Marek, on miał zawsze najmocniejszą głowę.

- Koniec picia, koniec zabawy – dodał Krzysiek, najmniejszy z nas wszystkich.

- Czy wszystko ogranicza się do picia? – Zastanawiał się Muniek, on był zawsze najlotniejszy, miał szansę się wybić, zmarnował ją zostając w mieście bez powrotu, pogrzebał swój sukces za młodu.

- Nie, nie wszystko, ale jeśli tkwisz cały czas w jednym miejscu, bez szans na jakiekolwiek posunięcie do przodu, w końcu i tak zaczynasz pić, świadomie lub nieświadomie, z rezygnacji, z bólu duszy, a może po prostu chcesz zabić resztkę wycia swojej godności, która po nocach nawiedza cię w snach – powiedziałem. – Stajesz się innym człowiekiem, nigdy już nie wracasz do stanu pierwotnego.

- Można przecież nie pić – dorzucił twardo Marek. – Na pewno można to jakoś uczynić, zmienić przyzwyczajenie w zamiar.

- Można też nie jeść, ale, po co? – Krzysiek prawie warknął. – Jeśli nie mogę być szczęśliwy, to chociaż niech będę czasami pijany.

- Ma rację – powiedziałem. – Przegraliśmy na starcie, już na samym początku, i teraz będziemy zapijać naszą dumę, godność, sumienie, aż w końcu przestanie coś w nas wyć, a jak już przestanie, gdy staniemy przed lustrem i nagle zobaczymy siebie naprawdę, ujrzymy nasze przytępione oczy, zbliżającą się nieubłagana starość, wtedy sobie uświadomimy, jak bardzo zaniedbaliśmy nasze życie, ale będzie już za późno. Za późno na powroty, za późno na niespełnione miłości i za późno na szacunek najbliższych. Brama została dawno zamknięta, a ogień w środku przygłuszy żałobna muzyka.

- Wiecie co – Krzysiek podparł się rękami na trawie – widziałem zółwia, też został w mieście.

- Śmieszny jest – uśmiechnął się Muniek.

- Przecież to nasz kolega – obruszyłem się.

- Był, a to różnica – dodał półpijany Marek.

- Popatrz, jak on teraz wygląda, zwiotczała roślina w zwiotczającym od bólu świecie – zaśmiał się Muniek.

Spojrzałem na nich, wszyscy się spazmatycznie śmiali, przyjrzałem się każdemu z nich osobno, jak na zwolnionym filmie. Drwili z innego człowieka, przyjaciele złączeni w śmiechu poniżenia, nigdy nie znałem ich

od tej strony. Zabolalo mnie to okropnie, poczułem igłę w sercu, zimny lodowiec wjechał w pędzie, w moją dziką naturę. A gdybym nagle ja zachorował, gdybym potrzebował ich wsparcia? Co by uczynili, czy też zostałbym sam? Dla niektórych przyjaźń jest dobrem w świetności, w bólu inności jest tylko zagładą.

- Idę do domu – rzekłem sucho. – Już późno.

- Poczekaj – wszyscy wstali. – Idziemy z tobą – dodał Marek.

Nie chciałem ich towarzystwa, chciałem być sam, jednak już szli za mną. Obcy ludzie zanurzeni w mojej przyjaźni. Coś do mnie mówili, coś im odpowiadałem, mówiłem to, co chcieli usłyszeć, znałem ich pytania na pamięć, przy alkoholu je po stokroć powtarzali, znałem wszystkie możliwe odpowiedzi na ich wszystkie możliwe i absurdalne pytania.

Z ulgą pożegnałem ich pod swoją klatką. Poszedłem spać w ciszy, są takie dni, kiedy sen jest wybawieniem. Cieszymy się, że coś się kończy, choć jest to absurdalne, tracimy kolejny dzień życia, który zbliża nas do śmierci; a jednak są takie chwile, że z ulgą kładziemy głowę w poduszkę, odchodzimy w niebyt, przestajemy w ogóle myśleć. Radość końca jest ulgą nadziei początku jutra. Zasypiamy, oczy kleją się stabilnie do policzków, ostatnie westchnienie jest jak powiew masztu na okręcie, i w końcu zanurzymy się w nicość, gdzie ból ma inny wymiar, jest bardziej spójny, bardziej odległy i co najważniejsze bardziej stabilny – stabilny w swojej prostocie. Podczas snu wszystko jest stabilne, cały obraz ostatniego przeżytego dnia – taka widokówka osobistych przeżyć.

Następnego dnia, gdy wracałem z pracy, zobaczyłem go – Najsmutniejszego Człowieka Świata – jak siedział na ławce w parku i czytał książkę. Zanurzony głęboko w lekturze, zaskoczony był moją obecnością – wyrwałem go nagle z toku narracji książki.

- Cześć Adam – uśmiechnąłem się i usiadłem koło niego.

- Cześć – osłupiał z wrażenia, tak bardzo przyzwyczał się do samotności, że każdy ludzki gest parzył go w oczy.

- Co u ciebie? – Spytałem z zainteresowaniem. – Dawno się nie widzieliśmy.

- Pracuję w domu, tak jest lepiej – rzekł smutno.

- Dlaczego lepiej? – Zainteresowałem się.

- Lepiej dla wszystkich, lepiej dla mnie.

- Boisz się ludzi?

- Nie, to oni mnie się boją. W sumie nie dziwię im się. Nikt nie lubi dziwaków, a najgorsi są dziwacy na jawie, niszczą ich światopogląd.

- Dla mnie zawsze będziesz Adamem.

- Może tylko dla ciebie. Dla innych jestem powietrzem, może to i lepiej. Im mniej mnie zauważają, tym więcej mam swobody w codzienności.

- Zapraszam nad rzekę – rzekłem. – Chodź, poznasz dawnych kumpli z klasy.

- Lepiej nie – wahał się Adam.

- Chodź. A po drodze opowiesz mi, co robisz. Dobrze?

Najsmutniejszy Człowiek Świata wstał, z niechęcią ruszył ze mną. Nogi miał jak z ołowiu, ciążyły mu coraz bardziej z każdym krokiem, gdy zbliżaliśmy się do rzeki. Wydawało się, że ma stopy skute łańcuchami. Był więźniem, więźniem obaw, więźniem własnego ciała i więźniem strachu schowanego w oczach.

- Gdzie pracujesz? – Spytałem.

- W domu – cicho szepnął. – Tam tylko mogę pracować spokojnie, tam jestem bezpieczny.

- A co robisz?

- Strony internetowe i takie tam rzeczy.

- Fajnie. Lubisz taką pracę?

- Musiałem polubić. Kiedy próbujesz się gdzieś zatrudnić i patrzą na ciebie jak na trędowatego, kiedy wychodząc kłamią cię, że zadzwonią, a śmiech za twoimi plecami brzmi jak dzwon w oddali, kiedy kobiety patrzą na ciebie z ironią, i uświadamiają ci, że nie można pokochać takiej osoby jak ja, że nie zasługuję na miłość, poprzez swoją odmienność, wtedy musisz sam znaleźć jakieś wyjście, gdyż oni już pogrzebali cię za życia, spalili na stosie twoich marzeń, i dlatego właśnie pracuję w domu. Tak jest lepiej, zarówno dla mnie jak i dla innych. Nie powinniśmy łączyć naszych światów – nigdy!

- To przykre, co mówisz – powiedziałem, ale czułem, że ma rację. Tacy jesteśmy, oceniamy pozornie, żyjemy pozornie i zabijamy innych pozornymi słowami.

- Coś ci powiem – Adam nagle podniósł głos, jego ton był inny, zdecydowanie inny. – Trudno jest odnaleźć radość w oczach, gdy od urodzenia skazany jesteś na odrzucenie i samotność. Nigdy nie znajdziesz prawdziwych przyjaciół, gdy twoje ciało przeraża ludzkie oczy.

Nic nie powiedziałem, zabił mnie tymi słowami, lecz jednak wciąż uparcie szedł ze mną w nieznane. Zrozumiałem, że tli się w nim jeszcze jakiś płomyk nadziei, jakaś łza normalności, iskra pokory nasączona chęciami, że może coś się w końcu zmieni, zawieje cieplejszy wiatr i osuszy smutne czoło, ciepłem nowych, lepszych wzruszeń. Chciał pokonać swoje ciało, jednak o wiele bardziej chciał pokonać samotność zakłątą w

jego sercu. Można być samotnym dzień, dwa, może miesiąc, nawet rok, ale nie całe życie. Samotność zabija nas nieubłaganie, każdego dnia, powolnie z majestatem kata, ale jednak zabija; a on chciał po prostu żyć, pozbyć się cienia upokorzeń i śmiało iść do przodu. Nie lepiej, nie szybciej niż inni, nie bardziej groteskowo, nie zbyt nachalnie – po prostu iść bez pośpiechu, bez upokorzeń, tak zwyczajnie jak każdy, i cieszyć się z każdego kroku pokonanego do przodu, bez pustego śmiechu wokół. Nie chciał być lepszy, ośmielał się być bardziej ludzki, nie zamierzał błędzić w tłumie, postanowił iść wraz z nim, z nadzieją, że go nie zgniecie salwami pustego śmiechu. Ja mu to miałem ułatwić i tak postanowiłem uczynić.

Przyjaciele siedzieli znużeni nad rzeką, alkohol im się skończył, a więc dobry czas został porzucony, wraz z pustą butelką w pobliście trzciny. Gdy zobaczyli Adama, zdumienie odebrało im głos, zamilkli razem niczym żołnierze przed ostatnią bitwą, tuż przed wyjściem z okopów, kiedy właśnie sobie uświadamiamy, że śmierć za chwilę weźmie nas w swoje ramiona – nieubłaganie i stanowczo.

Przywitali się trochę z lekceważeniem, odrobinę z nonszalancją, coś im nie pasowało, coś nie grało właściwie, ale jednak świetnie maskowali swoje uprzedzenia pustym wzrokiem.

- Cześć Adam – pierwszy przemówił Marek. – Co u ciebie?

- Dobrze.

- Rzadko cię widzimy na mieście, bardzo rzadko – dodał dumnie Krzysiek, jakby to była zaleta dla całego miasteczka.

- Mało wychodzę, może to lepiej. Nie muszę wciąż unikać innych spojrzeń i udawać, że nie widzę ludzi, którzy kiedyś mnie znali, a teraz chcą zapomnieć o moim istnieniu.

- A ty chciałbyś o nich zapomnieć? – Zaciekawiał się Muniek.

- Jedyne, co chcę wybić sobie z głowy, to obraz, który tkwi w mej pamięci, kiedy stoję przed lustrem. Ludzi się nie boję, tylko ich unikam. Nienawidzę zdjęć ze swoim wizerunkiem, teraz praktycznie ich w ogóle nie robię, nienawidzę luster, są dla mnie jak pluton egzekucyjny, gotowy na wykonanie rozkazu, i nienawidzę siebie, gdyż nie mogę tej nienawiści się pozbyć, a chciałbym ją wyrzucić ze środka, zostawić gdzieś w przydrożnym rowie i odejść, oddalić się daleko, jak najdalej, od resztek dawnego życia, schowanego w mojej głowie.

- Świat nie jest doskonały – chciałem go jakoś pocieszyć.

- Świat jest doskonały, jeśli go takim postrzegamy, to my nie jesteśmy doskonali – dodał Najsmutniejszy Człowiek Świata.

Długo rozmawialiśmy, aż w końcu zmrok swoim szarym paltem, przykrył nas wszystkich i zmusił do powrotu, do swoich domów.

Zaczęliśmy się regularnie spotykać tzn., ja i on. Szybko się zorientowałem, że ma dobre serce, pomagał swojej schorowanej babci, która samotnie żyła, na skraju gorszej części miasta. Robił jej zakupy, pilnował ogródka i bawił rozmową – na starość darem jest dialog, szczerzy obraz zabicia umykających chwil, gdy nagle czas, u samego kresu drogi, niespodziewanie okazuje się ciężarem, wrogiem schowanym za zakolem wyrobisk górskich.

Wydawało mi się, że przyjaciele też go zaakceptowali. Rozmawiali bardziej naturalnie, nie zabijali go wzrokiem jak kiedyś. Jednak dobrze wiedziałem, czułem to podświadomie, że akceptują go ze względu na mnie, w innych realiach nigdy by go nie dopuścili, do swojego zakłętego rewiru.

Opowiadał mi, jak trudno przełamać strach, jak ciężko wstawać bez chęci budzenia, mówił, jak ciężko jest oddychać, kiedy marzymy o komorze bez tlenu, i jak trudno jest unikać swojego wzroku w lustrze, w szybach autobusów i w blasku neonów, odbijających się od wystaw sklepowych.

O tym wszystkim mi mówił, odnosiłem wrażenie, że jestem dla niego zwodzonym mostem nad przepaścią, łączę dwa światy, jego przepełniony rozterkami i mój przepełniony szansą, jaką mogę mu dać, kiedy przestanie bać się normalnie żyć.

Raz zaistniało zdarzenie, które mogło okazać się przełomowe dla niego, tak pozornie to wyglądało. Zamknięto u nas szpital, jakaś dezynfekcja, na okres jednego miesiąca. Najbliższy był godzinę drogi stąd, więc kto żyw, jeśli śmierć lub choroba zawiesiła swoje macki na czymś ciele, jeździł do innego miasteczka, z nadzieją, może pozorną, iż odzyskamy coś, co straciliśmy przez naszą głupotę, lub przez zły uśmiech zdrowia. I różnie z tym bywało, ktoś umierał, ktoś zdrowiał, ktoś dawał łapówkę za lepsze traktowanie, a ktoś inny po prostu tam przyjeżdżał i wracał, rozgoryczony depresją agonalną służby zdrowia.

Gdy wieczór, piątkowy wieczór przerodził się w noc, gdy zmierzch wymieszał się z czeluścią nocy, gdy księżyc spowity został łańcuszkiem ciemnych chmur, podczas powrotu do domu, poprzez knieje, zarośla i zapadliny wzgórz, Muniek nagle zniknął nam z oczu, był i niespodziewanie przeistoczył się w nicość.

Staliśmy jak zaczarowani, przerażeni nagłym przedstawieniem iluzjonistycznym.

- Gdzie on jest? – Spytałem osłupiały.
 - Nie wiem, był, a teraz go nie ma – skupionym głosem rzekł Marek.
- Nagle czyjś jęk zawył w ciemnościach.
- Tu jestem, pomóżcie! Boże, jak boli, chyba krwawię!

Głos dochodził jak zza światów, demony nocy dawały o sobie znać tuż przed pełnią. Znaleźliśmy go po krótkim przeczesaniu terenu, zapadł się w rów porośnięty trawą. Zapadł się nagle i niespodziewanie.

Gdy wyciągnęliśmy go z czeluści, gdy blask gwiazd oświecił jego nogi i całą posturę, ujrzeliśmy ciemną krew z rozharatanej nogi, aż do samej kości.

Muniek przerażony patrzył na ten obraz bólu, z dzikim otępieniem. Był w szoku, skowyt nogi oczyścił go z resztek myśli.

- Do szpitala z nim! – Rzekłem stanowczo. – Nasz jest teraz nieczynny. Musimy go gdzieś zawieść. I to szybko, nie ma czasu na zbędną zwłokę. Krew leci mocno, za szybko, o wiele za szybko!

- Potrzebny jest samochód. Lecz o tej porze skąd go wziąć, jak go zorganizujemy? – Spytał podenerwowany Marek.

Myślałem gorączkowo, dochodziła północ, i nagle myśl, niczym strzała olśnienia, poszybowała we mnie w środku.

- Adam ma samochód, kiedyś mi mówił – powiedziałem stanowczym tonem. – Brać go pod rękę i do niego, szybko!

Adam z rozspaną miną przywitał nas w progu. Gdy zobaczył Muńka, z krzywym wyrazem bólu, szybko ubrał się w ciuchy i odpalił samochód. Pognaliśmy razem z nim do szpitala, a podczas drogi, chyba najdłuższej drogi Muńka w dotychczasowym życiu, coś złego zaczęło się tlić w jego głowie. Gorączka, szybka utrata krwi, pomimo tego, że przywiązaliśmy mu nogę bawełnianą szmatą, tuż nad kolaniem, zrobiły z niego szaleńca. Mówił coś o piekle, o demonach wśród nocy, potem o okręcie, statku handlowym wśród burzy, a na końcu, w lekkim zdumieniu, uśmiechał się do nas błogo. Szczęście emanowało z jego szklanych oczu i rzęs, i znów wojna, walka duszy z ciałem, walka ducha z rozumem, i nasza wspólna walka z czasem, aby zdążyć, zanim ból zwycięży nad gorączką.

A Adam gnał, mocno dociskał pedał gazu, kolejne zakręty znikwały za naszymi plecami, szum silnika przenikał oświetlone światłem znaki, trwała bitwa z czasem, zwycięzca mógł być tylko jeden, na pewno nie był nim czas.

Jak dojechaliśmy pod szpital lekarze szybko zareagowali, blada twarz Muńka osuwała im się pod nogi, w białych korytarzach szpitala, na lśniącej posadzkę podłogi. Stracił dużo krwi, zbyt dużo krwi – szybka reakcja

personelu uratowała tłące się w środku życie, wyrwała Muńka z czeluści śmierci.

Gdy wszystko było już w normie, strach został pokonany determinacją, gdy Muniek spał osłabiony w sali, zmęczeni, nad ranem, wróciliśmy do domu. Jechaliśmy wolno, nawet bardzo wolno, jakbyśmy chcieli wyrównać ostatnią prędkość, wymazać wcześniejszą walkę, ze szpitala do domu.

Gdy się żegnałem z Adamem, tuż przed zamknięciem jego drzwi do domu, jak spojrzałem przez przypadek w jego oczy, zaiskrzył w nich jakiś dziwny blask. Wtedy ujrzałem, po raz pierwszy, wyraz oczu człowieka, który uratował komuś życie. Później nigdy mi się to nie zdarzyło.

Przez moment był panem życia i śmierci, stoczył walkę z samym sobą, balansował na granicy dwóch światów, szarpał się z ciemnością za rogi, był torreadorem losu, a byk piekieł i czeluści atakował go z zaciekłością, szarżując w szaleństwie, na płachtę odkupienia przeznaczenia.

I wygrał, samotnie wygrał tą bitwę. Zanurzył się w rzece, przepłynął na lustrze kompleksów na drugą stronę, wyszedł prawie suchy i spojrzał z przekąsem na pokonany szlak, pełen wirów, prądów i zawirowań. Był zwycięzcą, królem, który pokonał swoje ciało rozumem.

Muńka odwiedzaliśmy regularnie, szybko wracał do zdrowia, po tygodniu był w domu; trochę osłabiony, trochę zdziwiony całą sytuacją i trochę przerażony, że z taką łatwością ślizgnął się na cienkiej tafli śmierci. Uzmysłowił sobie dotkliwie, wręcz absurdalnie boleśnie, że ścisłość życia polega na tym, iż jeden moment, jedna sekunda losu, może spowodować, że nagle wszystko może się zmienić. Minutę temu byliśmy, minutę później nas nie ma, a dwie minuty następne powodują, iż możemy zaledwie trwać, zmożeni niemocą naszego ciała, które nagle okazało się nieistotnym zbiorem mięśni, nieskutecznie ze sobą współdziałających. Trwanie jest ulotne, bicie serca płochliwe, a ślad, jaki po sobie zostawimy, może być wieczny w oczach przyjaciela i godny w oczach wrogów, – jeśli zasłużymy na dumę prawdziwą.

Gdy Muniek całkowicie wyzdrowiał, spędzaliśmy razem dużo czasu, jakbyśmy chcieli w pośpiechu nadrobić stracony tydzień w szpitalu. Najsmutniejszy Człowiek Świata też z nami chodził. Grupa przyzwyczaiła się do niego, a on przyzwyczaił się do grupy. Nie wiem czy traktowali go jak przyjaciela, czy jak zło konieczne, ale wiem, że nie przeszkadzała im jego obecność – tak to wyglądało z boku.

Chodziliśmy po zapomnianych torach, gdzie już nie jeżdżą pociągi, po ich drewnianych, osadzonych kurzem czasu belkach, czasami podążaliśmy nad rzekę, czując się jak podróżnicy w czasie, czasie naszej przemijającej powoli młodości, i chodziliśmy na miasto, na mały rynek zagubiony w pojedynczych kamienicach, a robiliśmy te rzeczy po to, żeby udowodnić sobie samym, że w małych miasteczkach jest zawsze coś do roboty – jest ciekawie, jest zabawnie i jest wyjątkowo, jeszcze tli się w nich mały płomień życia.

Ale tak nie było, nikt z nas nie chciał o tym mówić na głos. Żyliśmy w małej mieścinie bez szans, żyliśmy w małej mieścinie bez nadziei, żyliśmy w małej mieścinie bez rozrywek, a co gorsze, rozrywek młodości, i żyliśmy w małej mieścinie, gdzie czas zatrzymał się trzydzieści lat temu, i szarość, i nicość, i obojętność na swój los, stała się normą – była w spojrzeniach ludzi, którzy tu jeszcze zostali, i zaczynała pojawiać się, istnieć samoistnie, w żrenicach młodych osób, którzy jeszcze tu byli, a chcieli uciec, jednak obawy przed wielkim światem, krzyżowały dalszą ich egzystencję pragnień.

Marzenia ukrzyżowane za życia, albo życie ukrzyżowanych marzeń. Małe części wzajemnie się nienawidzące, a jednocześnie tak bardzo się potrzebujące – skazane na ból istnienia tego miejsca.

Najsmutniejszy Człowiek Świata śmiałym, prawie pewnym krokiem, podążał nad rzekę. Był dumny z siebie, ze swojego losu, nie bał się już patrzeć ludziom w oczy. Miał znajomych, może jeszcze nie przyjaciół, lecz osoby, z którymi mógł spędzać czas. Nie czas samotny, nie czas lękliwy, nie czas pełen kompleksów, – lecz czas w miarę uporządkowany i w miarę radosny. Zabijanie samotności z innymi jest dużo lepsze, niż zabijanie samotności samemu.

Dawniej przesiadywał w domu, tam była jego praca, tam było jego życie. Nie chciał wychodzić na zewnątrz, nie potrzebował życia i chyba życie też nie potrzebowało jego. Wszystko było jasne, był sam, będzie sam i umrze sam. Bolesne, ale prawdziwe. Ciało, jego powikłana gra mięśni, uczyniło z niego kalekę – zarówno fizycznego jak i psychicznego. Myśli zabiły go wraz z chorobą, bał się ludzi i ludzie bali się jego, raził ich wyobrażenia wzrokiem.

Kiedy poznał kolegów na nowo, wkroczył w ich inny świat, nagle obudził się ze snu życia, poczuł się, jakby go ktoś oblał wiadrem zimnej wody, jakby stał pod wodospadem, i większa ilość wody spowodowała, że ciężar rzeki przygniótł go z miazdzącą siłą do dna, i nagle powstał, wypłynął spod czeluści wody, na spokojniejsze akweny morskie.

Znów zapragnął chcieć, znów zapragnął istnieć i znów zapragnął zmian, – choć wcześniej tak bardzo chciał stabilizacji, szarej harmonii swoich kroków. Gdy nie przekraczał progu domu, gdy nie wychodził na światło dzienne, gdy nie musiał iść na zakupy, czuł się lepiej w swoim zagubieniu i inni czuli się z tym lepiej, – gdy widzieli go jak najmniej, jak najrzadziej i jak najkrócej. Poddął się, świadomie poddał się z premedytacją. Nie czuł się z tym dobrze, ale oddech miał pewniejszy, bardziej równy i swobodny; nie czuł się z tą świadomością doskonale, jednak czuł się mniej boleśnie – często mniej, znaczy więcej niż lepiej. Zależy, na jakim występie skalnym stoimy, i czy staramy się skoczyć świadomie na dół, ponieważ mamy odwagę i nowoczesny spadochron; czy raczej cofamy się do tyłu, krok po kroku, i chcemy tylko zejść, gdyż strach jest w naszym oddechu, w naszym spojrzeniu i w naszych ruchach, skurczonych, rozedrganych, lekko falujących w przerażeniu.

Najsmutniejszy Człowiek Świata przyspieszył kroku, nie dużo, ale jednak. Nie lubił się spóźniać, zresztą, kto lubi. Już prawie dochodził do polany i już zamierzał wynurzyć się zza krzaków, gdy nagle jakiś instynkt, wrodzony lęk pierwotny, może obronna reakcja umysłu, kazała mu stanąć. Przystanął i zaczął słuchać, lękliwie łapać słowa w powietrzu.

- Coś żółw się spóźnia – drwiąco powiedział Marek.

- Czemu mówisz do niego żółw? – Bronił Adama Muniek. – Przecież mi pomógł. Nie musiał, ale jednak to zrobił.

- Żółw to żółw – zaśmiał się Marek. – Ja też pomogę staruszce nieść zakupy, i co, muszę ją lubić. Taki nawyk, życie to nawyki. Jedne są dobre, inne złe.

- Niby tak – zrezygnował Muniek.

- To trochę jak z nałogami – zaśmiał się Krzysiek. – Jedne są dobre, inne złe. Niektóre nas ciągną na dół, inne inspirują do życia. Na przykład artyści – piją, biorą, można powiedzieć, że żyją. Używki to dla nich dar od Boga, dzięki nim lepiej rozumieją świat. Są inspirujące. Dzięki nim wzlatują na wyżyny, robią rzeczy niewyobrażalne, a zarazem niszczą siebie, swoją wolność, swoją przyszłość. Są lekiem i są przekleństwem. Są wizją i są pokutą. Są radością spadającej gwiazdy w ciemne morze o zmroku, i są głazem topiącym ich w jeziorze, kiedy szyja przywiązana jest lnianym sznurem, do ciężaru życia. Nałóg to doskonale narzędzie od Boga, dające nam szansę, abyśmy zobaczyli, ile jesteśmy naprawdę warci, jak silni. Czy stoczymy się w ciszy dnia, czy myśli zainspirują czyny na podobieństwo Jego? Nałóg to narkotyk, składający się z bólu i życia.

- Czemu on wciąż go do nas przyprowadza? Krępuje mnie – mówił Marek. – Muszę uważać na słowa, żeby go nie zranić. A ja lubiłem go

ranić w szkole – zaśmiał się Marek. – Nawet bardzo lubiłem. A teraz muszę być aktorem.

- Pożyczał ci czasami pieniądze – cicho rzekł Muniek. – Nie pamiętasz?

- Banki też pożyczają, a są jak pijawki. Gdy ci coś nie pójdzie, zakopią cię za życia w grobie. Uduśzą w niemożności jakichkolwiek decyzji.

- Musimy go jakoś spławić – zaśmiał się Krzysiek.

- Zagłosujemy, kto mu to powie – jeszcze głośniej chichotał się Marek. – Był chyba taki zespół ... „Zabili mi żółwia”, w sumie nazwa pasuje do sytuacji.

Najsmutniejszy Człowiek Świata stał jak w amoku, serce dudniło mu w ciszy lasu, drżenie rąk, łzy, które nieświadomie poleciały mu z oczu, klucie w smutku duszy, i ten wstyd, okropny wstyd życia, wrócił do niego ze zdwojoną siłą.

Zaufał, ostatni raz zaufał komuś i nagle dostał nożem w plecy. Instynkt, obronna reakcja bólu, podpowiadała mu, wręcz szeptała, co jakiś czas: „Pilnuj się, uważaj”, zlekceważył ją, a może po prostu światło, które widział przed sobą, wizja pokonania smutku na zawsze, i nadzieja, że wszystko od teraz się zmieni, zabiła jego reakcje obronne.

Dla takich ludzi jak on, nic nigdy się nie zmienia. Drzewa zawsze będą szare, mury ciągle przykurzone cieniem, tramwaje zbyt głośne, schody zbyt strome, jabłka zbyt kwaśne, kroki zawsze niepewne, spojrzenia innych ciągle będą wyrażały pogardę, w najlepszym przypadku litość, a kobiety zawsze będą niedostępne. Nie można pokonać samoistnego cienia, choć w środku iskrzy się pochodnia dobra. Cień zawsze pozostanie cieniem, może być tylko pogodny, łagodny i chybliwy, a jednak ciągle będzie nam się kojarzył z ciemnością.

Gdy ręka Boga daje nam cierpienie, gdy każe nas za czyny niespełnione, gdy szarpie naszym ciałem jak żaglem podczas burzy, to zawsze będzie jednak tylko nasz ból, nasza zmora, nasze przekleństwo – nigdy nie będzie to ból innych. Zły los dotyczy upadłych aniołów, inne idą z boku, do przodu, z nadzieją, że nieśmiertelność jest ich domeną.

Najsmutniejszy Człowiek Świata zaczął biec przed siebie, w panice, niczym burza przez rozdygotane zarośla. Krzaki kaleczyły go boleśnie, nie próbował zasłaniać twarzy, życie i tak go teraz skaleczyło po stokroć, upadał, potykał się w amoku, ubranie miał poszarpane, wyglądał jak nędznik, bezdomny sierota świata, a łzy, ostatnie jego złudzenie po nienawiści, za wiarę i łatwowierność, stały się powolną agonią jego uczuć – martwym ogrodem serca, który nigdy już nie będzie podlany.

Niespodziewanie, kiedy pośpiesznie podążałem na spotkanie, przemierzając powikłane zaułki lasu, pokonując kolejne obficie zarośnięte porośla, starając się nie zgubić właściwego kierunku drogi, ktoś wpadł na mnie. Prawie mnie zabił swoją siłą, dziką energią wynurzającą się nagle z ciemności.

Zdyszany oddech, wściekłość w oczach, rozbiegany ruch rąk, zaskoczyły mnie. Najsmutniejszy Człowiek Świata stał naprzeciw. Trwało to sekundę, lecz gdy spojrzałem w jego oczy przeraziłem się – był to wzrok szaleńca, mętlik omiatał ciemność opętania, niemy wyraz twarzy podpowiadał, że jest to ktoś, kto szedł z determinacją do piekła, albo to piekło zbliżało się z zawrotną prędkością do niego.

- Co się stało? – Spytałem.

- Nic...! – Prawie zacharczał zdyszanym głosem Adam. – Zaufałem ci! A oni...!

- Co oni? – Wiatr zaburzył moje słowa, zbliżała się burza, wiatr zaczął targać liśćmi.

- Nic...! – Powtarzał w kółko. – Nienawidzę was! A najbardziej siebie, że wam zaufałem! – I pobiegł, zniknął nagle i dosłownie, jakby w panice uciekał przed szybko pojawiającym się zamętem błyskawic.

Gdy doszedłem do polany, wiatr z dzikością atakował drzewa. Burza w splocie błyskawic omiotła prawie całe niebo. Drzewa z zapalczywością wyginały się na boki, zaczynało się piekło na ziemi.

- Co się stało? Był tu Adam? – Spytałem, starając się przekrzyczeć świszczący coraz bardziej wiatr.

- Żółw? Nie, nie było go – Marek powstał, wszyscy musieliśmy uciekać przed burzą.

- Mówiłem wam, nie nazywajcie go tak.

- Żółw, to żółw. Po co go w ogóle przyprowadzasz? – spytał Krzysiek.

- To nasz kolega.

- Chyba twój – zaśmiał się Muniek.

- Przecież ci pomógł – rzekłem. – Może uratował ci życie.

- Może tak, może nie. Jest nudny i popatrz jak on wygląda – dodał Muniek.

Stałem, wiatr oplatał moje włosy hałasem nieba, świszczwał wczesnym płaczem deszczu po oczach i nie wierzyłem, nie wierzyłem temu, co słyszę. Przecież to byli moi przyjaciele, tak dobrze ich znałem, tak im wierzyłem, że są lepsi i okazało się nagle, że w ogóle ich nie znam. Byli inni, odkryłem ich prawdziwy świat w środku, ciemność, którą tak umiejętnie przede mną chowali. Zło głęboko schowane w sercu. Często jest tak, że najbliżsi zawodzą, czasami próbują nie zawodzić, i często jest

tak, że łamią nam serce, gdyż dłużej nie mają siły grać – nie chcą tworzyć suwerennego państwa w naszym państwie, obcego zła w mętliku uczuć.

- A gdybym nagle ja zachorował? To, co, też byście mnie odrzucili?

- Ciebie nie – zawahał się Muniek.

- Nie jestem pewny. Przestałem wam wierzyć. Gdybym miał wypadek, gdybym został skarcony przez los – mówiłem jak w amoku, w transie gniewu wydobywającego się z resztek moich uczuć do nich – wyrzucilibyście mnie jak niepotrzebny mebel ze swojego świata, może nie od razu, byłoby wam głupio, lecz potem byście mnie strącili na manowce zapomnienia – wiatr coraz mocniej łamał drzewa na naszych oczach. – Nie chcę doczekać takiej chwili, kiedy zranicie mnie właśnie wtedy, kiedy będę najsłabszy. Kiedy zadacie mi ból, gdy nie będę na niego gotowy, i nie chcę cierpieć bardziej, kiedy zmęczony porażką, nie będę miał już siły dalej walczyć. Żegnam was, znikajcie z mojego świata. Nie warto mieć przyjaciół tylko na dobre, nie warto mieć przyjaciół raniących w chwilach zwątpienia, i nie warto mieć przyjaciół tylko z jednego powodu, że tak naprawdę boimy się samotności. Samotność też jest jakimś rozwiązaniem, kiedy mamy naprawdę dość ludzi.

- Idź do zółwia! – Krzyknął w złości Marek. – Będziecie świetną parą.

Muniek stał oziębiały, on był z nich najlepszy, miał jakieś resztki uczuć w sobie. Jednak nigdy by się nie zdobył na odejście z grupy, ona była jego światem, jego domem, jego ucieczką – przecież jego ojciec tak bardzo pił, a on potrzebował przyjaźni choćby na siłę, żeby mieć gdzie wychodzić, kiedy nie ma już, do czego wracać.

Odszedłem, moje kroki wolne, pełne ciężaru przeszłości, niosły mnie do rzeczywistości. Nic nie mówiłem odchodząc. Po co coś mówić, trwonić zbędne słowa z ust, kiedy tak naprawdę nie ma już nic do powiedzenia. Kurtyna dawno się zamknęła, widzowie opuścili salę, a światła zaczynają powoli gasnąć, i na środku pozostajemy my – niemi aktorzy sztuki zapomnienia.

Teraz musiałem sobie wmówić, przekonać siebie samego, że potrafię istnieć bez nich, że mogę być samotnym okrętem na morzu i opierać się mocnym sztormowym falom, i że okręt ma dostatecznie silną burzę, która uchroni zwątpienie przed wypadnięciem z pokładu. Tak, musiałem to sobie jakoś wmówić. Musiałem sam siebie przekonać, że potrafię być, istnieć, trwać... samemu, i że trwanie w samotności też ma sens, taki sens jak trwanie w grupie, tylko trochę inaczej to wygląda.

Wyszedłem z lasu, błyskawice omiotły niebo z zuchwałą zapalczywością. Żywioł rozpoczął swój gniewny taniec. Taniec buntu księżycy, taniec płaczu nieba, taniec piekła wiatru.

Wtedy właśnie sobie uświadomiłem, że przeszłość to zapomnienie, przyszłość to tajemnica, a teraźniejszość to dar. I tylko od nas zależy jak ten dar przeistoczyć w marzenia.

Nie wiem jak to się stało, jak w poniewierce wiatru dotarłem pod drzwi Najsmutniejszego Człowieka Świata. Myśli same zaprowadziły mnie pod jego dom. Zapukałem, mimo hałasu burzy otworzył. Patrzył otepiały na mnie, jak na upiora, istotę z innej planety.

- Co tu robisz? – Spytał.

Deszcz płakał w moich oczach, było mi jednak obojętne, że jestem przemoczony, cały zziębnięty chłodem deszczu, musiałem z nim porozmawiać teraz – teraz albo nigdy – później na to nigdy się nie odważę.

- Chciałbym żebyś mi po raz ostatni uwierzył, zaufał na wyrost. Mnie też zawiedli, tak bardzo zranili moją wiarę – mówiłem trochę nieskładnie i chaotycznie, może z powodu zimna, a może z powodu strachu, że Adam nagle zamknie drzwi przede mną.

- Wiesz, co o mnie mówili? – Adam miał łzy w oczach.

- Nie wiem, ale się domyślam – i wtedy do mnie coś dotarło, wręcz mnie to poraziło, jak uderzenie pioruna w gniew nocy, w ostatnie drzewo na łące, że ja nie widzę w ogóle jego choroby, ona jest gdzieś obok, poza mną, widzę człowieka, widzę Adama, który tak bardzo nie chce się poddać życiu i tylko nie wie jak to zrobić, jak dostać się na drugi brzeg rzeki, jak przebrnąć przez niedostępne prądy morskie.

- Możemy się jeszcze zaprzyjaźnić, możemy jeszcze wystartować na nowo, wystarczy chcieć – poprosiłem błagalnie.

- Chciałbyś? – W jego głosie tliła się nadzieja, ostatni promyk słońca dotarł do jego serca, przebił się przez strach i zwątpienie. – Przecież jestem inny.

- Nie jesteś inny, no może fizycznie. Ale tak naprawdę jesteś taki jak wszyscy; rano wstajesz, coś jesz, gdzieś pracujesz, zresztą jak każdy, też masz marzenia o lepszym jutrze, też pragniesz i potrzebujesz miłości, i też próbujesz zostawić jakiś ślad po sobie każdego dnia, kiedy kładziesz się w końcu spać.

- Wejdz do środka – Adam uśmiechnął się poprzez szum wiatru.

- Musimy sprawić, aby końcówka dnia, kiedy zamykamy już oczy, tuż przed ostatnim tchnieniem snu, oddechem zawieszenia, pomiędzy rzeczywistością a zamknięciem powiek, czymś pomiędzy życiem a letargiem, nasza ostatnia myśl była, a wręcz została przez nas przeistoczona w słowa zmysłów, że zrobiliśmy, choć jedną pozytywną rzecz, uczyniliśmy, choć jeden czyn, który sprawił, że zasypiający dzień wraz z nami był wyjątkowy, był darem podanym nam na złotej tacy, a my

z dumą nieśliśmy go przez kolejne pokoje salonu życia, i że nie zmarnowaliśmy czasu darowanego nam przez los i zrobiliśmy jeden mały krok, aby zbliżyć się do marzeń zamkniętych na klucz, w skrzyni naszych myśli. Tak Adam musimy żyć, zamykać przeszłość i patrzeć tylko w przyszłość. Gdy coraz częściej oglądamy się w przeszłość, zanurzamy się w ramionach wspomnień, to tylko oznacza, że w teraźniejszości nie mamy już nic wartościowego do powiedzenia. A my mamy jeszcze tak wiele do pokazania światu – no nie?

- Wchodź, wchodź, bo zmokniesz całkowicie – Adam skierował mnie do swojego pokoju.

Później wiele razy się tam spotykaliśmy. Pokój stał się naszą ostoją poznania. Śmiałyśmy się, żartowaliśmy, przyzwyczailiśmy się do siebie. On był częścią mnie, a ja byłem częścią jego świata.

Okazał się moim najlepszym przyjacielem, takim na dobre i złe. Zawsze mnie wspierał, kiedy tego potrzebowałem, nawet wtedy, kiedy zacząłem za dużo pić, mając problemy rodzinne, i kiedy dużo osób w tym okresie odsunęło się ode mnie, widząc moje upodlenie. Nawet wtedy był ze mną, nie dlatego, że tylko mnie miał, lecz dlatego, że był moim przyjacielem i wiedział, że zły okres kiedyś minie, bo musi minąć, kiedy ma się takiego przyjaciela z boku. Cierpliwie czekał, aż sam pokonam wroga w środku i pokonałem.

I kiedy odniosłem największe zwycięstwo w życiu, pokonałem swój wstyd, swoje wątpliwości i strach przed swoją skłonnością, on nagle odszedł. Choroba pokonała jego ciało, rozwijała się ze straszliwą, wręcz zawrotną prędkością. Niszczyła cały jego organizm, pokonywała systematycznie jego kolejne elementy, jak wróg zdobywała poszczególne jego organy. I wtedy mi powiedział dwie ważne rzeczy.

Pierwszą było to, że tak miało właśnie być, wiedział o tym od początku, a dzięki mnie przeżył to życie tak jak chciał, choć wiedział, że czas ucieka i strach mógł tylko sparaliżować jego ruchy. A dzięki mnie podróżował po Europie, robiliśmy to razem, czasem stopem, czasem przez biuro podróży, ale zawsze razem. Skakał na spadochronie, choć obaj tak bardzo się tego baliśmy, a po fakcie, już po samym skoku, przyznaliśmy się sobie nawzajem, że wstydziliśmy się tego uczucia strachu, lecz pokonaliśmy go w sobie. A później się z tego śmiałyśmy, czując gorzkość, jaką daje wstyd przed słabością, choć większym wstydem jest przyznanie się do niej.

Jeździliśmy na koniach, choć teraz mogę przyznać, trochę z zażenowaniem, że śmiesznie wyglądał tak podskakujący w rytm kłusu konia. Lecz czy sami nie jesteśmy śmieszni, kiedy boimy się coś zrobić w

obawie, co pomyślą inni? Lecz tą myśl, którą przedstawiłem teraz, może kiedy indziej rozwinę.

I robiliśmy wiele innych rzeczy, a podczas jednej podróży, kiedy byliśmy w Madrycie, podczas picia w jakiejś przydrożnej tawernie w porcie, wtedy już trochę za dużo piłem, to był początek mojego końca w picciu, lecz jak napisałem, pokonałem później to zło w sobie, właśnie wtedy poznaliśmy rodaków, którzy płynęli swoim dużym żaglowcem do Chorwacji, i zabrali nas w chyba najlepszy rejs życia, najlepszy, bo jedyny, muszę przyznać z zakłopotaniem.

Widzieliśmy wtedy skaliste wybrzeża, zatoki ściśnione w skałach, w których przy blasku księżyca pływalismy czując słoność wody w ustach, i widzieliśmy delfiny skaczące pośród jasności dnia i jaskrawości gwiazdnej nocy. To wszystko widzieliśmy na własne oczy i czuliśmy własnym, naprawdę wolnym, oddechem przepełnionym marzeniami przeistaczanymi w życie. Kiedy wysiadaliśmy ze statku, kiedy żegnaliśmy się z rodakami, czuliśmy skurcz w sercu, tak doskonale się czuliśmy na morzu, niczym zdobywcy, niczym ludzie, którzy chwycili życie za rogi i wciąż siedzą na jego grzbiecie.

Drugą rzeczą, o której mi powiedział, i która była o wiele ważniejsza dla niego, to było jego marzenie, które naprawdę się spełniło. Chciał zobaczyć cud, nie ważne, jaki, dzięki niemu chciał naprawdę uwierzyć w Boga. Szukał potwierdzenia, tak uparcie szukał dowodu na jego istnienie.

Ja okazałem się tym cudem, darem od Boga dla niego. Nie skreśliłem rzeczy, którą wszyscy skreślali – jego choroby. Dałem z siebie wszystko, co miałem najlepszego, nie oczekując nic w zamian. Byłem sobą, a on przy mnie czuł się bezpieczny, i choroba, choć zegar tykał, nie była dla niego tak straszliwa. Moja przyjaźń okazała się darem Boga dla niego. Teraz myślę, kiedy stoję nad jego grobem, a grób ma piękny, pod wysoką sosną, która rzuca kojący cień w skwarze dnia, że on też był moim darem podanym mi na tacy losu. Dzięki niemu stałem się lepszym człowiekiem, przeistoczyłem się w inną osobę. Choć jeszcze nie jestem doskonały, jest we mnie zło jak w każdym, to wciąż walczę z tym każdego dnia, i tak chyba będzie do końca.

Często przychodzę na jego grób, tak sobie rozmawiamy w towarzystwie sosny, mam nadzieję, że mnie słyszy. Brakuje mi go, brakuje mi tych rozmów do północy o życiu, brakuje mi tych wspólnych podróży; teraz sobie uświadomiłem, że był całym moim światem i gdy go zabrakło, zostałem całkowicie sam, naprawdę sam w życiu.

Nie poddaję się, idę do przodu, jeszcze niepewnie, jeszcze wątpiaco, troche pustymi drogami, ale idę – a to wazne, zeby wciadz isć do przodu, nigdy nie stać w miejscu.

A dawni przyjaciele, cóż, ich paczka się rozpadła, nie wytrzymali próby czasu. Zresztą jak mieli przetrwać, kiedy nienawiść do innego człowieka zżerała ich każdego dnia od środka. Była jak cieriń, który nagle zaczął ich dotkliwie uwierać nawzajem. Nienawidząc obcego człowieka, tak naprawdę nienawidzimy siebie samych. Nienawiść niszczy, tak szybko pali wiarę i nadzieję w nas.

Najsmutniejszego Człowieka Świata nie ma już na tej planecie. Był, a teraz go nie ma. Był inny, inny w swojej doskonałości. Pokazał mi, wręcz udowodnił, że dobro jest w środku, a pozory tak bardzo nas mylą. Ludzie nigdy nie nauczą się widzieć rzeczy niedotykalnych. Inność to trąd, bolesny trąd, którego należy unikać – tak pochopnie myślą, w swoich zwiotczalych głowach.

Nie mają racji. Inność to inny wymiar doskonałości, to dar, nigdy przekleństwo, to dotyk Boga, który pokazuje nam swoim gestem nieśmiertelną wyjątkowość, to skarb schowany w sercu, czasem zniszczonym, czasem skonanym bólem, ale skarb, który tak ciężko odkopać rękami, gdyż można pobrudzić sobie ręce brunatną gliną obojętności.

Wiele jest takich osób jak on, niekoniecznie chcemy to widzieć oczami. Warto jednak próbować zgłębić tajemnicę świata, gdyż klucz, który znajdziemy w sobie, może okazać się złotym kluczem życia, a dary z tej skrzyni, wydobyte w pośpiechu, naznaczą nas sekretem, który poznamy dopiero na końcu drogi.

A więc szukajmy! Szukajmy siebie, szukajmy marzeń i szukajmy inności, nie bądźmy obojętni na nicość tego świata!

DO CÓRKI

Kiedy zaczynałem pisać tą książkę, obawiałem się, być może bezpodstawnie, że nie podołam, zepsuję coś, co dopiero ma się narodzić. Stworzone historie będą złe, błędne, nieistotne dla nikogo. Tak się czułem, trochę jak wędrowiec idący być może niewłaściwą drogą.

Jednak dopiero teraz wiem, że to, co napisałem wcześniej, nie będzie dla mnie takim wyzwaniem jak stworzenie tego, co właśnie w tym momencie, z taką sumiennością czynię. Opisanie emocji i doznań, jakie towarzyszyły mi, kiedy córka pojawiła się w moim życiu.

Ponieważ wiem, że nic nie trwa wiecznie, bo z pewnością byłoby to błędne i niewłaściwe, ponieważ wiem, że czas każdego z nas jest klepsydrą losu, która tyka nieubłagane w ziarnkach piasku, i że dzisiaj jesteśmy a jutro nas nie będzie, więc czasami lepiej powiedzieć coś zawczasu, niż na łożu śmierci rozpacząć z niemożności straconych i zmarnowanych szans.

Obawiam się, żeby nie zepsuć tej gmatwaniny słów, ale już sama próba będzie zwycięstwem, gdyż dzięki niej wyzwolę uczucia, które mam przez cały czas w sercu i w myślach.

Kiedy się urodziłaś, pojawiłaś w letnim skwarze dnia, jak każdy przyszedł ojciec byłem nieprzygotowany na szczęście, które dopiero, co miało się ziścić.

Lecz kiedy Cię ujrzałem, i potem widywałem każdego poranka i każdej nieprzespanej nocy, jak zasypiałaś, jak uciekałaś w sen po zbyt męczącym dniu, w każdej chwili, w każdej mijającej sekundzie, zakochałem się w Tobie bez pamięci, aż w końcu uzmysłowiłem sobie, że Bóg istnieje, gdyż byłaś cudem, który ziścił się w Jego majestacie. Byłaś dowodem, że jest jakaś logika w tym szaleństwie życia. Pęd czasu został zatrzymany, a Ty sprawiłaś, że gonitwa nie miała już takiego sensu jak kiedyś.

Poznawaliśmy się nawzajem, Twoje porażki, małe potknięcia, były moimi słabościami, razem brnęliśmy przez Twoje pierwsze pagórki życia. Stałaś się częścią mnie, a ja powoli stawałem się częścią Ciebie. Tak szybko i niespodziewanie, sprawiłaś, że świat nabrał innego wymiaru i czasu. Życie zmieniło się w dwie fazy, czas spędzany z Tobą i czas zmarnowany bez Ciebie.

Ta książka jest formą podziękowania, że Jesteś. Dzięki niej lepiej zrozumiałem siebie przez Ciebie.

Zawsze będę akceptował decyzje, które zmuszą Cię do poznania niezgłębionej tajemnicy życia. Zawsze będę akceptował czyny, które będą

kształtowały Twoje przyszłe życie. I zawsze będę z boku, tuż koło Ciebie, jak będziesz wątpiła w sens rzeczy, które dla innych są ważne, a dla Ciebie już niekoniecznie.

Chciałbym być takim okrętem – drewnianym, masywnym z majestatycznym żaglem, który kotwicz y u brzegu, w cichej zatoce zapomnienia, i gdzie światło w nocy zawsze pali się z lampy naftowej, i gdzie siedzę ja – skupiony, zamyślony, czasami nieobecny. I kiedy zły wiatr zawieje w Twe oczy, zepcha Cię na manowce życia, Ty zawsze będziesz mogła przyjść do tej zatoki, do tej drewnianej, zapomnianej przez los przystani i znaleźć schronienie, ciepło i czas na odpoczynek, zanim znów wyruszysz zdobywać świat na nowo. Tam będziesz miała spokój, ciszę i mnie, który pozwoli Ci w tej ciszy wypocząć i nabrać sił ponownie. Mam nadzieję, że zawsze będę dla Ciebie takim okrętem, gdzie bez wahania będziesz mogła odpocząć, od parzącego ognia życia.

Wiem, że można dać dziecku wiele: majątki, pałace, brylanty; ale to są tylko rzeczy. Dając Ci tą książkę, dedykując Ci ją w całości, daję Ci duszę, coś, co mam tak głęboko schowane w sobie. Niewiele jest osób, które oprócz miłości, dały komuś duszę. Może to dużo, może to mało, zależy od punktu widzenia, na pewno jest to nietypowa forma spakowania myśli w prezencie i przelania na papier, poprzez uchwycenie nierealnej rzeczywistości.

Dzięki duszy lepiej poznajemy kogoś, kto te myśli stworzył w formie zdań, przecinków i kropek. Poznajemy jego sposób myślenia, spoglądamy na świat jego oczami; czujemy przez moment, że jesteśmy z nim, pomimo barier, jakie dziela człowieka od człowieka.

Mam nadzieję, że uda Ci się lepiej zrozumieć mnie i ludzi, o których pisałem. Bo życie to nie tylko radość i wiara, to też zwątpienie i smutek. A tylko od nas zależy jak wykorzystamy lepszą ostrość postrzegania świata.

Na końcu chciałbym Ci życzyć, żebyś zawsze miała lepszą ostrość postrzegania świata, gdyż wtedy łatwiej zrozumiesz znaczenie słowa d o b r o. A cóż jest wart świat bez słowa d o b r o, i cóż jest wart świat, gdy nie posiadamy go w sobie. Bo świat to ludzie, ich pasje i marzenia, bo świat to my, którzy dostrzegamy go z wadami i zaletami, i świat to nasze wątpiące dążenie do rzeczy niedoścignionych.

Tego Ci życzę, zawsze dążyć do marzeń niedoścignionych, pomimo potknięć, pomimo zwątpień, pomimo zawistnych spojrzeń ludzi. Bo liczy się to gdzie my idziemy, a nie... przepełnione drogi, po których zawsze chodzą niewłaściwi ludzie.

OD AUTORA

Pisałem tę książkę z myślą, aby była jak najmniej autobiograficzna – nie udało się. Pisałem tę książkę z myślą, żeby pokazała mnie w lepszym świetle – nie udało się. Pisałem tę książkę ze świadomością, żeby udowodnić światu, może trochę ludziom, że nic nie jest takie do końca jak nam się wydaje – radość miesza się z samotnością, samotność z bólem, a ból jest esencją wszystkich naszych teraźniejszych i przyszłych poczynań, które pomagają nam wstawać i iść do przodu; bo cóż byłoby warte nasze życie gdybyśmy nie szli z mozołem do przodu, pomimo kolejnych, jakże bolesnych upadków na ziemię. Pisałem tę książkę także, żeby pokazać innym, iż zawsze można zmienić swoje przeznaczenie – sami jesteśmy dla siebie przeznaczeniem. I w końcu pisałem tę książkę dla Córki, a może przede wszystkim dla niej, największej m i ł o s c i m o j e g o ż y c i a; i gdy dorośnie, stanie się wyjątkową kobietą, i gdy sięgnie po nią, aby ją tak naprawdę przeczytać i zrozumieć, i nagle uzmysłowi sobie, że w życiu można zrobić wszystko, spełniać swoje marzenia, zmieniać ścieżki w które upycha nas z taką determinacją rzeczywistość, i właśnie wtedy, po wnikliwym przeczytaniu jej do końca, już będzie wiedziała, że każdy jej krok, każda jej zmiana w życiu, będzie przeze mnie akceptowana, gdyż jej życie zawsze było i będzie częścią mego życia.

I pewnie nie udało mi się ją napisać taką, jaką chciałem, aby była. Nie jest ani autobiograficzna, ani ściśle obojętna wobec mnie i moich poczynań, ani niezłomna wobec otaczającej mnie rzeczywistości. Jest po prostu moja, z wadami i zaletami, z patosem i emocjami, z częścią duszy podanej wrogom na tacy, z fantazją, której ja z pewnością nie potrafiłem okiełznać do końca, – choć muszę przyznać, że momentami konsekwentnie próbowałem.

Z góry przepraszam za brak stylu, którego do końca jeszcze nie wypracowałem; z góry przepraszam za historie, które być może odbiegają od otaczającej nas rzeczywistości; i z góry przepraszam za emocje, które dla niektórych nie będą nigdy zrozumiane.

Taki jestem, taki mam styl, i taki wybrałem moment na wydanie tej książki, z pewnością zły i z pewnością nietrafiony. Lecz często bywa tak, że marzenia, do których dążymy, też są złe i wręcz nietrafione, gdy je już chciwie rękami chwycimy w ramiona. Ale prawdziwą sztuką życia jest dążenie do marzeń, a nie ich osiągnięcie. Siła tkwi w drodze, a nie w wierzchołku góry, na którym być może kiedyś staniemy. Droga czyni nas mężczyznami, droga czyni nas niezwykłymi, i droga obdiera nas brutalnie ze

złych emocji, zdiera płaszcz obojętności świata, i na końcu tej ścieżki jesteśmy my – tacy prawdziwi, tacy, jakimi nas ukształtowało życie.

Ta książka to taka d r o g a, którą samotnie przebyłem potykając się momentami o ostre kamienie, i na końcu okazało się, że marzenie, choć wzniosłe, zmusi mnie do napisania kolejnej książki, bo życie to d r o g a, kolejny niezdobyty wierzchołek nieustających emocji. Skoro to przeczytaliście, dobrnęliście do końca, to już wiem, że byliście cierpliwi, uparci i konsekwentni.

Jeszcze raz przepraszam za błędy, potknięcia i skazy, które doprowadziły mnie do jednej realnej i prawdziwie bolesnej myśli – życie to d r o g a, ścieżka, którą samotnie dążymy do celu.

Spis treści

Ucieczka żołnierza.....	5
Saga zwątpienia.....	24
Spowiedź.....	39
Ostateczność.....	55
Niepokój.....	73
Odkupienie.....	98
Strach.....	136
Rozstanie.....	170
Rysiek.....	180
Spotkanie.....	188
Rezygnacja.....	198
Terapia.....	209
Najsmutniejszy Człowiek Świata.....	228
Do córki.....	251
Od autora.....	253